

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1980

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1980

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 320

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

„HISTORIA POLSKI” PAWŁA ZAREMBY

W kraju i na emigracji jest ogromne — i dotąd niezaspokojone — zapotrzebowanie na obiektywną i przystępnie napisaną historię Polski. Jest to zadanie niezmiernie trudne, wymagające nie tylko dobrego historyka ale i dobrego pisarza.

Od wczesnych lat sześćdziesiątych *Kultura* usiłowała wypełnić tę lukę. Uznaliśmy, że najlepszym autorem może być Paweł Zaremba, człowiek o wielkiej erudycji a jednocześnie umiejący pisać w sposób lekki, prawie gawędziarski. W 1961 roku ukazał się w Bibliotece „Kultury” pierwszy tom jego „Historii Polski”. Praca była obliczona na trzy tomy i miała obejmować dzieje Polski od zarania aż do chwili obecnej. Niestety choroby i kłopoty osobiste uniemożliwiły Zarembie kontynuowanie tej ogromnej pracy. Potem przyszła absorbująca praca radiowa, znowu długotrwała choroba, i śmierć.

W Radio Wolna Europa Zaremba przez szereg lat prowadził pogadanki historyczne, ciesząc się ogromnym powodzeniem w kraju. Z tych pogadań przyjaciół Zaremby — Marek Łatyński — dokonał wyboru, który obejmuje okres dwudziestolecia Polski Niepodległej — lata 1918-1939. Powstała w ten sposób książka spełnia naszym zdaniem niezbędne warunki: jest obiektywna, źródłowa bez pedanterii i przepojona cechującym Pawła Zarembę humanizmem. Książka powinna się ukazać na przełomie lat 1980-1981. Ponieważ nie możemy w tej chwili ustalić jej objętości — a więc i ceny — nie ogłaszamy subskrypcji, informujemy jedynie, że „Historia Dwudziestolecia” ukaże się w Bibliotece „Kultury”, i to niedługo.

Poniżej drukujemy przedmowę Marka Łatyńskiego do „Historii Dwudziestolecia” oraz tekst pogadanki Pawła Zaremby, która najlepiej wyjaśnia jak Autor pojmował swoje zadanie wobec słuchaczy (i czytelników) i jaki był jego stosunek do Historii.

REDAKCJA

ZAMIAST WSTĘPU

Książka ta stanowi wybór pogadań radiowych, które Paweł Zaremba wygłaszał w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Dyrekcja RWE zgodziła się na ich opublikowanie drukiem. Było tych pogadań — tak je autor nazywał — łącznie ponad czterysta i nadawane były w latach 1967-1979 co tydzień z rzadkimi tylko przerwami. Autor opowiadał o współczesnej historii Polski — nie przemawiał. I to było zapewne jednym z sekretów powodzenia, jakie miał u słuchaczy, zarówno historyków, jak i zwykłych miłośników historii własnego kraju, a szczególnie może wśród studentów, którzy szukali u niego ocen odmiennych od oficjalnie obowiązujących w Polsce. Innym sekretem powodzenia była tematyka pogadań. Nie tu miejsce, by oceniać ich treść. Ale powiedzieć należy, że przedstawiał dzieje tego historycznego fenomenu, jakim było wskrzeszenie Polski i niepodległe istnienie Drugiej Rzeczypospolitej w sposób jasny, prosty i głęboki, że widział racje różne i że był obiektywny i sprawiedliwy.

Mówił także w swoich pogadankach o latach przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości i o drugiej wojnie światowej. Ale zdążył się zająć tylko niektórymi aspektami obu tych okresów. Pogadanki o latach Polski niepodległej stanowiły już natomiast zamkniętą całość. Dlatego wybraliśmy je do druku.

Stanowiły całość zamkniętą, ale nigdy nie zakończoną. Wracał często do tematu już poruszonego i przerabiał wtedy i wzbogacał to, co napisał był przedtem. W takich wypadkach włączaliśmy naturalnie do tej książki wersję nowszą. Do tego ograniczyła się rola niżej podpisanego, a także do skreślenia powtórzeń, nieuniknionych, kiedy się wygłasza co tydzień przez radio pogadankę, z których każda musi się logicznie zaczynać i kończyć i być zrozumiała dla kogoś, kto może poprzedniej nie słyszał. Ale zależało mi na tym, by zachować ten szczególny, autorski styl radiowej gawędy. Starałem się więc nie dopisywać niczego, poza koniecznymi tu i tam paru słowami.

Paweł Zaremba urodził się 12 października 1915 roku w Petersburgu jako syn Piotra i Nadziei-Jadwigi z domu Herwarth. Pochodził ze starej polskiej rodziny szlacheckiej. Miał też powiązania rodzinne z Anglią.

Kiedy jego rodzina uciekła z Rosji po rewolucji bolszewickiej, uczył się początkowo we Francji. Potem ukończył gimnazjum imienia Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. W tymże Poznaniu studiował od roku 1933 prawo i ekonomię. Specjalizował się

w historii ustrojów i w roku 1937 otrzymał stopień magistra praw. Tematem jego pracy magisterskiej były uprawnienia prezydenta w konstytucji Stanów Zjednoczonych. W czasie studiów pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego i pisywał w prasie poznańskiej. Przygotowywał pracę doktorską o wpływach burgundzkich na ustrój Polski w wiekach średnich, ale jej nie ukończył.

W roku 1937-1938 służył w podchorążówce rezerwy piechoty w Kaliszu. Pod koniec hiszpańskiej wojny domowej wysłany został do Hiszpanii jako obserwator II Oddziału Sztabu Generalnego.

Zmobilizowany, walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako podporucznik 60 pułku piechoty z Ostrowia Wielkopolskiego i został dwukrotnie ranny w bitwie o Łęczycę. Wzięty do niewoli, przebywał do końca wojny w Oflagu VIIA w Murnau w Bawarii. Brał udział jako wykładowca w zajęciach samokształceniowych więzionych tam polskich oficerów. Tematami jego wykładów były historia Anglii i Stanów Zjednoczonych oraz socjologia. Pracował też nad książkami, które chciał wydać po wojnie.

Po zwolnieniu z Murnau w kwietniu 1945 roku przyczynił się jako oficer polski przy dowództwie 7-ej Armii amerykańskiej do decyzji niewydawania dawnych sowieckich i serbskich jeńców wojennych z obozu w Memmingen komunistycznym władzom ZSSR i Jugosławii.

Służył następnie przez rok w 2-gim Korpusie we Włoszech jako współpracownik Wydziału Propagandy. Wykładał tam znowu i pisał w prasie wojskowej.

W roku 1946 osiedlił się w Anglii. Przez następnych lat dwadzieścia redagował różne polskie czasopisma, wśród nich *Orła Białego*, najstarsze pismo żołnierskie i kombatanckie. Pisał też na tematy historyczne i bieżące do *Kultury*, *Bellony* i *Tek Historycznych*. Kierował polskimi wydawnictwami i drukarniami. Współpracował z sekcją polską BBC.

W roku 1957 wydał „Historię Stanów Zjednoczonych”¹, pierwszą napisaną przez Polaka, a w roku 1961 pierwszy tom „Historii Polski”². Napisał także „Historię 15 Pułku Ułanów”, ale nie zdolał ukończyć książki na jeden ze swych ulubionych tematów: miała nią być historia amerykańskiej wojny domowej.

Po okresie luźnej współpracy wszedł w roku 1967 w skład zespołu kierowniczego rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa i przeniósł się do Monachium. Zmarł 23 kwietnia 1979 roku.

Takie są suche fakty życiorysu Pawła Zaremby — zbyt suche dla tych, którzy jak autor tych słów razem z nim w Monachium pracowali. Zbyt suche również, kiedy się zważy, kim i czym był.

1. Biblioteka „Kultury”, tom XXIII.

2. Biblioteka „Kultury”, tom LXXII.

Przede wszystkim był historykiem, chociaż nie historię studiował na Uniwersytecie Poznańskim. Historia była dla niego — człowieka pełnego życiowej pasji — pasją największą.

Jego pasją było także radio — rozgłośnia polska RWE, którą uważał zawsze za coś więcej niż tylko jedną z wielu rozgłośni nadających w eter audycje po polsku. Dla niej poświęcił wiele ze swych niespełnionych autorskich ambicji. Przyszły kronikarz rozgłośni znajdzie ślady jego pracy — redaktora, inspiratora, doradcy — w skryptach setek audycji, o historii, o polityce, o kulturze. Znajdzie je przeglądając redagowane przez niego pismo *Na Antenie*. Bo był również urodzonym dziennikarzem i potrafił napisać szybko i ciekawie o każdej niemal sprawie świata, w którym żyjemy. Pomagała mu w tym nadzwyczajna znajomość języków — angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, katalońskiego, niemieckiego, czeskiego, rosyjskiego, włoskiego. Pomagały mu sprawna pamięć i oszałamiająca erudycja, wiedza, która mogła onieśmielać współpracujących z nim. Wszystkie te walory oddawał bez reszty swojej rozgłośni. Przez kilkuletni okres ciężkiej choroby rwał się do pracy. Pilnował, by jego audycje szły co niedzielę na antenę. Pisał je mimo choroby i, póki mógł, sam je nagrywał. Później przysyłał do redakcji teksty, nieraz wprost z kliniki.

Ale nie był mołem książkowym. Marzył o karierze wojskowej — los mu na nią nie pozwolił. Kochał żonę, którą zostawił, i swoich dwoje dzieci. Doceniał urodę kobiet i lubił czerwone wino. Był świetnym, pełnym wdzięku rozmówcą i, choć stronił od głupoty, był wyrozumiały dla słabości człowieka. Nie używał wielkich słów. Potępiał zawsze podłość, dwulicowość i fałsz.

Był pośród nas jednym z najlepszych.

Marek ŁATYŃSKI

Paweł ZAREMBA

PO 150 POGADANKACH HISTORYCZNYCH

Liczba napisanych i wygłoszonych audycji nie jest rzeczą ważną. Ważniejsze na pewno jest dokonanie „rachunku sumienia”, czy czas oddany mi przez Rozgłosnię do dyspozycji został właściwie użyty.

Rachunek sumienia to sprawa autora — sąd o audycjach to sprawa słuchaczy. Mówiąc do mikrofonu mam nadzieję, że części słuchaczy pewne fakty przypominam, innych o innych faktach (lub o tych samych) informuję, że uzupełniam lub prostuję interpretacje narzucone na fakty z rozkazu urzędowej historiografii komunistycznej. Mam też nadzieję, że nie ulegam pokusie upiększania czegokolwiek, wybielania czyichkolwiek błędów lub pomniejszania czyichkolwiek zasług. Lecz audycje radiowe nie mogą zastąpić podręcznika ani drukowanej rozprawy. Słowo mówione zaciera się w pamięci — nieraz już po kilku minutach. Nie można go sobie w pamięci odtworzyć. Inaczej niż z książką, do której można zawsze zajrzeć, by coś odszukać, coś sobie przypomnieć, coś sprawdzić.

Celem i zadaniem tych audycji jest przede wszystkim dostarczyć pożywki myślowej dla tych wszystkich, którzy interesują się najnowszymi dziejami naszego narodu i państwa, rozumiejąc, że bez ich znajomości ani zrozumienie otaczającej ich rzeczywistości nie jest możliwe, ani też nie jest możliwe wyciągnięcie wniosków na przyszłość.

Odzew, znacznie większy niż mogłem się spodziewać, z jakim program „Współczesna Historia Polski” spotkał się wśród słuchaczy, stanowi zachętę do dalszej pracy właśnie w ten sposób rozumianej. Nie znaczy to, bym dokonując owego, jak go nazwałem, „rachunku sumienia” rozgrzeszał się ze wszystkich usterek i niedociągnięć. Są one po największej części powodowane chęcią utrzymania formy popularyzacyjnej, a więc łatwiejszej do wysłuchania, bo mniej nużącej, przy jednoczesnym unikaniu łatwizny i spłykania zagadnień. Narzucanie z góry wniosku i poglądu w otocze tych tylko faktów, które wniosek potwierdzają, to cecha propagandy. Tym niebezpieczniejszej, im większe jest jej nasilenie. A nasilenie to jest ogromne w obecnej rzeczywistości polskiej, gdzie także historiografię — zwłaszcza czasów najnowszych — uznano za narzędzie polityczne, służące dziś obowiązującej doktrynie partii komunistycznej i dzisiejszej wykładni politycznej, stojącej na straży nadrzędnych interesów imperializmu rosyjskiego w jego sowieckiej postaci.

Odrabianie złych skutków tego stanu rzeczy jest oczywiście obowiązkiem każdego historyka i nie tylko historyka, bo i każdego człowieka, który wie lub domyśla się, na czym polega fałsz propagandowy podany w historycznej czy pseudohistorycznej oprawie. Lecz tak zwane odrabianie czyichś kłamstw, przemilczeń i przeinaczeń tylko wtedy jest moralnie uzasadnione i tylko wtedy może być na dłuższą metę skuteczne, gdy nie ulega poku-

sie uproszczeń i skrótów myślowych. To znaczy, gdy samo nie staje się propagandą. Bo złożoność życia ludzkiego i ludzkiego działania, a więc złożoność zjawisk historycznych sprawia, że bardzo rzadko „czarne” jest wyraźnym przeciwieństwem „białego”. Niestety właśnie kombinacja tych dwóch kolorów jest prawdziwą, „szarą” barwą wydarzeń historycznych.

A obraz będzie najbliższy prawdy tylko wtedy, gdy uwzględni się możliwie najwięcej elementów. Gdy o historię chodzi, obraz zbliża się do prawdy tym bardziej, im więcej faktów — złych i dobrych, przyjemnych i drażniących, radosnych i wstydlivych — można wprowadzić na kanwę myśli ludzkiej.

Wspominałem o obowiązku historyka, polegającym na odrabianiu złych skutków propagandowo-politycznego wykładu historii. Gdyby zdanie to pozostawić bez korektury, brzmiałoby boleśnie i brutalnie, a w stosunku do ogółu lub znakomitej większości historyków polskich obecnie w kraju pracujących byłoby zachętą do niesprawiedliwego sądu o ich pracy. Chcę i jest moim obowiązkiem korekturę tę wprowadzić, choć jest ona tragicznym nieomal przyznaniem racji tym wszystkim, którzy odmawiają przymiotu prac naukowych wszystkim dziełom syntetycznym ukazującym się pod władzą komunistyczną. Bo gdyby każdy historyk dążący do syntezy, zwłaszcza politycznych dziejów, stał na stanowisku, że skoro prawda jest niepodzielna, to pod nadzorem partii w ogóle żadnej syntezy nie można tworzyć, tym samym pozostawiałby wykład historii w ręku monopolu propagandowego. Wówczas powstałaby sytuacja podobna do panującej w Rosji od czasów stalinowskich, gdzie trwa w permanencji orwellowska makabra przepisywania na nowo podręczników i encyklopedii. A więc nastąpiło przekazanie funkcji historyka w ręce urzędników propagandy partyjnej.

W tej sytuacji lepiej jest powiedzieć część prawdy, skoro nie można mówić prawdy całej. Prowadzi to, rzecz jasna, do chaosu myślowego, lecz jednocześnie pozwala na zadanie sobie pytania, że „coś tam jeszcze musiało być”. Tego rodzaju pytanie pobudza ciekawość i dociekliwość.

Mówienie części prawdy zamiast całej prawdy zależy od tak zwanego „marginesu swobody”, jaki cenzura pozostawia historykowi. Pojęcie w samej istocie uwłaczające powołaniu i zawodowi historyka. Nie w większym wszakże stopniu niż istnienie cenzury w ogóle. Lecz realia życiowe nakazują walkę o zwiększenie owego „marginesu swobody” i zmniejszenie kagańca cenzury. Walkę tę prowadzą historycy w Polsce i w innych krajach komunistycznych — przyznajmy, że prowadzą ją nawet w Związ-

ku Sowieckim, choć tam mało mogą na swe dobro zapisać zwycięstw nawet drobnych. A dopóki istnieć będzie luka wiadomości i ocen oddzielająca zakres „marginesu swobody” od obiektywnie pojętej prawdy historycznej, wypełnianie tej luki w miarę sił i możliwości pozostanie zadaniem historyków emigracyjnych — lub powiedzmy raczej: żyjących na emigracji w warunkach wolności badań i myśli.

Na niwie historiografii pod nadzorem cenzury jest lepiej niż było przed laty dziesięciu. Lub nawet przed trzema laty, gdy wygłaszałem pierwszą ze stu pięćdziesięciu audycji w naszym programie. I nie bez wzruszenia myślę o tych, co mnie wówczas nakłaniali: „mówcie o tym, o czym w Polsce mówić nie pozwolą, i mówcie tak, jak w Polsce nie wolno” — zwłaszcza, że głosy najbardziej dla mnie cenne są już dziś głosami spoza grobu.

I powtarzam swe pragnienie najgłębsze: oby ta poprawa była trwała i nieodwracalna, oby przybierała na sile aż do chwili, gdy nasze audycje o „współczesnej historii Polski” staną się zbędne.

Tymczasem tego szczęśliwego momentu nie widzę na horyzoncie, i zarówno ja jak i ci, co mnie zastąpią albo mi dopomogą będziemy dalej mówić o „współczesnej historii Polski”. Bez retuszu i bez upiększeń, kładąc nacisk na to wszystko, co nie jest jeszcze objęte „marginesem swobody” w Polsce. Będziemy wracać do problemów już raz poruszanych i przedstawiać inne, dotychczas nie omówione. Z niepokojem o to, jaki będzie sąd naszych słuchaczy, lecz na pewno z czystym sumieniem.

Paweł ZAREMBA

Tymoteusz KLEMPSKI

POLAKÓW Z HISTORIĄ KŁOPOTY

Historia potrzebna jest zawsze. Ale w pewnych szczególnych sytuacjach dziejowych staje się potrzebniejsza od wielu innych znacznych dyscyplin. Powstaje w skupiskach ludzkich dojmujący głód rodowodu, bowiem właśnie w ten sposób, to znaczy genealogiczno-indywidualizujący, manifestuje się on najczęściej. Podobno książka „The Roots” jest piękna i wzniosła; serial, który niedawno pokazywała telewizja polska, jest okropny, jest po prostu rasistowski, a więc taki, w którym nasilenie głodu doprowadza do stanu chorobowego. Rasistowski tym bardziej, że w jego produkcji wzięli udział biali zawodowcy, robiący za pieniądze, a nie z potrzeby, jak to się fatalnie mówi, „ducha”. Bowiem jeśli się z owej „potrzeby ducha” pójdzie „na całego”, to zawsze jeszcze istnieje szansa, że zaistnieje owa szczególna aura, owa iluminacja posłannictwa. Kiedy jednak „na całego” idzie się tylko dla interesu, nie może nie powstać fałsz.

„Korzeniom” telewizja polska nadała duży rozgłos, po każdym odcinku pojawiała się uśmiechnięta pani spikerka, zachęcająca do udziału w dyskusji o filmie w szczególności i o problemie murzyńskim w ogóle. W miarę posuwania się naprzód serialu zaczęło być wokół niego coraz ciszej. Nie wiem ostatecznie, czy odbyła się na koniec jakaś dyskusja, ale nawet jeśli miała miejsce, to wyciszono ją maksymalnie. Zdano sobie sprawę, że bywają najrozmaitsze diaspory i najrozmaitsze formy niewolnictwa. A przede wszystkim zdano sobie sprawę z dość szczególnej (i nie zawsze karykaturalnej) zdolności Polaków do konstrukcji w typie „słoń a sprawa polska”. Przypominam, że na samym początku młody Murzyn przywieziony z Afryki nie chce się wyrzec swego pierwotnego imienia Kunta-Kinté na rzecz narzuconego mu przez

właściciela plantacji imienia Toby. Dopiero po straszliwej chłóście, półżywy zgadza się na nowe imię. Już w kilka dni po wyświetleniu w telewizji tego odcinka rozpowszechnił się w społeczeństwie następujący wierszyk:

*Naród spuścił nos na kwintę,
bo chciał żyć jak Kunta-Kinté,
ale Gierek wszystko robi,
aby w biedzie żył jak Toby.*

Zapotrzebowanie na historię daje o sobie znać w PRL w sposób rozmaity: prelekcje TKN przyciągają tłumy spragnionych, ale jeszcze większe rzesze przybywają na prelekcje otwarte (choć „nieoficjalne”*), organizowane bardzo często w kościołach czy klasztorach. Władysław Bartoszewski (prelegent wędrowny — termin Stefana Kisielewskiego) ściąga na swe odczyty o Powstaniu Warszawskim już nie setki, ale dosłownie tysiące słuchaczy. Tym samym zapotrzebowaniem tłumaczy się popularność *Zeszytów Historycznych* a także rozmaitych wydawnictw krajowych, zwłaszcza tych, które dotyczą dziejów najnowszych (Garlicki). Nieco mniejszym, ale jednak na stosunki polskie dużym powodzeniem cieszą się także prace dotyczące epok dawniejszych. Można wyznaczyć nawet pewną gradację zainteresowań — zmniejszają się one im dalej w głąb dziejów cofa się dane opracowanie. Bardzo jeszcze znaczne towarzyszy okresowi zaborów i powstań. Na tym tle wydawanie pewnych materiałów ma charakter wręcz formalnych demonstracji: opublikowanie pamiętnika anonimowego szlachcica o powstaniu 1863 roku na Ukrainie w nakładzie, o ile się nie mylę, 1.500 egzemplarzy stoi na pograniczu prowokacji. Książki tej nie dało się nigdzie kupić, tego rodzaju nakład predestynował ją do na poły konspiracyjnego sprzedawania spod ludy. Doprawdy łatwiej dziś o *Zapis* czy inne publikacje „nieoficjalne” niż o tego rodzaju książki, wydawane pozornie oficjalnie i legalnie.

Szczególnym powodzeniem cieszą się też książki o polskim baroku czy o sarmatyzmie, co pozostaje w związku z inicjatywami wystawowymi kilku ostatnich lat; pomimo dużego nakładu (w popularnej serii „Omegi”) książeczka Janusza Tazbira o kulturze szlacheckiej jest dziś już też nie do nabycia w księgarniach.

* Rozróżnienie między nielegalnym i nieoficjalnym jest jedną z najnowszych „zdobyczy” władz PRL: wymija się dzięki niemu rafy konsekwencji drastycznych, bowiem za działalność „nieoficjalną” nie musi się stosować sankcji policyjno-sądowych, które wypadłoby stosować za inicjatywy „nielegalne”.

Tu jednak kończą się te bardziej żywiołowe zainteresowania — Średniowiecze nie wzbudza już takich zapotrzebowań społecznych, znakomite nieraz opracowania tej epoki czasem dość długo pozostają w księgarniach w oczekiwaniu na nabywców.

Poza tym zmiennym zjawiskiem jest, że seria „kласyków historiografii polskiej” (ostatnio: Pawiński, Smoleński, Wojciechowski) również nie zalicza się do *best-seller*’ów. Można na tej podstawie sądzić, że dzisiejszy odbiorca polski wyczulony jest przede wszystkim na literaturę o charakterze materiałowym (pamiętniki, diariusze, dzieła dawniejszych historyków, by wspomnieć tylko Kromera, Strykowskiego i Starowolskiego) oraz na najnowsze syntezy.

I nie potrzeba tu dłuższych wyjaśnień: właśnie najnowsza historia jest tą, która uległa najdalej idącym fałszerstwom i przemilczeniom. Epoki dawniejsze są w o wiele lepszej sytuacji. Nie są aż tak „gorące” dla dyktatorów polskiej nauki. Na tym tle zrozumiałą jest również fakt znikomego właściwie współuczestnictwa nauki emigracyjnej w próbach nowej interpretacji dawniejszych dziejów naszego kraju. Kilka studiów Stanisława Kota o XVI i XVII wieku, po części w obcych językach i o przyczynkarskim zakresie, „Szkice z dziejów Reformacji” Pawła Skwarczyńskiego (Londyn, Odnowa, 1967) to w gruncie rzeczy niezwykle mało na tle obcojęzycznej literatury, dotyczącej tego okresu i tej problematyki (Jobert, Schramm, Kneifel, Backvis i in.).

To zainteresowanie i zapotrzebowanie ma bardzo określony charakter: polityczno-ideowego zaplecza. W tym ujęciu historia staje się (zarówno dla autora jak i dla czytelnika) narzędziem argumentacji aktualnej, potwierdzającej lub negującej zjawiska, dążenia, programy dnia dzisiejszego i dni następnych. Bezpośredni związek wydarzeń dokonanych i dokonujących się (lub dążenie, aby ten związek potwierdzić) sprawia ową odwrotnie proporcjonalną gradację zainteresowań. Polskie, współczesne zapotrzebowanie na historię jest zapotrzebowaniem czynnym, niemal ze sfery osobistych więzi. Pani Klio ma do odegrania rolę może nawet nie owej „magistra vitae” ile matki-wychowawczyni, siostry-opiekunki, kogoś bliskiego i wyposażonego w potężny ładunek autorytetu. No cóż, w dziejach Polski kobiety zawsze odgrywały doniosłą rolę. Donioślejszą od uczonych.

A więc historia „ku pokrzepieniu serc”? I tak, i nie. Dla niewielkiej grupki moralistów-śledzienników będzie także papką dokumentnie wyjąłowanej diety — dla ułagodzenia narodowych wrzodów na dwunastnicy czy kamieni żółciowych. Dla przeważa-

jącej części „szarych odbiorców” staje się lekcją taktyki oraz potwierdzeniem argumentów budowanych *a priori*, w oparciu o doświadczenia współczesne.

Więc podniosłe w zasadzie zjawisko głodu intelektualnego i już o wiele mniej budująca diagnoza globalna? Niestety tak. Polacy — i chyba nie ma tu istotnych różnic między „peerelowcami” i emigrantami — traktują historię w sposób zaczepno-obronny. Sądzę, że tę opinię potwierdziłaby większość wpisów do książki pamiątkowej (czy nawet kilku ksiąg) wystawy „Polaków portret własny”. Krakowskie Muzeum Narodowe uczciło przy jej pomocy stulecie swego istnienia, więc dołożono wielu starań, by rzecz była okazała i zajmująca, ale chyba nikt z organizatorów nie przewidział takiego sukcesu. Przez dwa miesiące tłoczyły się na niej setki i tysiące przybyszów ze wszystkich zakątków kraju. Rekord absolutny, bardzo zresztą nie w smak władzom, które przez cały czas ekspozycji wypatrywały tylko końca i nie chciały się zgodzić na przedłużenie choćby o kilka tygodni (nie mówiąc o prezentacji w 2-3 innych ośrodkach).

I przedtem zdarzały się wystawy-sensacje, na przykład „Romantyzm i romantyczność”, „Drogi do niepodległości”, a dawniej amerykańska „Rodzina człowiecza”, ale ich publiczność stanowiła jednak w 90 % inteligencja, elita i jej kłakierzy, a raczej tylko wyjątkowo pielgrzymowano na nie z różnych części kraju. Można też było na „Polaków portrecie własnym” zauważyć zupełnie nieprawdopodobne sytuacje, jak ta, kiedy równocześnie przymaszerowały do kasy, grzecznie, parami, grupa milicjantów i grupa zakonnic.

Wpisy dokonywane w księdze pamiątkowej tej wystawy mogą się niewątpliwie bardzo przydać z punktu widzenia i socjologii i psychologii statystycznego Kowalskiego, choć oczywiście wiele tam jest zapewne naiwnych okrzyków zachwyty, a czasem i oburzenia(ktoś podobno napisał: „Ja wszystko mogę zrozumieć, ale co tu robi ta k.... Wasilewska?”). Emocjonalno-użytkowy charakter tego ogromnego kondensatu wrażeń musi uderzać każdego. Z jednej więc strony fenomen, jeden z najbardziej rzucających się w oczy spośród wielu fenomenów zdarzających się w trójkącie „bezludzkim”, to znaczy między Breżniewem, Honeckerem i Husakiem. Z drugiej pytanie: czy taka manifestacja (ze strony zwiedzających oczywiście, nie organizatorów) ukazuje głód historii, głód własnych korzeni, czy też jest to po prostu odzew na wiecznie nienasyconą dumę i alegoryczne uzasadnienie moralno-narodowych racji.

Na tej wystawie, gdzie zapominano najczęściej o sprawach artystycznych, były podobno dwa miejsca, ściślej — dwaj boha-

terowie — u stóp których nieustannie starano się kłaść kwiaty: matejkowski Rejtan i mehofferowski portret Piłsudskiego. W tym drugim wypadku nie widzę potrzeby komentarza, w pierwszym jednak warto zwrócić uwagę, że czczono nie człowieka lecz akt, bowiem kwiaty nieodmiennie lądowały pod wizją Matejki, a nie przed autentycznym konterfektem pana pośła.

Oczywistość tej spontanicznej manifestacji — z punktu widzenia historii — ztraca nagle ostry kontur. Bo kim był Tadeusz Rejtan? Obrońcą minionej właśnie niepodległości czy obrońcą starego porządku, który właśnie stał się przyczyną upadku I-szej Rzeczypospolitej? Ale my lubimy gesty patetyczne, my kochamy pokazywać się („ja panu pokażę!”) i czcimy bardziej takie jednoosobowe manifestacje niż solidną ale nieefektywną pracę. Więc nie kładziono kwiatów pod podobizną Małachowskiego czy Kołłątaja, a w sali obejmującej epokę pozytywizmu i Młodej Polski bankierów, przemysłowców i lekarzy zepchnięto trochę w szary kąt — na korzyść artystów, tych z „Melancholii”, z „Wesela”, z Bronowic i Zakopanego.

Hossa na patriotyczny gest sprawiła przed laty, że tak wielkim powodzeniem cieszył się film o Hubalu-Dobrzańskim, że równocześnie zapomniano o jego twórcach, którzy przy pomocy narodowych rekwizytów starali się piec własną pieczę. Na tym tle film z niedawnej przeszłości, „Śmierć prezydenta”, wzbudził uwagę tłumu o wiele trudniejszą problematyką, choć jak sądzę wielu szło nań nie po to, by zobaczyć trudną prawdę o narodzinach państwa i naznaczonych tragedią narodzinach demokracji, ale po to by zobaczyć Naczelnika. Dosłownie: zobaczyć, bowiem pojawił się w filmie przez chwilę i wypowiedział zaledwie kilka słów. Tyle o odbiorze. A o celach niektórych, oznaczonych pieczęcią oficjalności, przedsięwzięć? Nieprzypadkowo chyba Ryszard Filipiński po Hubalu podjął temat przewrotu majowego. Temat pierwszy miał być legitymacją patriotyzmu, drugi może się stać podręcznikiem; nawet w kręgach PZPR wymachiwanie szabelką nie dziwi. Polska zawsze i mimo wszystko pozostaje Polską. Czy takie stwierdzenie może „pokrzepić serca”? Osobiście wątpię, ale dopuszczam i taką ewentualność.

Polskie kompleksy! Ileż już na ten temat napisano! I jakże trudno się z nich wyzwolić! Niepodobniestwem niemal jest otrzaskać się z faktem, że przebrnęliśmy i że brniemy dalej w historii dokonanej i dokonującej się nieustannie pomiędzy szczytami i dnami, wznosząc się i spadając, łudząc się i okłamując. I że nie tylko wzloty są naszym własnym dziełem, ale także upadki. Chcielibyśmy się widzieć w pełni wspaniałości, w blasku bohaterstwa i cnót obywatelskich. Obcy, którzy nas krytykują, są

podli, ci co chwalą — sprawiedliwi. Potrzebujemy, jak kobieta, komplementów, a kiedy już dojdzie czasem do uczciwego rachunku sumienia, oskarżamy się sami gorliwiej niż inni (z wyjątkiem chyba Rosjan). Szczycimy się naszymi osiągnięciami, czasem dość podejrzanymi, niemal wstydzimy codziennej zwyczajności. „Życie polskie w dawnych wiekach”, a zwłaszcza „Prawem i lewem” są wciąż *best-sellerami*, gdyż właśnie, czasem wbrew założeniom Łozińskiego (gdzie chodzi o pierwsze z przytoczonych dzieł) ukazują odświętność, niezwykłość, owo polskie „pokazywanie się”, gdy tymczasem codzienność była zupełnie inna: nudna, szara, gruboskórna.

Historiografia polska przez szereg pokoleń nie potrafiła dać sobie rady z bezpiecznym przeciskaniem się między Scyllą i Charybdą dumy i wstydu. I do dziś nie jest od tych obciążeń wolna. Praca Jaremy Maciszewskiego o szlacheckiej Rzeczypospolitej jest tego doskonałym przykładem; ten dobrze zapowiadający się historyk, który poszedł między aparaczkowską wierchuszką „robić w nauce”, w swej analizie Polski XVI i XVII wieku raz po raz ujawnia swe uczucia, bo w założeniu ukazuje cały nonsens tamtego ustroju i układu społecznego, ale nieustannie wydobywa elementy pozytywne. Brzmi to tak, jakby uległy zmieszaniu dwie różne mowy — naukowca i propagandzisty — z jeszcze trzecim dialektem — Polaka.

Ale coraz częściej studia historyczne uzyskują wysoki stopień wolności od kompleksów. I dlatego cykl historyczny Pawła Jasienicy przyjęty został przez zawodowców cierpko — nie drażniło ich może nawet to, że do ich gospodarstwa zabrał się literat i dziennikarz, ale to, że się w nim poruszał jak w muzeum kompleksów. A już najpewniej gniewało ich nieprawdopodobne powodzenie tych książek. Nikt, a już Polacy w szczególności nie radują się z cudzych sukcesów. Ale ten sukces opierał się właśnie na fobiach i miłościach Jasienicy: chłostał on i schlebiał, nie pozwalał się przemykać obojętnie obok dawno już ostygłych spraw. Władze PRL uniemożliwiły mu kontynuowanie cyklu. Wiek XIX był dla niego strefą zakazaną. Myślę chwilami, że może to i lepiej, że ten znakomity pisarz chyba nie uniósłby ciężaru napięć, im bardziej przybliżać się mógł do czasów, kiedy z AK wileńskim sam współtworzył dzieje tego szalonego kraju*.

* A na marginesie: czy nie warto by pomyśleć na Zachodzie o wydaniu wyboru pism tego autora, którego się w kraju nie wznawia? Może nie tego wielkiego fresku historycznego, ale artykułów, zwłaszcza tych, które publikował w pierwszych latach powojennych i w okresie popaździernikowym. A czy nie istnieją stenogramy czy nagrania jego niedrukowanych wypowiedzi?

Zdaję sobie sprawę z tego, że to co napisałem powyżej może skłaniać do wniosku, że domagam się historii ostygłej: maksymalnie obiektywnej i nie dającej się powodować afektami. Tak nie jest. Może i skłonny byłbym najwyżej oceniać obiektywizm, gdybym weń wierzył. Ale nie wierzę. I nie martwię się z tego powodu. Ostatecznie wielkie syntez historyczne czy kulturowe powstały z gwałtownych uczuć: Burchardta — z miłości do blasku Renesansu, Huizingi — z fascynacji chorobliwością wynaturzeń jesieni Średniowiecza.

Historycy mogą, może nawet muszą stawiać pewne hipotezy wartościujące, jakieś werdykty moralne, tyle tylko, że nie powinni ich stawiać *a priori*, naginając później do nich fakty (a tak się właśnie przygotowuje „ideowo” historię w ustrojach totalitarnych), ani też zakładając, że przeszłość ma krzepić a nie uczyć (tak się często działo w Polsce i tak jest ukierunkowany odbiór owego statystycznego Kowalskiego A.D. 1980).

To, że się od historii żąda aby udowadniała narodowe racje, własną wyższość moralną czy wręcz posłannictwo nie jest jakimś szczególnie polskim zjawiskiem, choć u nas właśnie prowadziło do zdumiewających i jednocześnie zarówno wzruszających jak i żenujących zjawisk w rodzaju mesjanizmu. Może nawet i rola „pokrzepicielki serc” nie jest też wyłącznie polska. Ale polskie jest uzasadnianie współczesności przeszłością, co tak często prowadzi do zdumiewającego spłylenia, dającego się wyrazić w słowach: „bo wszystkiemu winne są Ruskie”.

Nie jestem przeciwko zaangażowaniu. Moją największą troską od wielu już lat jest to, że w lwiej części społeczeństwa brak jakiegokolwiek zaangażowania, że z takich czy innych przyczyn, ale głównie z winy rzeczywistości naszego kraju z jego codzienną, obezwładniającą kompromitacją „ideowości” zaangażowanie wygasa, zanika, karleje, że życie traci swą całą ponadkonsumpcyjną nadbudowę. Ale jestem przeciwko zaangażowaniu zafałszowanemu, które zostało narzucone w wyniku rozkładu komunizmu jako ideologii, jak też przeciwko zaangażowaniu zakompleksiałemu, które niestety dość często daje o sobie znać w wydawnictwach „nieoficjalnych”, w których dziwnie jakoś pobrzękiwanie szabelek i ostróg łączy się czasem z tą swoistą „poetyką” dosadnej argumentacji, której nauczać się nas starali Lenin, Stalin i ich propagandowe reżetony.

Bardzo charakterystyczne, zwłaszcza w odniesieniu do historii najnowszej (tzn. historii II-giej Rzeczypospolitej oraz ostatniej wojny) są zawile konstrukcje uzasadnień. Ale cóż przyjdzie z najprzemysłniejszych konstrukcji, kiedy ostatecznie liczą się

rezultaty. Zwłaszcza jeśli chodzi o kompleksy już nie tylko ogólnonarodowe, ale szczegółowo-partyjne. Bowiem obciążenia partyjnego myślenia to wcale nie wyłączna cecha komunistów. Wychodzi to na jaw nawet przy czytaniu pamiętników z czasów okupacji. Potwierdzenie znajduje się w świetnej książce Jana Nowaka („Kurier z Warszawy”, Odnova, Londyn, 1978), który przeciwstawia garnącą się do walki z okupantem młodzież tym organizatorom politycznego życia podziemnego, których głównym celem było programowanie polityczne według klucza stronnictw*. A równocześnie ich nieprawdopodobnej naiwności w owych wizjach mocarstwowych, jagiellońskich, federacyjnych!

Nie można skłaniać polskiej historiografii, aby w przyszłości stroniła od spraw trudnych, tragicznych czy w ogóle ciemnych. Właściwie cały okres rozbiorowy wypełnia wielka polemika o przyczynach upadku państwa. Najboleśniesz diagnozy wychodziły wówczas ze „szkoły krakowskiej”, co oczywiście pozostaje w związku ze stańczykowską orientacją jej głównych przedstawicieli. Nie twierdzę przeto, by brakowało u nas owego tak bolesnego i tak zarazem koniecznego „rozdrapywania ran”. Ale jak mało miejsca w tych analizach zajmowała sprawa narodowości wchodzących w skład I-szej Rzeczypospolitej, jakie znamienne, a z kompleksów zrodzone zahamowania towarzyszą sprawie ukraińskiej.

Bardzo dobrze, że *Kultura* tyle miejsca poświęca naszym wschodnim, bezpośrednim sąsiadom, bardzo dobrze, że lubelskie *Spotkania* też konfrontują ten historycznie szczególnie obciążony problem. Z całą pewnością dużo zostało powiedziane i napisane, ale i wiele jeszcze pozostaje do zrobienia.

Jeden z podstawowych kompleksów, okrzykiem jakby spinający dwie podstawowe grupy takowych, dumy i wstydu, to kompleks szlachetności. Stalinizm i współczesna sowiecka historiografia Ukrainy sprowadzają rzecz po prostu do ekspansjonizmu i kolonializmu. Z naszej strony, jeśli wziąć pod uwagę uczciwe, nie obciążone oficjalnym kierunkiem prace, z największym trudem przychodzi przyznanie się do faktu, że na kresach wschodnich uprawiano w czasach I-szej Rzeczypospolitej coś w rodzaju polityki kolonialnej (co miało się srogo zemścić na nas w późniejszym okresie), bowiem stwierdzenie to zupełnie nie pasuje do owej szlachetności, która jest stłumionym pogłosem mesjanizmu. A właściwie mesjanizmów, bowiem przedrozbiorowy różnił się znacznie od tego, który rozpałił się do białego w twórczości naszych wieszczów.

* Dość przygnębiającym tego przykładem są pamiętniki Pużaka.

Oburza nas, że przyjeżdżając do Lwowa kupuje się tam przewodniki po mieście, drukowane po polsku, a zawierające swoistą pigułkę historyczną: dzieje Lwowa to założenie miasta przez księcia Lwa i wspaniały jego rozkwit po „powrocie do macierzy” (w 1939 r. oczywiście). Cały środek — tych drobnych sześćset lat — to panowanie szlachecko-polskich okupantów. Fakt, że miasto i jego kultura to właśnie owych sześćset lat „okupacji” wymyka się zupełnie uwadze przewodnika, choć na następnych stronach nieustannie się manifestuje w zabytkach i słynnych postaciach przeszłości (ogromnie zresztą zdziśiátkowanych).

Ale tuż obok kompleksów blisko-wschodnich rezydują kompleksy blisko-zachodnie. Gorliwość w pośmiertnym spolszczaniu nazwisk Niemców, zamieszkujących nasze ziemie i wnoszących w cywilizację, kulturę, naukę i sztukę tak wiele, że się tego ani zmierzyć, ani zważyć nie da. Pomijając wcześniejsze stulecia, wspomnijmy co się stało w wieku XIX, w okresie który zdawałoby się zupełnie nie sprzyjał osmozie asymilacyjnej, iluż było wówczas takich gorąco spolonizowanych Niemców (Linde, Pol, Gloger, Kętrzyński!), którzy dokonali dla naszego narodu naprawdę wiele, czasem więcej niż ci, którzy młodo, bohatersko i jakże tragicznie oddawali swe życie za wolność.

Te pozał się Boże spolszczenia, które się nagminnie uprawia! Albo są tylko śmieszne, albo wręcz zawstydzające. Zniekształcone nazwisko genialnego snycerza odchodzącego gotyku (który urodził się nie w Krakowie, nie w Norymberdze ale w szwabskiej miejscinie Horb) wrosło już w świadomość społeczną, ale po co pastwić się nad „Dederonami”, każąc im łamać języki na niewymawialnym dla nich Stwoszu. Ostatnio zaś historycy (inna rzecz, że prowincjonalni) piszą nazwisko kopernikowego wujaszka nie Watzenrode, ale Waczenrode. Tak się je istotnie nieraz pisało w dokumentach przełomu XV i XVI wieku, tyle tylko, że nie wymawiało się tego nigdy jak polskiego „cz”.

Absurd podawania nazw geograficznych w brzmieniu polskim to już dzieło wyłącznie niemal polityków. To zupełnie tak, jakbyśmy mówili: pojadę do Paris, do Köln i może zawadzę o Wien. Albo: pojadę do Wilniusa, do Lwiwa i Iwanofrankiwska. Problem aberracji toponomastycznej tkwi w świadomości, ale tylko wąskiej elity intelektualnej, i znakomity żart, który wypowiedziała kiedyś w jakiejś komedii Irena Kwiatkowska: „Immanuel Kant — Königsberg — obecnie Kaliningrad” umknął przeważającej liczbie odbiorców. Niestety tylko z tej wąskiej grupy, pretendującej, a może nawet będącej w jakimś stopniu

sumieniem narodu wychodziły protesty w sprawie, która bardzo paskudnym cieniem kładzie się na polityce wewnętrznej PRL — w sprawie zmiany nazw kilkudziesięciu miejscowości w Sanockiem, Przemyskiem i Poznańskiem. W tym popisie głupoty i chamstwa toponomastycznego zawiera się równocześnie zupełne lekceważenie historii, jak też prymitywny soc-nacjonalizm, ten koszmarny produkt kooperacji z reżymem.

Szczególnie przykre jest porównanie tego geograficzno-historycznego fałszerstwa z tym, którego dokonały władze hitlerowskie około 1936 roku na Śląsku i Pomorzu, zmienczając prastawne słowiańskie nazwy. W obu bowiem wypadkach nacjonalistyczna inicjatywa wykazała zupełnie identyczny brak fantazji czy wyobraźni. Jedyne w swoim rodzaju, często niepowtarzalne nazwy zmienione zostały na przysłowiowe Wólki, a więc jakieś Dębiny czy Eichenfeldy.

Ale to są zjawiska, jak to się w dzisiejszej kalekiej polszczyźnie mówi, odgórne. Oddolnych mamy też sporo. Powracający z wycieczek do Lwowa niemal zawsze mówią z oburzeniem i wstrętem o zdewastowaniu cmentarza „Orląt”. Ale to był w końcu akt wandalizmu dokonany na czymś, co było przecież świadectwem niedawnej, a tak bardzo niewygodnej historii. Cóż jednak powiedzieć o dziesiątkach czy setkach zdewastowanych cmentarzy na Śląsku i Pomorzu? Najodbrzydliwsze w tym jest zaś to, że spontaniczny zapał „repolonizacyjny” starczył najczęściej na przewrócenie kamieni i krzyży grobowych, a na to, by uporządkować owe cmentarze energii już zabrakło. Nawet odpowiedzialnym za to proboszczom.

Szacunkiem i przyjaźnią darzymy tylko jednego naszego sąsiada: Węgrów, zapominając przy okazji, że to oni, w okresie najazdu Rakocznego, byli pierwszymi, którzy zaczęli rozwijać koncepcję rozbioru Polski. Nie, absolutnie nie chciałbym zamącić owej przyjaźni, która sporadycznie, ale przecież daje o sobie znać w pracach naukowców z tej i tamtej strony Karpat. Chodzi mi o to, aby nie tylko historyk, ale w ogóle każdy Polak, któremu bliskie są sprawy samoświadomości historycznej, potrafił się wyzbyć fobii i urazów wobec bliższych i dalszych sąsiadów. Trudne to, a może nawet niemożliwe zadanie w tym momencie dziejowym, w którym jeśli nie każda, to prawie każda rodzina polska nosi niezabliźnione rany po latach hitlerowskiej inwazji i kiedy każda rodzina polska odczuwa co dzień ciężar przyjaźni „wielkiego Brata” ze Wschodu. Ale trzeba koniecznie oddzielać problem kolejnych reżymów, kolejnych uzurpacji od problemu koegzystencji. A już szczególnie wstecz, w dalekie perspektywy dziejowe.

Z kwestią szacunku i pełnego zrozumienia stuleci sąsiedztw czy koegzystencji łączy się sprawa poruszona poprzednio — brak zainteresowania codziennością, a nie tylko odświętnością naszych dziejów. Pewną analogią do takiego podejścia do historii jest stosunek statystycznego Kowalskiego do zabytków: uznaje w znacznej mierze autentyczny zamek krakowski i zupełnie nieautentyczny zamek warszawski, Łańcut, Częstochowę i ewentualnie jeszcze coś ze swych stron rodzinnych (kościół, pałac, ruiny zamku), ale nie znosi w istocie wszelkich „staroci”, które są „nienowoczesne” i jakoby źle świadczą o naszej minionej kulturze. Największą radością dla tego, może nawet w życiu codziennym sympatycznego Kowalskiego to, zburzyć stary budynek i wyciąć stare drzewo. Krajobraz kulturowego niżu, to znaczy szeregowych, tandetnych bloków w mieście oraz ogrodzonych siatkami pudeł „telewizorowych” na wsi — oto pełnia szczęścia. To przez ową społeczną, zbiorową miopię kulturową, przez to przemieszczanie proporcji historycznych obróciło się wniwecz dziesiątki miast, setki dworów i tysiące chałup.

Historia to daty koronacji, bitew, ważnych uchwał czy aktów międzynarodowych. Ale historia to także owa tkanka codzienności, na której wyrastały wielkie wydarzenia. Bez niej wyrosnąć by nie mogły. A Polak nie tylko nie widzi, ale i nie chce widzieć tej tkanki.

Pozostawanie w sferze wielkich wydarzeń stoi w bezpośrednim związku z kompleksem wstydu, kompensowanym fałszywymi okrzykami zachwyty. Powie ktoś: przez wiele stuleci Polska nie potrafiła się dorobić mocnej, wszechstronnej, spójnej warstwy intelektualnej, bez której żadne państwo nie może poprawnie funkcjonować*. Możliwość zmonopolizowało nawet i tę dziedzinę, samo zaś uprawiało malowniczy dyletantyzm. Smutne raczej dzieje Krakowskiej Akademii od XVI do XVIII wieku coś o tym mówią.

Tu jednak słyszę protestujący okrzyk Kowalskiego: ale to przecież my daliśmy światu Kopernika i Curie-Skłodowską!

Kompleks dumy wyrasta — jakby na przekór — na glebie własnego niedowartościowania, na chudym poletku zazdrości wobec innych, którym się lepiej powiodło. Nie musimy się przed nikim wstydzić, musimy się za to pokazać. Także i przez przodków swoich. Trzeba to przyznać uczciwie: w tej dziedzinie

* Jedno wszelako istotne zastrzeżenie: nie pragnąłbym znaleźć się kiedykolwiek pod rządami intelektualistów. Z nich bowiem często wywodzą się zakuci dogmatycy, a czasem wręcz potwory (Pol-Pot, Enver Hodža). Intelektualiści winni sprawować w państwie funkcję barometru i papierka lakmusowego.

daleko nam do kompleksów Rosjan, którzy boją się i nienawidzą każdego, kto nie będzie ich wychwalał. Przysłowiowe żarty o Rosjanach — pierwszych wynalazcach wszelkich osiągnięć technicznych (pop Rentgienow wynalazł, jak wiadomo, promienie X w momencie gdy oświadczył swej żonie: „ty blad’, ja ciebia na skwós wizu”). Ale to, że zajmujemy w tej dziedzinie miejsce przedostatnie nie jest konstatacją pocieszającą.

Kompleks dumy wyrastający na Minderwertigkeitskomplexach byłby sam w sobie zjawiskiem śmiesznym i nieszkodliwym, gdyby nie fakt, że rzutuje on na lekceważąco-niechętne traktowanie sąsiedzkich narodów. Ta niezdolna nonszalancja w traktowaniu innych, przy służalczości świadczonej równocześnie, Amerykanom przede wszystkim, ale także i Niemcom (oczywiście federalnym) prowadzi do gorzkich refleksji: czyżby tak daleko poszło przeistaczanie się psychiki Kowalskiego, że w niczym zdaje się nie przypominać swych praszczurów, co to słynęli z „politycznego więcia” (to znaczy uprzejmości, gładkości towarzyskiej). Czy naród dzisiejszych Kowalskich byłby jeszcze w stanie działać asymilująco na innych, nie-Kowalskich? Zaznaczyłem już powyżej: osmotyczna siła asymilacyjna (której tak bardzo do dziś lękają się Litwini) działała nie tylko wówczas, gdy Polska była europejską potęgą, ale także wówczas gdy w ogóle zniknęła z map kontynentu. A dziś? Kiedy istnieje na nich połowicznie? Dziś możemy tylko obserwować stały odpływ tego wspaniałego elementu, jakim byli ślascy czy mazurscy Polacy.

Naszej historii nie musimy się, mimo wszystko, wstydzić. Więcej: odrobina dumy jest w wielu wypadkach uzasadniona. Wystarczy wspomnieć ów model kultury otwartej, tolerancyjnej i pacyfistycznej, który zrodził się w wieku XVI, a później — pomimo wszelkich negatywnych zjawisk — długo jeszcze trwał, zdobywając się na wielkie drugie apogeum już po rozbiorach. I dlatego niepotrzebne, wręcz szkodliwe są fałszerstwa, a nawet retusze. Nie zamierzam omawiać tu fałszerstw dokonywanych pod dyktando PZPR — znane są powszechnie. Ale może warto zwrócić uwagę na pewne manipulowanie historią także w ośrodkach nauki związanej z kręgami kościelnymi. Dawniej w środowiskach tych historię Polski po prostu wielokrotnie hagiografizowano, obecnie przybył nowy element — „dziecięca choroba postępowości”. Kościół zawsze był postępowy, zawsze walczył o swobody, zawsze stawał w obronie uciskionych, zawsze popierał naukę...! Czy rzeczywiście? Śmiem wątpić, chociaż przy wszystkich swych grzechach i zaniedbaniach jedną cechą narodową piełgnował zawsze, a nieraz ofiarnie — patriotyzm. Tylko że należy pamiętać o tym, że patriotyzm niekoniecznie musi iść

w parze z umiłowaniem swobód, wolności (dla obcych) i równości.

Nie chcę przytaczać tu listy narodowych cnót. Robili to i robią za mnie inni. Wyczerpująco. Pragnąłbym się jedynie zatrzymać na jednym, bodaj czy nie najważniejszym zjawisku, bowiem wyrasta ono lub z kolei rodzi inne pozytywne właściwości Polaków dawnych i współczesnych. Jest to wspomniana już cecha otwartości: otwartości ku światu zewnętrznemu, ku ludziom mówiącym różnymi językami i wierzącym w innych bogów. Ta otwartość zrodziła się z głębokiego poczucia wolności, która należy się każdemu mieszkańcowi naszego świata. I dlatego kompleksy sąsiedzkie, o których pisałem, wszelkie urazy, fobie, fałszywe wstydy i jeszcze fałszywsze dumy stają w poprzek właściwemu funkcjonowaniu „zmysłu otwartości”. A największym jego wrogiem jest wszelka forma stabilizacji. *Establishment* Rzeczypospolitej sarmackiej zniszczył, rozbiwszy uprzednio od wewnątrz, jej państwowość. Efemeryczne *establishmenty* wieku XIX i XX nie miały okazji dokonania takich spustoszeń, ale niosły w sobie ich zapowiedź. „Lalka” jest o wiele piękniejszą książką niż „Ziemia obiecana”, ale ta druga jest z całą pewnością prawdziwsza. Wokulski wydawał mi się zawsze literackim prekursorem „bohaterów pozytywnych” powieści „produkcyjnych” epoki socrealizmu. Tylko że oni w rzeczywistości nie kończyli tajemniczo i wzniosłe, tylko uzyskawszy to, co jest w PRL dostępne: status właścicieli lub co najmniej drobnych akcjonariuszy państwa. To są właśnie „oni”, a więc ci, których szare masy nienawidzą, cierpliwie nosząc ich na swych ramionach i karkach.

Kontrola społeczeństwa nad każdą, małą czy wielką stabilizacją jest warunkiem *sine qua non* właściwego funkcjonowania państwa. Tę kontrolę odrzucono u nas od samego początku, bowiem w zderzeniu z nią PRL-owski *establishment* nie przetrwałby dnia ani godziny. Ale Polacy są przekorni, a poza tym nie chcą rezygnować z własnej otwartości w świecie, w którym jej coraz mniej, pomimo pozorów zatarcia granic i odległości. I-sza Rzeczypospolita upadła, bowiem warstwa rządząca przyjęła za zasadę funkcjonowanie modelu idealnego, a więc nie potrzebującego kontroli. Głosy rozsądku, trwogi, rozpaczły stawały się od schyłku XVI wieku coraz radsze, coraz cichsze. Kaznodzieje grzmieli przeciwko grzechom jednostkowym, nie zbiorowym. Politycy uprawiali kwiecistą retorykę. Społeczeństwo, głuche na ostrzeżenia, konsumowało to, co przynosiły mu urodzajne obszary upraw, a zarazem konsumowało samo siebie, tracąc wszelkie siły witalne.

Nie wierzę, by historia mogła być nauczycielką życia w spo-

sób najprostszy: poprzez powtarzanie cykliów, poprzez replikowanie sytuacji. Powtarzalne, a właściwie w logicznej konsekwencji identyczne mogą być tylko ciągi postaw i dyspozycji. *Establishment* I-szej Rzeczypospolitej był owocem powszechnej nań zgody, a *establishment* PRL jest owocem zatrutym, narzuconym siłą. Ale skutki mogą być te same, jeśli dojdzie do akceptacji tego układu przez tylekroć wspomnianego tu Kowalskiego. „Oni” nie są poważną groźbą dlatego, że nie ma jeszcze ścisłych granic pomiędzy „nimi” i resztą narodu. Na oligarchię trzeba zawsze odczekać dwa — trzy pokolenia, i jest ona w znacznej mierze faktem w Związku Sowieckim. U nas jest to proces początkowy i dobrze, że natrafia na tak silny opór w środowiskach intelektualnych, w tych nerwach społeczeństwa, reagujących na każde schorzenie. Także na martwicę. A ta staje się zawsze częścią składową społeczeństw, zwłaszcza wówczas, gdy następuje kryzys ideologii, na której się ono chce lub musi opierać.

Tymoteusz KLEMPSKI

Andrzej ALBERT

WSCHODNIE GRANICE POLSKI

Istnieje paląca potrzeba wnikliwych badań i opracowań dotyczących skomplikowanego i drażliwego problemu stosunków między Polakami oraz naszymi najbliższymi sąsiadami na wschodzie: narodami litewskim, białoruskim i ukraińskim. W niniejszym studium autor zajmuje się głównie sprawą granicy wschodniej Polski, za którą rozpościerało się dotychczas prawie zawsze państwo zdominowane przez Rosjan, odmawiające swym obywatelom politycznej podmiotowości. Inaczej w Polsce — mimo takich czy innych błędów, państwo polskie nie odmawiało zamieszkującym je narodowościom praw obywatelskich i politycznych.

Żywiół polski, prężny kulturalnie i politycznie, co doceniali zarówno Litwini, Białorusini, jak i Ukraińcy, stanowił dla nich widoczną konkurencję i budził ich obawy przed polską dominacją. O tym powinniśmy pamiętać w Polsce. Jednakże nie Polacy byli główną przeszkodą na drodze do wyodrębnienia państw narodowych w Europie wschodniej, lecz imperializm wielkorosyjski i niemiecki. Wydaje się, iż zrozumienie tego faktu jest coraz powszechniejsze wśród niezależnie myślących Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Gdyby lepsza znajomość dziejów kształtowania się polskiej granicy wschodniej i sprostowanie niektórych nieporozumień wokół tej sprawy przyczyniło się do wzajemnego zrozumienia między narodami wschodnioeuropejskimi — cel swój uznałby autor za spełniony.



Wielkość Rzeczypospolitej w XV - XVI wieku wynikała z rozumnej polityki polskich i litewskich mężów stanu, którzy

na ogromnych obszarach Europy Wschodniej stworzyli potężne państwo wielonarodowe. Rzeczypospolita Obojga Narodów, bo nie była to Polska w dzisiejszym sensie, obejmowała ludy o różnej wierze i mowie oraz o różnym stopniu rozwoju kulturalnego. Zapewniała im swobody obywatelskie i tolerancję religijną rzadko spotykane w ówczesnym świecie. Wolność polityczna przerosła się zresztą z czasem w samowolę szlachty i magnaterii, a skostnienie stosunków społecznych nie pozwalało na awans cywilizacyjny chłopstwa oraz mieszczaństwa. Mimo to magnaci i szlachta polska, litewska czy ruska, jak również pochodzenia napływowego kultywowała własne tradycje, zachowując w tym względzie zupełną dowolność. Jeżeli na cały obszar państwa promieniowała kultura i język polski oraz wiara katolicka, to ich przyjęcie lub odrzucenie było sprawą dobrowolnego uznania. Wybór ten dyktowała często dążność do wspólnoty w ramach całego państwa. Mówienie zatem o narzuconej polonizacji Litwy lub Rusi jest historycznym fałszem — szlachta miała pełen wybór, a chłopstwo żyło i tak własnym życiem.

Niestety, gdy władza królewska słabła, podkopywana kolejnymi przywilejami stanowymi, gospodarka folwarczno-pańszczyźniana przeżywała kryzys, a w siłę rosły potęgi ościenne, Rosja, Prusy i Austria, tendencje odśrodkowe okazały się coraz silniejsze. W wieku XVII-XVIII kultura magnacko-szlachecka była już w dużym stopniu ujednolicona, co wyrażało się powszechnym użyciem języka polskiego, jednak jej poziom pozostawiał wiele do życzenia. Brakowało przede wszystkim poczucia odpowiedzialności za całość państwa. Ożywienie umysłowe i reformy przeprowadzone pod koniec XVIII wieku zwiastowały odrodzenie polityczne i kulturalne, jednak nie zapobiegły katastrofie Rzeczypospolitej. Gwałt rozbiorów, bezprecedensowy w historii Europy, przerwał istnienie państwa, które odżywało i stanowiło szansę powstrzymania rozrostu tyranii w Europie Wschodniej. 4 października 1794 roku Aleksander Suworow zdobył jednak Warszawę, a na mocy traktatów rozbiorowych z 1795 i 1797 roku Rosjanie obsadzili linię Niemna i Bugu.

Despotyczna ideologia caratu przez cały wiek XIX utrzymywała, że społeczeństwo polskie opanowane zostało przez „łaciński” pierwiastek tkwiący w szlachcie i w klerze polskim. Państwowość polską traktowano jak największego wroga Słowiańszczyzny i czynnik rozkładający „duszę słowiańską”, reprezentowaną rzekomo przez chłopstwo. Wykorzystywano przy tym w myśl zasady „dziel i rządź” głębokie przedziały stanowe w społeczeństwie ziem zagarniętych. Rolę przywódczą zaczęła przeje-

mować średnia szlachta z ziem litewskich, czy rusko-ukraińskich, która mówiła po polsku, choć czuła się przede wszystkim związana z miejscem zamieszkania. Jej świadomość uległa zmianie. Na plan pierwszy wysunęła się chęć wyzwolenia od despotyzmu carskiego i reform ustrojowych, a także odrodzenia państwa jako gwarancji ich realizacji. Znalazło to wyraz w hasle wypisanym na pieczęci Naczelnika Kościuszki: „wolność, całość, niepodległość”. Światlejsze umysły podnosiły konieczność równoprawnienia i awansu społeczno-kulturalnego chłopstwa.

Procesom tym przeciwstawił się carat z całą mocą. Zwalczanie polskości szło bowiem w parze z utrzymywaniem lub umacnianiem despotycznych rządów carskich. Dla rządów tych niepodległościowe, ale i demokratyczne dążenia wśród szlachty kresowej były śmiertelną groźbą. Przykłady niszczenia polskości na wschodnich terenach dawnej Rzeczypospolitej można by mnożyć: egzekucje i zsyłki wybitnych działaczy patriotycznych na Syberię, odsuwanie szlachty polskiej od urzędów, przyłączenie Kościoła unickiego do prawosławia, szykany i represje wobec Kościoła katolickiego, zakonów i księży, likwidacja szkolnictwa wyższego i rusyfikacja szkolnictwa elementarnego, ustanowienie poniżającej cenzury, a także wysiedlenia i konfiskaty majątków tysięcy właścicieli polskich. Po 1831 roku rząd carski skonfiskował na przykład majątki: Ogińskich, Przeździeckich, Paców, Sapiehów, Tyszkiewiczów, Sołtanów, Czartoryskich, Białopiotrowiczów, Rzewuskich, Sobańskich, Jełowickich, Marchockich oraz ogromne dobra humańskie Potockich. W 1832 roku na Kaukaz przesiedlono 5 tys. rodzin drobnej szlachty z Podola, a w 1834 roku skonfiskowano dalszych 609 majątków polskich na Wileńszczyźnie. Po Powstaniu Styczniowym skonfiskowano między innymi majątki: Giedroyciów, Rudominów, Zalewskich, Jaroszyńskich, Grocholskich, Radziwiłłów i Platerów, a także setki średnich fortun polsko-litewskiej szlachty¹. Skonfiskowane dobra przejmował rząd carski lub oddawał je zasłużonym w tępieniu polskości czynownikom rosyjskim. Tak powstawały słynne „majoraty”, których warunkiem była niemożność odsprzedaży w ręce polskie.

W rezultacie wywłaszczeń zasięg polskiej własności ziemskiej kurczył się na rzecz własności rosyjskiej. O ile jeszcze w roku 1863 w ośmiu zachodnich guberniach Cesarstwa Rosyjskiego udział własności rosyjskiej nie przekraczał paru procent, to w 1905 roku wahał się między 14 % na Kowieńszczyźnie (własność

1. E. Maliszewski, „Polacy i polskość na Litwie i Rusi”, Warszawa, 1914, str. 15-28.

polska 75 %), 20 % na Wileńszczyźnie (Polacy — 73 %), a 45 % na Wołyniu (własność polska — 48 %) i 63 % w guberni mohylewskiej (majątki polskie — 38 %)². Cokolwiek można by powiedzieć o przestarzałej strukturze własności rolnej i koncentracji ziemi w rękach wielkich właścicieli, stwierdzić należy, że wypieranie żywiołu polskiego z Litwy, Białorusi i Ukrainy oznaczało degradację cywilizacyjną tych ziem. Towarzyszyło mu bowiem ograniczenie ilości i poziomu szkół oraz różnorodnych instytucji kulturalnych. Gdy w 1866 roku Michał Murawjow rozkazał zniszczyć polskie czcionki w drukarniach dla zatarcia „polskiego kolorytu” ziem zaboru rosyjskiego, a książki polskie masowo wycofano z księgarń, bibliotek i czytelni, powstała w tym miejscu kulturalna próżnia.

Wypieranie szlachty i kultury polskiej nie oznaczało bynajmniej awansu społecznego miejscowego chłopstwa. Przeciwnie, rząd carski starannie unikał realnego popierania rodzącego się poczucia odrębności narodowej ludów kresowych.

Litwinów i Żmudzinów starał się carat izolować od wpływów kultury polskiej, głównie przez narzucanie im wzorów prawosławia i przymus druk rosyjską grażdanką. Litewski ruch narodowy, który rozwinął się szczególnie w drugiej połowie XIX wieku, nabierał stopniowo oblicza antypolskiego.

Nie inaczej było na Ukrainie, przy czym grunt pod agitację antypolską był tu podatniejszy, gdyż Ruś Czerwona i Ukraina posiadały tradycje oporu przeciw dworom polonizujących się feudałów ruskich. I tu jednak budzeniu nienawiści wobec polskości nie towarzyszyło poparcie dla rozwoju świadomości narodowej Ukraińców. Na odwrót, przedstawiciele inteligencji ukraińskiej byli represjonowani przez carat za wszelkie próby budzenia świadomości narodowej. W 1847 roku poeta Taras Szewczenko i historyk Mykoła Kostomarow skazani zostali na długoletnie zesłanie za utworzenie organizacji stawiającej sobie za cel ustrój federalny i zniesienie poddaństwa. W 1863 roku carski minister spraw wewnętrznych Piotr Wałujew oświadczył z dumą: „języka ukraińskiego nie ma, nie było i być nie może³”. W 1876 roku ogłoszono ukaz rozszerzający proskrypcję wszystkich druków w języku ukraińskim, który przetrwał następne 30 lat. Stosunkowo lepiej przedstawiała się sytuacja Ukraińców w zaborze austriackim, jednakże rząd cesarski skwapliwie wykorzystywał dla swych

2. W. Studnicki, „Sprawa polska”, Poznań, 1910, str. 485.

3. *Tamże*, str. 492.

celów różnice społeczne w Galicji i budził wzajemną wrogość między Polakami i Ukraińcami.

Świadomość narodowa Białorusinów była w drugiej połowie XIX wieku dopiero w stadium początkowym. Krzyżowały się tu wpływy polskie i rosyjskie. Język używany w różnych rejonach Białorusi wykazywał duże zróżnicowanie zależnie od nawastwiających się wpływów i składał się z wielu odmiennych gwar lokalnych. Przez długie dziesięciolecia aż do 1905 roku obowiązywał tu zakaz druku w dialektach białoruskich, które jednocześnie rząd i cenzura carska uważały niezbyt konsekwentnie za odmianę języka rosyjskiego.

Nieco inaczej kształtowała się sytuacja ludności żydowskiej, której napływ na wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej wzmógł się w drugiej połowie XIX wieku po serii pogromów i akcji antysemickich zorganizowanych przy poparciu rządu rosyjskiego oraz po przymusowym osiedlaniu Żydów w strefie zachodnich guberni Imperium. Proces ten zaostriżył antagonizmy kresowe. Nowoprzybyli Żydzi używali najczęściej języka rosyjskiego i traktowani byli przez miejscowych jak obcy. Z drugiej strony perfidna antypolska propaganda zawarta w podręcznikach szkolnych, prasie, wielu publikacjach, a nawet literaturze rosyjskiej (Dostojewski), jak również przeżyte w głębi Rosji szykany i upokorzenia — wszystko to budziło w Żydach nieufność wobec Polaków i tendencje nacjonalistyczne.

Prawa wyjątkowe stosowane wobec najsilniejszych ekonomicznie pierwiastków ziem Litwy, Białorusi i Ukrainy — Polaków i Żydów — skutecznie hamowały rozwój gospodarczy i postęp społeczny tych ziem. Dla rozbudowy sił wytwórczych na terenie zachodnich guberni Cesarstwa rząd rosyjski nie robił nic. Zaniechanie gospodarcze tego kraju sprawiało, że zamiast stać się, ze względu na rzadkość zaludnienia, terenem osadnictwa, sam dawał emigrację.

W tych warunkach zasięg etniczny żywiołu polskiego ulegał postępującemu od wschodu ograniczaniu. Jednocześnie rodziła się świadomość narodowa Litwinów i Ukraińców, a nieco później także Białorusinów. Narody te pokonywały stopniowo bariery tworzone przez carat, lecz ulegały jego polityce siania antagonizmów między poszczególnymi grupami narodowymi. Szczególną rolę odgrywała również polityka Niemiec, które przedstawiały Polaków jako odwiecznych gnębieli Litwinów i Ukraińców, a siebie — jako naturalnych sprzymierzeńców mniejszych narodów uciskanych przez carat. Podobną taktykę skłócania Polaków i Ukraińców prowadził rząd austriacki w Galicji. Dlatego też

narodowy ruch litewski i ukraiński, dążący do utworzenia niepodległych państw, kierował się przeciw polskości, upatrując w niej swego głównego rywala.

Dokładne zobrazowanie zasięgu polskości na wschodzie w przededniu pierwszej wojny światowej jest niezmiernie trudne z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, w wielu rejonach Białorusi granica między żywiołem polskim i białoruskim była właściwie niezauważalna. Większość społeczeństwa tego rejonu nie poczuwała się do polskości, utożsamianej z dworem, jednak nie czuła także białoruskiej odrębności narodowej. Stąd też *gros* ludności Białorusi wypada określić tak, jak określali się sami, to znaczy jako „tutejszych”. Po drugie, dane statystyczne publikowane przez władze rosyjskie były nagminnie fałszowane na niekorzyść Polaków. Dla przykładu: spis z 1897 roku wykazał w całej guberni grodzieńskiej 1.273 Polaków, podczas gdy w 1906 roku petycję o wprowadzenie języka polskiego do szkół podpisało tu 15 tys. osób. Urzędnicy carscy na tyle bezczelnie przerabiali Polaków na Białorusinów, że faktyczna liczba Polaków w tej guberni szacowana była na co najmniej 306 tys. osób.

Wydaje się, że dość dokładnie odtworzył rzeczywisty stan rzeczy Włodzimierz Waker, który zaznaczył jednak w swym gruntownym dziele na ten temat, że publikowane obliczenia są raczej zaniżone niż zawyżone. Według tych danych w 1910 roku Łotwę zamieszkiwało 115 tys. Polaków (6 % — co skądinąd wygląda na liczbę zaniżoną), Kowieńszczyznę, a więc rejon Poniewieża, Kiejdan, Kowna i Szawli, wstawiony działaniami powstańczymi 1831 i 1863 roku — ok. 145 tys. Polaków (8 %), Wileńszczyznę i wschodnią część Grodzieńszczyzny — 730 tys. (47 %), Mińszczyznę — 410 tys. (33 %), pozostałą część Białorusi — 280 tys. (5 %), Wołyń — 665 tys. (11 %), Galicję Południowo-Wschodnią — 530 tys. (29 %), Galicję Północno-Wschodnią — 770 tys. (38 %), Podkarpacie — 200 tys. (14 %), Ukrainę od Kamieńca Podolskiego po Kijów — 100 tys. (2 %), zaś Bukowinę z Czerniowcami — 40 tys. (5 %). Ogółem więc na wschód od linii Niemen - Bug - San mieszkało wówczas ok. 4 mln. Polaków⁴.

Mimo cofnięcia się żywiołu polskiego na tym terenie odgrywali tu Polacy nadal ogromną rolę gospodarczą i kulturalną. Przejawiała się ona nie tylko w posiadaniu ogromnych majątków ziemskich w rodzaju ordynacji Radziwiłłów w Nieświeżu, Ołyce

4. W. Wakar, „Rozwój terytorialny narodowości polskiej”, cz. III, Kielce, 1917, str. 132-133.

i Dawidgródka lub dóbr Sapiehów, Broel-Platerów i innych. W wielu rejonach ziem wschodnich byłej Rzeczypospolitej Polacy stanowili podstawową część średniej i drobnej szlachty, a nawet ludu wiejskiego. Tak było na przykład w powiecie wileńskim, trockim, święciańskim, kowieńskim, lidzkim, a także na Podolu. Niewątpliwie polski charakter miały dwa największe miasta tego obszaru: Lwów i Wilno, gdzie Polacy stanowili bezwzględną większość ludności. Na przykład w 1909 roku w Wilnie mieszkało ok. 93 tys. Polaków (5 %), ludność żydowska stanowiła ok. 40 %, zaś Litwini — zaledwie 2 %. Dla porównania w Warszawie mieszkało w 1912 roku 55,8 % Polaków i 37,6 % Żydów⁵. Wilno było więc miastem o strukturze narodowościowej podobnej do Warszawy.



Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, nic nie wskazywało na rychłe odrodzenie niepodległej Polski. Przez pierwsze dwa lata wojny sprawa polska pozostawała wewnętrzną kwestią wszystkich zaborców. Niemniej w poufnych rozmowach z przedstawicielami Francji i Anglii rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Sazonow przedstawił projektowane zmiany terytorialne i przesunięcie granic w Europie. Miały one objąć także ziemie polskie. W przypadku zwycięstwa nad mocarstwami centralnymi Rosja żądała ni mniej ni więcej tylko oparcia swej granicy zachodniej na linii Odry. Dla uspokojenia swych sojuszników zachodnich Sazonow wyjaśnił, że stworzy się ponownie Królestwo Polskie w unii z Rosją, które obejmie ziemie Polski centralnej, Galicję Zachodnią, Górny i Dolny Śląsk oraz Pomorze Zachodnie, ale bez Warmii i Mazur, Białegostoku, Brześcia i Przemyśla. Całe Prusy Wschodnie z ujściem Niemna miały być inkorporowane bezpośrednio przez Rosję. Projekt ten, nie przewidujący przesiedleń ludności, był iście szatańskim pomysłem pchnięcia Polaków w codzienną walkę z żywiołem niemieckim, przeważającym wówczas na kresach zachodnich nad środkową oraz dolną Odrą, a także zupełnego uzależnienia całości polskich interesów od woli Rosji, która byłaby jedynym gwarantem polskiego „posiadania” ziem zachodnich. O ile projekt ten nadawał się z punktu widzenia Rosji do rozmów z sojusznikami zachod-

5. E. Maliszewski, *op. cit.*, str. 12.

nimi, o tyle Polakom go naturalnie nie przedstawiono. Mieli oni być i tak przedmiotem panowania Rosji⁶.

Sprawą polską zajął się rząd carski dopiero po ogłoszeniu Aktu 5 listopada. 25 grudnia 1916 roku niedbałą licytację o względy Polaków podjął car Mikołaj II, stwierdzając w rozkazie noworocznym, że jednym z celów wojny będzie dla Rosji „stworzenie Polski wolnej, złożonej z wszystkich trzech części, dotąd rozdzielonych⁷”. Było to publiczne ogłoszenie koncepcji wysuwanej przez Sazonowa w zaciszu gabinetów już w 1914 roku. Rozkaz cara przeszedł szybko do historii, bowiem abdykował on w wyniku rewolucji 6 marca 1917 roku, a władzę w Rosji przejął Rząd Tymczasowy i Rady Delegatów. Rząd Tymczasowy ponowił dwuznaczną ofertę wobec Polaków, zapowiadając „stworzenie niepodległego państwa polskiego utworzonego ze wszystkich ziem zamieszkałych przez większość polską” oraz „połączonego z Rosją wolnym sojuszem wojskowym⁸”. Rosyjskie obietnice brzmiały dość mgliście. Zauważył to Lenin: „napisali, że Polska powinna znajdować się w wolnym sojuszu wojskowym z Rosją. Właśnie w tych trzech słowach zawarta jest prawda. Wolny sojusz małej Polski z ogromną Rosją jest w rzeczywistości całkowitym militarnym ujarzmieniem Polski⁹. Czyż trzeba lepszego komentarza? Czyż słowa te nie są, podobnie jak projekt Sazonowa, aktualne i dziś?

O ile Rosjanie grali kartą polską dość swobodnie i mało zobowiązująco, Polacy wypracowali konkretny program terytorialny. Zachęcony orędziami prezydenta USA Woodrow Wilsona i premiera brytyjskiego Davida Lloyd George'a oraz oczekując wyraźniejszej reakcji rosyjskiej, Roman Dmowski złożył na ręce przedstawicieli Ententy w marcu 1917 roku memoriał żądający stworzenia niepodległej Polski z ziem zaboru austriackiego, pruskiego — z Gdańskiem, Śląskiem Opolskim i częścią Mazur oraz zaboru rosyjskiego z guberniami: kowieńską, wileńską, grodzieńską, wołyńską i częścią mińskiej. Był to program daleko idący, ale nie obejmujący wszystkich ziem Rzeczypospolitej z 1772 roku.

7 listopada 1917 roku w Piotrogradzie dokonano rewolucji, która obaliła Rząd Tymczasowy. Stanowisko nowej władzy so-

6. K. Rozen-Zawadzki, *Karta budzącej Jewropy. Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej*, 1972, t. VIII, str. 141-144.

7. S. Hilasiewicz, *La question polonaise pendant la guerre mondiale*, Paris, 1910, str. 81-84.

8. Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich (DMPR), t. I, nr 13.

9. W. I. Lenin, „Dzieła”, t. 24. Warszawa, 1952, str. 261-262.

wiekiej w sprawie polskiej było początkowo niejasne. Deklaracja Praw Narodów Rosji z 15 listopada 1917 roku, podpisana przez Lenina i Stalina, zapewniała prawo tych narodów „do swobodnego samookreślenia aż do oderwania się i utworzenia samodzielnego państwa¹⁰”. Dokument ten dawał teoretycznie i Polsce prawo do niepodległości, ale deklaracja pozostawała martwą literą wobec faktu, że celem władzy sowieckiej, podkreślanym wielokrotnie przez Lenina i towarzyszy, była rewolucja ogólnoeuropejska, wobec której granice państwowe traciły rzekomo sens. Sam Stalin uważał Polaków za naród „zapóźniony” i kwestionował ich prawo do niepodległości¹¹. Gdy rozpoczęły się rokowania w Brześciu, mające określić warunki pokoju między państwami centralnymi i bolszewikami, sprawy polskiej w ogóle nie poruszono, a przeciw udziałowi w rozmowach delegata Rady Regencyjnej zaprotestował Lew Trockij.

Nie mając dość sił na kontynuowanie wojny Rosja Sowiecka zdecydowała się przyjąć warunki państw centralnych i podpisała w dniu 3 marca 1918 roku pokój w Brześciu, uznając niemiecko-austriackie panowanie na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Pokój ten oznaczał odepchnięcie Rosji na wschód na pozycje zajmowane w połowie XVII wieku. Okupowane przez Niemcy Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Kongresówka i Białoruś wejść miały jako mniej lub bardziej samodzielne twory państwowe w orbitę wpływów niemieckich, zaś Ukraina od Wierpra do Donu stać się miała satelitą Austro-Węgier. Była to niewątpliwie klęska polskich nadziei niepodległościowych. Za opublikowanie szczegółów traktatu zapłacili zresztą życiem z rąk CzK, bolszewickiej policji politycznej, bracia Józef i Marian Lutosławscy. Rząd bolszewicki nie traktował jednak swej zgody na rozwiązanie brzeskie jako bezwzględnie wiążącej. 29 sierpnia 1918 roku wydano dekret o anulowaniu traktatów rozbiorowych zawartych przez carat z Prusami i Austrią¹². Akt ten, który nastąpił na żądanie Niemiec, chcących wymóc na Rosji Sowieckiej wyrzeczenie się ziem polskich przed traktatem pokojowym z państwami Ententy, był o tyle bez znaczenia, iż Rosja Sowiecka nie miała wówczas w ogóle kontroli nad ziemiami polskimi.

Wreszcie, po załamaniu się państw centralnych i podpisaniu rozejmu w Compiègne, rząd sowiecki wymówił traktat brzeski.

10. „W XXXV Rocznicę Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej”, Warszawa, 1952, str. 31-32.

11. „Problem narodowościowy w Rosji Sowieckiej”, *Przegląd Współczesny*, 1923, nr. 17, str. 375-395.

12. DMPR, t. I, nr 250.

Nie mając już rąk skrzepowanych żadnymi konkretnymi obietnicami granicznymi, Lenin przystąpił do akcji. Zbierane gorączkowo oddziały Armii Czerwonej ruszyły na zachód, by rozlać rewolucję na całą Europę. Rewolucyjna atmosfera panowała już w Berlinie, Hamburgu, Bremie, Kilonii, Wiedniu i innych miastach niemieckich i austriackich. Drogę do Europy przegradzały Armii Czerwonej ziemie polskie. Fala społecznego wrzenia w Polsce centralnej ustępowała jednak fali entuzjazmu z powodu odzyskania niepodległości. Tej niepodległości chcieli Polacy bronić.



Sytuacja na Litwie, Białorusi i Ukrainie pod koniec 1918 roku była niezwykle skomplikowana. Przy poparciu okupacyjnych wojsk niemieckich i austriackich powstały tam rządy narodowe. W marcu 1918 roku w Mińsku proklamowano Białoruską Republikę Ludową, zaś we wrześniu zebrała się pod protektorem niemieckim litewska Taryba, która ogłosiła powstanie niepodległej Litwy. W lutym tegoż roku działacze „Zetu” i przedstawiciele społeczeństwa polskiego tych ziem założyli Straż Kresową, która po powstaniu państwa polskiego w listopadzie uzyskała pomoc finansową i rozpoczęła działalność propagandową na rzecz polskości wschodnich terenów dawnej Rzeczypospolitej. Ponadto społeczność polska zorganizowała tu Komitet Obrony Kresów i Samoobronę Litwy i Białorusi, którą dowodził gen. Władysław Wejtko. Organizacje te miały głównie na celu utrzymanie spokoju i zapobieżenie ekscesom rewolucyjnym.

Na Ukrainie trwały walki polsko-ukraińskie, zapoczątkowane prawie miesięcznym oblężeniem Lwowa przez Ukraińców. Do rozlewu krwi przyczynili się Austriacy, którzy ustępując potajemnie oddali miasto tymczasowemu rządowi ukraińskiemu, nie mającemu poparcia większości lwowskiej społeczności. Na przełomie grudnia i stycznia 1919 roku, po obsadzeniu Lwowa przez oddziały polskich ochotników, młodzieży i kobiet, ciężkie walki trwały koło Rawy Ruskiej i Chyrowa, a więc w rejonie, gdzie większość społeczeństwa stanowili Ukraińcy. Ukraiński ruch narodowy był jednak podzielony. Istniały w nim lokalne grupy partyzanckie, jak na przykład atamana Nestora Machno, ugrupowania emigracyjne oraz dwa rządy: Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej i naddnieprzańskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej. W niektórych rejonach wschodniej Ukrainy coraz większe wpływy zdobywali nastawieni antynarodowo bolszewicy.

Chaos, jaki zapanował we Wschodniej Europie po klęsce Niemiec i rewolucji w Rosji spowodował, że kształt granic które miały tu powstać zależał głównie od tego, jaki obszar zdołają obsadzić siły zbrojne poszczególnych stron. Przemieszczenie ludności polskiej, litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej sprawiło, iż ambicje niepodległościowe narodów zamieszkujących wschodnie kresy dawnej Rzeczypospolitej prowadziły do konfliktów tym dramatyczniejszych, że od wschodu niepodległości wszystkich tych narodów zagrażały siły rewolucji rosyjskiej, zmierzające do ponownego opanowania ziem kontrolowanych przez carat przed 1914 rokiem, a nawet wzniesienia rewolucji ogólnoeuropejskiej.

15 grudnia 1918 roku ofensywa bolszewicka wyparła z Wilna Litwinów. Powstała tu Rada Delegatów Robotniczych. 1 stycznia 1919 roku bolszewicy zainstalowali w Mińsku władzę Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Po parodniowym opanowaniu Wilna przez polską Samoobronę, 6 stycznia do miasta powrócili bolszewicy, by ustanowić tu Litewską Radę Komisarzy Ludowych z Vincasem Mickieviciusem-Kapsukasem na czele. W lutym władze bolszewickie w Wilnie i w Mińsku połączyły się, tworząc Litewsko-Białorską SSR. Rósł terror bolszewicki, oparty na zasadzie bezwzględnej zemsty klasowej na wszystkich siłach społecznych reprezentujących pewien poziom kulturalny. Gdziekolwiek pojawiali się komisarze bolszewicy, rozpoczynało się wydawanie tysięcy dekretów regulujących wszystkie aspekty życia, okrutne ich egzekwowanie przez żądnych łupu krasnoarmiejców i czekistów, grabież, niszczenie życia i dorobku materialnego i duchowego pokoleń. Ofiarą komisarzy bolszewickich i CzK padali w pierwszym rządzie ziemianie, inteligencja i działacze niepodległościowi, w tym głównie Polacy. Na przykład jeszcze w przeddzień odbicia Mińska przez Wojsko Polskie bolszewicy zamordowali Komendanta Naczelnego POW na ten rejon Mateusza Stefánowskiego i jego współpracowniczkę Jadwigę Tejszerską.

Władzę bolszewicką na Litwie i Białorusi organizowali nie tylko Rosjanie, ale także Żydzi, Litwini, Białorusini i Polacy. Komisarzem sprawiedliwości Litewsko-Białoruskiej SSR był na przykład Mieczysław Kozłowski, a przewodniczącym tzw. Wydziałów Specjalnych Wacław Bogucki. Ważną rolę w kompartii Litwy i Białorusi odgrywali Kazimierz Cichowski i Stanisław Pestkowski, a w partii rosyjskiej Julian Marchlewski i Feliks Dzierżyński. Byli to ludzie nierzadko inteligentni, lecz fanatyczni i opanowani nienawiścią oraz żądzą władzy. Komunistyczną chorobę sumienia i umysłu dobrze charakteryzuje stanowisko polskich bolszewików w kwestii niepodległości Białorusi: „my, komuniści

polscy, którzyśmy od szeregu lat prowadzili walkę z hasłami niepodległości państwowej (...) patrzymy krytycznie na potrzebę dodawania tego przymiotnika do Sowieckiej Republiki Białoruskiej (...). Hasło niepodległości jest anachronizmem drobnomieszczańskiego socjapatriotyzmu (...) Narodowość białoruska jest pojęciem społecznie i kulturalnie nieokreślonym (...) Po co więc stwarzać fikcję? (...) Inna rzecz bowiem — potrzeba zaakcentowania całkowitej wolności proletariatu Litwy, Łotwy i Białorusi (...), a inna całkiem rzecz — ogłoszenie niepodległości Białorusi przez zjazd komunistów tego kraju. Nie przeszkadza to wcale komunistom łotewskim wypowiadać się przeciwko niepodległości Łotwy¹³”. Niewątpliwie rękami ludzi o podobnej mentalności można było siać zamęt w mało wyrobionym politycznie ludzie kresowym i robić rewolucję w interesie imperialnym nowej, czerwonej Rosji.

Wśród polityków polskich cieszących się zaufaniem i poparciem narodu nie było jednolitego programu wschodniego. Ścierały się dwie koncepcje. Pierwsza, reprezentowana przez Narodową Demokrację, polegała na pełnej inkorporacji do Polski ziem o względnej choćby przewadze żywiołu polskiego i stworzeniu państwa narodowego, sąsiadującego na wschodzie z Rosją. Druga, wysuwana przez Piłsudskiego i lewicę sejmową, a popierana także przez Paderewskiego, przewidywała szeroką federację autonomicznych tworów terytorialnych: Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy w obrębie jednego państwa wielonarodowego oraz nawiązywała do historycznego kształtu Rzeczypospolitej łączącej Koronę z Wielkim Xięstwem Litewskim. Tak właśnie, „Do mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego”, zatytułował Piłsudski swój manifest po wkroczeniu do Wilna w kwietniu 1919 roku. Nowym elementem w planowanej federacji miała się stać Ukraina jako potężny i równouprawniony partner. Federacja mogła przekształcić się w czynnik stabilizujący Europę Wschodnią i zabezpieczający przed destrukcyjnym wpływem imperializmu i despotyzmu rosyjskiego.

Wczesnym latem 1919 roku pozycja militarna Polski na wschodzie uległa wzmocnieniu. W stosunkach z naddnieprzańską URL nastąpił wyraźny zwrot. Oddziały jej, dowodzone przez atamana Symona Petlurę, było stopniowo wypierane przez siły bolszewickie. 1 września 1919 roku zawarto polsko-ukraińską umowę o współdziałaniu przeciw Armii Czerwonej. Wobec agre-

13. *Młot* z 4. 1. 1919. Cyt. wg: A. Słisz, „Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji 1915-1919”. Warszawa, 1918. str. 489.

sji bolszewickiej Piłsudski i Petlura dostrzegli wspólny interes. Cenę umowy dla Petlury stanowiła jego zgoda na polsko-ukraińską linię demarkacyjną na Zbruczu. Zantagonizowało to jednak przeciw niemu Ukraińców z Galicji Wschodniej.

Tymczasem mocarstwa Ententy próbowały realizować swe bieżące interesy wobec Europy wschodniej, a Polska, czerpiąca swe międzynarodowe uznanie z ich siły i zwycięstwa, musiała się z tym liczyć. Podczas konferencji pokojowej w Paryżu państwa zwycięskie podjęły także sprawę wschodnich granic Polski, choć nie dotyczyła ona pokoju z Niemcami. Rada Najwyższa i specjalna Komisja do Spraw Polskich pod przewodnictwem Jules Cambona sprzeciwiły się akcji polskiej na wschodzie. Stanowisko mocarstw zachodnich w tej kwestii było sprzeczne w założeniach. Z jednej strony chętnie widziały one udział Polski w walce z bolszewikami, z drugiej — próbowały także wspierać sprawę ukraińską, a wszystko to miało głównie na celu restaurację białej Rosji, dawnej sojuszniczki i dłużniczki Ententy. Długi rosyjskie, sięgające 50 mld. rubli w złocie, zostały anulowane przez władze bolszewickie, co było głównym powodem interwencji. Gdy wojska naddnieprzańskie URL zostały zepchnięte przez bolszewików na zachód, mocarstwa zachodnie zgodziły się na zajęcie Galicji Wschodniej przez Polskę, by zagrozić Armii Czerwonej drogę na Węgry, gdzie właśnie władzę zdobyli komuniści i socjaldemokraci zjednoczeni w Węgierskiej Republice Rad. W końcu listopada 1919 roku Polska uzyskała mandat Ligi Narodów na zarządzanie Galicją Wschodnią przez 25 lat.

Kiedy podczas ofensywy Denikina sytuacja w Rosji zaczęła się przechylać na stronę interwencji, Rada Najwyższa podjęła drugą, sprzeczną z poprzednią decyzję, komplikującą politykę polską. W myśl tej deklaracji państw Ententy Polska mogła organizować administrację na zachód od linii nazwanej później od nazwiska brytyjskiego ministra spraw zagranicznych linią Curzona. Zaczynała się ona od granicy Galicji i biegła wzdłuż Bugu, odchodząc od tej rzeki na wysokości Niemirowa, dalej biegnąc niemal prosto do Niemna pod Grodnem, odchodząc od Niemna przy ujściu Czarnej Hańczy; dalej aż do jeziora Wisztynieckiego pokrywała się z obecną granicą PRL. Jednocześnie jednak podkreślano wyraźnie, iż linia ta ma charakter tymczasowy i nie przesądza późniejszych porozumień mających na celu ostateczne ustalenie wschodniej granicy Polski.

Pod koniec 1919 roku front polsko-sowiecki opierał się na linii Berezyna - Horyń - Zbrucz. Gdy Armia Czerwona rozbiła wojska Petlury, znalazł się on na terenie Polski, a przewodni-

czący Ukraińskiej Rady Narodowej Jewhen Petruszewycz — w Wiedniu. Współpracując nadal z Polską, powołał Petlura rząd narodowy w Chmielniku i odbudował antybolszewicką partyzantkę gen. Omelianowicz-Pawlenki. Współpracy tej odmówił natomiast Petruszewycz i inni politycy ukraińscy o orientacji narodowej. Niepowodzeniem skończyły się próby Piłsudskiego stworzenia sojuszu z pozostałymi narodami wschodnioeuropejskimi. Nie mogąc znaleźć zwolenników dla idei federacji w ruchu białoruskim, musiał poprzestać na formowaniu drobnych oddziałów pod komendą gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza. Podczas konferencji w Helsinkach w dniach 15-22 stycznia 1920 roku, z udziałem delegacji Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i Polski, nie udało się stronie polskiej stworzyć wspólnego i jednolitego frontu. Pomimo szerokiej wymiany zdań na temat środków, jakie należało podjąć w walce z Armią Czerwoną dla zabezpieczenia zainteresowanych stron przed imperializmem bolszewickim, na przeszkodzie stanęła delegacja litewska. Twierdziła ona, że dla państwa litewskiego niebezpieczeństwo stanowi nie tylko Rosja, ale także Niemcy oraz Polska. Mimo pojednawczego projektu przeprowadzenia plebiscytu na spornym z Polską terenie Wileńszczyzny, Litwini nie zmienili zdania. Plebiscyt nie był im na rękę, gdyż swe pretensje do okręgu wileńskiego opierali na przesłankach historycznych, a nie etnicznych — ludność litewska na terenie spornym stanowiła mniejszość. Litwini obawiali się dominacji Polski w federacji, nie wierzyli w równouprawnienie członków takiego państwa wielonarodowego i chcieli pełnej suwerenności.

W tej sytuacji sens federacji stanął pod znakiem zapytania. Koncepcję tę mogła Polska realizować jedynie przy udziale części sił ukraińskich. 21 kwietnia 1920 roku doszło w Warszawie do podpisania umowy polsko-ukraińskiej, w której rząd polski uznał niepodległość Ukrainy, Dyktoriał URL z Symonem Petlurą na czele za rząd tego państwa oraz prawo Ukrainy do ziem na wschód od dawnej granicy między zaborem austriackim a rosyjskim na Zbruczu sprzed 1914 roku. Sprawę agrarną na tym obszarze, gdzie wielka własność ziemska była w dużej części w rękach polskich, rozwiązać miało Zgromadzenie Konstytucyjne niepodległej Ukrainy. Obie strony umiały pokonać uprzedzenia i zawrzeć w obliczu wspólnego zagrożenia daleko idący kompromis. Siła tego porozumienia zależała jednak od obopólnego, powszechnego zrozumienia potrzeby kompromisu, a to okazało się niedostateczne.

Tymczasem na wschód od Berezyny gromadziły się potężne

siły bolszewickie. Armia Czerwona czyniła intensywne przygotowania do nowej ofensywy. Dla zamaskowania tych przygotowań sowiecki komisarz spraw zagranicznych Georgij Cziczerin wystosował do Warszawy notę z propozycjami rokowań. 28 stycznia 1920 roku rząd bolszewicki ostrzegł Polskę przed „bezymyślną i zbrodniczą wojną” z Rosją, zapowiadając, że strona sowiecka nie przekroczy linii Połock - Borysów - Czudnów - Bar. 24 lutego 1920 roku sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych przyjęła w Warszawie projekt oświadczenia polskiego. Stwierdzono w nim, że Polska nie odrzuca rokowań, lecz pragnie zagwarantowania swych granic wschodnich i usunięcia przyczyn swych krzywd historycznych ze strony Rosji. W tym celu zażądano, by ludność ziem należących przed 1772 rokiem do Rzeczypospolitej mogła się swobodnie wypowiedzieć co do swej przynależności państwowej, by jej przedstawiciele wzięli udział w rokowaniach polsko-sowieckich oraz by warunki pokojowe zostały zatwierdzone przez reprezentację „całego narodu rosyjskiego”, a nie tylko przez władze bolszewickie. Oficjalną odpowiedź strony polskiej stanowiła sformułowana w tym duchu nota ministra spraw zagranicznych Stanisława Patka z 27 marca 1920 roku. Proponowano w niej jako miejsce rozmów Borysów na froncie litewsko-białoruskim, gdzie rysowała się przewaga Armii Czerwonej i groźba nowej ofensywy sowieckiej. Nieszczerość intencji sowieckich wyszła na jaw, gdy rząd RSFSR odmówił zgody na Borysów jako miejsce rokowań. W zamian strona sowiecka proponowała któreś z państw neutralnych lub Moskwę albo Warszawę. Jednocześnie rząd bolszewicki wystosował propagandowy apel do ministrów spraw zagranicznych Anglii, Francji, Włoch i USA, a więc przez siebie nienawidzonej Ententy, stwierdzając, że Rosja Sowiecka pragnie się poświęcić pokojowemu rozwojowi i handlowi ze wszystkimi zainteresowanymi państwami; lecz na przeszkodzie stanęła Polska ze swą rzekomo agresywną polityką.

Nie czekając na ofensywę sowiecką Piłsudski podjął 24 kwietnia 1920 roku działania zaczepne na Ukrainie i wspomagany przez wojska Petlury zajął Żytomierz, Bar, a wreszcie 7 maja 1920 roku Kijów. W specjalnej odezwie do mieszkańców Ukrainy Piłsudski i Petlura przedstawili cele wspólnej akcji przeciw Armii Czerwonej, a więc przede wszystkim utworzenie wolnej Ukrainy w sojuszu z Polską. Ze względu na potencjał ludnościowy i gospodarczy Ukrainy sojusz taki musiałby być równoprawny i dobrowolny, albo nie mógłby istnieć wcale. Mimo energicznej propagandy oddźwięk programu Piłsudskiego i Petlury w społeczeństwie ukraińskim był niewielki. Nie wyzwolił on narodowego

entuzjazmu. Masy ukraińskie nie orientowały się lub nie wierzyły w szczerość zamierzeń polskich, a uczucia te podsyciała między innymi wiedeńska Liga dla Odnowienia Ukrainy. Podnosiła ona głównie fakt, iż strona polska zapowiedziała wycofanie swych wojsk po umocnieniu się rządu ukraińskiego, który dałby gwarancję trwałości, a takiej gwarancji żaden rząd dać nie może. Nie da się ukryć, że w warunkach tradycyjnej nieufności Ukraińców wobec Polaków sprawa nie została przez stronę polską postawiona zbyt zręcznie.

W braku powszechnego poparcia rozmach ofensywy polsko-ukraińskiej uległ wyczerpaniu. Plany federacyjne okazały się niemożliwe do zrealizowania. Na przeszkodzie stało negatywne stanowisko rządu litewskiego oraz nieufność i rozbięcie wśród przywódców ukraińskiego ruchu narodowego. Część odpowiedzialności za fiasko idei federacyjnej spoczywa też na działaczach polskich, którzy nie umieli złagodzić oporów i uprzedzeń wzbudzonych przez zaborcę rosyjskiego oraz propagandę niemiecką i austriacką wobec polskości, a często traktowali swych wschodnioeuropejskich partnerów „z góry”. Wielu polityków polskich nie miało zresztą przekonania do koncepcji federacyjnej, co wynikało ze wspólnego dla ruchów narodowych wszystkich społeczności tego rejonu Europy dążenia do pełnej suwerenności państwowej. Uważa się nieraz, że koncepcja ograniczonej suwerenności Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy w ramach federacji była anachronizmem w okresie, gdy młode nacjonalizmy wschodnioeuropejskie chciały pełnej i nieograniczonej niepodległości. Być może jest to prawdą. Ale faktem jest również, że pełnej niepodległości nie zdołał utrzymać żaden z narodów tego regionu w obliczu ekspansji imperializmu niemieckiego i sowieckiego. Może więc w dobrowolnym ograniczeniu aspiracji do całkowitej suwerenności tkwiła szansa obrony przed utratą wszystkiego?



Pod naciskiem na froncie północno-wschodnim Piłsudski zmuszony był wycofać część wojsk z Ukrainy, co ułatwiło bolszewikom przerwanie frontu pod Kijowem. W czerwcu wojska polskie opuściły to miasto, wycofując się na linię rzek Uż i Słucz. 4 lipca 1920 roku runęła na Polskę nowa ofensywa Armii Czerwonej. 11 lipca padł Mińsk, 14 lipca — Wilno, a 1 sierpnia — Brześć i Białystok. Nad Polską zawisła śmiertelna groźba. W lipcu powstał w Tarnopolu Galicyjski Komitet Rewolucyjny (Galrewkom), który nazwał Polskę „szlachecko-burżuazyjną naj-

sroższym wrogiem ludu pracującego Galicji”. 1 sierpnia 1920 r. zainstalowano w Mińsku ponownie władze Białoruskiej SSR.

Już w lipcu z całej Rosji Sowieckiej ściągano na zachód działaczy, którzy mieli coś wspólnego z Polską. Rozwinięto działania Biura Polskiego przy KC RKP(b), założonego jeszcze w maju 1920 roku pod przewodnictwem Juliana Marchlewskiego. Teraz na czele Biura stanął Dzierżyński, kierujący jednocześnie Wszechrosyjską CzK. Członkowie Biura mieli natychmiast ruszyć na zachód, by dotrzeć na ziemie polskie wraz z wkraczającymi tam oddziałami Armii Czerwonej. Żywiąc nadzieję na spontaniczną, rewolucyjną reakcję mas polskich, bolszewicy polscy mieli ustanowić władzę tymczasową aż do powołania w Warszawie rządu rewolucyjnego. O ich orientacji w nastrojach panujących wówczas w społeczeństwie świadczyć może fragment wytycznych Biura Polskiego z tego okresu: „mamy nadzieję, że spotkamy gdzieś koło Białegostoku i Lublina odpowiedzialnych przedstawicieli organizacji partyjnej¹⁴”.

1 sierpnia 1920 roku do Białegostoku przybył Marchlewski, wioząc ze sobą manifest Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski (Polrewkomu), podpisany także przez nieobecnych jeszcze: Dzierżyńskiego, Feliksa Kona, Józefa Unsztichta i Edwarda Próchniaka. W ślad za nim przybyli dalsi wielkorządcy rewolucyjni: Iwan Skworcow-Stiepanow z ramienia RKP(b), a także Dzierżyński, który ściągał Polaków z CzK do „pracy” na zajętych terenach. Pojawili się więc na przykład: Jan Wizner, Stanisław Pilawski, Józef Pruss, Romuald Muklewicz, Adam Kaczorowski-Sławiński, jak również Marceli Nowotko, który został wówczas sekretarzem Rewkomu w Wysokim Mazowieckiem.

Bolszewikom chodziło o władzę, toteż o granicach nie dyskutowano wiele. Kształt Polskiej SSR, jaką wyobrażali sobie bolszewicy, jest dziś dlatego trudny do odtworzenia. Jeszcze 12 lipca 1920 roku rząd sowiecki podpisał układ pokojowy z Litwą, oddając jej Wileńszczyznę w zamian za zgodę na przemarsz Armii Czerwonej. Układ był raczej jednostronny, gdy całą Wileńszczyznę kontrolowała i tak Armia Czerwona, Rewkomy i Rewtrybunały. Raz zajętych terenów nie oddałyby one „burżuazyjnym” władzom Litwy bez użycia siły. Można przypuszczać, że wschodnią granicę Polskiej SSR stanowiły linia Niemna i Bugu, choć niewykluczone, że w razie bolszewizacji Litwy oddano by jej Suwalszczyznę i Augustowskie, zaś Chełmszczyznę przyłączono by

14. W. Najdus, „Lewica polska w Kraju Rad 1918-1920”, Warszawa, 1971, str. 299.

do Ukraińskiej SSR lub Galicyjskiej SSR, której załączkiem był Galrewwom. Jeszcze gorzej wyglądałyby granice Polskiej SSR na zachodzie, gdyż w trosce o rewolucyjne samopoczucie Niemców bolszewicy opowiadali się za przynależnością Górnego Śląska, Gdańska i Pomorza do czerwonych Niemiec. Polska SSR objęłaby zatem prawdopodobnie część ziem Królestwa Polskiego i Galicji Zachodniej z Warszawą i Krakowem oraz być może część Wielkopolski. Naród polski, którego duża część znalazłaby się poza granicami republiki, pozbawiony najbardziej świadomych i wykształconych sił ludzkich, wymordowanych w rewolucyjnym szale, stłoczono by więc na małym skrawku ziem polskich, zagrożonych nieokiełznanym, bo rewolucyjnym ekspansjonizmem niemieckim i rosyjskim.

Gdy Armia Czerwona stała pod Warszawą i Płockiem, rząd sowiecki zgodził się pod naciskiem Anglii podjąć rokowania z Polską. Warunkiem miała być zgoda Polski na linię Curzona jako wschodnią granicę państwa. Inne warunki, przedstawione 17 sierpnia 1920 roku przez delegację sowiecką, obejmowały ograniczenie prawie milionowej armii polskiej do 50 tys., demobilizację pozostałych sił i przekazanie Rosji broni oraz sprzętu wojskowego, a także uznanie eksterytorialności linii kolejowej Wołkowysk - Białystok - Grajewo. Przyjęcie tych warunków oznaczałoby całkowitą kapitulację oraz obezwładnienie wszelkich sił państwa, które natychmiast padłoby ofiarą Polrewkomu lub innej władzy bolszewickiej. W istocie byłoby to pokojowe ustanowienie rządów Rosji w Polsce i ułatwienie jej dalszego pochodu na zachód. Nic więc dziwnego, że Piłsudski i Rada Obrony Państwa zdecydowali się na walkę.

Dzięki słynnemu uderzeniu znad Wieprza wojska polskie zepchnęły armie bolszewickie zagrażające Warszawie nad granicę z Prusami Wschodnimi, a oddziały które zapuściły się aż pod Toruń i Płock zostały całkowicie odcięte. W drugiej fazie ofensywy polskie zwycięstwo w bitwie nad Niemnem oraz wyparcie Armii Czerwonej z Galicji Wschodniej pozwoliło przesunąć linię frontu aż po Działoszyce, Słucz i Bar. Odrzucenie najazdu sowieckiego przez armię polską było faktem historycznym o ogromnej doniosłości. Społeczeństwo polskie, zjednoczone w obliczu zagrożenia, dowiodło, że nie chce i nie potrzebuje rewolucji przyniesionej z zewnątrz na bagnietach rosyjskich. Podejście Armii Czerwonej pod Warszawę było też śmiertelnym zagrożeniem dla całej cywilizacji europejskiej. Sam Lenin mówił: „jeszcze kilka dni zwycięskiej ofensywy Armii Czerwonej, a nie tylko Warszawa

byłaby zdobyta" (...), lecz rozbity byłby pokój wersalski¹⁵. Wojsko polskie stanęło więc na drodze pochodu bolszewickiego na zachód, broniąc nie tylko niepodległości Polski, ale i kultury europejskiej.

Opinia społeczna w Polsce otrząsnęła się z nastrojów przynębienia, jednak do głosu doszły czynniki domagające się zakończenia wojny. Ponownie nawiązano rozmowy pokojowe, zakończone 12 października 1920 roku podpisaniem rozejmu, a po dalszych pięciu miesiącach rozmów traktatem ryskim z 18 marca 1921 roku. W tym traktacie ustalono ostatecznie linię graniczną między Polską a Rosją i Ukrainą Sowiecką wzdłuż linii Dzisna - Dokszyce - Słucz - Korzec - Ostróg - Zbrucz. Polska zrzekła się wszelkich praw i roszczeń do ziem położonych na wschód od tej granicy a Rosja i Ukraina Sowiecka wyrzekły się pretensji do terenów położonych na zachód od tej linii. W ten sposób, wobec niepowodzenia akcji zbrojnej z udziałem wojsk Petlury, rząd polski uznał *de iure* bolszewicki reżym na Ukrainie, rezygnując z idei federacyjnej¹⁶.

Spóźnionym echem dążeń narodowych Białorusinów było powstanie słuckie, skierowane przeciw bolszewikom po podpisaniu rozejmu polsko-sowieckiego na jesieni 1920 roku. Parę tysięcy ochotników przyłączyło się wówczas do oddziałów Bułak-Bałachowicza, lecz po pewnym czasie uległo przeważającym siłom sowieckim.

Jeszcze w trakcie rokowań w Rydze Piłsudski przedsięwziął akcję na Wileńszczyźnie. Wobec faktu, że w myśl traktatu litewsko-sowieckiego Wilno i okolice miały przypaść Litwie, a Litwini nie zgadzali się na plebiscyt, Piłsudski postanowił zapewnić samookreślenie tego rejonu pod kontrolą polską. W tym celu polecił gen. Lucjanowi Żeligowskiemu upozorować bunt podległej mu jednostki przeciw rządowi polskiemu i zająć Wilno. 9 października 1920 roku dywizja Żeligowskiego obsadziła miasto i okolice. Utworzono specjalną Komisję Rządzącą Litwy Środkowej, która zapowiedziała plebiscyt dla ostatecznego uregulowania przynależności państwowej spornego terytorium o powierzchni 37 tys. km² i ludności około 1 miliona. Pod protektorem Ligi Narodów przeprowadzono serię rozmów polsko-litewskich. Litwini odrzucili projekt plebiscytu, na co delegat Ligi Narodów wysunął propozycję stworzenia Litwy złożonej z dwu kantonów, kowieńskie-

15. W. I. Lenin, „O Polsce i polskim ruchu robotniczym”, Warszawa, 1954, str. 500.

16. Dz.U.R.P. 1921, nr 49, poz. 300.

go i wileńskiego, w unii z Polską. Delegacja Litwy odrzuciła ten pomysł, a na podobne rozwiązanie ale bez unii z Polską nie zgodzili się Polacy. Pod koniec 1921 roku gen. Żeligowski przekazał władzę w Litwie Środkowej rządowi cywilnemu Aleksandra Meysztowicza, który 8 stycznia 1922 roku przeprowadził wybory do Sejmu Wileńskiego. Zostały one zbojkotowane przez Litwinów, Białorusinów i Żydów, lecz wzięło w nich udział 64 % uprawnionych, prawie wyłącznie Polaków. 24 lutego tegoż roku Sejm Wileński podjął większością głosów 96 : 6 decyzję o włączeniu Wileńszczyzny do Polski, rezygnując z autonomii tego obszaru. Utworzono na nim dalsze powiaty województwa wileńskiego¹⁷.

Zakończenie wojny polsko-sowieckiej i decyzja swobodnie wybranego Sejmu Wileńskiego zakończyły proces tworzenia wschodniej granicy odrodzonej Polski. Podstawą tej granicy stało się dobrowolne porozumienie Polski oraz Rosji i Ukrainy Sowieckiej, a także wola większości społeczeństwa Wileńszczyzny. W 1923 roku tak ukształtowaną granicę uznały też państwa Ententy.

Traktat ryski był kompromisem. Dla władz bolszewickich, które nie dotrzymywały żadnych umów i wkrótce nazwały traktat porozumieniem „wymuszonym” na Rosji Sowieckiej, dokument ten oznaczał pozorną rezygnację z ziem na południe od Dźwiny i zachód od Zbrucza. Dla Polski było to rozwiązanie połowiczne. Z jednej strony oznaczało ono ostateczną rezygnację z koncepcji federacji narodów wschodnioeuropejskich, tkwiącej korzeniami w idei jagiellońskiej i będącej teoretycznie najlepszą obroną Europy wschodniej przed rosyjską zaborczością i samodzięrzawiem. Z drugiej strony powodowało, że państwo polskie inkorporowało skrawki ziem zamieszkałych w dużej części przez ludność niepolską. Najbardziej fatalne było rozwiązanie ryskie dla Białorusinów i Ukraińców, którzy zostali w sztuczny sposób podzieleni między Polskę i Rosję Sowiecką. Wbrew temu, że sąsiadami wschodnimi Polaków są Litwini, Białorusini i Ukraińcy, za wschodnią granicą rozpościęrało się znowu państwo zdominowane przez Rosjan, w którym narody białoruski i ukraiński miały jedynie formalną autonomię.



Granica polsko-sowiecka w umowny i nienaturalny sposób przecinała splot skomplikowanych stosunków narodowościowych

17. L. Wasilewski, „Litwa i Białoruś”, Warszawa, 1925, str. 227-233.

na ziemiach litewskich, białoruskich i ukraińskich. Ukazują to istniejące statystyki i szacunki ludności tych obszarów. Według spisu z 1931 roku w województwie wileńskim mieszkało 59 % Polaków, poleskim — 14 %, wołyńskim — 17 %, lwowskim — 58 %, stanisławowskim — 22 %, zaś w tarnopolskim — 49 % stanowili Polacy. W niektórych powiatach tych województw istniała wyraźna, bezwzględna większość ludności polskiej; w powiecie wileńsko-trockim — 86 %, oszmieńskim — 80 %, lwowskim — 62 %, skałackim — 64 %, a trembowelskim i podhajeckim — 57 %¹⁸. W wielu powiatach województw wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej bardzo liczącą grupą narodową byli Żydzi, którzy stanowili większość absolutną w takich miastach jak: Baranowicze, Pińsk, Równe, Sarny, Kowel czy Łuck. Ludność białoruska była najliczniejszą grupą narodową w powiecie prużańskim i kosowskim, zaś „tutejsi”, pozbawieni określonej świadomości narodowej — w większości powiatów województwa poleskiego. Najwyższy procent Litwinów notowano w powiecie święciańskim — 24 %. Z kolei Ukraińcy przeważali w prawie całym województwie wołyńskim, z wyjątkiem miast, gdzie dominowali Żydzi, stanisławowskim i niektórych powiatach lwowskiego. Mozaikę narodowościową Galicji komplikowało dodatkowo istnienie na Podkarpaciu grup regionalnych o zwyczajach i dialekcie odrębnym od języka ukraińskiego, jak Bojkowie, Łemkowie i Hucułowie.

Po sowieckiej stronie granicy ryskiej stosunki narodowościowe były równie skomplikowane. Choć w mieszaninie ludności ukraińskiej SSR przeważali Ukraińcy, a w Białoruskiej SSR — Białorusini lub „tutejsi”, to głos decydujący w obu przypadkach mieli od początku Rosjanie i Żydzi, którzy opanowali szkolnictwo i administrację, a także aparat partyjny i policyjny. Gdy w 1924 roku powiększono obszar republiki białoruskiej, procent Białorusinów wśród mieszkańców spadł. Na zjeździe rad który tę decyzję podjął delegatów białoruskich było 45 %, zaś Rosjan 20 % i Żydów 23 %¹⁹. Mimo to w latach dwudziestych sytuacja Białorusinów i Ukraińców w obu republikach była względnie dobra. Miejscowe chłopstwo czuło się nawet usatysfakcjonowane ziemią otrzymaną na mocy „Dekretu o ziemi” w użytkowanie, a hamowania awansu kulturalnego w państwie bolszewickim nie odczuwało zbyt dotkliwie. Najgorsze przyjsć miało dopiero podczas kolektywizacji po roku 1930, gdy reżym sowiec-

18. Mały Rocznik Statystyczny 1937, str. 22.

19. L. Wasilewski, *opt. cit.*, str. 220.

ki przystąpił do rozprawy z „kułakami”, niszcząc naturalne więzy ludności wiejskiej z ziemią oraz mordując i skazując na głodową śmierć miliony chłopów białoruskich i ukraińskich.

W 1921 roku na terenie państwa sowieckiego znajdowało się ok. 2 mln. Polaków, którzy przeżyli piekło rewolucji i wojny domowej. W latach 1921-1924 ok. 700 tys. spośród nich repatriowało się do Polski, zaś ok. 260 tys. pozostało na Mińszczyźnie, 230 tys. — na Homelszczyźnie, 160 tys. — w rejonie Kijowa, 300 tys. — na Podolu, zaś pozostałe 300 tys. rozrzucone było po całym terenie Związku Sowieckiego²⁰.

Los Polaków w ZSSR w latach 20-tych i 30-tych czeka ciągle na swego historyka. Szczególnie ciężkie było położenie ludności polskiej w ZSSR po roku 1928, gdy dziesiątki tysięcy osób zsyłano w potwornych warunkach do Kazachstanu i na Syberię. Rząd stalinowski niszczył nie tylko polskie instytucje kulturalne oraz zdrowie fizyczne i duchowe, ale również życie Polaków. Za rządów Stalina ludność polska wtopiła się w ponury krajobraz społeczny i moralny państwa sowieckiego, ulegając powolnej bolszewizacji. Wielu ze specjalnie spreparowanych ludzi polskiego pochodzenia przybyło w 1944 roku na ziemie polskie, by w mundurach Wojska Polskiego lub szeregach UB organizować tu władzę komunistyczną.

Od samego początku strona sowiecka gwałciła postanowienia pokoju ryskiego. Już w trakcie rokowań z rządem polskim pod koniec 1920 roku Lenin tak określił sens istnienia państwa polskiego: „Pokój wersalski prześcignął wszystkie okrucieństwa, do których zdolny był Kajzer (...) Jednym z powodów, dzięki któremu utrzymuje się ten potworny pokój jest okoliczność, że Polska dzieli Niemcy na dwie części (...) Polaków, kiedy przesładują oni ludność niemiecką, popierają wojska i oficerowie Ententy. Pokój wersalski stworzył z Polski państwo buforowe, które ma odgrodzić Niemcy od zetknięcia się z sowieckim komunizmem²¹”. Cała ideologia Lenina dorabiana była do bieżących potrzeb rewolucji. To więc, co najbardziej uderza w tym oświadczeniu, to nie tyle otwarta propaganda niemieckich interesów w Polsce, ile pogarda i lekceważenie dla polskich aspiracji narodowych.

Rząd sowiecki nie wyrzekł się nigdy ambicji rozszerzenia rewolucyjnych wpływów rosyjskiej centrali na zachód i przyłączenia obszarów państwa polskiego, nazwanych teraz w propagan-

20. L. Wasilewski, „Polacy w ZSRR”, *Droga*, 1925, nr 2, str. 34-43.

21. W. I. Lenin, „O Polsce i polskim ruchu robotniczym”, str. 498.

dzie bolszewickiej Zachodnią Białorusią i Ukrainą, do odpowiednich republik sowieckich. Władze bolszewickie rozwinęły szeroką akcję, wykorzystującą sprzeczności narodowe na polskich Kresach i zmierzającą do oderwania tych terenów od Polski. Awangardą tego ruchu stały się utworzone w 1923 roku autonomiczne sekcje KPRP — kompartia Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy (KPZB i KPZU). W ten sposób niemal nazajutrz po podpisaniu traktatu ryskiego strona sowiecka zlekceważyła postanowienia tej umowy o ostatecznym charakterze granic.

Głównym celem europejskiej polityki ZSSR w okresie międzywojennym było rozszerzenie rewolucji przede wszystkim przez wzniecenie jej w Niemczech. Na drodze do realizacji tego celu stała Polska. Stąd też rząd sowiecki miał się różnych środków dla osłabienia i izolacji Polski. To na użytek agitacji bolszewickiej w Niemczech KPRP, a potem KPP głosiła hasła „samostanowienia” Górnego Śląska, Pomorza i Gdańska, opowiadając się za ich włączeniem do Niemiec. Dla okrażenia Polski władze sowieckie szły na współpracę z socjaldemokratycznymi rządami niemieckimi. Wyrazem tej polityki był układ w Rapallo w kwietniu 1922 roku i układ podpisany w Berlinie w kwietniu 1926 roku, w parę miesięcy po niekorzystnych dla Polski układach locarneńskich. Podczas narastania w Niemczech fali nastrojów rewolucyjnych w 1923 roku Komintern rzucił Polsce wyzwanie: czy chce być „pomostem, czy barierą między Niemcami i Rosją”. W trakcie pertraktacji angielsko-sowieckich w 1924 roku delegat Moskwy Christian Rakowski naszkicował brytyjskim rozmówcom projekt odebrania Polsce ziem wschodnich i włączenia ich do ZSSR.

W latach dwudziestych rząd sowiecki intensywnie wspierał akcje zbrojne we wschodnich województwach Polski. W 1922 roku oddziały Armii Czerwonej zaatakowały północną część województwa wileńskiego, graniczącą z Łotwą. „Ubojowieniu” uległa działalność KPRP i jej agend. W roku 1923 i 1924 różne miasta polskie były widownią zamachów terrorystycznych organizowanych przez komunistów. Z terenu Białoruskiej SSR przenikały do Polski uzbrojone bandy dywersantów i rabusiów w rodzaju osławionego „Muchy”. Inne tego typu grupy, znajdujące oparcie w części ludności białoruskiej i ukraińskiej Kresów, urządziły napady na miasteczka, urzędy i oficjeli polskich. Jednym z najgłośniejszych wydarzeń w 1924 roku stało się opanowanie Stołpców przez grupę dywersantów uzbrojonych w karabiny maszynowe i granaty ręczne. Doszło do krwawej bitwy. W niespełna dwa miesiące później inna banda zaatakowała pociąg z Brześ-

cia do Łinińca i poddała chłóście kilku dygnitarzy polskich²². Marszałek Sejmu R.P. Maciej Rataj notował wówczas: „Nie ulega wątpliwości, iż Sowiety (...) gwałtownie eksportują komunizm do Polski nie dla przebudowy społecznej, lecz dla rozsądzenia państwa i ułatwienia sobie podboju²³”. Propaganda antypolska na Zachodzie inspirowana nie tylko z Berlina ale i z Moskwy zyskiwała słuchaczy, lecz dyplomaci zagraniczni zorientowani w stosunkach kresowych wyraźnie stwierdzali fałsz agitacji bolszewickiej. Poseł brytyjski Max Müller mówił: „Trzeba, żeby Polacy przystąpili do rozwiązania problemu mniejszości we własnym interesie ze względu na nieszczerą wprawdzie, ale bardzo efektywną i niebezpieczną kokieterię Sowietów pod adresem Białorusinów i Ukraińców²⁴”. Co prawda rząd polski zapewnił wschodniej granicy bezpieczeństwo tworząc Korpus Ochrony Pogranicza, ale nie udało się wypracować konsekwentnego programu wobec mniejszości narodowych. Kolejne rządy polskie, zarówno przed 1926 roku jak i po przewrocie majowym, wahały się między koncepcją asymilacji mniejszości a ograniczoną autonomią. Trzeba jednak zauważyć, że stworzenie takiego programu, który mógłby zadowolić aspiracje Białorusinów, a zwłaszcza Litwinów i Ukraińców, zapewniając jednocześnie spójność państwa, było niezwykle trudne.

Odpowiedź na pytanie o narodowy charakter Kresów w okresie Polski niepodległej nie może być jednoznaczna. Były to ziemie wspólne Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców i Żydów, mozaika narodowościowa, której ułożenie na nowo musiałoby się zawsze odbyć kosztem którejś z grup narodowych. Mimo błędów i braku długofalowego programu mniejszościowego, a także podnoszonych tu i ówdzie w społeczeństwie polskim nacjonalistycznych haseł asymilacji mniejszości narodowych rząd polski starał się zapewnić mieszkańcom Kresów wszystkich narodowości minimum spokoju i bezpieczeństwa. Trzeba też podkreślić, iż w porównaniu z losem Białorusinów i Ukraińców w totalnym państwie sowieckim, szczególnie po roku 1929, gdy rozpoczęto przymusową kolektywizację, ich życie w Polsce było niewątpliwie lepsze i łatwiejsze.



Pomimo wrogiego stosunku ZSSR do państwa polskiego rządowi Rzeczypospolitej udało się doprowadzić do poprawy sto-

22. J. Romer, „Pamiętniki”, Lwów, 1938, str. 311.

23. M. Rataj, „Pamiętniki 1918-1927”, Warszawa, 1965, str. 203.

24. *Tamże*, str. 228.

sunków wzajemnych, a nawet do zawarcia w 1932 roku układu o nieagresji. Stało się to możliwe dzięki pogorszeniu odniesień na linii Berlin - Moskwa w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego, a zwłaszcza po dojściu Hitlera do władzy.

Pod koniec lat trzydziestych Stalin i jego współpracownicy doszli do wniosku, że dążenie Hitlera do zburzenia równowagi europejskiej może dać Związkowi Sowieckiemu spore korzyści, jeżeli uda mu się doprowadzić do starcia Niemiec z Anglią i Francją. W takiej sytuacji Niemcy byłyby gotowe zapłacić za neutralność lub przychylność Rosji, a ceną stać się mogła Polska. W dalszej perspektywie, sądzono na Kremlu, w wypadku zwycięstwa koalicji antyniemieckiej można by myśleć o realizacji rewolucyjnych planów w Niemczech. Gdyby zaś Niemcy wygrały, pozostawały zyski na terenie Polski. Jest kwestią dyskusyjną, kiedy taka koncepcja zrodziła się w umyśle Stalina. Być może bodźcem do jej skryształizowania stała się wojna domowa w Hiszpanii. Można na przykład sądzić, iż wymordowanie polskich komunistów przez Stalina w latach 1937-1938 było próbą oczyszczenia terenu polskiego z aparatu politycznego uznanego przez dyktatora sowieckiego za zbyt mało dyspozycyjny. Sprawa ta wymagałaby jednak dalszych i dokładniejszych badań.

W każdym razie myśl o rozbiórce Polski wyraził już pod koniec 1938 roku zastępca komisarza spraw zagranicznych ZSSR Władimir Potiomkin w rozmowie z ambasadorem Francji w Moskwie w słynnych słowach: „Nie widzę dla nas innego wyjścia aniżeli czwarty rozbiór Polski²⁵”. Momentem przełomowym dla rozwoju sytuacji europejskiej było przemówienie Stalina na XVIII Zjeździe WKP(b) w dniu 10 marca 1939 roku, w którym wysunął on dwuznaczną ofertę stwierdzając, że ZSSR nie da się wciągnąć do konfliktów przez „podżegaczy wojennych, którzy przywykli, by inni wyciągali za nich kasztany z ognia²⁶”. Mową tą Stalin otworzył licytację o względy ZSSR.

Lato 1939 roku przyniosło znane jawne rozmowy między delegacjami ZSSR, Anglii i Francji w Moskwie oraz tajne kontakty dyplomatów sowieckich i niemieckich, o których świat dowiedział się dopiero po opublikowaniu zawartości archiwów niemieckich po 1945 roku. Rozmowy jawne posłużyły Stalinowi za środek zachęty i nacisku na Hitlera. Miały go one zdopinować do złożenia konkretnych ofert. Pod koniec lipca minister spraw zagranicznych Trzeciej Rzeczy Joachim Ribbentrop dał do

25. R. Coulondre, *De Staline à Hitler*, Paris, 1950, str. 165-167.

26. J. W. Stalin, „Zagadnienia leninizmu”, Moskwa, 1940, str. 568.

zrozumienia sowieckiemu *chargé d'affaires* w Berlinie, iż Niemcy mogą dojść do porozumienia z ZSSR co do losu Polski. Komisarz spraw zagranicznych ZSSR Władysław Mołotow uznał to stwierdzenie za zbyt mało konkretne. W związku z tym 10 sierpnia 1939 roku radca ambasady sowieckiej w Berlinie Georgij Astachow otrzymał wyraźną ofertę podziału Polski.

Prawdopodobnie 13 sierpnia 1939 roku Stalin podjął ostateczną decyzję o wyborze sojusznika w nadchodzącym konflikcie Niemiec z Polską, popieraną przez Anglię i Francję. W tym celu trzymał w zanadrzu żądanie, by Polska i Rumunia przepuściły wojska sowieckie. 14 sierpnia, podczas trzeciego posiedzenia wojskowych delegacji ZSSR, Anglii i Francji w Moskwie szef delegacji sowieckiej Kliment Woroszyłow zapytał ультимatywnie, czy Armia Czerwona będzie mogła przejść przez „korytarz wileński” i Lwów oraz teren Rumunii. W przypadku Polski domagał się tego prawa nie tylko w razie ataku Niemiec na Polskę, ale również na Francję i Belgię. Gorliwość sowiecka w żądaniu prawa przemarszu i pomocy Polsce wskazuje logicznie na intencje Stalina. Normalnie strona zagrożona stara się uzyskać od sojuszników zobowiązanie do pomocy; tu nastąpiło dziwaczne odwrócenie ról: strona pomagająca żądała swego prawa do pomocy.

Uznanie prawa Armii Czerwonej do przemarszu przez terytorium Polski bez jej zgody oznaczałoby podpisanie nowego, wschodniego układu monachijskiego. Delegacje Anglii i Francji nie poszły na takie rozwiązanie, lecz porozumiały się z szefem dyplomacji polskiej Józefem Beckiem. Akceptacja żądania sowieckiego, wysuniętego ku zaskoczeniu zachodnich misji wojskowych, była mało prawdopodobna, gdyż pozbawiała Polskę cech państwa suwerennego. Żądanie to miało raczej na celu zerwanie rozmów moskiewskich i zrzucenie odpowiedzialności za ich niepowodzenie na Polskę. Zresztą gdyby zgoda nadeszła z Warszawy, Stalin miał i inne żądania: chciał ustanowić swe bazy na wyspach Morza Bałtyckiego należących do Estonii i pragnął zgody Anglii i Francji.

W ciągu paru następnych gorączkowych dni negocjacji Beck opierał się handlowi Polską. Stwierdził on, iż „nic nam nie gwarantuje, że Rosjanie, zainstalowawszy się we wschodniej części naszego kraju, wezmą istotny udział w wojnie²⁷”. Odpowiedź Becka, udzielona przedstawicielom Anglii i Francji w sprawie polskiej zgody na przemarsz Armii Czerwonej, brzmiała zdecydo-

27. L. Noël, *L'aggression allemande contre la Pologne*, Paris, 1946, str. 423.

wanie — nie. Trudno się temu dziwić, ponieważ wejście wojsk sowieckich do Polski miało być, podobnie jak carskich w czasie wojny siedmioletniej w XVIII wieku, z góry zaplanowanym podbojem.

Tymczasem Stalin nie czekał na wynik akcji anglo-francuskiej w Warszawie. 19 sierpnia 1939 roku zgodził się na wizytę Ribbentropa w Moskwie w sprawie paktu sowiecko-niemieckiego o nieagresji pod warunkiem podpisania jednocześnie dodatkowego protokołu o sferach interesów w Europie wschodniej. Gdy 21 sierpnia prasa niemiecka podała wiadomość o planowanej wizycie Ribbentropa w Moskwie, Anglicy i Francuzi coraz usilniej nalegali na Becka, by zgodził się na sowiecką formułę „pomocy”. 23 sierpnia o godz. 13.00 Beck zaakceptował sformułowanie „w razie wspólnej akcji przeciw agresji niemieckiej współpraca między Polską a ZSSR na warunkach technicznych, które zostałyby ustalone później, nie jest wykluczona²⁸”. Zrozumiano to we Francji jako zgodę na przemarsz wojsk sowieckich i na tej podstawie rząd francuski próbował podtrzymać rozmowy moskiewskie. Było jednak za późno.

W południe 23 sierpnia 1939 roku na udekorowane flagami ze swastyką oraz sierpem i młotem lotnisko moskiewskie przybył Ribbentrop. W nocy tegoż dnia na Kremlu podpisano sowiecko-niemiecki układ o nieagresji. W ten sposób ZSSR zrywał ostatecznie rokowania z Anglią i Francją, dając Hitlerowi wolną rękę w planowanym ataku na Polskę. O ile o akceptacji zamiarów Hitlera przez ZSSR świadczy sam tekst układu, o tyle załączony doń tajny protokół, którego pomysł wyszedł od Stalina, określał udział Związku Sowieckiego w łupach. W protokole tym stwierdzono bez ogródek, iż „na wypadek terytorialno-politycznego przekształcenia terytoriów należących do państwa polskiego, sfery interesów Niemiec i ZSSR będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew - Wisła - San. Kwestia, czy w interesie obu stron uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległego państwa polskiego zostanie definitywnie zdecydowana dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypadków politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę kwestię na drodze przyjacielskiego porozumienia”. W protokole ustalono również, że Litwa wejdzie w obręb niemieckiej sfery interesów, zaś Łotwa, Estonia, Finlandia i rumuńska Besarabia — sfery sowieckiej. Dopiero w dwa dni później obie strony zauważyły, iż Narew nie graniczy z Pru-

28. G. Bonnet, *Fin d'une Europe*, Gèneve, 1948, str. 290.

sami Wschodnimi i uzgodniły dodatkowo, że linia podziału Polski przebiegać musi na północy wzdłuż Pisy²⁹.

W tej sytuacji wybuch drugiej wojny światowej był przesądzony i pomimo nadzwyczajnych wysiłków dyplomacji angielskiej, francuskiej, a także mediacji włoskiej, 1 września 1939 roku hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę.



Związek Sowiecki wyczekiwał z uderzeniem na Polskę do momentu, w którym z jednej strony mógł jeszcze wziąć udział w zbrojnym obsadzaniu ziem Polski, lecz z drugiej strony można było pojąć próbę dowodzenia, że państwo polskie przestało istnieć. Moment ten nadszedł 17 września 1939 roku. Tegoż dnia o godz. 2.00 w nocy ambasadora R.P. w Moskwie zbudzono i wezwano do Narkomindiełu (Ministerstwa Spraw Zagranicznych), gdzie wręczono mu notę zawiadamiającą, że „rząd Polski uległ rozkładowi i nie okazuje przejawów życia. Oznacza to, że państwo polskie i jego rząd przestały faktycznie istnieć”. W związku z tym rząd ZSSR rozkazał Armii Czerwonej przekroczyć granicę ryską, by „wziąć w opiekę życie i mienie ludności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi³⁰”. Nota sowiecka uznawała brak aktywności rządu za nieistnienie państwa, a to ostatnie za prawo do wtargnięcia na teren Polski. Cały ten łańcuch pseudo-logiki opierał się na fałszu, gdyż rząd Rzeczypospolitej, choć zepchnięty w krytyczne położenie, istniał i przebywał wówczas w Kołomyi.

17 września 1939 roku o godz. 4.20 oddziały KOP rozpoznały w rejonie Podwołyżysk jednostki sowieckie przekraczające granicę. Na Polskę zwała się od wschodu masa Armii Czerwonej. Tego samego dnia wojska sowieckie zajęły Pińsk, nazajutrz — Święciany, Lidę, Nowogródek, Wołkowyski, Halicz, Buczacz, 19 września — Wilno i Stanisławów, 20 września — Grodno i Kowel, 22 września — Białystok, Hajnówkę, Brześć i Lwów, a 27 września obsadziły ostatecznie linię Suwałki - Grajewo - Drohiczyn - San. Wojsko polskie nie było w stanie podjąć walki na dwa fronty. Według „dyrektywy ogólnej” Wodza Naczelnego dowódcy poszczególnych jednostek winni byli unikać walki z Armią Czerwoną z wyjątkiem bezpośredniej obrony koniecznej.

29. „Sprawa polska w czasie II wojny światowej na arenie międzynarodowej”, Warszawa, 1965, str. 33-34; *Akten zur deutschen auswärtigen Politik 1918-1945*, Bd. VII, str. 246-247, 295-296.

30. „Sprawa polska...”, *op. cit.*, str. 83-84.

Wkroczenie Armii Czerwonej na wschodnie tereny Rzeczypospolitej przyspieszyło w dużej mierze klęskę militarną Polski. Stąd też uzasadniony jest słynny komentarz londyńskiego *Times'a*, który 18 września określił najazd wojsk sowieckich jako „pchnięcie Polski nożem w plecy”. W chaosie jaki powstał podczas ewakuacji rządu Rzeczypospolitej do Rumunii kierownictwo polityczne państwa nie wykorzystało być może w pełni sympatii, jakie agresja sowiecka wzbudziła dla Polski na Zachodzie i nie doprowadziło do wyraźnego określenia stanu wojny między Polską i ZSSR, a także stanowiska zachodnich sojuszników Polski wobec faktów zaistniałych na wschodnich terenach Rzeczypospolitej. Jasne zarysowanie tego stanowiska mogło mieć pewne znaczenie w późniejszej rozgrywce o losy Polski.

Zachowanie się wojsk sowieckich na terenie Rzeczypospolitej było różne. W niektórych przypadkach oddziały Armii Czerwonej udawały sprzymierzeńców, by nie wzbudzać oporu, gdzie indziej dopuszczały się gwałtów, mordów i grabieży. Obrońców Lwowa omamiono obietnicami wolności i w zdradziecki sposób wywieziono na wschód. Koło miasteczka Sopoćkinie nad granicą litewską bolszewicy zamordowali dowódcę OK III gen. Józefa Olszynę-Wilczyńskiego i towarzyszących mu oficerów. Koło Wilna krasnoarmiejcy dokonali egzekucji oddziału WP. Wstrząsające sceny maltretowania i mordów żołnierzy oraz oficerów polskich przez Rosjan rozegrały się między innymi w Chodorowie, Nowogródku, Sarnach, Rohatynie i Tarnopolu.

Dokonując 17 września 1939 roku niczym nie sprowokowanej agresji na Polskę, ZSSR pogwałcił cztery wiążące go umowy międzynarodowe: traktat ryski z 1921 roku o wytyczeniu wspólnej granicy, tzw. „protokół Litwinowa” z 9 lutego 1929 roku o wyrzeczeniu się wojny jako środka rozwiązywania problemów spornych, podpisany przez Polskę, Związek Sowiecki, państwa bałtyckie i Rumunię, polsko-sowiecki pakt o nieagresji z 25 lipca 1932 roku, przedłużony następnie w dniu 5 maja 1934 roku do końca 1945 roku, a także konwencję o definicji agresora, podpisaną 3 lipca 1933 roku w Londynie między innymi przez ZSSR i Polskę. Gwałtu sowieckiego na Polsce nie da się usprawiedliwić żadnymi względami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi, tym bardziej, że wykluczała je właśnie konwencja londyńska z 1933 roku. Współudział ZSSR w agresji na Polskę był i pozostaje zbrodnią przeciw pokojowi, natomiast sposób, w jaki władze sowieckie potraktowały żołnierzy, oficerów i ludność cywilną na zajętych obszarach kwalifikuje się jako zbrodnia przeciw ludzkości. Wspomnieć bowiem należy uwzięcie około 230 tys.

żołnierzy i oficerów polskich, z których 15 tys. wymordowano w Katyniu i dwóch innych, nieznanych dotąd miejscach kaźni, a dalsze 140 tys. wytracono w setkach więzień i obozów rozsianych po całym terytorium sowieckim, między innymi na Kołymie i na Czukotce. Wspomnieć też trzeba ok. 1,5 mln. osób cywilnych uwięzionych i deportowanych w latach 1939-1941, z których ok. 500 tys. zginęło w ciągu tych dwóch lat, a ok. 80 tys. wymordowano w trakcie ewakuacji więźniów z terenów Rzeczypospolitej w czerwcu i lipcu 1941 roku³¹.

Wobec planowanej eksterminacji Polaków przez okupantów: hitlerowskiego i sowieckiego w latach 1939-1941 przed narodem polskim stało się widmo biologicznej zagłady. Najbardziej zagrożone było społeczeństwo polskie Kresów, które pod okupacją sowiecką liczyło ok. 5 mln. osób³². Myślał o tym Stanisław Swianiewicz mówiąc o umieraniu tradycji Wielkiego Xięstwa Litewskiego: „Obecnie w podmuchu nowej burzy dziejowej będą musiały ulec zerwaniu ostatnie więzy łączące nas z epoką naszej chwały (...). To wszystko nie przetrzyma nowej nawały sowieckiej, tak samo jak nie przetrzymały jej skupienia polskie na Mińszczyźnie, Witebszczyźnie, Mohylewsczyźnie i na Ukrainie³³”.

28 września 1939 roku podpisano w Moskwie traktat niemiecko-sowiecki o granicach i przyjaźni. Stwierdzono w nim cynicznie: „Po upadku byłego państwa polskiego Rząd ZSSR i Rząd Rzeszy Niemieckiej uważają za swój wyłączny obowiązek odbudowanie pokoju i ładu na tych terytoriach oraz zapewnienie zamieszkującym je narodom pokojowego życia zgodnie z ich charakterem narodowym”. Ustalona w traktacie granica przebiegała wzdłuż Pisy, Narwi, linii Ostrołęka - Treblinka, Bugu, linii Bełżec - Wisłok oraz Sanu. W porównaniu z podziałem sfer wpływów nakreślonych w tajnym protokole z 23 sierpnia 1939 roku ZSSR oddawał więc Niemcom województwo warszawskie i lubelskie, a w zamian otrzymywał niepodległe jeszcze wówczas państwo litewskie, gdzie Moskwa miała możliwość „poczynić specjalne kroki polityczne”. Dokonując rozbioru Polski, obaj agresorzy uznali traktat za „mocną podstawę postępowego rozwoju przyjaznych stosunków między swymi narodami³⁴”. Jak widać, hasła „postępu” i „przyjaźni” różne miewają zastosowania.

31. J. Abramski, R. Żywiecki, „Katyń”, Wydawnictwo Polskie, Warszawa, 1979, str. 1-3; „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów”, Londyn, 1975, str. 3 nn.

32. Szacunek autora.

33. S. Swianiewicz, „W cieniu Katynia”, Paryż, 1976, str. 66-67.

34. „Sprawa polska...”, *op. cit.*, str. 97; *Akten...* Bd. VIII, str. 110 nn.

W sowiecko-niemiecką grę przeciw Polsce wciągnięto też Litwę. Pomimo początkowych zapewnień, że rząd Litwy nie skorzysta z najazdu Hitlera na Polskę, by odebrać jej Wilno, i mimo faktycznej neutralności podczas kampanii wrześniowej Litwa została, zgodnie z traktatem z 28 września 1939 roku, zmuszona do przyjęcia ultimatum sowieckiego i za cenę eksterytorialnej linii kolejowej do Libawy, bazy w Radziwiliskach oraz 30-tysięcznego garnizonu Armii Czerwonej uzyskała zgodę na zajęcie Wilna z okolicą. 18 października 1939 roku Litwini obsadzili rejon Wileńszczyzny, co na parę miesięcy uratowało tysiące przebywających tam Polaków przed represjami sowieckimi.

O ile hitlerowskie Niemcy realizowały swe cele imperialne w Polsce jawnie głosząc hasła rzekomej wyższości rasy niemieckiej, o tyle Związek Sowiecki zaprzął do tej akcji ideologiczny aparat marksistowski. Propaganda sowiecka utrzymywała, że Polska była państwem kapitalistów, obszarników i wyzyskiwaczy, gnębiących mniejszości narodowe i „polskie masy pracujące”. Tłumaczono, że Armia Czerwona wkroczyła do Polski, by „po przyjacielsku bronić lud od panów i kapitalistów”. Przywódca Kominternu Georgij Dymitrow usiłował dowieść, iż kampania wrześniowa miała charakter imperialistyczny, a Niemcy i ZSSR wspólnie obronili interes klas pracujących przed zakusami imperializmu zachodniego i jego sprzymierzeńców — „Biełopolaków”. W sławnej mowie wygłoszonej przez Mołotowa w Radzie Najwyższej ZSSR 31 października 1939 roku znaleźć można ówczesną ocenę sowiecką roli i znaczenia państwa polskiego: „Wystarczyło szybkie uderzenie na Polskę naprzód ze strony niemieckiej armii, a następnie ze strony Armii Czerwonej, aby nic nie zostało z tego potworka traktatu wersalskiego³⁵”. To samo mówił Lenin 19 lat wcześniej.

Na zajętych terenach Polski władze sowieckie zainscenizowały farsę wyborczą dla usankcjonowania rezultatów agresji. 22 października 1939 roku odbyły się na zagarniętym obszarze, nazwanym teraz oficjalnie Zachodnią Białorusią i Zachodnią Ukrainą, „wybory”. Głosować można było tylko na wyznaczonych z góry kandydatów z partii bolszewickiej, zupełnie nieznanym miejscowej ludności, a w większości sprowadzonych z głębi Rosji. „Wybory” nadzorowane były przez komitety partyjne, a lokale wyborcze obstawiono uzbrojonymi milicjantami i NKWD-yistami. W rezultacie tak przeprowadzonego głosowania powstały Zgromadzenia Ludowe Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy,

35. *Izwiestia* z 1. 11. 1939 r.

nie będące w żadnej mierze reprezentantami mieszkańców tych ziem.

27 października 1939 roku Zgromadzenie Ludowe Zachodniej Ukrainy ogłosiło we Lwowie deklarację o władzy państwowej oraz odezwę w sprawie wejścia Zachodniej Ukrainy w skład ZSSR. W dokumentach tych można było przeczytać: „Pańska Polska, utrzymująca w ucisku miliony Ukraińców, Białorusinów i polskiego ludu pracującego, runęła (...) Naród ukraiński w byłym państwie polskim skazany był na wymarcie. Jego udziałem stał się ucisk, wyniszczenie i grabież. Polscy panowie robili wszystko, by spolszczyć ludność ukraińską, zakazać używania słowa 'Ukraińiec' i zastąpić je słowami 'bydło' i 'chłop'”. Żądając wprowadzenia ustroju sowieckiego Zgromadzenie „prosiło” Radę Najwyższą ZSSR o przyjęcie Zachodniej Ukrainy w skład USSR i Związku Sowieckiego³⁶. Dwa dni później z podobnymi oświadczeniami wystąpiło w Białymstoku Zgromadzenie Ludowe Zachodniej Białorusi, które stwierdziło między innymi, że „państwo polskie było więzieniem narodów³⁷”.

Oświadczenia te miały posłużyć za prawne usprawiedliwienie agresji. Jednakże ze względu na tryb przeprowadzenia głosowania nie były one prawdziwym wyrazem woli ludności tych terenów i dlatego nie można ich uznać za prawnie obowiązujące. *Status quo* na ziemiach wschodnich Polski wynikł bowiem wyłącznie z użycia siły, zarówno we wrześniu 1939 roku, jak i podczas głosowania.

W odpowiedzi na te akty „woli ludu” Rada Najwyższa ZSSR przychyliła się do „prośb” i włączyła Zachodnią Ukrainę do USSR z dniem 1 listopada oraz Zachodnią Białoruś do ZSSR z dniem 2 listopada 1939 roku. Na zajętych terenach zorganizowano błyskawicznie sieć administracji państwowej (sowiety), partyjnej (komitety wszystkich szczebli) oraz aparat policyjny (organy NKWD). Wschodnie Kresy Drugiej Rzeczypospolitej zaczęły się pogrążyć w nędzy, terrorze i bezprawiu.



„A więc stało się to, czego oczekiwaliśmy, lecz czego nie spodziewaliśmy się w tak szybkim czasie. Prysnał związek hitlerowsko-bolszewicki, będący u początku tej straszliwej katastrofy, której ofiarą padła Polska — mówił premier emigracyjnego rządu Polski gen. Władysław Sikorski w przemówieniu radiowym

36. DMPR, t. VII, nr 106 i 107.

37. DMPR, t. VII, nr 108 i 109.

23 czerwca 1941 roku. — Od świtu 22 czerwca są ze sobą w wojnie niedawni sprzymierzeńcy (...) Począwszy od traktatu brzeskiego z 1918 roku Rosja współdziałała stale z Niemcami przeciw Polsce, która *nota bene* w ostatnim dziesięcioleciu nie poszła na wielokrotne propozycje Niemiec zorganizowania wspólnej krucjaty przeciw Rosji bolszewickiej. Dzisiaj dopiero wali się z łoskotem w gruzy polityka zapoczątkowana w Rapallo³⁸”.

Starcie się dwóch okupantów Polski w wojnie musiało oczywiście wzmocnić nadzieję rządu i społeczeństwa polskiego na odzyskanie niepodległości. Widząc chwiejanie się państwa sowieckiego pod ciosami armii hitlerowskich i próby nawiązania przez ZSSR współpracy z sojusznikami Polski, emigracyjny rząd polski podjął rozmowy z przedstawicielami ZSSR w sprawie współdziałania w wojnie przeciw Niemcom. Warunkiem było przywrócenie normalnych stosunków, pogwałconych przez Związek Sowiecki zarówno przez aneksję ziem polskich jak i uwięzienie setek tysięcy Polaków, o których wówczas myślano, że jeszcze żyją. W tym duchu gen. Sikorski rozpoczął rokowania z ambasadorem ZSSR w Londynie Iwanem Majskim. Domagał się w nich, by strona sowiecka wyraźnie powróciła do sytuacji przewidzianej w traktacie ryskim, co automatycznie unieważniałoby traktaty niemieckorosyjskie z 1939 roku. Natrafił jednak na opór Majskiego. Ambasador Stalina powiedział wprawdzie, jak gdyby w latach 1939-1941 nic się nie stało, że rząd jego „popiera sprawę utworzenia niepodległego państwa polskiego”, lecz stwierdził, iż dyskusowanie tej kwestii w szczegółach byłoby nie na czasie, a ponadto, że rząd sowiecki „nie może wyraźnie uznać granic sprzed 1939 roku”. Nawet w krytycznej sytuacji na froncie wschodnim rząd ZSSR nie chciał wypuścić z ręki ziem polskich zagarniętych podstępem i siłą przy pomocy Niemiec hitlerowskich.

Chęć współpracy przeciw Niemcom była jednak z obu stron dominująca, toteż rozmowy zakończono pozornym kompromisem w sprawie granic. Majski zapytał, czy Sikorski nie byłby skłonny pominąć tej kwestii. Ten zaś oświadczył, że byłby zadowolony, gdyby rząd ZSSR wypowiedział oba traktaty zawarte z Niemcami w sierpniu i wrześniu 1939 roku. Sądził najwyraźniej, że konsekwencją wypowiedzenia traktatów z Niemcami musi być dla ZSSR powrót do granic ryskich. Byłoby to niewątpliwie logiczne. W logice Stalina związek między anulowaniem traktatów sowiecko-niemieckich i powrotem do granic z 1921 roku nie był wcale oczywisty, toteż zgodził się na taką formułę.

38. „Sprawa polska...”, *op. cit.*, str. 218.

Ostatecznie w układzie zawartym 30 lipca 1941 roku między rządem Rzeczypospolitej na emigracji i rządem ZSSR strona sowiecka uznała, że „traktaty sowiecko-niemieckie z roku 1939, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, utraciły swoją moc³⁹”. Przyjęcie przez gen. Sikorskiego takiego ujęcia sprawy granic z ZSSR stało się powodem kryzysu w rządzie emigracyjnym i ustąpienia między innymi gen. Kazimierza Sosnkowskiego z ministerstwa obrony i Augusta Zaleskiego z ministerstwa spraw zagranicznych. Już wówczas część polityków polskich znających mentalność sowiecką lepiej niż Sikorski zdawała sobie sprawę, że uzgodniona formuła pozostawia pewną dowolność interpretacji, zwłaszcza jeżeli zważyć typową dla imperializmu sowieckiego wykrętną wykładnię wszystkich podpisywanych układów. Niejasność tekstu mogła tylko zaszkodzić sprawie polskiej. Inni, jak gen. Marian Kukiel, sądzili, że układ stanowił maksimum tego, co można było wówczas osiągnąć.

Pewną dwuznaczność musiał też uznać Sikorski w stanowisku brytyjskim wobec polskiej granicy wschodniej. Obowiązujący obie strony układ o wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 roku nie zawierał na ten temat żadnych wskazań, dotyczył bowiem jedynie zagrożenia Polski ze strony Niemiec. W układzie tym Wielka Brytania nie gwarantowała zresztą granic Polski, a jedynie jej niezawisłość⁴⁰. Z drugiej strony w myśl noty ministra spraw zagranicznych Anthony Edena z 30 lipca 1941 roku, rząd brytyjski nie uznawał „żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce poczynwszy od sierpnia 1939 roku⁴¹”. Było to tylko stwierdzenie negatywne, a nie gwarancja granic.

Podczas wizyty w Moskwie w grudniu 1941 roku gen. Sikorski został zaskoczony zarówno stanowczością Stalina w sprawie udziału Armii Polskiej w walkach na froncie wschodnim, jak i wylewnym potraktowaniem idei Polski niepodległej. Dyktator sowiecki oświadczył, iż Polska winna wyjść z wojny wielka i silna. Stwierdził też, że polskie granice zachodnie należy oprzeć na Odrze. Sikorski zrozumiał to oczywiście jako próbę przesunięcia Polski na zachód, zgodnie z dawnymi planami Mikołaja II i Sazonowa, tym bardziej, iż Stalin uchylił się od rozmowy na temat przyszłej granicy polsko-sowieckiej, proponując jedynie „przyjazne rozpatrzenie” tego problemu w przyszłości, po wyruszeniu Armii Polskiej w ZSSR na front. „Bądźcie spokojni —

39. *Tamże*, str. 226.

40. *Tamże*, str. 35.

41. *Tamże*, str. 227.

mówił Stalin — nie skrzywdzimy was”. Niezbyt uspokojony Sikorski zapowiedział powrót do tej sprawy. Miał powody do niepokoju: parę dni wcześniej Narkomindel wyjaśnił, że uznaje za obywateli polskich tylko tych mieszkańców „Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy”, którzy są narodowości polskiej. Był to pierwszy dowód, że rząd sowiecki nie zamierza zrezygnować z ziem Polski przedwrześniowej.

Gdy tylko minął pierwszy szok klęski, a wspierana przez Anglię i USA Armia Czerwona zatrzymała się w odwrocie, rząd sowiecki począł usztywniać swe stanowisko w rozmowach z sojusznikami, a zwłaszcza z rządem polskim. Już wówczas w nieoficjalnych kontaktach sowiecko-angielskich pojawiła się koncepcja oparcia polskiej granicy wschodniej na linii Curzona. Kolejnym zwiastunem groźnego dla Polski wzmocnienia stanowiska Stalina była sprawa państw bałtyckich, które rząd sowiecki uznawał za część swego terytorium. Na wszelkie sugestie o likwidacji skutków sowieckiej agresji na te państwa w 1939 i 1940 roku odpowiadano kłamliwie, że Litwa, Łotwa i Estonia „dobrowolnie” przyłączyły się do ZSSR. Niestety, kłamstwa te zaakceptował rząd brytyjski, uznając zachodnie granice ZSSR na odcinku państw bałtyckich i Rumunii w dniu 26 kwietnia 1942 roku. W ten sposób Anglicy usankcjonowali efekt porozumienia Ribbentrop - Mołotow w tym rejonie. Rząd Churchilla zapewnił wprowadzie Sikorskiego, że nadal nie uznaje zmian terytorialnych w Polsce, ale zapewnienia te wyglądały błado w kontekście chwiejnej polityki brytyjskiej wobec ZSSR. Brytyjska akceptacja zagarnięcia przez Stalina państw bałtyckich stanowiła niebezpieczny dla Polski precedens. Również stanowisko rządu amerykańskiego nie wzmocniało pozycji Sikorskiego w sprawie granic. Roosevelt nie chciał podjąć żadnych zobowiązań w tej kwestii przed zakończeniem wojny z Niemcami.

Tymczasem w stosunkach polsko-sowieckich doszło do poważnego ochłodzenia na tle losu Armii Polskiej w ZSSR. Stalin nie mógł też znieść polsko-czechosłowackiego dążenia do stworzenia federacji, zapoczątkowanego jeszcze w listopadzie 1940 r. i kontynuowanego przez wspólny Komitet Koordynacyjny. Ukoronowaniem tych tendencji w polityce emigracyjnych rządów Polski i Czechosłowacji była umowa z 23 stycznia 1942 roku o przyszłej konferencji polsko-czechosłowackiej, związku, który miał przynieść państwom środkowoeuropejskim pełną niezależność od Niemiec i ZSSR. W projektach Sikorskiego przewidziano także przystąpienie do konfederacji Węgier, Rumunii i Litwy. Ostrą reakcję sowiecką na te plany wywołał nie tylko fakt uwzględnie-

nia Litwy, którą Stalin chciał zatrzymać w garści, ale w ogóle idea związku. Godziła ona w imperialne plany kierownictwa sowieckiego, nawet wówczas, gdy broniło się ono pod Moskwą i Stalingradem. Wkrótce też udało się Stalinowi storpedować plany federacyjne Polaków, Czechów i Słowaków. Już wówczas rząd sowiecki rozpoczął podwójną grę, udając wobec sojuszników zachodnich współpracę z rządem Sikorskiego, a jednocześnie przygotowując swoje marionetki do przejęcia władzy w Polsce. Grupa Inicjatywna komunistów polskich lądowała na spadochronach pod Warszawą, by 5 stycznia 1942 roku założyć agenturalną Polską Partię Robotniczą z Marcelim Nowotką na czele. Sprawa granic Polski schodziła na drugi plan wobec globalnej gry ZSSR o los Europy środkowej w wypadku klęski Niemiec.

Gdy pod koniec 1942 roku rząd polski powrócił do sprawy granicy polsko-sowieckiej, nastąpił kolejny cios sowiecki. 16 stycznia 1943 roku Narkomindiel zawiadomił ambasadę polską w Kujbyszewie, że pozbawił obywatelstwa polskiego Polaków przebywających w ZSSR. Z wyjątkową perfidią dowodzono tu, że mieszkańcy ziem „Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi” uzyskali obywatelstwo sowieckie z chwilą ich wejścia w skład ZSSR, a wyjątek uczyniony „z dobrej woli” przez rząd sowiecki 1 grudnia 1941 roku dla obywateli narodowości polskiej przestał obowiązywać, gdyż rząd polski odniósł się doń „negatywnie”⁴². Ten stek kłamstw oznaczał jedynie, że rząd ZSSR nie zamierza oddać Polsce ziem zagrabionych w 1939 roku.

Przedstawiciele Polski niepodległej nie mogli się z tym pogodzić i podkreślili ponownie w rezolucji Rady Narodowej R.P. z 20 lutego 1943 roku, że integralność i suwerenność państwa polskiego w granicach z 1 września 1939 roku są nienaruszalne i niepodzielne. Gdy ambasador R.P. w ZSSR Tadeusz Romer próbował interweniować u Stalina w sprawie obywatelstwa, został przez niego omotany siecią fałszów, sofizmów i przeinaczeń, z których wynikało jedynie, że rząd sowiecki nie przywróci obywatelstwa polskiego nikomu lub w najlepszym razie poszczególnym osobom. Reszta Polaków, którzy znaleźli się na terenie ZSSR na skutek agresji sowieckiej z 17 września 1939 roku, miała pozostać obywatelami sowieckimi z wszelkimi tego konsekwencjami. Gdy Romer zaznaczył, że „plebiscyty” na Kresach zostały przeprowadzone w granicach nakreślonych układem sowiecko-niemieckim, wypowiedzianym przez ZSSR 30 lipca 1941 roku, Stalin zmienił temat. W ślad za tą rozmową agencja TASS

42. *Tamże*, str. 315.

oświadczyła 1 marca 1943 roku, że rząd Polski „nie chce uznać historycznych praw narodu ukraińskiego i białoruskiego do zjednoczenia się w swoich państwach narodowych (...) Rząd Polski wypowiada się w ten sposób za rozbiorem ziem ukraińskich i białoruskich”. Wspomniano tu również lorda Curzona, proniemiecką politykę Becka i rozbieżność między stanowiskiem rządu londyńskiego w sprawie granic a „prawdziwą opinią narodu polskiego”⁴³. Nie wspomniano natomiast o tym, że republiki sowieckie nie są państwami narodowymi, lecz częścią totalnego państwa bolszewickiego zdominowanego przez Rosjan, że ziemie wschodnie Rzeczypospolitej nie były ziemiami jednolicie białoruskimi i ukraińskimi, lecz terenem zamieszkiwanym wspólnie przez różne narodowości, że bardziej proniemiecką niż Beck politykę prowadził w latach 1939-1941 Związek Sowiecki; nie podano też w jaki sposób rząd sowiecki poznał „prawdziwą opinię narodu polskiego”. W odpowiedzi rząd polski odrzucił wszystkie tezy oświadczenia sowieckiego, nazywając je „absurdalnymi insynuacjami o polskich planach zaborczych na wschodzie”. Podkreślił, iż głosowanie we wschodniej Polsce było sprzeczne z prawem międzynarodowym, a nawracanie do niemiecko-sowieckiej granicy z 28 września 1939 roku nie wymaga żadnych komentarzy. Na nic zdała się jednak akcja dyplomacji polskiej. Ani rozmowa Romera z Mołotowem, ani apele Sikorskiego do Churchilla i Roosevelta w sprawie polityki sowieckiej nie przyniosły skutku. Zachodni sojusznicy Polski w gruncie rzeczy zaczęli podzielać sowiecki punkt widzenia w sprawie granic.



25 kwietnia 1943 roku rząd sowiecki zerwał jednostronnie stosunki z emigracyjnym rządem Polski, używając jako pretekstu oświadczenia rządu Sikorskiego i apelu do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w sprawie odkrytych przez Niemców w lasu katyńskim pod Smoleńskiem grobów oficerów polskich. Szczególna przewrotność i cynizm sowieckiej argumentacji polegały na tym, że do zerwania stosunków wzajemnych użyto na Kremlu losu ponad czterech tysięcy oficerów polskich zamordowanych przez NKWD na wiosnę 1940 roku. Apel rządu Sikorskiego do MCK o zbadanie sprawy oraz utrzymane w spokojnym tonie oświadczenie z 17 kwietnia 1943 roku wywołały potok obelg i kłamstw w oficjalnej nocie sowieckiej zawiadamiającej o zerwa-

43. *Tamże*, str. 338-339.

niu stosunków, imputując rządowi polskiemu „zmowę z Hitlerem”. Nota zarzucała mu, że nie zwrócił się w tej sprawie z jakimkolwiek zapytaniem do rządu ZSSR, podczas gdy faktycznie przez prawie dwa lata rząd londyński bezustannie zabiegał o wyjaśnienie przez rząd sowiecki losu polskich oficerów. Wreszcie stwierdzono w nocie, że „ta wroga kampania przeciwko Związkowi Sowieckiemu podjęta została przez Rząd Polski po to, by wykorzystując oszczercze fałszerstwo hitlerowskie wyrzucić nacisk na Rząd Sowiecki w celu wymuszenia na nim ustępstw terytorialnych kosztem interesów Sowieckiej Ukrainy, Sowieckiej Białorusi i Litwy Sowieckiej⁴⁴. Ta szatańska logika sprawdzała się niestety w stosunkach między ZSSR i aliantami zachodnimi. Rząd Polski wykazywał wszystkie jej fałszywe przesłanki i nieuzasadnione wnioski, lecz nie mógł sprawić, by przywódcy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych przejrżeli na oczy.

Rozpoczął się nowy etap walki o niepodległość i integralność terytorialną Polski. Sytuacja rządu londyńskiego uległa pogorszeniu. Zerwanie stosunków między rządem Sikorskiego i rządem sowieckim stanowiło wyrwę w koalicji antyhitlerowskiej, stworzoną zresztą celowo przez Stalina. Wielka Brytania i USA podjęły się więc misji mediacyjnej o załagodzenie kryzysu. Stalin stawiał jednak warunki. Po pierwsze domagał się zmian personalnych w rządzie Sikorskiego dla usunięcia, jak to określił, „hitlerowskich krzykaczy”, a po drugie — uznania przez rząd polski „prawa do samookreślenia ludności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”. W języku Stalina tak określono inkorporację tych ziem przez ZSSR. Język ten stawał się coraz bardziej natarczywy, gdyż Armia Czerwona przyjęła właśnie kapitulację wojsk niemieckich pod Stalingradem i szykowała się do ofensywy na froncie wschodnim. Jednocześnie ZSSR wzmaczał działalność swych polskich marionetek. Na zjeździe Związku Patriotów Polskich w dniach 9-10 czerwca 1943 roku przyjęto deklarację ideową opartą na uznaniu „praw Ukraińców i Białorusinów do zjednoczenia”. „Patriotów” tych było początkowo niewielu, ale z momentem cofnięcia Polakom obywatelstwa polskiego dla tysięcy osób ZPP stał się jedyną szansą na opuszczenie ZSSR. Z podobnym programem oddania ziem wschodnich Związkowi Sowieckiemu występowała w okupowanym kraju PPR. Tymczasem na terenie Kresów, zajmowanych jeszcze przez Niemcy, rozgrywał się przedostatni akt tragedii tamtejszych Polaków i Żydów. Byli oni systematycznie eksterminowani przez władze hitlerowskie

44. *Tamże*, str.345-346.

lub, z poduszczenia Niemców, przez ukraińskie organizacje nacjonalistyczne.

Stawka uznania roszczeń sowieckich była jednak wysoka: dalszy udział rządu emigracyjnego w koalicji antyhitlerowskiej. Dlatego też Sikorski rozważał możliwość ustępstw granicznych oraz oddanie Polesia, Wołynia i części Podola Związkowi Sowieckiemu w przypadku rekompensat na zachodzie jako granicę kompromisu w razie swego ponownego kontaktu ze Stalinem⁴⁵. Do rozmów tych jednak nie doszło — generał zginął w wypadku lotniczym 4 lipca 1943 roku.

Nowy premier rządu emigracyjnego Stanisław Mikołajczyk oraz za jego plecami Churchill i dyplomaci angielscy próbowali przywrócić stosunki polsko-sowieckie, jednak bez skutku. Stalin nie ustępował w sprawie granic ani o krok.

W trakcie przygotowań do konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie rząd Mikołajczyka przesłał Churchillowi i Rooseveltowi memorandum, w którym przedstawił i uzasadnił polskie stanowisko w kwestii granic wschodnich Polski. Stwierdzono w nim, iż Polska, która pierwsza stawiała czoła Hitlerowi, ma prawo uważać, że wyjdzie z wojny bez uszczerbków terytorialnych. Zastrzeżenia polskie wobec dyskusji nad jej granicami zawarto w oświadczeniu, iż polskie ziemie wschodnie stanowiły ponad połowę obszaru państwa przed 1939 rokiem, że obejmują ważne z historycznego i kulturalnego punktu widzenia ośrodki życia polskiego, że są zamieszkałe w „stosunkowej większości” przez Polaków, zaś niską gęstość zaludnienia i perspektywy rozwoju gospodarczego dostarczyć mogą Polsce środków do „rozwiązania problemów przeludnienia jej prowincji zachodnich i południowych”. Podkreślono dalej, że rząd polski nie może podjąć dyskusji nad zmianami swych granic państwowych, gdyż „przy braku efektywnych gwarancji niepodległości i bezpieczeństwa Polski ze strony Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych” prowadziłoby to do „wciąż dalszych, nowych żądań”⁴⁶.

Mimo to podczas ostatniego dnia konferencji teherańskiej, 1 grudnia 1943 roku, Churchill zgodził się z punktem widzenia Stalina. Gdy ten zażądał uznania przez swych rozmówców granicy „ustanowionej przez sowiecką konstytucję” (ale na podsta-

45. L. Mitkiewicz, „Z generałem Sikorskim na obczyźnie”, Paryż, 1968, str. 218-222, 303-304.

46. „Sprawa polska...”, *op. cit.*, str. 418-420.

wie paktu Ribbentrop - Mołotow i tajnego protokołu z 23 września 1939 roku — przyp. autora), Churchill wystąpił z następującą formułą: „Ognisko państwa i narodu polskiego powinno znajdować się między tak zwaną linią Curzona a linią rzeki Odry, z włączeniem w skład Polski Prus Wschodnich i prowincji opolskiej”, proponując jednocześnie przesiedlenie ludności. Stalin skorygował tę formułę przez przyznanie ZSSR północnej części Prus Wschodnich z Królewcem i Kłajpedą. W tej postaci problem granic wschodnich państwa polskiego został uzgodniony⁴⁷. Czy woltę Churchilla nazwać można zdradą polskiego sojusznika? Rząd Wielkiej Brytanii nie gwarantował granic Polski w sposób bezpośredni, jednak oświadczał wielokrotnie, że nie uznaje żadnych zmian terytorialnych w Polsce. Było to więc co najmniej sprzeniewierzenie się własnym słowom. Co gorsze, decyzji teherańskiej w sprawie granic Polski na wschodzie nie zakomunikowano rządowi Mikołajczyka, wprowadzając go w błąd co do rzeczywistego stanu tej sprawy w stosunkach międzyalianckich. Churchill poprzestał na brutalnym nakłanianiu Mikołajczyka do przyjęcia linii Curzona, sugerując, że jest to rozwiązanie konieczne i słuszne. W tym samym czasie, to jest w styczniu 1944 roku, oddziały Armii Czerwonej przekroczyły granicę ryską, a w Warszawie działała już Krajowa Rada Narodowa, złożona z garstki aktywistów z funkcjonariuszem NKWD Bolesławem Bierutem na czele. KRN uzurpowała sobie prawo do przemawiania w imieniu narodu polskiego, wymieniając jako wchodzące w jej skład nikomu nieznane i fantastyczne nazwy organizacji i grup społecznych.

KRN odmawiała rządowi Mikołajczyka prawa do reprezentowania Polski i uznawała sowieckie roszczenia terytorialne, jednak nie miała żadnego poparcia w społeczeństwie polskim. Spośród działających wówczas w podziemiu polskich ugrupowań politycznych Grupa Wielkiej Polski żądała na wschodzie granicy z 1772 roku, Konfederacja Narodu — licznych poprawek granicy ryskiej na korzyść Polski, Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy — mniejszych lub większych korekt granicy ryskiej na rzecz Polski, sanacyjny Obóz Polski Walczącej, Stronnictwo Ludowe, grupa „Raclawice”, Polski Związek Wolności, Związek Odbudowy Rzeczypospolitej, Stronnictwo Demokratyczne, syndykaliści oraz socjaliści z PPS/WRN — granicy ryskiej, a jedynie PPR i grupa lewicy socjalistycznej z RPPS uznały sowiecką koncepcję „samo-

47. *Tamże*, str. 429.

określenia". Ich wpływy były jednak minimalne, mimo niezwykle hałaśliwej propagandy⁴⁸.

Tymczasem sprawa polskiej granicy wschodniej była już właściwie rozstrzygnięta przez porozumienie teherańskie. Rząd sowiecki nie zamierzał iść w tej kwestii na żadne kompromisy i na nic zdali się próby pertraktacji Mikołajczyka w Londynie i Wyszyn-tonie, a także wysunięty przez niego 15 lutego 1944 roku kompromisowy projekt linii demarkacyjnej rozdzielającej obszar administrowany przez Polaków i Armię Czerwoną z udziałem innych mocarstw zjednoczonych, a przebiegającej „na wschód od Wilna i Lwowa⁴⁹”. Uzyskawszy zgodę Anglii i USA na linię Curzona, Stalin zajęty był już kształtem przyszłego rządu polskiego.

W tym celu 21 lipca 1944 roku fikcyjna „reprezentacja narodu” w postaci KRN powołała równie fikcyjną władzę wykonawczą dla terenów Polski centralnej pod nazwą Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Działacze PKWN przybyli wkrótce do zajętego przez Armię Czerwoną Chełma, gdzie ogłoszono Manifest PKWN, stwierdzający, iż ziemie polskie winny przypaść Polsce, zaś ukraińskie, białoruskie i litewskie — Sowietkiej Ukrainie, Białorusi i Litwie. To mgliste sformułowanie przeznaczone było na użytek krajowego czytelnika manifestu. Miało go zdezorientować, stworzyć wrażenie, że sprawa granicy wschodniej nie jest jeszcze ostatecznie ustalona. Tymczasem warunkiem przyjazdu kierownictwa PKWN do Chełma było podpisanie zgody na linię Curzona. Odkryło się to w Moskwie 25 lipca 1944 roku, gdy Edward Osóbka-Morawski, gen. Michał Rola-Zymierski, Bolesław Drobner i inni członkowie PKWN akceptowali żądania sowieckie. Atmosferę tych rozmów oddaje w swych wspomnieniach Osóbka-Morawski. „Wywalczenie przezeń połowy Puszczy Białowieskiej było jedynym ustępstwem Stalina, o powrocie Lwowa do Polski wszyscy negocjatorzy PKWN wręcz bali się wspomnieć. Ugody moskiewskiej nie podano do wiadomości na terenach kontrolowanych przez PKWN przez cały najbliższy rok⁵⁰”.

W obliczu wkroczenia Armii Czerwonej do Polski centralnej i ustanowienia marionetkowej władzy PKWN rząd londyński gorączkowo szukał rozwiązania dylematu. Liczył na poparcie społeczeństwa polskiego w kraju oraz na lojalność sojuszników zachod-

48. J. Rzepecki, „Organizacja i działanie Biura Informacji i Propagandy (BIP) Komendy Głównej AK”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1971, nr 4, str. 147-153.

49. „Sprawa polska...”, *op. cit.*, str. 474.

50. Por. załączony fragment pamiętnika E. Osóbki-Morawskiego.

nich. Wykorzystując ostatni i najsilniejszy argument w rozgrywce ze Stalinem, rząd Polski w Londynie, Delegat Rządu na Kraj oraz Dowództwo Armii Krajowej podjęły dramatyczną decyzję o wybuchu Powstania Warszawskiego, by wkraczającą do Warszawy Armię Czerwoną powitać jak gości.

Przeprowadzone przez Mikołajczyka w pierwszych dniach Powstania w Moskwie rozmowy nie dały wyniku. Działacze PKWN, wspierani przez Stalina, wysuwali rozmaite żądania, a przede wszystkim domagali się uznania linii Curzona za wschodnią granicę Polski. Ziemie między Bugiem i Wisłą znajdowały się już w ręku Armii Czerwonej, NKWD i PKWN. 9 września 1944 roku lubelski komitet podpisał, nie wiadomo w czym imieniu, układ z władzami Ukraińskiej SSR i Białoruskiej SSR o wymianie ludności. Po powrocie z Moskwy Mikołajczyk wystosował do rządu ZSSR memorandum o pozostawienie przy Polsce na wschodzie „głównych centrów życia kulturalnego i źródeł surowców”. Ostateczne rozwiązanie kwestii granicznej chciał odłożyć do decyzji Sejmu Konstytucyjnego, zgodnie z wymogami demokracji. Stalin nie odpowiedział, lecz przekazał memorandum PKWN-owi, który działając ściśle według zaleceń Stalina nie uznał tego dokumentu za podstawę rokowań. Zawiodła również druga tura rozmów moskiewskich Mikołajczyka w październiku 1944 roku, podczas której Churchill i Stalin zaskoczyli go wspólnym stanowiskiem w sprawie linii Curzona. Osaczony Mikołajczyk przeżył w Moskwie brutalne ataki Churchilla w rozmowach dwustronnych, lecz nie ugiął się. Wierzył, iż poparcia jego stanowisku udzieli prezydent Roosevelt, gdyż z dotychczasowych rozmów wynikało, że linię Curzona akceptował tylko Churchill. Zawiodł się jednak i w tym punkcie. Po wygraniu wyborów prezydenckich Rooseveltowi nie zależało już na opinii Polonii amerykańskiej i otwarciu doradził Mikołajczykowi, by nie liczył na pomoc USA w negacji linii Curzona. W tej sytuacji Mikołajczyk zrezygnował z funkcji premiera rządu emigracyjnego.

Nowym szefem rządu londyńskiego został Tomasz Arciszewski, który kontynuował nieprzejechaną linię polityczną w sprawie granicy wschodniej. Rozmijała się ona coraz bardziej z faktami dokonanymi w Polsce, gdzie poza deportacjami żołnierzy AK rozpoczęto także repatriację i wymianę ludności po obu stronach Bugu. PKWN przekształcił się w Rząd Tymczasowy, uznany przez ZSSR. Sprawa granicy wschodniej była przegrana, chodziło o ratowanie względnej choćby niezależności rządu, który po wyzwoleniu Warszawy spod okupacji niemieckiej miał tu sprawować władzę.

Na konferencji w Jałcie w pierwszych dniach lutego 1945 r. sprawa polska była jednym z głównych tematów obrad. Przedstawiciele Wielkiej Trójki nie chcieli na dłuższą metę utrzymywać sytuacji, w której jedni partnerzy koalicji antyhitlerowskiej uznają rząd w Londynie, drudzy zaś władze „lubelskie”. Stosunkowo najłatwiej uzgodniono natomiast sprawę przyszłych granic Polski na wschodzie. Po wycofaniu się Churchilla i Roosevelta z taktycznych jedynie zastrzeżeń w sprawie Lwowa, linia Curzona została ustalona jako podstawa granicy polsko-sowieckiej. Decyzje konferencji jałtańskiej w sprawie granic trafnie scharakteryzował rząd Arciszewskiego, stwierdzając, że „odcięcie wschodniej połowy Polski przez narzucenie polsko-sowieckiej granicy wzdłuż tak zwanej linii Curzona” oznacza „piąty rozbiór Polski, dokonany obecnie przez jej sprzymierzeńców⁵¹”. Niestety, protest ten pozostał jedynie na papierze — o losach Europy, a więc i Polski, zdecydowała Wielka Trójka, w której głos decydujący w sprawach polskich przypadł Stalinowi.

Widząc, że kontrola sytuacji w Polsce przechodzi całkowicie w ręce władz sowieckich i zależnego od nich Rządu Tymczasowego, Mikołajczyk podjął ostatnią desperacką próbę ratowania niepodległości Polski wypowiadając się za postanowieniami konferencji jałtańskiej i ustaloną tam linią graniczną. Za tę cenę wszedł wraz z kilkoma innymi politykami emigracyjnym do utworzonego 28 czerwca 1945 roku Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, który uzyskał błogosławieństwo wszystkich członków Wielkiej Trójki. Jakkolwiek rachub Mikołajczyka na uratowanie niepodległości Polski w oparciu o potężną, masową partię opozycyjną — Polskie Stronnictwo Ludowe, nie można lekceważyć, to akcja jego w ostateczności zawiodła. Pozostał zaś podpis Mikołajczyka pod umową graniczną zawartą 16 sierpnia 1945 r. między Rządem Jedności Narodowej i rządem ZSSR, obowiązującą z niewielkimi zmianami od 1950 roku do dziś.

Granice wschodnią Polski określono w umowie z 16 sierpnia 1945 roku dość dokładnie wzdłuż Sanu, Bugu, Sołokiji, linii przecinającej Puszczę Białowieską aż do zbiegu granic Litewskiej SSR i Prus Wschodnich koło Puńska. Białostoczyznę i rejon Przemysła przyznano więc Polsce, co dotąd nie było wcale oczywiste. Północno-wschodnią część granicy określono jednak nader mgliście: „Aż do ostatecznego rozstrzygnięcia zagadnień terytorialnych przy uregulowaniu pokojowym, część granicy polsko-sowieckiej przylegająca do Morza Bałtyckiego (...) będzie przebie-

51. E. Raczyński, „W sojusznictwie Londynie”, Londyn, 1974, str. 311-312.

gała wzdłuż linii od punktu na wschodnim wybrzeżu Zatoki Gdańskiej, oznaczonego na załączonej mapie — ku wschodniej, na północ od miasta Braunsberg-Goldapp (tak w tekście, choć to dwa różne miasta — przyp. autora) do punktu, w którym linia ta zbiega się z linią graniczną opisaną w drugim artykule niniejszej umowy⁵²”.



Podsumowując, granica wschodnia została Polsce narzucona siłą. Stało się to możliwe dzięki umowie Ribbentrop - Mołotow, agresji Hitlera na Polskę, traktatowi z 28 września 1939 roku i wreszcie zwycięstwu ZSSR w wojnie z Niemcami i przeforsowaniu przez Stalina jego własnej imperialnej koncepcji granic w Europie wschodniej. Polska, która pierwsza oparła się terytorialnym żądaniom Hitlera i stała się jego ofiarą, wyszła z drugiej wojny światowej pokonana, tracąc nie tylko pełną niepodległość, ale również ponad połowę swego terytorium z 1939 r. Rekompensata na zachodzie, przyznana Polsce w traktacie poczdamskim, choć wyrównała część strat na wschodzie, kosztowała Polskę dodatkowe obciążenie: gwarantem przynależności Ziem Zachodnich do Polski był przez wiele lat wyłącznie Związek Sowiecki, gdyż państwa zachodnie, które doprowadziły przez krótkowzroczną politykę do niebywałego wzrostu potęgi ZSSR w Europie, wycofały się następnie z gwarancji dla polskiej granicy zachodniej, przyjmując już w układzie poczdamskim nader dwuznaczne określenie praw Polski do ziem nad Odrą i Nysą. W sumie jednak nie utrata ziem wschodnich była najgorszą konsekwencją drugiej wojny światowej dla Polski, lecz utrata niepodległości.

Zmian terytorialnych na wschodzie nigdy nie przedstawiono do akceptacji narodowi polskiemu, gdyż w zdecydowanej większości był im przeciwny. W referendum ludowym z 1946 roku zapytano o uznanie granicy zachodniej, o wschodniej nie wspomniano.

Przynależność ziem wschodnich Polski przedwrześniowej do ZSSR nie ma żadnego uzasadnienia poza siłą. Zamieszkująca je ludność nigdy nie była rosyjska. Były to ziemie wspólne Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców i Żydów. Zmiany terytorialne i przesiedlenie ludności, a także podejmowane na tym terenie akcje eksterminacyjne i podsycane z zewnątrz walki wew-

52. „Sprawa polska...”, *op. cit.*, str. 766.

nętrne ugodziły przede wszystkim w Polaków i Żydów, nie dały natomiast nic ani Litwinom, ani Białorusinom, ani Ukraińcom. Nadal nie decydują oni o swoim losie w totalnym państwie sowieckim, podlegając brutalnemu wyjaławianiu duchowemu.

Dziś, po trzydziestu latach od dokonanego gwałtu, żądanie powrotu tych ziem do Polski wydaje się anachronizmem, gdyż na skutek okrutnych akcji niemieckich i sowieckich zmieniły się tam w zasadniczy sposób stosunki narodowościowe. Główną zmianą było wymordowanie przez Niemców ludności żydowskiej oraz zastąpienie dużej części Polaków przez Rosjan. Mimo to w 1970 roku na Białorusi mieszkało 380 tys. Polaków, na Ukrainie — 300 tys., na Litwie — 230 tys., a na Łotwie 60 tys. osób narodowości polskiej.

Jeżeli dziś ktoś chciałby wysuwać sprawiedliwe rozwiązanie sprawy tych ziem, to przede wszystkim żądać musi demokratyzacji stosunków na Litwie, Białorusi i Ukrainie i wolności dla tych narodów. Powstanie na tych ziemiach ustroju demokratycznego pozwoliłoby zamieszkałym tam Polakom na odzyskanie swobód obywatelskich i zachowanie tożsamości narodowej, Polsce zaś — na kontynuowanie tradycyjnych związków kulturalnych z dawnymi terenami wschodnimi Rzeczypospolitej.

Andrzej ALBERT

DODATEK

„SPRAWA GRANIC”¹

24 lipca 1944

Kiedy zgłosiliśmy się do podpisania umowy w sprawie administracji, wtedy jednocześnie zaproponowano nam podpisanie umowy w sprawie granicy wschodniej. Generał Żymierski nie miał zamiaru brać udziału w tych rozmowach, pragnąc wyjechać

1. „Sprawa granic”, Fragmenty „Dzienników” Edwarda Osóbki-Morawskiego, przewodniczącego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego a następnie Premiera Rządu Tymczasowego i Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. „Dzienniki” nie były dotychczas publikowane.

„na front”, ale ja się na to nie zgodziłem, uważając, że najważniejszy „front” obecnie jest tutaj, na miejscu w Moskwie i wszyscy musimy w tej batalii wziąć udział i odpowiedzialność. Wobec tego generał został na miejscu.

Postanowiliśmy zgłosić poprawki własne do projektu. Były one następujące:

- 1) linia Curzona nie powinna ulec jakimkolwiek poprawkom na niekorzyść naszą,
- 2) rozgraniczenie terenu Prus Wschodnich na część polską i sowiecką powinno uwzględniać większy dostęp do morza od strony polskiej,
- 3) należy wystąpić o korektę linii Curzona, która uwzględniałaby prawo Polski do Puszczy Białowieskiej i ewentualne przyłączenie Lwowa i Zagłębia naftowego do Polski.

Dwa pierwsze postulaty należy przedłożyć na piśmie... trzeci zaś umotywować ustnie podczas rozmowy.

25 lipca 1944

... W dniu dzisiejszym odbyło się jeszcze jedno posiedzenie w sprawie granic Polski.

Morawski, Witos, Grubecki, Drobner, Rola i Minc, którzy pertraktowali w sprawie granic, zgodnie stwierdzili, że to co osiągnięto było maksimum tego, co można było osiągnąć. Dalsze żądania mogły w ogóle grozić zerwaniem rokowań. Ustępstwo odnośnie Puszczy Białowieskiej należy uznać w tych warunkach za sukces.

PKWN przyjął do zatwierdzającej wiadomości projekt granic i do podpisania umowy upoważnił przewodniczącego. Przy podpisaniu umowy winni wziąć udział: Witos, generał Rola i dr Drobner.

Rozmowy w sprawie granic odbywały się w dramatycznych niemal warunkach. Kiedy Komisarz Mołotow przedstawił nam swój projekt, wtedy nie chcieliśmy go na razie w ogóle rozpatrywać, twierdząc, że wymaga on wnikliwych studiów. Wtedy Mołotow krótko odparł, że sprawa tak zwanej linii Curzona jest dobrze wszystkim znana. Rząd Sowiecki uzależnia podpisanie umowy o administracji od równoczesnego podpisania umowy o granicach.

Orientując się, że w ZSRR o wszystkim ważniejszym decyduje sam Marszałek Stalin, nie uważaliśmy za wskazane prowadzić jakiejś dyskusji z Mołotowem i prosiliśmy o rozmowę ze Stali-

nem. Uczyniono zadość naszej prośbie i zostaliśmy przyjęci przez Marszałka Stalina.

Rozmowa zaczęła się bardzo nieprzyjemnie. Marszałek Stalin z gniewem zagał: „O co tam jeszcze idzie? Czy Chełmszczyzna ma do nich należeć czy do nas?”.

Rozpoczęliśmy szczegółowe rozmowy. Powoli atmosfera się uspokajała. Zaczęliśmy argumentację naszą, że w Polsce liczone ogólnie na całe Prusy Wschodnie. Żeby odłączyć Królewiec z nich do ZSRR nie trzeba aż tyle, ile przewiduje projekt, odcinać z nich terenu. Marszałek Stalin zgodził się na zmianę w tym rejonie. Następnie zgodził się na zmianę kosztów terenów odłączonych do Litwy w rejonie suwalskim i augustowskim. Również ustąpiono tu i ówdzie na ścianie wschodniej, jakieś małe punkty. Wskazywaliśmy jeszcze na stację rozjazdową Chyrów, która zostawała po stronie sowieckiej, co przecinało nam dwie linie kolejowe. Zupełnie do dziś dnia nie rozumiem dlaczego na tym punkcie Rosjanie byli tak nieustępliwi. Jeszcze prezydent Bierut będzie w przyszłości próbował walczyć o Chyrów i nic nie uzyska, a narazi się osobiście na duże przykrości z tego powodu.

Żeby nam „osłodzić” gorzką pigułkę, jaką była walka o granice wschodnie, Marszałek Stalin nawiązał do sprawy granicy zachodniej i poinformował nas co postanowiono w Teheranie na ten temat. Do linii teherańskiej zgłosiliśmy zastrzeżenia, że jest ona niepotrzebnie za długa, ponieważ biegnie nieregularnie. Wyprostowanie jej zmniejszyłoby naszą granicę z Niemcami z ca 1000 do ca 500 kilometrów, co byłoby łatwiejszym do jej obrony. Ten strategiczny argument bardzo przekonywał Marszałka Stalina. Przecież nawet od strony wschodniej Związek Radziecki swoją granicę wytyczał z uwzględnieniem momentów strategicznych, kiedy zostawił po swojej stronie wszystkie twierdze, jak Królewiec, Grodno, Brześć, Lwów.

Marszałek Stalin grubym czerwonym ołówkiem nakreślił nową granicę zachodnią na mapie, która stała się niebawem naszą rzeczywistością.

Gdy już dyskusja o granicach zdawała się wyczerpana, zabrałem głos w sprawie obiecanych poprawek linii Curzona na korzyść Polski i argumentowałem następująco:

1) Naród Polski oczekuje jakiejś poważniejszej poprawki linii Curzona, 2) są trzy możliwe takie poprawki, które miałyby jakiś poważniejszy wydźwięk. Ja wymienię jedną z nich, wydaje się najskromniejszą, mianowicie Puszczę Białowieską. Związek Radziecki wielokrotnie podkreślał, że nie zależy mu na powiększa-

niu terenów swego państwa, a tylko na uporządkowaniu sprawy narodowości ukraińskiej i białoruskiej. W wypadku Puszczy ten problem nie występuje. Puszcza Białowieska, która była naszym parkiem narodowym, ma dla Polski duże znaczenie psychologiczne. Polska ma bardzo zniszczone i wycięte lasy. Wreszcie Hajnówka ze swoim przemysłem drzewnym bez zaplecza surowcowego byłaby dla nas martwym punktem. Dlatego apelujemy usilnie, aby Puszcza Białowieska została przy Polsce. Marszałek Stalin ani słuchać nie chciał o tym i wzywał nas do kończenia rozmów.

Wtedy poprosiłem o chwilę przerwy w obradach celem naradzenia się polskiej delegacji. Wyszliśmy do sąsiedniej sali, gdzie oświadczyłem pozostałym towarzyszom, że jeżeli Związek Radziecki nie ustąpi nam w sprawie Puszczy, to ja kategorycznie podaję się do dymisji jako przewodniczący Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, gdyż nie znajdę w sobie wtedy dostatecznej ilości sił duchowych i wewnętrznego przekonania, żeby propagować przyjaźń polsko-radziecką. Nie widzę żadnych racji, aby Puszczę odłączać od Hajnówki i Polski, bo żubry i inne zwierzęta nie mają przynależności narodowej.

Pozostali delegacji wyrazili mi swoje zadowolenie, że w końcowej dyskusji nie poruszyłem sprawy Lwowa, który to wniosek wobec stanowiska Rosjan mógłby być uważany za „prowokacyjny”.

Postanowiliśmy, że jeszcze raz postawimy sprawę Puszczy, dziękując za inne uzyskane poprawki. Tym razem, żeby wykazać, że nie tylko jeden Osóbka Morawski jest „uparty” w sprawie Puszczy, miał referować sprawę generał Rola Żymierski.

Tak jak postanowiliśmy nastąpiło. Generał Rola Żymierski podziękował Marszałkowi Stalinowi za dotychczas poczynione ustępstwa terytorialne i prosił o ponowne wzięcie pod rozwagę naszych argumentów w sprawie Puszczy.

W czasie gdy przemawiał generał Rola Żymierski Stalin wnikliwie przyglądał się mojemu ponuremu nastrojowi, w jakim się znajdowałem, wydaje mi się jak gdyby badał, czy ja istotnie wykonam groźbę dymisji w razie nieuwzględnienia polskiego postulatów. Jestem przekonany bowiem, że nasza rozmowa z sąsiedniego pokoju była mu znana (aparaty podsłuchowe).

Gdy generał Rola Żymierski skończył, Stalin odezwał się w sposób następujący: „Cóż ja z Wami pocznę!? — No, muszę się najpierw porozumieć z moimi Białorusinami...”.

Rozmowa została przerwana, a my wróciliśmy do swego lokalu w ZPP i oczekiwaliśmy z niecierpliwością na wiadomości z Kremla. Po upływie może pół albo najwyżej godziny dzwoni telefon. Komisarz Mołotow prosi mnie do aparatu i zawiadamia telefonicznie, że Marszałek Stalin wyraził zgodę na przekazanie połowy Puszczy Polsce łącznie z Białowieżą. Komisarz Mołotow gratuluje mi poza tym odniesionego sukcesu. Przypomniałem sobie oświadczenie sowieckiego urzędnika w Białymstoku w 1939 roku, że „u nas nie daje się tyle ile się prosi” i pomimo rzekomego „sukcesu” nie widziałem powodu do wielkiej radości; liczyłem choćby na całą Puszcze Białowieską, a nie jej połowę.

Innego zdania byli moi Towarzysze, którzy byli bardzo radzi i gratulowali mi osobistego sukcesu. Nie widziałem innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z rzeczywistością. Zaakceptowaliśmy na posiedzeniu nową granicę wschodnią.

16 sierpnia 1945

W Moskwie podpisaliśmy następujące umowy:

- a) o granicy polsko-sowieckiej,
- b) w sprawie wynagrodzenia szkód wyrządzonych przez okupację niemiecką oraz postanowienie o utworzeniu komisji mieszanej do spraw reparacji.

Umowy podpisywaliśmy w bardzo złym nastroju Generalissimusa Stalina. Termin podpisania spóźnił się o kilka godzin, gdyż nie mogliśmy uzgodnić sprawy wyjścia naszych i obcych statków na morze z portu i do portu Elbląskiego. Proponowaliśmy wiele poprawek — nadaremnie. Generalissimus Stalin był bardzo zły na nas i podpisanie nie odbyło się u niego, lecz w gabinecie Komisarza Mołotowa. Stalin, choć oczekiwał na ten akt kilka godzin — przyszedł jednak. Swą złość wyładował na osobie Prezydenta Bieruta, który jeszcze usiłował mówić o spornej sprawie wyjścia na morze. „Szpiegów chcecie nam nadsyłać” — powiedział Stalin ostro odnośnie naszej propozycji, żeby także obce statki mogły przybywać do portu w Elblągu.

Stalin nie wygłosił także żadnego przemówienia przy podpisaniu i podczas przyjęcia po podpisaniu zachowywał się milcząco, jak zresztą na ogół tym razem wszyscy zebrani. Ja jednak postanowiłem swoje przemówienie okolicznościowe wygłosić i było ono jednostronnie opublikowane.

17 sierpnia 1945

Do Warszawy powróciła polska delegacja rządowa.

Osóbka Morawski referuje na R.M.: „Nasz przewlekły pobyt w Moskwie był ze względu na skomplikowany czas, w jakim toczyły się nasze rozmowy... Jeśli chodzi o sprawę granic wschodnich, to w zasadzie została ona ustalona w ubiegłym roku. W umowie zeszłorocznej, której jeszcze nie ogłosiliśmy... były nie tylko w zasadzie ustalone granice wschodnie, ale też zawarta była gwarancja Związku Radzieckiego dla uzyskania naszych granic na Nysie, Odrze i Bałtyku. Wobec tego, że granice zachodnie były teraz faktycznie ustalone przez trzy mocarstwa, nam nie było wygodne ogłaszanie poprzednio zawartej umowy, ponieważ wobec sojuszników mogło wyglądać, że Związek Radziecki sam tylko nam te granice oddał. Dlatego było nam lepiej zawrzeć umowę, tym bardziej, że poprzednia nie była ogłaszana i nie precyzowała ściśle sprawy granic.

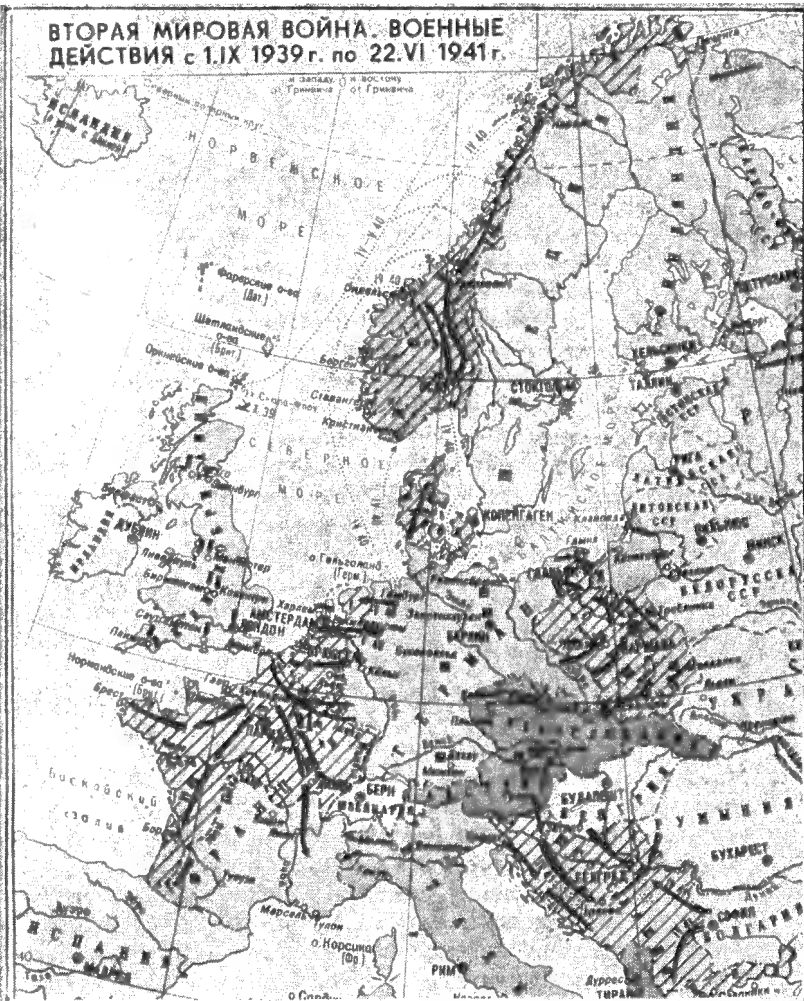
Również motywem, że należało zawrzeć umowę był fakt pewnych przeobrażeń w naszych stosunkach wewnętrznych. Wtedy zawierał umowę PKWN, który był uznany właściwie tylko przez Związek Radziecki. Teraz jest Rząd Jedności Narodowej uznany przez wszystkie państwa.

Przy okazji zawierania umowy nasi eksperci usiłowali przeprowadzić pewną korektę granic na naszą korzyść... Sądzę, że gdyby obecnie zawierało się umowę o granicach, to nie lepsze warunki, a może nawet byłyby pewne na niekorzyść naszą punkty. Dobrze więc według mnie się stało, że wtedy tę sprawę załatwiliśmy. Tym niemniej cały szereg punktów wysunęliśmy na podstawie uwag naszych ekspertów, odnośnie korekty granic... Poradzono nam, by lepiej w naszym interesie nie pretendować do zmian, ze względu na to, że Najwyższa Rada te sprawy załatwia... Do protokołu została zrobiona nowa mapa w skali 3 razy dokładniejszej i przy przeprowadzaniu zmiany osiągnęliśmy pewne poprawki na naszą korzyść...”.

PPN nr 40, marzec 1980.

Zamieszczamy dalej reprodukcje map ze szkolnego atlasu sowieckiego. Pierwsza z nich świadczy, że według oficjalnej wersji sowieckiej już 1 września 1939 roku Polska obejmowała tylko obszary, które w październiku tegoż roku znalazły się pod okupacją niemiecką. Druga — że przyłączenie do Polski okręgów białostockiego i przemyskiego zostało postanowione dopiero w sierpniu 1945 roku. Warto też zwrócić uwagę, jakim krajom przypisuje to wydawnictwo czynny udział w ruchu oporu przeciwko Niemcom.

**ВТОРАЯ МИРОВАЯ ВОЙНА. ВОЕННЫЕ
ДЕЙСТВИЯ с 1.IX 1939 г. по 22.VI 1941 г.**



**ПАЊСТВА, КТОРЕ БЫЛИ ОБЪЕКТОМ НАПАЊИ АГРЕЊОРОВ
И ТЕРЫТОРИА, ЗАЪЕТО ПО 1 ВРЪЗЪНЬА 1939 ДО 22
ЧЪРЪВНА 1941.**



МЪЕЪСЪА ПЪЕРЪВЪШЪХЪ ВЪСТЪПЪЕНЪ СЪЕ РЪХЪУ ОПОРУ

**АТЪЛЪСЪ НЪАЪНОВЪШЪЕЪ ХЪИЊОРИИ ПОВЪШЪЕЪХЪНЪЕЪ ДЪЛЪА КЪЪАЊ 9 И 10. ВЪ
ЗЪЊРЪ. РЕПРОДУКЪЦЪА СТЪОНЪ 7 И 11.**

**ТЕРРИТОРИАЛЬНЫЕ ИЗМЕНЕНИЯ В ЕВРОПЕ
ПО РЕШЕНИИМ КРЫМСКОЙ, ПОТСДАМСКОЙ
КОНФЕРЕНЦИЙ И ДОГОВОРАМ, ЗАКЛЮЧЕН-
НЫМ ПОСЛЕ ВТОРОЙ МИРОВОЙ ВОЙНЫ**

Масштаб 1:18 000 000 (в 1 см 180 км)
180 0 180 км



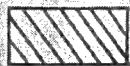
ТЕРИТОРИЯ ПРИЗНАНА ПРЗЕС КОНФЕРЕНЦИЈ В ПОЦДАМИЕ:



ПОЛСЦЕ



ЗСРР



**ТЕРИТОРИЯ ПРИЗНАНА ПОЛСЦЕ НА ПОДСТАВІЕ УМО-
ВЫ МІДІДЫ ЗСРР А ПОЛСКА ОД 16 СІЕРПНІА 1945**

ГЛАВНЫ УРЗАД ГЕОДЕЗІІ І КАРТОГРАФІІ ПРІ РАДІЕ МІНІСТРІВ

Stanisław SWIANIEWICZ

REFLEKSJE GEOPOLITYCZNE

Stefan Kisielewski ogłosił w piśmie *Res Publica*, wydawanym w kraju poza cenzurą, artykuł pt. „Czy geopolityka straciła znaczenie”. Artykuł rozważa w sposób ciekawy szereg problemów psychologiczno-politycznych i wysuwa między innymi przypuszczenie, że byłoby pożądane powstanie jakiejś grupy polskiej, która nie będąc komunistyczną, byłaby jednocześnie prosowiecka i wzbudzała zaufanie władców Związku Sowieckiego. Artykuł wywołał zainteresowanie szeregu ludzi. Dla mnie osobiście idea ta nie jest całkiem nowa. W czerwcu 1942 roku wykładał mi jej racje Ksawery Pruszyński, gdy obydwa po ciężkich przeżyciach (Ksawery był w stanie rekonwalescencji po dopiero co przeżytym tyfusie plamistym) nieraz wygrzewaliśmy się na plaży nad Wołgą naprzeciwko Kujbyszewa. Niedługo po tych dyskusjach Ksawery zabrał się do pisania swojej książki o Wielopolskim. Były to jednak idee dość dalekie od geopolitycznej problematyki, tak samo jak daleki od niej wydaje mi się wzmiankowany artykuł Kisielewskiego.

W poniższym szkicu staram się rozważyć obydwie idee poruszone przez Kisielewskiego: 1) pojęcie geopolityki, 2) koncepcje prosowieckich antykomunistów.

Geopolityka

Geopolityka jest metodą interpretacji zjawisk politycznych w przeszłości i teraźniejszości ze szczególnym uwzględnieniem geograficznej pozycji badanego terenu. Geopolitycy są skłonni

do poglądu, że czynniki naturalne, tzn. geograficzne i biologiczne, determinują bieg historii. Geopolityczny pogląd na historię wykazuje pewne pokrewieństwo zarówno z darwinowskim determinizmem jak i z teorią materializmu dziejowego.

Historia jest oczywiście produktem szeregu czynników, z których pozycja geograficzna jest tylko jednym. Rola poszczególnych czynników uwidocznia się zależnie od perspektywy czasowej, w której chcemy ująć nasze rozważania. Teoria materializmu historycznego wysuwa na pierwszy plan rolę czynników ekonomicznych, a przede wszystkim antagonizmów klasowych. Może to wytłumaczyć wiele, lecz na względnie krótką metę dziejów kilku pokoleń. Gdy chodzi o tysiąclecia, wysuwają się inne czynniki. Arnold Toynbee w swoich 12 tomach dziejów powszechnych ujmując historię ludzkości w kategoriach dziejów wielkich religii. Lecz rozpowszechnianie się tych religii zależało w dużym stopniu od czynnika geograficznego.

Zainteresowanie geopolityką rozwinęło się ogromnie w Niemczech w okresie pierwszej wojny światowej. Uniwersytet Monachijski utworzył wówczas specjalną katedrę dla studiów problemów geopolitycznych, na którą powołano generała Karola Haushofera (1869-1946). W 1924 roku powstało w Niemczech specjalne czasopismo naukowe poświęcone tym problemom, *Zeitschrift für Geopolitik*. W latach dwudziestych o rozwoju tego ruchu słyszałem sporo od Władysława Studnickiego, który bardzo interesował się pracami Haushofera i zdaje się był pod pewnym ich wpływem. W 1931 roku powstało *Arbeitsgemeinschaft für Geopolitik*, w którym wzięła udział pewna ilość narodowych socjalistów. Rudolf Hess w szczególności był z tym ruchem związany i wprowadził Hitlera w problematykę geopolityczną*. W 1938 roku zarysował się konflikt pomiędzy teoriami Haushofera a narodowym socjalizmem. W 1945 roku hitlerowcy zamordowali syna Haushofera, który również był w Berlinie profesorem geografii. W 1946 roku Karl Haushofer i jego żona popełnili samobójstwo.

Doktryna geopolityki wywarła poważny wpływ na klimat intelektualny Europy pomiędzy wojnami. Słowo *Lebensraum* jest terminem z arsenału geopolityków. W związku z ruchem geopolityki był również ruch *Mittleuropa*, na którego czele stał Frederik Naumann, pastor luterński i poseł do Reichstagu. Podczas pierwszej wojny światowej był on gorącym zwolennikiem odbudowania niepodległego państwa polskiego i pozostawał w

* William L. Shirer *The Rise and Fall of the Third Reich*, str. 47, A. Fawcett Crest Book, 1980.

kontakcie z Władysławem Studnickim. Po wojnie był on jednym z autorów konstytucji Republiki Weimarskiej.

Pomiędzy wojnami do problematyki geopolitycznej nawiązywał również ruch paneuropejski, którego centrala była w Wiedniu. Po II wojnie światowej geopolityka stała się niemodna ze względu na jej popularność wśród publicystów hitlerowskich. Teraz ten termin wraca znowu na łamy wydawnictw zachodnich i jest używany w najróżnorodniejszych znaczeniach, co zaciemnia jego sens. Kisielewski, pisząc swój artykuł, był prawdopodobnie pod wpływem obecnej mody.

Odwołanie się do geopolitycznej analizy nabiera jednak istotnego znaczenia gdy chce się zrozumieć własną przeszłość i odróżnić rzeczy istotne od przejściowych nastrojów i hasel wnoszących zamieszanie do interpretacji własnej historii.

Równina euroazjatycka

Podstawową cechą geograficznej pozycji Polski jest to, że znajduje się ona na wielkiej euroazjatyckiej równinie, która ciągnie się od płaskowyżu Mongolskiego aż do brzegów Atlantyku. Równina ta przez tysiąclecia stanowiła teren wędrówki ludów pchających się na zachód, gdzie ziemia jest urodzajna i klimat względnie umiarkowany. Ci przybysze, którzy znaleźli się w zasięgu Imperium Rzymskiego przyjęli chrześcijaństwo i wytworzyli to, co nazywamy dziś cywilizacją europejską.

Równina ta w pewnym miejscu poważnie się zwęża, tworząc jakby szeroki przesmyk pomiędzy Bałtykiem na północy a pasmem Alp i Karpat na południu, stanowiąc jakby bramę do Europy zachodniej, reprezentującej łacińską cywilizację. Na tym przesmyku siedzą Niemcy, Polacy i Czesi. Polska otrzymała Ewangelię przed tysiącem lat z Czech i Niemiec i przez to weszła do rodziny narodów europejskich. Ten przesmyk to właśnie Europa środkowa. To co dziś nazywamy cywilizacją europejską jest w dużym stopniu produktem ścierania się rzymskiego katolicyzmu z Reformacją. Wszystkie narody środkowoeuropejskie przeszły przez konwulsje zrodzone z tego starcia.

Geopolityczna sytuacja zrodziła również dwa odgałęzienia Europy środkowej. Jedno to są Węgry, które łączyły się z niemiecko-polsko-czeskim terenem poprzez bramę Morawską; a drugie to kraje bałtyckie na północny wschód od Polski, dokąd środkowoeuropejską cywilizację przyniosły zakony rycerskie oraz Hanza. Wpływy Hanzy sięgały do bogatej republiki kupieckiej Wielkiego Nowgorodu, która swymi agencjami handlowymi obej-

mowała całą północ dzisiejszej Rosji, zamieszkałą wówczas przez różne szczepy ugrofińskie. Niemczyzna już od XII wieku wywierała wielki wpływ na życie tych terenów, które stanowią dziś Łotwę i Estonię. Piętno to było widoczne niezależnie od wszelkich zmian politycznych przez prawie 8 wieków, aż do pierwszej wojny światowej. Jeszcze na początku obecnego stulecia, w latach mego wczesnego dzieciństwa, gdy matka zabierała mnie do Rygi i pokazywała różne architektoniczne zabytki, było to miasto zewnętrźnie zupełnie niemieckie, chociaż większość ludności stanowili Łotysze.

Na wschód od granic Polski piastowskiej dolina euroazjatycka znacznie się rozszerza, sięgając brzegów Morza Białego i Oceanu Lodowatego na północy, a Morza Czarnego, gór kaukaskich oraz Morza Kaspijskiego na południu. Jest to Europa wschodnia, teren wschodniej Słowiańszczyzny, która otrzymała chrześcijaństwo z Bizancjum. Było to jednocześnie przedpole cywilizacji europejskiej. Gdy fale najazdów uderzały ze wschodu, Słowiańszczyzna ruska te fale zatrzymywała: ani Pieczeniedzy, ani Połowcy nie doszli do Europy środkowej. Podczas najazdów tatarskich rola militarnych organizatorów przedmurza Europy przypadła pogańskim wielkim książętom litewskim Gedymininowi, Olgierdowi, Jagielle i Witoldowi, którzy podporządkowali sobie zachodnio-ruskie księstwa, opierając południowe granice tej formacji, którą nazywamy Wielką Litwą, o Morze Czarne, podczas gdy wschodnio-ruskie księstwa stały się satelitami tatarskimi.

Gdy Jagiellonowie zasiedli na tronie polskim, Polska straciła swój wyłącznie środkowoeuropejski charakter i stała się mocarstwem wschodnioeuropejskim, w którym znaczna część ludności należała do wschodniego chrześcijaństwa. Unia polsko-litewska przysłała w czasie, gdy zaczynał się już rozkład potęgi tatarskiej; rosła jednak siła Moskwy, satelity tatarskiego, który, wysługując się chanom tatarskim, „zbierał” jednocześnie ziemie ruskie; szczególnie wyraz znalazło to w polityce Iwana Kality (1325-1341). Tatarzy nie byli barbarzyńcami. Można się było od nich wielu rzeczy nauczyć w zakresie sztuki wojennej. Mieli duże talenty organizacyjne, szczególnie w zakresie organizacji podatkowej. Na wyższych szczeblach swojej administracji zatrudniali wykształconych Ormian, Arabów a prawdopodobnie również Gruzinów. Gdy Stalin wprowadzał kolektywizację, aby w okresie wielkich braków materiałowych stworzyć aparat kontrolujący podział produktów rolnych, stosował zasady organizacji tatarskiej, upiększając je girlandami marksistowsko-leninowskiej scholastyki. Tatarzy zachęcali swoich satelitów do agresji wobec zachodnich

sąsiadów. Wspaniałe zwycięstwa Aleksandra Newskiego nad Szwedami oraz Kawalerami Mieczowymi (XIII wiek) były osiągnięte przy życzliwym stanowisku chanów tatarskich. Przeszkolenie tatarskie uczyło jak budować potęgę na bezwzględnej eksploatacji ludności poddanej.

Unia z Polską była w owym momencie Litwie potrzebna, aby zabezpieczyć sobie tyły dla nieuniknionej rozprawy o spadek po imperium tatarskim. Grunwald, który przyszedł w dwadzieścia lat po Unii Krewskiej, był niewątpliwie wspaniałym wyczynem oręża polskiego i demonstracją siły rodzącego się dopiero imperium jagiellońskiego. Lecz w przedstawianiu bitwy grunwaldzkiej jako generalnej rozprawy pomiędzy światem słowiańskim a germańskim jest dużo przesady. Zwycięstwo grunwaldzkie zabezpieczyło władanie Litwy na Żmudzi a Polski na Pomorzu, lecz wkrótce potem przysłała normalizacja. Stosunki handlowe i kulturalne nie zostały zerwane. Politycznie Zakon nie wszedł w skład Rzeszy Niemieckiej, a niemieckie mieszczaństwo Gdańska, Torunia i Elbląga szukało opieki króla polskiego przeciwko uciskowi władz Zakonu. Jagiełło nie wykorzystał wszystkich militarnych możliwości, które dawało zwycięstwo grunwaldzkie. Litwa bowiem nie była zainteresowana w likwidacji państw zakonnych. Były one, a w szczególności państwo Kawalerów Mieczowych, dla Litwy ważne jako zabezpieczenie lewego skrzydła w nieuniknionych starciach o panowanie nad wschodnioeuropejską równiną. Gdy jeszcze przed rozprawą grunwaldzką Witold siedł nad Worskłą (1399), maszerowały pod jego dowództwem również zastępy rycerstwa polskiego, a także zastępy rycerzy zakonnych, których większość poległa w tej dramatycznej bitwie, mającej zapewnić Litwie panowanie nad całością wschodnioeuropejskiej równiny.

Po Grunwaldzie stosunki handlowe rozwijały się intensywnie i wielu Niemców osiedlało się na ziemiach Polski i Litwy. W Wilnie powstała duża dzielnica niemiecka, zniszczona podczas najazdu moskiewskiego w połowie siedemnastego wieku, lecz potem częściowo odbudowana. Niemiecka rzymsko-katolicka parafia istniała w Wilnie jeszcze w 1939 roku. Kościołem parafialnym był kościół św. Anny, perła architektury gotyckiej. Czasy rozkwitu Rzeczypospolitej nie znały nacjonalizmu lingwistycznego i wielkość monarchii Jagiellonów wyrażała się w dźwiękach polskiej, ruskiej i niemieckiej mowy, nie mówiąc oczywiście o łacinie jako języku wielu aktów prawnych.

W XV wieku Jagiellonowie musieli wzrok swój zwrócić na południe i zachód, na sprawy czeskie i węgierskie, a również

na nową groźbę turecką; spowodowało to odwrócenie uwagi od walki o panowanie na równinie wschodnioeuropejskiej. Dopuścili więc do likwidacji przez Iwana III bogatej i związanej z Hanżą kupieckiej republiki nowgorodzkiej. Moskwa stała się gospodarem kolosalnych obszarów lasów i błot, stanowiących północną część wielkiej równiny euroazjatyckiej i słabo zamieszkałych przez różne szczepy ugrofińskie, oraz otworzyła sobie drogi handlowe przez Morze Białe. Stanowiło to ogromny krok naprzód na drodze do pełnego panowania Moskwy nad całością wielkiej równiny euroazjatyckiej. Batory w pewnym stopniu starał się naprawić ten błąd Jagiellonów, biorąc pod opiekę Rzeczypospolitej domeny Kawalerów Mieczowych i zatrzymując pochód Moskwy na zachód na 150 lat.

Wprowadzając na tron Rzeczypospolitej Wazów Polska wdała się w wewnętrzne zatargi religijne w Szwecji. Przyszedł katastrofalny okres wojen szwedzkich. Unia z Polską straciła dla Litwy sens, co stało się jasne dla bystrzejszych umysłów pośród panów litewskich (jak np. Janusz Radziwiłł). Wówczas też przyszła pierwsza okupacja Wilna przez wojska moskiewskie i chociaż najeźdźcy zostali odrzuceni, ścieżki do pełnej okupacji Wielkiego Xięstwa Litewskiego już zostały wydeptane.

Marsz Moskwy na zachód został wznowiony przez Piotra Wielkiego w sposób dość paradoksalny, bo w sojuszu z Rzeczypospolitą. Za Sasów Polska stała się faktycznie satelitą rosyjskim. Racje stanu Rzeczypospolitej reprezentował na wygnaniu Stanisław Leszczyński. Formalna likwidacja niepodległości Rzeczypospolitej stała się kwestią czasu.

Niedługo po rozbiorach Polski zaczęła się epopea napoleońska, w trakcie której w pewnej chwili zostało zakwestionowane panowanie Rosji na wielkiej wschodniej równinie. Napoleon przegrał i w rezultacie Aleksander I stał się arbitrem losów Europy.

W nieco więcej niż sto lat po wojnach napoleońskich, bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej i w trakcie konwulsji rewolucji rosyjskiej wytworzyła się sytuacja, która pozwoliła Józefowi Piłsudskiemu w oparciu o bagnety dopiero powstającej armii polskiej zakwestionować panowanie rosyjskie przez projekt stworzenia na równinie środkowowschodniej Europy kilku niepodległych państw. Kluczowe znaczenie miał oczywiście projekt stworzenia niepodległej Ukrainy. Masy ludowe na Ukrainie zadnieprzańskiej nie miały jednak wówczas jeszcze wpojonej idei własnego niepodległego państwa. Myślenie ogromnej większości

Polaków i Litwinów było naznaczone skrajnym nacjonalizmem. Wyjątkowa sytuacja historyczna została zmarnowana.

W dwadzieścia lat potem Hitler rozpoczął drugą wojnę światową, aby zdobyć dla siebie pozycję gospodarza całej euroazjatyckiej równiny. Cała strategia i dyplomacja mocarstw zachodnich podczas drugiej wojny światowej zmierzała do tego, aby oddać pod zwierzchnictwo sowieckie całą wschodnioeuropejską równinę a także znaczną część Europy środkowej.

Polacy zostali ze wschodniej Europy wyrzuceni. Przez prawie pięćset lat polskość odgrywała dużą rolę w całej Europie środkowowschodniej. Wpływów polskich nie zniszczyły ani rozbiory, ani nawet represje popowstaniowe. Dopiero druga wojna światowa zmiotła bazy polskości w tej części Europy. Jest rzeczą bardzo mało prawdopodobną aby te terytoria, które na wschodzie należały do II-giej Rzeczypospolitej miały kiedyś wrócić pod suwerenne władanie Polski. Społeczną bazę polskości na tych ziemiach stanowiło ziemiaństwo i inteligencja zawodowa. Obie te warstwy społeczne zostały prawie doszczętnie zniszczone przez najazdy sowieckie. Dzisiaj mniejszość polska tam, gdzie utrzymała się jakieś skupiska polskie — to robotnicy i drobni urzędnicy.

Deportacje i przesiedlenia na ogromną skalę sprawiły, że Polacy stali się wyłącznie narodem środkowoeuropejskim. Wrócili więc w pewnym stopniu do swego geopolitycznego ułożenia z czasów Mieszka I. Polska dzisiejsza jest satelitą sowieckim, lecz geopolitycznie jest zbliżona do sytuacji, w której się znajdowała w zaraniu swojej historii.

Geopolityka a regionalizm

Z rozważań powyższych wynika, że polskość w ciągu 600 lat po Unii Krewskiej oraz 650 po obsadzeniu przez Kazimierza Wielkiego Grodów Czerwieńskich przeszła przez pewnego rodzaju cykl i jest dzisiaj geopolitycznie w punkcie wyjściowym.

Powstaje z natury rzeczy pytanie, jakie w tej sytuacji winny być aspiracje narodu polskiego. W świecie dzisiejszym istnieje tendencja do rozważania wielkich problemów światowych w kategoriach regionalnych powiązań i ugrupowań. Pierwszy zeszyt *Foreign Affairs* z 1980 roku publikuje na czołowym miejscu artykuł Peter Jaya, byłego ambasadora Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie, pt. „Regionalizm a geopolityka”, zresztą odnoszący się przeważnie do spraw pozaeuropejskich. Europa środkowa byłaby właśnie potencjalnym terenem, na którym mogłyby

wystąpić tendencje regionalistyczne, ale to mogłoby się zdarzyć tylko wówczas, gdyby nacisk sowiecki ustał albo zmienił swój charakter. Zadaniem obecnego pokolenia jest przygotowanie podłoża psychologicznego dla nich przez zbliżenie się do Niemców i Czechów, zatarcie zadawnionych urazów, wytworzenie wspólnych zainteresowań, uświadomienie sobie tego co łączy wbrew temu co dzieli itd. Sądząc z tego co pisze poza cenzurą prasa krajowa, wielu ludzi w Kraju te problemy sobie dobrze uświadamia. Utworzenie takiego środkowoeuropejskiego regionalnego ugrupowania oznaczałoby powrót Polski do rodziny narodów europejskich.

Powstanie postulowanego przez Kisielewskiego typu pro-sowieckiego antykomunisty zwiększyłoby ilość przeszkód na tej drodze, chociaż mogłoby prowadzić do zmniejszenia presji w stosunkach wewnętrznych PRL.

Globalna rozgrywka a Polska

Powyższe rozważania dotyczą konsekwencji geopolitycznej pozycji Polski w przeszłości i teraźniejszości. W skali światowej najważniejszym geopolitycznym faktem wydaje się obecnie istnienie na północ od Himalajów owej przeludnionej wschodnio-azjatyckiej kotliny, gdzie 900 milionów ludzi smaży się we własnym sosie. Ten fakt musi chyba dominować nad umysłami strategów sowieckich. Operacja afganistańska jest prawdopodobnie ogniwiem w ich dalekosiężnej strategii okrążenia tej kotliny.

Obsadzenie Afganistanu jest zajęciem pozycji wyjściowej dla jakiejś akcji. Tak samo było z obsadzeniem Czechosłowacji przez Hitlera w początku 1939 roku. W jakim kierunku pójdzie następne posunięcie Związku Sowieckiego trudno przewidzieć. Może to być obsadzenie Sinkiangu lub Mandżurii, co może oznaczać nowy rodzaj wojny wietnamskiej w Azji. Należy przypuszczać, że sprawa Zatoki Perskiej w celach sowieckich jest raczej na drugim planie.

Jakkolwiek kierunek Sowiety wybiorą, jest prawdopodobne, że w ich interesie będzie leżała *neutralizacja Europy* w tej globalnej rozgrywce. Jeżeli w toku wydarzeń rozpadnie się NATO, może powstać zjednoczona komenda francusko-niemiecka obejmująca również *force de frappe*. Niektórzy analitycy amerykańscy (np. Richard Pipes) przypuszczają, że Sowiety będą uważali taką ewolucję za bardziej niepomysłną dla siebie niż kontynuacja NATO.

Jeżeli w końcu istotnie taka wspólna francusko-niemiecka komenda powstanie, Sowiety mogą być zmuszone do układów. O przyszłych losach środkowej Europy, w tym i Polski, zadecydują rozmowy pomiędzy Bonn i Paryżem z jednej strony a Moskwą z drugiej strony.

Powstać wówczas może pytanie, gdzie są właściwie polityczne granice Europy: czy stanowią je wschodnie czy też zachodnie granice Polski. Istnienie pewnej ilości Polaków, którzy, będąc zasadniczo przeciwni ustrojowi socjalistycznemu, chcieliby jednak szukać bezpieczeństwa narodowego pod skrzydłami Imperium sowieckiego, byłoby ze strony sowieckiej argumentem za utrzymaniem sowieckiego panowania nad częścią Europy środkowej. W ten sposób rozważany przez Kisielewskiego typ prosowieckiego antykomunisty może oddać Związkowi Sowieckiemu realną przysługę w zbliżającym się globalnym zamieszaniu.

Stanisław SWIANIEWICZ

Jerzy ŁOJEK

KONSTYTUCJA I FEDERACJA

Ustrojem Rzeczypospolitej, który powstał w oparciu o Konstytucję 3 Maja i inne uzupełniające lub rozwijające Ustawę Rządową akty ustawodawcze Sejmu Czteroletniego, zajmowano się dotychczas niewiele — jakby w przeświadczeniu, że ustrój ten, który istniał zaledwie piętnaście miesięcy, był z góry pozbawiony cech i trwałości z uwagi na sytuację międzynarodową, a więc jest tylko dziedzictwem ideowym, którego od strony polityczno-prawnej analizować nie warto. Całą niemal wiedzę na temat ustroju Rzeczypospolitej po 3 maja 1791 roku zawdzięczamy wnikliwemu studium Bogusława Leśnodorskiego z 1951 roku *Dzieło Sejmu Czteroletniego*. Porządek ustrojowy, jaki wprowadziła do Rzeczypospolitej Konstytucja 3 Maja, wart jest wszelako wnikliwej i wielostronnej analizy, gdyż w ten dopiero sposób ujawnia się istotny sens myśli politycznej pokolenia, które w latach 1788-1792 wprowadziło Polskę i Litwę na drogę walki o pełną samodzielność i niepodległość państwową, o nowy kształt ustrojowy odpowiadający potrzebom epoki. Dzisiaj patrzymy na prace i dzieła Sejmu Wielkiego już z dostatecznego oddalenia historycznego, aby zrozumieć i całą wielkość polityki sejmowej, i liczne pomyłki, które wynikły z prac ustawodawczych tamtych czasów.

Bo że pomyłek tych było wiele, o tym wiemy od dawna. Liczne postanowienia Ustawy Rządowej z dnia 3 maja 1791 nie najszczęśliwiej ukształtowały niektóre elementy życia publicznego. Prawda: miała Konstytucja swój unikalny środek zaradczy, nieznanym innym ustawom zasadniczym, w postaci postanowienia o obligatoryjnej rewizji ustroju Rzeczypospolitej co 25

Powyższy artykuł ukazał się w nrze 5/80 znakomitego miesięcznika *Kontrasty* wychodzącego w Białymstoku. Przedrukujemy go bez wiedzy i zgody autora i redakcji. (Red.).

lat, zgodnie z potrzebami epoki. Ale tak czy owak Rzeczpospolita istnieć miała przez ćwierć wieku w kształcie ustrojowym nadanym jej przez Wielki Sejm. Jest dzisiaj oczywiste, że do największych błędów reformy ustrojowej 1791 roku należało wprowadzenie w Polsce zasady tronu dziedzicznego bez gwarancji istnienia dynastii narodowej — owo, jak nazwał je Tadeusz Korzon jeszcze w 1899 roku, „doktrynerskie, nie poparte żadnymi widokami realnymi gonienie za monarchią dziedziczną bez monarchy”, przy złudnej nadziei wyhodowania sobie własnej dynastii z przyszłego potomstwa nieletniej ówczesznie „infantki polskiej”, Marii Augusty Nepomuceny saskiej. Ale z punktu widzenia ogólnej racji dziejowej trzeba zauważyć także inne błędne koncepcje Ustawy Rządowej. Ich zależność od ogólnego modelu myślenia politycznego epoki skłania do refleksji nad bezzasadnością poczynań reformatorskich z pozoru trafnych, bo odpowiadających „duchowi czasu”, a przecież przez Historię tak prędko później zdezaktualizowanych.

Jedną ze spraw wagi najwyższej, które wszelako umykają uwadze nawet historyków zajmujących się epoką rozbiorów, nie wyspecjalizowanych jednak w problematyce ustrojowo-prawnej, jest zniesienie w 1791 roku federacyjnego ustroju Rzeczypospolitej i zastąpienie go ustrojem państwa jednolitego, państwa wyraźnie i wyłącznie polskiego.

W żadnym artykule Ustawy Rządowej 3 maja 1791 nie ma mowy o zniesieniu podziału Rzeczypospolitej na Koronę i Wielkie Xięstwo Litewskie, jednakże z całego sensu Konstytucji i jej kontekstu wynika bezspornie, iż w roku 1791 nastąpiła ogromnej wagi zmiana ustrojowa państwa. Rzeczpospolita przestała być państwem polsko-litewskim. Stała się, mimo niezmiennego układu stosunków narodowych i wyznaniowych, państwem wyłącznie polskim. W ten sposób zakończona została historia federacji, zapoczątkowanej w 1386 roku i przez cztery stulecia nigdy nie rozszerzonej, chociaż parokrotnie u progu tego rozszerzenia stojącej.

W polskiej publicystyce historycznej związek Polski z Litwą oceniany był rozmaicie i sprzecznie. Nie brakowało sądów, iż wprowadzenie Jagiellonów na tron polski spowodowało przesadne zaangażowanie Polski na wschodzie, z istotną stratą dla interesów polskich na zachodzie. Trudno uznać słuszność tej koncepcji. U schyłku XIV wieku Polska znajdowała się w sytuacji przymusowej z uwagi na nacisk Zakonu Krzyżackiego, a chociaż trudno jest uznać ten nacisk za groźbę dla egzystencji w ogóle państwa i narodu polskiego (na to siły Zakonu były w porównaniu z Polską o wiele za małe), to jednak groziło Polsce zredukowanie do rangi jednego z małych państw Europy środkowej, na miarę — powiedzmy — Królestwa Czech. Decyzja z 1385 roku oddająca rękę Jadwigi wielkiemu księciu Litwy Jagielle rozstrzygnęła o powstaniu w centrum Europy wielomilionowego pań-

stwa, w pewnych okresach obejmującego prawie milion km², którego pozycja mocarstwowa była niewątpliwa przynajmniej od roku 1410 do 1683.

Wszelkie federacje wynikają ze wspólnoty podstawowych interesów państw się jednoczących, ale niosą w zarodku liczne konflikty i powikłania. Możliwość litewskie nie było zainteresowane unią z Polską. Zainteresowana nią była średnia i drobna szlachta, owe tysiące ludzi, którzy przez związek z Polską uzyskali prawa i swobody, o jakich w ówczesnej Europie mało kto mógł nawet marzyć. Przez prawie dwieście lat trwała unia w postaci wyłącznie związku dynastycznego, co prawda coraz trwalszego — aż do chwili, gdy ostatni z naturalnych dziedziców tronu litewskiego Zygmunt August związał oba państwa wieczną unią w Lublinie w roku 1569.

Rzeczpospolita stała się federacją dwóch państw, co prawda tak zjednoczonych w swej egzystencji społecznej, kulturowej i politycznej, że granice między nimi stały się wkrótce fikcją. Zasadniczy problem polegał na tym, że Polska związała się z Litwą niemal mocarstwową, której ekspansja militarna przeniosła panowanie Wilna daleko na wschód, ogarniając wielkie obszary ziem ruskich. W 1569 roku Zygmunt August przyłączył ziemie Ukrainy do Korony, pozostawiając przy Litwie Białoruś, a w wyrażonej zależności od Litwy ciągle jeszcze niecałkiem zjednoczone Inflanty. Unia z Litwą wyniosła Polskę do rangi decydującego współpartnera federacji, która stała się europejskim, a właściwie światowym mocarstwem. W tamtej epoce nie sposób i nie potrzeba było zastanawiać się nad losem wschodnich ziem Rzeczypospolitej w przyszłości, gdy rozwój Wielkiej Rusi rozpoczął kształtowanie wielkiego państwa rosyjskiego. Ale już w połowie wieku XVII sprawa jedności Rzeczypospolitej stała się wielkim problemem, niedostrzeżonym niestety przez ówczesną generację ludzi decydujących o losach państwa.

W wieku XVI Litwa polonizowała się prędko i bez konfliktów wskutek przyjęcia religii chrześcijańskiej w obrządku łacińskim. Inaczej przebiegał rozwój Ukrainy, odziedziczonej przez Polskę po litewskim partnerze, która zachowała obrządek prawosławny, po Unii Brzeskiej 1596 w większości greko-katolicki, mający znaczny wpływ na ukształtowanie odrębności narodowej tego obszaru. Dla Rzeczypospolitej problemem politycznym była przez lata buńczuczna Kozacyzna, prowokująca starcia z Portą Otomańską. Nie dostrzegano roli milionowych rzesz włościańskich i dziesiątków tysięcy szlachty narodowości ukraińskiej, których postępowanie wobec Rzeczypospolitej stawało się coraz bardziej problematyczne.

Jest zastanawiające, że już na przełomie XVI i XVII stulecia Ukraina dojrzała kulturowo i społecznie do roli trzeciego partnera federacji polsko-litewskiej, a przecież możliwości takiego przekształcenia Rzeczypospolitej nikt właściwie nie brał pod

uwagę. Prowokowano natomiast bezmyślnie nowe konflikty, jak choćby przez odmowę dopuszczenia episkopatu ruskiego do uczestnictwa w Senacie Rzeczypospolitej, jak przez próby spodważenia Kozaków, którym przecież tak łatwo było przyznać prawa stanu szlacheckiego... nie byli gorsi od tysięcy „szaraków” z Mazowsza czy Podlasia. Przyszły powstania, z początku — wydawało się — niezbyt groźne. Potem nadszedł tragiczny rok 1648.

Tragedią Ukrainy tamtych czasów był fakt znacznego spolonizowania własnej, ukraińskiej magnaterii, jak choćby Wiśniowieckich, z których największą sławę zyskać miał Jeremi — co konflikt narodowy i wyznaniowy uzupełniało o niebezpieczny aspekt socjalny. Beznadziejna, tragiczna wojna domowa na Ukrainie w latach 1648-1667 była właściwie kresem Rzeczypospolitej mocarstwowej. Od tych czasów, zwłaszcza od roku 1654, gdy Kozaczyzna zwróciła się po raz pierwszy o pomoc i unię do Moskwy, losy Rzeczypospolitej mocarstwowej były już najpewniej przesądzone. Jeszcze nie był samodzielny, jeszcze nie niepodległość i całość terytorium na obszarze ponad 700 tysięcy km²... to wszystko było do uratowania przez trzy ćwierci wieku XVIII. Ale w każdym razie rola Rzeczypospolitej jako pierwszorzędного czynnika równowagi europejskiej... stracono ją na polach bitew na Ukrainie, ośmielając w 1655 roku Szwedów do najeźdu od północnego zachodu.

Jest coś niesłychanie przykrego w konstatacji, że idea ocalenia Rzeczypospolitej mocarstwowej przyszła dokładnie o 10 lat za późno, a nawet po tym dziesięcioletnim spóźnieniu nie została (z obustronnej zresztą winy) w ogóle zrealizowana. W 1658 roku Unia zawarta w Hadziaczu zmieniała Rzeczpospolitą w federację trójęzyczną, wprowadzając do jej struktury Ruś na prawach równych z Koroną i Litwą. Nic z tego nie wynikło, wszystko zostało zmarnowane. A przecież można sobie wyobrazić układ podobny do hadziackiego, zawarty w 1648 roku jeszcze przed Żółtymi Wodami i Korsuniem. Niestety, trzeba było po obu stronach krwawych doświadczeń dziesięciu lat walki, aby idea porozumienia zaczęła docierać do niektórych umysłów. I nawet wtedy, w roku 1658, nic z tego nie wyszło. Przyszedł rozejm andruszowski i tzw. pokój Grzymułtowskiego w 1686 roku. Granica między dwoma mocarstwami, jednym już schodzącym z europejskiej sceny, drugim rozpoczynającym dopiero swój triumfalny pochód, przecięła na przeszło wiek te nieszczęsne ziemie.

Trwały potem ciągle drobne, ale nie gasnące konflikty, wybuchały powstania, doszło wreszcie do tragedii roku 1768, do osławionej „rzezi humańskiej”, gdy za brutalną eksterminację tysięcy Polaków Rzeczpospolita odpłaciła „buntownikom” okrutnymi egzekucjami. W wieku XVIII sprawa swobód obywatelskich i wyznaniowych dla nie-Polaków i nie-katolików wyrodziła się w osławioną kwestię „dysydencką” służącą dworowi peters-

burskiemu jako narzędzie ingerencji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Jest faktem znamionym, że w bogatej polskiej literaturze politycznej wieku XVIII, dotyczącej programu czy możliwości reform, wyprowadzających kraj z zapóźnienia i zaco-fania, nie ma w ogóle kwestii narodowej, przejawów uświado-mienia sobie wielonarodowości ziem Rzeczypospolitej i wyni-kających stąd konieczności reformatorsko-ustrojowych... jeżeli Rzeczpospolita miała istnieć nadal.

Po roku 1658 nie wróciła już nigdy w Polsce i na Litwie sprawa poszerzenia federacji o trzeci element składowy. Były drobne pomysły i drobne inicjatywy w okresie Sejmu Czterolet-niego — jak choćby konsula polskiego w Chersonie i Mirhorodzie Antoniego Zabłockiego. Na poziom zainteresowania czynników rządowych i sejmowych sprawa ta nigdy nie dotarła.

Jest bardzo charakterystyczne, że Oświecenie europejskie — jako postawa światopoglądowa w pełni kosmopolityczna — było w zasadzie zupełnie głuche i ślepe na kwestie narodowości i praw narodowych mniejszości, lub narodów tzw. „niehistorycznych”. Rewolucyjna Francja wyniosła wysoko ideę jedności narodowej, nie zauważając odrębności lokalnych nawet w swoich granicach, co potem było podłożem wielu kłopotów Rewolucji z plebejskim ruchem kontrrewolucyjnym np. w Wandei czy Bretanii. Okale-czała i okrojona po pierwszym rozbiórze Rzeczpospolita, mimo wyraźnej wielonarodowości swoich mieszkańców, zgodnie z du-chem epoki upierała się przy jednoliciu polskim charakterze re-formowanego państwa. W ówczesnej sytuacji taka czy inna pos-tawa w tej materii ani specjalnie zaszkodzić ani wiele pomóc nie mogła. Jest w każdym razie znamienne, że w walce o napra-wę ustrojową Rzeczypospolitej zasadę jednolitości narodowej postawiono na pierwszym planie, starając się scentralizować do końca wszystkie ziemie Rzeczypospolitej. Niewiele to dało i nie-długo przetrwało, ale jako znamię ideowe epoki jest warte zauważenia.

Jerzy ŁOJEK

Krzysztof SOJKA-WILMAŃSKI

CZY OFENSYWA FRANCUSKA MOGŁA URATOWAĆ POLSKĘ?

OD AUTORA

Zgodnie z Umową Paryską podpisaną przez gen. Gamelin z ramienia Francji i gen. Kasprzyckiego ze strony polskiej, Francja zobowiązywała się do uderzenia na Niemcy z zaangażowaniem 40 % posiadanych sił. Pobieźnie ustalono, na wniosek gen. Gamelin, że termin 15-stu dni to minimum potrzebne armii francuskiej do przygotowania się do działań zaczepnych, ale bynajmniej nie oznacza rozpoczęcia ataku tegoż dnia.

Obie strony interpretowały w wygodny dla siebie sposób podpisany układ: Francuzi — że rozpoczną akcję gdy będą do niej przygotowani, Polacy — że moment wszczęcia akcji bojowej ustalono na 15-ty dzień od chwili przeprowadzenia mobilizacji armii francuskiej.

W zaistniałej sytuacji, wobec faktu iż Francja ogłosiła mobilizację powszechną dopiero w chwili wypowiedzenia wojny Niemcom (przedtem wprowadziła częściową) należałoby datę ataku przesunąć na 18 września. Do tego czasu wojska polskie miały trwać na swej głównej linii obronnej, to jest linii rzek: Narew, środkowa Wisła, górna Noteć, dolna Warta a także Śląsk i Beskid Zachodni, których wysunięte rubieże były od razu liniami obrony zasadniczej.

Jak wykazała praktyka, zarówno polski plan obrony jak i jego realizacja tchnęły niczym nie uzasadnionym optymizmem, który życie zepchnęło na bardziej czarne tory. Atmosfera psychiczna

w której miano „nie oddawać ani guzika” była wszechobecna rzutując na wszelkie poczynania. Niestety wyszło z tego to czego mieliśmy... nie oddawać. Tym razem mędrca szkiełko i oko było... monoklem pruskiego sztabowca tkwiącego w tradycji tylko do granic rozsądku.

Niektórzy zachodni historycy, np. A. Goudard („Wojna straconych okazji”), czy J. Kimche („Bitwa, której nie było”), sugerują, iż alianci mogli pokonać Niemców jesienią 1939 roku. Moim zdaniem w grę wchodził tylko wrzesień, a ściślej jego pierwsza dekada, gdy polska armia nie była jeszcze pobita. Zapewnienie spokoju na pół miesiąca otrzymali Niemcy w... paryskiej umowie sojuszniczej; druga połowa mogła zaprowadzić Francuzów najdalej nad Ren, z czego wynika, że w październiku byłoby już za późno. Nie należy tutaj zapominać o ówczesnej przewadze francuskiej, wyrażającej się większą liczbą dywizji, ludzi, sprzętu niż Wehrmacht. Była to przewaga względna i bardzo problematyczna. W grę wchodził jeszcze jeden czynnik a raczej jego brak... — duch bojowy. Gdyby armia francuska odznaczała się w połowie takim, jak za czasów Napoleona I... Niestety historia każdego państwa ma swoje wzloty i upadki. Tym razem był czas na Sedan. Doniosłym wkładem mógł się poszczycić francuski sztab generalny, który unikami i przestarzałą z 1914 r. doktryną usiłował wygrać wojnę.

W S T Ę P

Tymczasem na początku trzeciego tygodnia Września nie istniała ani zasadnicza ani wręcz jakakolwiek ciągła linia obronna. Armia polska, straciwszy do tego czasu połowę siły żywej i 2/3 sprzętu, była ciągle nie pobita chociaż niezdolna do ofensyw na skalę strategiczną. Kilka oddzielonych od siebie ugrupowań armijnych nie było w stanie odtworzyć jednolitej linii frontu. W tej sytuacji, wobec faktu iż armia polska zepchnięta została z głównej linii obronnej, Francuzi poczuli się zwolnieni z postanowień Umowy. Czy gdyby pomimo tego zdecydowali się w tym czasie (tj. po 18 września), zgodnie z umową, uderzyć siłą 35-40 dywizji byłiby w stanie zmienić bieg wydarzeń w Polsce? Na to pytanie musimy Niestety odpowiedzieć negatywnie po rozważeniu w sposób hipotetyczny wszystkich za i przeciw.

W wyniku zelżenia nacisku niemieckiego spowodowanego koniecznością wyciągnięcia części sił na front zachodni, można

było utrzymać co najmniej trzy obszary na których mogłaby trwać armia polska. Jeden obejmujący zachodnie Mazowsze; między Wisłą na płn., środkową Wartą na zachodzie, a Bzurą pód. od wschodu mający połączenie z obszarem warownym Warszawy. Na terytorium tym skupiłyby się armie: Pomorze, Poznań, Łódź, Warszawa, i część armii Modlin.

Drugim obszarem byłoby pód.-wsch. Lubelskie gdzie mogłaby się połączyć armie Kraków i Lublin z wojskami frontu Póónocnego. Nastépnym byłby Lwów do którego dotarłaby armia Karpaty przy zachowaniu kontaktów z siłami na przyczółku rumuńskim.

Grupa operacyjna Polesie wybrałaby dołączenie do wojsk frontu płn. nie zaś odsiecz Warszawy, do której, aby dojść, musiałaby pobić 3 armię niemiecką. Istnienie dwóch ostatnich ośrodków zależałoby od zachowania się Rosjan, które — wobec rozpoczęcia ofensywy na zachodzie i niewygasania oporu polskiego — mogłoby być poprawne. Stalin był zbyt ostrożnym politykiem by zbyt wczesnie angażować się w wojnę.

ROZDZIAŁ I

Wybrzeże zostało pominięte w rozważaniach jako samodzielny teatr wojenny ze względu na szczupłość sił zaangażowanych z obydwu stron. Niezależnie od rozwoju sytuacji w głébi kraju czy na froncie zachodnim, Wybrzeże musiało skapitulować ze względu na brak amunicji w październiku.

Walki nad Bzurą i w okolicach Warszawy

W tym czasie zakończył się pierwszy etap bitwy nad Bzurą. Niemcy na gwałt ściągali swe wielkie jednostki: 1 D.panc., część 4 D.panc., 18, 19, 31 DP. 4 D.panc. pod Sochaczewem przecięła odwrót armiom Poznań i Pomorze w składzie 10 dywizji piechoty i 2 brygady kawalerii. Siły niemieckie dążyły do likwidacji kotła. 3 DP forsowała Wisłę około Płocka, w kierunku południowym 50 DP i 208 mijały Włocławek, kierując się na Gostynin. 221 DP przekroczyła Ner w okolicach Łęczycy. Na południe od linii Ozorków-Łowicz znajdowało się gros sił 8 Armii 17, 30, 24 i 10 DP. (Ponadto w pobliżu znajdowała się 221 DP, w charakterze odwodu operacyjnego, gotowa w każdej chwili do użycia).

Zgodnie z założeniem, ruszyła ofensywa na froncie zachodnim. Aby się jej skutecznie przeciwstawić, Niemcy musieli wyciągnąć jak najwięcej jednostek bojowych z frontu polskiego, nie tylko takich, które w danej chwili nie posiadały styczności bojowej, ale także takich, które były zaangażowane w walkach. W pierwszym rzędzie Niemcy odciągnęli część 4 D.panc. wraz ze zmotoryzowanym pułkiem SS, w celu połączenia z resztą dywizji zajmującej pozycje obronne po wschodniej stronie Bzury, ryglując w ten sposób odwrót w kierunku na Warszawę i Modlin cofającym się armiom „Poznań” i „Pomorze”. Wycofując się z okolic Warszawy na linię Żyrardów-Sochaczew, Niemcy utracili atut propagandowo-psychologiczny, jakim było obleganie stolicy, ale byli w stanie skonsolidować obronę na linii Bzury. 1 D.panc., ściągnięta pośpiesznie zza Wisły, została skierowana na zachód, by po dojściu w rejon Kluczborka zostać przerzuconą na front zachodni (co siłą rzeczy musiałyby trwać około 2 tygodni).

W ten sposób niemiecką broń pancerną nad Bzurą reprezentowała 4 D.panc., a ponieważ działała na głównym kierunku odwrotu wojsk polskich, była najbardziej narażona na rozbicie. Aby tego uniknąć, nie obsadzono kordonowo wschodniego brzegu rzeki, lecz skupiono się w formie „jeża” w dwu punktach dookoła Sochaczewa i Brochowa, mając w ten sposób przeprawy w swoich rękach, a teren między nimi pod ostrzałem artylerii.

Wówczas teren puszczy Kampinoskiej pozostałby w ręku polskim. Armia „Łódź”, a właściwie jej resztki liczące około 50 tysięcy pod dowództwem gen. Thommé, bez 10 DP i kresowej BK, które odeszły już za Wisłę, znalazłby się na przedpolu Warszawy w rejonie Kampinosu z możliwościami odejścia zarówno na Warszawę, jak i na Modlin, gdzie obok załogi znajdowała się 8 DP licząca ciągle jeszcze 10 tysięcy żołnierzy i 30 dział. Nie zachodziła w ten sposób konieczność ewakuacji, a później wysadzenia magazynów amunicji w Palmirach, co by spowodowało, że jednostki walczące na pobrzeżach obozu warownego Warszawy miałyby zapewnioną amunicję na najbliższy miesiąc.

Dalszy przebieg akcji zależałby od tego, na jaką skalę generałowie Thommé i Rómmel zdecydowaliby się przyjąć z pomocą generałowi Kutrzebie. W tym czasie gen. Rómmel zaangażował część swoich sił na wschodnim brzegu Wisły, tak, że w praktyce zadanie nawiązania łączności musiałyby przypaść obsadzie Modlina i dywizjom armii „Łódź”. Uderzenie nawet dwustronne od zachodu przez jednostki armii „Poznań”, a od wschodu wykonane przez armię „Łódź” mogło dać tylko połowiczne wyniki, a przypuszczalnie doprowadziłoby do związania przeciwnika i

zadania mu być może znacznych strat, ale nie zniszczenia jego jednostek. W tym celu 2, 28, 30 DP z armii „Łódź” (a z których jeszcze tylko ta ostatnia dywizja miała prawie pełne etaty, a dwie pozostałe liczyły połowę pierwotnego stanu) powinny uderzyć od wschodu na punkty obrony 4 D.panc. w rejonie Sochaczewa i Brochowa. Natomiast garnizon warszawski mógł wydzielić ze swego stanu grupę co najmniej w sile 2 pułków, wspartą większością posiadanej artylerii i baonem pancernym, w celu osłonięcia uderzenia na Sochaczew od strony południowej, na linii Grodzisk Mazowiecki - Pruszków, gdzie działały 31 i 19 DP. npla.

Stan stron walczących

Ze strony polskiej jedenaście DP i 2 Brygady Kawalerii, z niemieckiej tyle samo DP plus 4 D.panc. w bitwie nad Bzurą; wobec równowagi sił żadna ze stron nie osiągnęłaby swego celu. Polacy mogli zadać znaczne straty, ale nie byli w stanie rozbić 8-ej armii niemieckiej prowadzącej działania ofensywne na Łowicz (który zdobyli) i na Skierniewice (których zdobyć nie mogli), gdyż siły 16 DP wspartej nawet 26 DP były zbyt słabe wobec sił 10 i 18 DP niemieckiej. W tej sytuacji na skutek odwołania 1 D.panc. siły niemieckie 8 i 10 armii nie były w stanie okrążyć i zniszczyć armii „Pomorze” i „Poznań”, Polacy natomiast nie mogąc kontynuować ofensywy w kierunku południowo-wschodnim, mogli w miarę swobodnie odejść na Bzurę lukami obrony niemieckiej między Sochaczewem a Brochowem, oraz między Brochowem a Wisłą.

W ten sposób Polacy mogliby wyprowadzić z okrążenia nie szczątki dwu dywizji piechoty i dwu brygad kawalerii, a prawie całe dwie armie, tracąc tylko część taborów i sprzętu ciężkiego z powodu braku sprzętu odpowiedniego do przepraw przez Bzurę w pasie ich działania, ale ratując całą artylerię lekką i sprzęt motorowy, który w rzeczywistości pozostawili na polu bitwy.

Oczywiście wycofanie musiałoby następować w ogniu daleko-siężnej artylerii niemieckiej, jak również lotnictwa pierwszej floty powietrznej, gdyż 4 Luftflotte (podobnie jak 2 i 3 Luftflotte) Niemcy odwołaliby z polskiego teatru działań w dniu 3 września na wieść o deklaracji wojny przez aliantów i o pogłoskach ofensywy na zachodzie. Najbardziej narażone na zniszczenie ze strony niemieckiej byłyby zamykające odwrót 27 DP i 15 DP, a właściwie ich tylne straż w momencie przepraw przez Bzurę. (Podobne ryzyko ponosiłaby strona niemiecka zmuszona do liczenia się, że ich okrążona część 4 D.panc., blokująca przeprawę w Bro-

chowcie, może w wypadku jakichkolwiek perturbacji w zaopatrzeniu [drogą lotniczą] ulec likwidacji).

Bitwa zostałaaby bez wyraźnego zwycięzcy, czy pokonanego, z dużymi stratami po obydwu stronach. Polski cel operacyjny: wyrwanie z matni dwu armii, byłby osiągnięty, niemiecki: zniszczenie ich — zakończyłby się fiaskiem. Bitwa byłaby znacznie krwawsza i dłuższa niż w rzeczywistości, zakończyłaby się prawdopodobnie około 25 września, po czym zapanowałby względny spokój, gdyż obydwie strony zaczęłyby przegrupowywać wojska, zajmując pozycje obronne.

Wypadki na wschód od Warszawy i w Lubelskiem

Na styku z Podlasiem szczęście w mniejszym stopniu dopisywało Polakom niż na zachodnich krańcach Mazowsza. Już 13 września przestała istnieć 18 DP jako zwarta jednostka. Suwalska i Podlaska BK, a zwłaszcza ta ostatnia, gdyż jej 10 i 5 p.uł. uległy rozproszeniu, poniosły duże straty podczas wyjścia z okrążenia pod Wysokiem Mazowieckim. Część pod dowództwem gen. Kmicic-Skrzyńskiego odnalazła się w Grupie operacyjnej „Polesie” gen. Kleberga, gdzie dołączyła 18 września. Reszta w sile 5 pułków kawalerii pod dowództwem gen. Z. Podhorskiego przebiła się na północ do „Białowieży”, aby po przeorganizowaniu rozpocząć powrót w kierunku południowym, gdzie 28 września weszła do G.O. „Polesie” jako dywizja kawalerii „Zaza”.

1 DP Leg. w walkach nad Bugiem utraciła tak znaczną część swego stanu, że kilka dni później w Chełmie udało się utworzyć z jej resztek jedynie oddział w sile pułku, jednakże z dość silną artylerią. Potem okazało się, że z rozbitków 1 DP Leg. sformowano jeszcze jeden batalion, który znalazł się w G.O. „Polesie”.

Grupa Operacyjna Kawalerii, trzon której stanowiła Nowogródzka BK w pełnym składzie wraz z podporządkowaną jej słabszą Mazowiecką BK, wycofała się (od 13 września) — po przerwaniu ataku na Mińsk Mazowiecki — w kierunku Parczewa. Później dołączyła do niej resztki 10 DP i część Wołyńskiej BK w składzie 19 p.uł. i 4 p.strz. konnych (12 i 21 p.uł. z tej Brygady odeszły na Warszawę). W tym samym kierunku zdążyły siły armii „Lublin”, tj. 39 DP i Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa.

Najsilniejsza jednostka niemiecka, czyli XIX Korpus Pancerny gen. Guderiana w składzie 3 i 10 D. pancernej wraz z 2 i 20

DPzmot. parł w tym czasie na Brześć Litewski, walcząc po drodze z 18 DP i brygadami Kawalerii (Suwalską i Podlaską). Brześć Litewski został zdobyty 17 września.

Załóżmy jednak, że 15 września Guderian otrzymał rozkaz przzerwania walk i najszybszego wycofania się w kierunku Prus Wschodnich (w ten sposób Brześć pozostawałby w rękach polskich), skąd następnie został przerzucony nad Ren, gdzie pojawił się w końcu września. Dwutygodniowy termin na przewiezienie czterech dywizji z Prus Wschodnich — z Królewca do Wilhelms-haven — częściowo drogą kołowo-kolejową, częściowo morską, nie wydaje się zbyt przesadzony. W ten sposób Trzecia Armia niemiecka stopniałaby do sześciu dywizji piechoty: 1, 11, 12, 61, 206, 217, dwu Brygad piechoty, „Lötzén” i „Brand”, Brygady Kawalerii oraz dywizji pancerniej „Kempf”. XXI Korpus tej armii w składzie 21 i 228 walczył nad Bzurą. Siły te 15 września znajdowały się między Bugiem a Wieprzem, odgródzone od 10 armii niemieckiej — której jednostki sforsowały Wisłę i zajęły Lublin — wymienionymi poprzednio formacjami polskimi, które zgodnie z rozkazem marszałka Rydza-Smigłego odchodziły na południe.

W okolicach Zamościa znajdowały się resztki armii „Lublin” (39 DP oraz Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa i część armii „Kraków”, tj. resztki 6, 21, 23 i 55 DP wraz z Krakowską Brygadą Kawalerii). Drogę na południe przegradzała polskiemu zgrupowaniu część 14 armii niemieckiej, której jednostki zajęły Zamość, a także przeszły przez Bug koło Włodzimierza Wołyńskiego. Jeszcze niżej na południu znajdowały się wojska frontu południowego, tzn. resztki 11, 24 i 38 DP trzech brygad górskich i nadal w pełni sprawna mimo prowadzenia ciągłych walk odwrotowych — Krakowska Brygada Pancerno-Motorowa. Wojska te, otoczone z trzech stron przez jednostki 14 armii, potrafiły skutecznie walczyć z Niemcami, zadając im duże straty pod Brzuchowicami i Gródkiem Jagiellońskim i odchodząc na południe w kierunku przedmościa rumuńskiego.

Natomiast wojska frontu północnego wraz z armią „Kraków” kolejno kapitulowały w trzeciej dekadzie września.

Oczywiście do tego by nie doszło, gdyby 15 września ruszyła ofensywa francuska, a Niemcy odciągnęli z tego rejonu walk XIV korpus zmotoryzowany i 1 D. Lekką, a później około 20 września XV korpus lekki. Dowództwo obydwu walczących grup mogłoby się zorientować, że istnieje szansa jeśli nie przedarcia się przez otaczające oddziały niemieckie, to wyminięcia ich i odejścia na wschód za Bug, a następnie marszem na południe. Niewątpliwie ten manewr udałby się wojskom Frontu Północnego,

a część armii „Kraków” mogłaby go wykonać, choć zapewne za cenę strat, szczególnie w sprzęcie (bo nie byłoby sztuką przedrzeć się w pododdziałach *quasi*-partyzanckich przez osłabiony pierścień otaczających Niemców, ale wyprowadzić w zwartych szeregach oddziały wraz ze sprzętem i zaopatrzeniem, którego nie zbywało na przyczółku rumuńskim).

Wojska frontu południowego, mając po swej prawej stronie tylko dywizje piechoty górskiej i słowackiej, a nie 22 Korpus Pancerny, zdołałyby bez przeszkód dotrzeć na przedmoście rumuńskie. W sumie niewielka grupa armii Południe, pozbawiona swych 6-ciu, a później 8-miu jednostek szybkich, nie zdołałaby zniszczyć wojsk frontu północnego ani południowego, a co najwyżej mogłaby zadać straty armii „Kraków”, która znajdowała się w stosunkowo najgorszym położeniu bojowym. Ponadto wojska niemieckie musiałyby przegrupować się i zdecydować, czy Lwów, czy przedmoście rumuńskie jest następnym obiektem; przypuszczalnie wybrałoby Lwów, pod którym się już znajdowali, akcję zaś przeciwko przedmościu odłożyliby na dalszą przyszłość.

Wyciągnięcie blisko 1/3 dywizji — w tym ponad połowy jednostek szybkich — powodowało zahamowanie, a na niektórych odcinkach, np. pod Warszawą, wręcz przejście Niemców do obrony oraz konieczność przegrupowania i selektywny wybór celów strategicznych. Tylko brakowi w zaopatrzeniu materiałowym należy „zawdzięczać” niemożność przejścia wojsk polskich do kontrofensywy.

ROZDZIAŁ II

Walki na Froncie Zachodnim

Zgodnie z zawartą w maju 1939 roku umową, armia francuska miała rozpocząć ofensywę w głąb Niemiec w dwa tygodnie po przeprowadzeniu mobilizacji. Francuzi mieli uderzyć gromadząc 75 % swych jednostek na froncie północno-wschodnim, natomiast uderzenie wykonać przy użyciu 2/3 skomasowanych na granicy wojsk. W rachubę wchodziło 35-40 dywizji, ponieważ plany mobilizacyjne obejmowały 99 dywizji, w tym 81 dywizji piechoty, 2 lekkie zmotoryzowane i 3 kawalerii oraz 13 dywizji fortecznych będących garnizonami twierdz. Wynika z tego, że Francuzi powinni zaangażować 40 % posiadanych sił, co by oznaczało użycie 1.000 czołgów, 4.000 dział i 600 samolotów.

Siły angielskiego korpusu ekspedycyjnego w tym czasie liczyły

tylko 2 dywizje i 150 samolotów i znajdowały się jeszcze w Anglii. Po drugiej stronie frontu za linią „Zygryda”, między Bazyleą a Akwizgranem, znajdowało się 11 dywizji piechoty oraz 32 dywizje Landwehry. Wprawdzie ocena tych sił podawana przez różne źródła waha się od 23 do 43 dywizji, ale przyjmijmy tę ostatnią liczbę nie tyle dla wygodniejszego toku przeprowadzania własnej tezy, ale dlatego, że ten fakt podaje gen. Leeb, dowodzący obroną tego rejonu (co siłą rzeczy sugeruje, że pamięta lepiej niż inni, co posiadał).

Już 3 września na wieść o wypowiedzeniu wojny przez Francję i Anglię, z polskiego teatru wojennego zostają odwołane 2 i 3 Luftflotte, w teorii do ochrony obszaru powietrznego Trzeciej Rzeszy zmałowanego angielskimi ulotkami.

W praktyce mogły one z powodzeniem działać na korzyść frontu zachodniego. Obydwie te floty liczyły po około 1.000 maszyn każda. Oczywiście, owe 43 dywizje niemieckie nie byłyby w stanie utrzymać linii „Zygryda” pod naporem nawet tej samej ilości dywizji francuskich. Chociażby ze względu na znaczną przewagę Francuzów w artylerii i absolutną w czołgach, których zupełnie nie posiadali Niemcy w tamtym rejonie. Jedyne rozsądne sposoby prowadzenia walki z przeważającymi siłami francuskimi to opóźnianie ich natarcia, powolne ustępowanie w terenie i odskoki na tym razem autentycznie „upatrzone pozycje”.

Ponieważ owe 32 dywizje Landwehry nie bardzo można uważać za jednostki bojowe, przypadłoby im zadanie osłonowe lub budowy umocnień polowych na coraz to nowych liniach obrony, na które wycofałoby się owych 11 dywizji piechoty, gdzieś tam wspieranych przez dywizje Landwehry, które należało traktować jako jednostki zapasowe lub rezerwowe.

Sugerowane ugrupowanie wojsk niemieckich w chwili rozpoczęcia działań: dywizje etatowe na linii „Zygryda” (11 dywizji) wspomagane przez 7 dywizji Landwehry, organizujące dalsze linie obronne. Pozostałe siły: 5 dywizji na granicy z Belgią, a 10 po stronie wschodniej Renu.

Oczywiście lotnictwo niemieckie, tzn. 2 i 3 Luftflotte mogły być użyte natychmiast w celu przystopowania postępów francuskich. I o ile ataki „Brygady Bombowej” w pierwszych dniach września nie dały wyników ze względu na szczupłość sił, to wprost przeciwnie wyglądałyby ataki Luftwaffe na nacierające formacje francuskie, gdyż w powietrzu byłaby równowaga między stronami walczącymi. A z chwilą gdyby ściągnięto 1 flotę powietrzną, co mogło nastąpić już po 15 września, gdy lotnictwo polskie w tym czasie nie stanowiło zagrożenia, przewaga przechyliłaby się na stronę Niemiec.

Następnym czynnikiem, obok umiejętnie zastosowanej doktryny prowadzenia walk opóźniających, byłoby — wykorzystanie terenu. Obszar Palatynatu Reńskiego, na którego terenach toczyłyby się walki przez pierwsze dwa tygodnie, posiada jak na warunki niemieckie tereny zalesione, z rozlicznymi pasmami wzgórz, wprawdzie o niskiej wysokości (600-800 metrów), ale biegnących rokadowo w stosunku do potencjalnych linii uderzeń. Same nazwy geograficzne mówią za siebie: Pfalzer Bergland, Rheinisches Schlefergebirge, nie wspominając o rozlicznych „waldach”, które miały to do siebie, że mogły być wykorzystane łatwo do obrony i w znacznej mierze neutralizować zaczepne akcje strony posiadającej ilościową przewagę. Układ hydrograficzny terenu przecinanego licznymi dopływami Renu i Mozeli był następnym atutem obrony.

W czasie blisko dwa lata trwającej kampanii włoskiej, w której Niemcy posiadali przeciętnie 20 dywizji, a alianti znacznie więcej, tylko dzięki umiejętnemu wykorzystaniu terenu i odskokom na nowe linie obrony w razie sforsowania poprzednich, siły niemieckie zachowały swą siłę bojową aż do kapitulacji 20 kwietnia 1945.

Znając, czy też dedukując, główny kierunek uderzenia francuskiego (z natarciem na Bawarię nie należało się liczyć, gdyż nie tu były główne ośrodki przemysłu wojennego), niemiecki sztab grupy „West” mógł zostawić po wschodniej stronie Renu około 10 dywizji Landwehry z zadaniami osłonowymi, które w razie głównego ataku francuskiego w tę stronę zmuszone byłyby, po improwizowanej obronie na liniach granicznych, cofać się w głąb być może aż po Men na południowym wschodzie, czy Dunaj. Lecz w końcu zajęcie nawet całej Bawarii nie rozwiązywało problemu, z czego zdawali sobie sprawę Francuzi.

Dlatego zdecydowano, że ewentualny atak nastąpi w pierwszej fazie w kierunku zagłębia Ruhry. Niezależnie od tego, po której stronie Renu atak nastąpi: po lewej był bezpieczniejszy, z zabezpieczonymi flankami; lewą — od strony początkowo Luksemburga, potem po sforsowaniu Mozeli — od strony Belgii, prawą przez Ren. Armia francuska od początku wikała się w wyżej wymienionych przeszkodach terenowych w walki znacznie redukujące tempo natarcia.

Uderzenie po prawej stronie Renu zmniejszało w jakimś stopniu istniejące na lewym brzegu niedogodności, ale wymagało większego użycia sił, na znacznie rozleglejszym obszarze działania, ponadto narażało w każdej chwili prawe skrzydło na kontratak ze strony Niemców.

Zacznijmy jednak chronologicznie. 15 września rozpoczęłaby się nawała artyleryjska, Francuzi sforsowaliby rzeki Saar, Blies, Schwarbach, pękłaby linia „Zygryda”. Przełamanie jej, a następnie podciągnięcie zaopatrzenia mogło zająć Francuzom dwadzieścia dni, a może nawet pięć, w zależności od tego jak sprawnie działałaby logistyka. Przedarcie się w dość szybkim tempie nie stworzyłoby zbytniego problemu Francuzom, gdyż działali ze swego terenu. Mieli blisko dwa tygodnie czasu na zorganizowanie natarcia, przewagę materiałowo-ludzką, a ponadto fortyfikacje linii „Zygryda” — jak się okazało — nie przedstawiały zbytniej wartości (gen. Jodl). Wojska niemieckie odskoczyłyby na linię Hochwald-Kaiserslautern. Dojście podciągniętych rezerw, przygotowanie wsparcia artyleryjskiego, zaatakowanie, przełamanie, walki odwrotowe, to wszystko razem pochłonęłoby — jeśli nie tyle samo czasu co przełamanie linii „Zygryda”, to więcej, bo im dalej od podstaw wyjściowych, tym większe są trudności na zapleczu, a zwłaszcza w armii niezbyt grzeszącej zmysłem organizacyjnym. Liczmy więc 2-3 dni, a może nawet 5.

I znów następują walki opóźniające na linii Rösterkopf, Nahe, Donnersberg, Worms, a po zajęciu tych wszystkich punktów wyjście na drugą linię obronną na rzece Nahe. Co by nastąpiło? To samo podciągnięcie rezerw, przygotowanie artyleryjskie, etc., etc. A w praktyce strata 3 a może 5 dni. Następna niemiecka pozycja opóźniająca tuż na linii Moselberge, Idarwald, Gonwald, po przełamaniu której (znów dzień, dwa) armia francuska stanęłaby w zaułku, jakim były widły rzek Mozeli i Renu. Wprawdzie forsowanie Mozeli byłoby łatwiejsze, bo mniejsza rzeka i bezpieczniej uderzyć po lewej stronie Renu, ale oznaczałoby to znów uwikłanie się w walki opóźniające w Reńskich Górach Łupkowych.

Uderzenie po prawej stronie Renu wprawdzie musiałoby być okupione znacznymi stratami przy jego forsowaniu, i też musiało się przebiegać przez niedogodności terenowe (Westerwald, Pogórze Heskie, i Reńskie Góry Łupkowe), ale powodowało, że w miarę postępowania wojsk francuskich najpierw wydłużała się linia frontu oraz poszerzał się obszar frontowy (co w początkowych momentach było korzystne dla Francuzów wobec ich przewagi), ale po przybyciu jednostek niemieckich z frontu polskiego atut ten działał *à rebours* na ich niekorzyść.

Opanowanie Palatynatu wraz ze sforsowaniem Mozeli i Renu i stworzeniem przyczółka, a właściwie podstawy ofensywnej na linii Koblenca, Giessen, Aschaffenburg, z jednoczesnym zajęciem Moguncji, Wiesbaden i Frankfurtu nad Menem uważam za optimum, jakie strona francuska mogłaby uzyskać przy użyciu 40

dywizji w ciągu dwóch tygodni walk. Prawdopodobnie w ciągu tych dwóch tygodni zajęto by Palatynat, forsując obydwie rzeki tylko w celu założenia niewielkich przyczółków operacyjnych, a nie ustanowienia się na stałe na wschodnim brzegu Renu.

Dojście do linii Aachen, Bonn, Siegen, Marburga uważam za możliwe tylko przy użyciu znacznie większych sił francuskich (np. 60 dywizji). Wyjście na dalsze tereny w ciągu dwu tygodni uważam za niemożliwe. Tak więc na początku października uderzenie francuskie straciłoby impet, po zajęciu wymienionych obszarów, a w tym czasie Niemcy zaczęliby montować kontruderzenie jednostek wyrwanych z frontu polskiego.

Nie należy mieć złudzeń, że Hitler nie zdecydowałby wyciągnąć potrzebnych mu dywizji; wszakże później robił to nader często. Ponadto jako jedyny „pokerzysta” na dyktatorskim stolcu wiedział, że „gdzieś” musi zaryzykować. Tym razem owo „gdzieś” był to Zachód, na którym zachodziły „zmiany”. Zdawał sobie sprawę, że od zatrzymania ofensywy francuskiej zależy wszystko, dlatego zabrałby z niezdobytej jeszcze całkiem Polski owe dywizje, od których działania w ciągu następnych tygodni zależał los tysiącletniej Rzeszy. Dlatego też przygasiłby pożar wojny w Polsce, *Blitzkrieg* zamieniłby w *Sitzkrieg*, byle uratować front zachodni. Bo jeżeli owych 11 dywizji frontu zachodniego wraz z 32 dywizjami rezerwy mogły się bronić dość skutecznie do Renu, to po sforsowaniu tegoż los ich i Trzeciej Rzeszy wyglądałby nader ponuro.

A z utratą tegoż liczono się w kręgach generalicji niemieckiej, chociaż opinie różniły się w swych ocenach. „Linia Renu nie może być utrzymana wobec zdeterminowanych ataków francuskich” — wyrażał opinię generał Beck, szef sztabu. Była to najbardziej pesymistyczna prognoza. Generał von Lossberg uważał, że Francuzi mogliby z marszu rozbić siły niemieckie i dojść do Renu. Gen. Jodl w procesie Norymberskim zeznał, że „gdyby Francuzi zaatakowali, moglibyśmy im przeciwstawić jedynie pozory obrony”. Generał Westphal uważał, że Francuzi doszliby do Renu w ciągu 15 dni, czyli rozpoczynając ofensywę 15 września, w końcu tegoż miesiąca stanęliby nad rzeką, której sforsowanie zajęłoby dalsze dwa-trzy dni, zaś przygotowania i przeprowadzenie dalszej ofensywy w głąb Rzeszy — co najmniej 10 dni (co przy powolności organizacyjnej i nie wiadomo skąd nabytej systematyczności przygotowań wydaje się być terminem niezbyt wygórowanym). I prawdopodobnie w drugiej dekadzie października Francuzi (jeśli założymy, że działa w dalszym ciągu tylko ta 35-40 dywizyjna siła) wyszliby na linię Koblenca - Giessen -

Aschaffenburg, wtedy pomiędzy 10 a 15 października napotkaliby przeciwduderzenie niemieckie.

Kontrofensywa niemiecka

Na wieść o rozpoczęciu poważnej ofensywy francuskiej 15 września, Hitler tego samego dnia odwołuje 1 Flotę powietrzną, a następującym jednostkom każe zaprzestać walk i wycofać się jak najszybciej na pozycje wyjściowe w celu natychmiastowego przerzucenia na front. W pierwszym rzędzie jest to XIX Korpus pancerny gen. Guderiana operujący na południu Podlasia (20 D. zmot. oraz 3 i 10 D. panc.), oraz 2 D. zmot., przygotowujące się do ataku na Brześć. Droga kołową wraca do Prus Wschodnich, skąd drogą morską z Gdańska i Królewca zostaje przewieziony do Wilhelmshaven i Emden przez Kanał Kiloński. Cała ta operacja nie powinna zająć więcej jak dwa tygodnie.

Odwołanie 4 Armii z frontu bitwy nad Bzurą nie przedstawiało także większych trudności. Armia ta, działająca po obydwu stronach Wisły w rejonie Włocławek - Płock nacierała w kierunku, z którego odchodziła armia „Pomorze”. Należało tylko cofnąć z powrotem 3 DP tej armii, która pod Płockiem sforsowała Wisłę, wbijając się w polskie ugrupowanie obronne. Kierunek odsonięty poprzez wycofanie armii i tak był kierunkiem marowym, z którego odchodzili Polacy. Mógł być więc zakryty rezerwowymi dywizjami 213, 221 i 252 DP, które były podporządkowane dowódcy 8 armii niemieckiej. Stronie polskiej oczywiście ułatwiał to zadanie o tyle, że dywizje straży tylnej armii „Pomorze”: 15 DP i 27 DP mogły odchodzić na wschód bez walk. Już po pięciu dniach 4 Armia powinna wrócić na swe pozycje wyjściowe na Pomorzu, by po 5 dniach znaleźć się w rezerwie frontu zachodniego, czekając jednak na przybycie innych jednostek i wspólne rozpoczęcie kontrofensywy. 4 Armia niemiecka liczyła 8 dywizji piechoty (3, 23, 32, 50, 73, 208, 218 DP) oraz brygadę piechoty „Netze”.

Znacznie trudniej przedstawiała się sprawa wyciągnięcia części jednostek bojowych 10 armii. Stosunkowo najprościej było ściągnąć 1 D.panc., która już 12 sierpnia spieszyła na pole bitwy nad Bzurę. Jej marsz odwrotowy na Śląsk, rozpoczęty 15 września, ukończyłby się najpóźniej 20 września, skąd transportem kolejowym przerzucona byłaby na zachód. Jeszcze trudniej byłoby wyciągnąć z frontu XIV korpus zmotoryzowany w składzie 13 i 29 D. zmot., uwikłany w ciężkie boje z armią „Kraków” i wojskami Frontu Północnego. A najtrudniej byłoby zebrać i wysłać

z XIV armii na front zachodni XXII korpus pancerny w składzie 2 D. panc. i 4 DL., który w bojach wysforował się daleko. Założmy więc, że wyciągnięcie dwóch ostatnich korpusów zajęłoby nie dwa, lecz trzy tygodnie. W wypadku choć częściowych sukcesów w walkach z wojskami frontu północnego i armii „Kra-ków” Niemcy mogliby wyciągnąć także XV Korpus Lekki, w składzie 2 i 3 D. Lekka, a także połowę 4 Floty powietrznej, co mogłoby nastąpić w dniach 20-25 września, gdyż w tym czasie polskie lotnictwo już nie przeprowadzało operacji bojowych, a cele strategiczne były w większości zniszczone lub w niemieccich rękach. Jednostki te mogłyby pojawić się na zachodnim placu boju w drugiej dekadzie października.

W sumie od razu można było odciągnąć z frontu polskiego 1 flotę powietrzną, 8 dywizji i brygadę piechoty, 4 dywizje zmotoryzowane, 4 pancerne, 1 lekką, czyli 18 wielkich jednostek bojowych, a w tydzień później 2 dywizje lekkie i część 4 floty powietrznej. Oczywiście nie było to jedyne źródło zaopatrzenia frontu zachodniego w oddziały wojskowe. Między październikiem a końcem kwietnia Niemcy sformowali 44 nowe dywizje piechoty, co oznacza ponad 6 na miesiąc i to w sytuacji, gdy nie istniało żadne zagrożenie. Natomiast nie należy wątpić w szybsze efekty tej akcji, gdyby następowała pod presją złej sytuacji taktycznej. Także do połowy października, czyli w przeciągu 6 tygodni, problem wyszkolenia jednostek rezerwowych w jakimś stopniu zostałby opanowany, tak że przynajmniej część z nich mogłaby być użyta w akcjach bojowych, zaś reszta do patrolowania, przesłaniania odcinków martwych lub pozostałaby w odwodzie, gdzie byłaby intensywnie doszkalana.

W sumie więc Niemcy mogli dysponować w pierwszej dekadzie października liczbą 61 wielkich jednostek i trzema flotami powietrznymi, zaś w końcu tego miesiąca liczba dywizji wzrastała do 69 (6 nowosformowanych oraz XV korpus lekki) oraz ewentualnie część 4 floty powietrznej. Siły te były wystarczające do zatrzymania ofensywy lub nawet do pobicia nie tylko 35-40 dywizji francuskich, ale także sił o dwadzieścia jednostek bojowych większych, gdyby Francuzi zdecydowali się wprowadzić odwody (co wydaje się mało prawdopodobne).

„Musimy się liczyć z ewentualnością, iż będziemy musieli wypuścić z rąk nieco terenu na przedpolu naszej ufortyfikowanej granicy między Mozelą a Renem i trzymać tylko to, czego nam potrzeba... Natomiast gdyby *gros* sił niemieckich angażowało się w dalszym ciągu ku Bałkanom, to nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy się umocnili w terenie zdobytym”. Tak pisał gen. Gamelin w dniu 12 września do gen. Georges’a. Świadczy to wymow-

nie w jaki sposób francuski sztab generalny liczył się z możliwościami prowadzenia działań zaczepnych.

Przypuszczalnie na samą wieść o zbliżaniu się jednostek niemieckich wyciągniętych z frontu polskiego Francuzi wstrzymaliby działania ofensywne, a pod najlżejszym naciskiem npla cofnęliby się co najmniej na linię Mozeli i Renu, jeśli wręcz nie na linię Maginota.

Działania kontrofensywne strony niemieckiej przeprowadzone w pierwszej dekadzie października, byłyby zapewne w stylu „Wielkie Canne” czyli uderzenie na flanki przeciwnika w celu odcięcia od zaopatrzenia i zamknięcia w kocioł jednostek francuskich, które działałyby po wschodniej stronie Renu. W tym celu XIX korpus z Zagłębia Ruhry uderzyłby wzdłuż Renu w kierunku na Moguncję, a XIV korpus zmotoryzowany wraz z XXII korpusem pancernym wzdłuż rzeki Men, w celu odcięcia Francuzów. W wypadku gdyby ofensywa francuska nie przekroczyła Renu, a posuwała się wzdłuż wschodniego brzegu w kierunku Ruhry, niemieckie kontruderzenie wyszłoby z rejonu Aachen-Düren, prawdopodobnie poprzez tereny graniczne neutralnej Belgii oraz Luksemburga.

W końcu Hitlerowi było obojętne czy 6 miesięcy wcześniej czy później będzie naruszał terytorium jakiegoś państwa, skoro i tak mieściło się to w jego planach.

Szybsze zdecydowanie się na tego typu akcję mogło znacznie ułatwić okrążenie wojsk francuskich. Do działania na tym kierunku wystarczyłby XIX korpus pancerny wsparty ewentualnie 1 dywizją pancerną i 1 dywizją lekką. Czwarta armia miałaby za zadanie zasilić wojska frontu zachodniego w celu frontalnego wiązania wojsk francuskich.

Ilość sił niemieckich użytych w tej operacji wydaje się być wystarczająca, zważywszy, że już w trzeciej dekadzie października mogło nadejść 6 nowych dywizji piechoty oraz XV korpus lekki z częścią 4 floty powietrznej. Jedyny problem to małe rezerwy amunicji i paliw, które musiały wprowadzić ostrożniejsze rozporządzanie nimi. Problem zaopatrzenia w sprzęt bojowy, wobec prężności przemysłu, nie istniał. Zapewne Niemcom nie powiodłoby się tak dobrze, jak to miało miejsce w maju 1940, gdy za pomocą 3 korpusów pancernych odcięli, a następnie zniszczyli 2 francuskie armie (2 i 7) oraz Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, który straciwszy cały sprzęt zdołał się wyewakuować.

Operacja niemiecka przeprowadzona w taki sposób i w takim stylu musiałaby doprowadzić do załamania ofensywy i w konsek-

wencji do pobicia Francuzów, wzięwszy pod uwagę — jako atut strony niemieckiej — anachroniczny sposób prowadzenia walk przez Francuzów na wszystkich szczeblach: taktycznym, operacyjnym i strategicznym. Nie należy zapominać o niskim morale wojsk francuskich na przełomie 1939/40 i złym dowodzeniu, w przeciwieństwie do Niemców, u których morale po sukcesach w kampanii polskiej znacznie się podniosło, a sztab generalny posiadał najlepszą doktrynę użycia wojsk pancerno-lotniczych, której ani razu nie zawahał się zastosować.

Z tych wszystkich słabości armii francuskiej (choćby podświadomie) sztab francuski zdawał sobie sprawę, dlatego nie przeprowadził operacji ofensywnej w wielkim stylu. Zresztą był zaskoczony faktami wojennymi z Polski, gdzie czołgi niemieckie już w pierwszym tygodniu znalazły się pod stolicą, a w drugim nie istniała polska linia obronna, zaś szereg oddzielnych ugrupowań walczyło samodzielnie bez żadnej koordynacji, czy łączności ze sztabem. Wieści z frontu polskiego musiały działać destruktywnie i podrywać słabe morale armii francuskiej i sztabu, który właśnie dlatego uznał, że „Polacy nie dotrzymali umowy, gdyż za krótko bili się na swej głównej pozycji obronnej”.

U podstaw klęski Polski, a w konsekwencji — rok później — Francji tkwił fakt złego ustalenia umowy między tymi państwami w maju 1940. Wychodząc z założeń wojny pozycyjnej 1914-1918, poza którą wybiec w przyszłość ani sztaby obu państw *en masse*, ani ich przedstawiciele w osobach asygnujących generałów Gamelina i Kasprzyckiego nie potrafiły, spisano umowę, która dobra była w 1914, ale nie ćwierć wieku później.

Dwutygodniowy termin przygotowań do ofensywy głównej był za długi, gdyż w tym czasie Polska utraciła swe najważniejsze obszary, a jej armia poniosła straty, które siłę żywą zredukowały do połowy, zaś sprzęt i zaopatrzenie do 20-30 %, bez żadnych szans na zregenerowanie swych zasobów materialnych. A to z kolei wykluczało odzyskanie utraconych możliwości zaczepnych, i w konsekwencji ewentualne odbicie oddanych terenów.

Kontrofensywa francuska mogła przyjść z odsieczą i pomóc armii polskiej tylko wtedy, gdyby wyszła nie później jak 3 września 1939 roku. Ale takiego założenia nie było w protokole umowy.

Zakończenie

Reasumując, chciałbym podkreślić, że podjęcie działań ofensywnych przez armię francuską nie mogło zmienić ani przebiegu,

ani efektu końcowego walk w Polsce. Armia francuska nie była do tej wojny przygotowana *psychicznie*, tkwiąc w doktrynach z czasów bitwy pod Verdun, odrzucając nawet (wypróbowane już w Hiszpanii) metody walki, wiążące się z masowym użyciem lotnictwa, w atakach na zaplecze nieprzyjaciela i głębokich zagrożeń pancernych, łamiących front w wybranych miejscach, gdzie siłą rzeczy atakujący posiadał przewagę ilościową wynikłą z nagromadzenia środków ofensywnych nawet przy względnie równych zasobach ludzko-materiałowych.

Nawet w wypadku sukcesu ofensywnego, dojścia do Renu oraz sforsowania go sztab francuski sam by zastopował marsz naprzód przy najbliższym kontrataku ze strony Niemców. Armia francuska była na wskroś przeziąknięta defetyzmem i podobne reakcje pacyfistyczne wykazywało całe społeczeństwo. Nie chciano umierać za Gdańsk, nie rozumiejąc, że w 9 miesięcy później będzie trzeba umierać za Paryż, za który — *nota bene* — też nie chciano umierać. Rząd francuski albo podzielał opinię społeczeństwa, albo zdawał sobie sprawę z faktycznej słabości militarnej Francji stojącej w sprzeczności do stanów ilościowych i ludzko-materiałowych, które liczbowo były imponujące. I tylko ten fakt mógłby usprawiedliwiać politykę zagraniczną tego „mocarstwa”, które od czasów śmierci ministra Barthou kierowało się unikami i ustępstwami wobec piętrzących się żądań Trzeciej Rzeszy.

Wykrwawienie armii francuskiej w czasie pierwszej wojny światowej, późniejsze zahamowanie przyrostu ludności, a nawet jego spadek spowodowały, że idee wojny (jak się okaże w maju i czerwcu 1940), nawet obronnej, były nader niepopularne wśród społeczeństwa francuskiego. A nadstawianie karku z powodu jakiegoś miasta czy państwa było wbrew ówczesnej logice francuskiej, niezależnie od tego czy chodziło o Gdańsk, Czechosłowację, czy też Polskę. Do tego dochodził jeszcze destrukcyjny wpływ, jaki wywarła na kształtowanie opinii publicznej budowa linii fortyfikacji przez André Maginota. W umyśle przeciętnego Francuza wytworzył się obraz, że cała następna wojna koncentrować będzie się na zdobyciu bądź na obronie tejże linii. I skoro jakieś forty Duomont mogły być obronione, to co dopiero owo cudo sztuki fortyfikacyjnej, które kosztowało podatnika francuskiego 2.900.000.000 Franków.

Fakt, że decydująca akcja mogła się toczyć gdzie indziej i powodować bezużyteczność tych fortyfikacji był poza schematem myślowym nie tylko przeciętnego Francuza, ale i wielu członków francuskiego sztabu generalnego. Zupełnie nie zdawano sobie sprawy zarówno we Francji, jak i w Polsce, że nie tylko obszar

przyfrontowy, ale i całe zaplecze jest terenem walki, po którym swobodnie mogło buszować lotnictwo nieprzyjaciela, dezorganizując zaopatrzenie, mobilizację czy koncentrację odwodów, tak jakby nie istniały prace Douheta dotyczące użycia tego rodzaju broni do innych celów niż rozpoznanie czy współdziałanie z piechotą.

Broń pancerna, zarówno we Francji jak i w Polsce, działała nie samodzielnie, ale jako środek wsparcia piechoty, mimo iż w obydwu krajach odzywały się głosy domagające się innego zastosowania (gen. de Gaulle czy T. Kossakowski). Jednostki pancerno-motorowe — dwie dywizje we Francji, dwie brygady w Polsce, zarówno tam, jak i tu traktowano raczej eksperymentalnie.

W Trzeciej Rzeszy zauważono od razu, że rozwój broni pancernej wyznacza nowe zadania temu rodzajowi wojsk i nie wahano się użyć wielkich jednostek pancernych zgrupowanych w korpusy, działających samodzielnie na głównych kierunkach przełamania w postaci „zagonów” przechodzących przez linię frontu w głąb obszaru tyłowego i działających skutecznie (wbrew przedwojennym opiniom gen. Stachewicza odnośnie kłopotów z jednostkami pancernymi podczas zajmowania Czechosłowacji).

Także pomysły gen. Dąb-Biernackiego o odcięciu od zaopatrzenia działających na przedpolu armii „Prusy” jednostek pancernych, po usiłowaniach wprowadzenia ich w życie zakończyły się fiaskiem. Zaskoczenie zarówno techniczne, jak i niespotykany dotąd, niezgodny z oficjalnie wykładanym na akademiach wojskowych sposób walki był najważniejszym czynnikiem powodującym klęskę Polski w 1939 roku, potencjalną klęskę Francji w tym samym roku, a faktyczną w maju 1940.

Wywiązanie się tej ostatniej z zobowiązań sojuszniczych, czyli podjęcie ofensywy mogło tylko w pierwszej fazie dać sukcesy do czasu niemieckiej kontrakcji, tym groźniejszej im dalej od podstaw wyjściowych francuskiego uderzenia. Jeszcze we wrześniu na froncie zachodnim mogły się zjawić poszczególne dywizje — w tym pancerno-motorowe — wyciągnięte z frontu polskiego, w październiku mogłyby się pojawić całe armie, które nie tylko byłyby w stanie zatrzymać ofensywę aliancką, ale także przejść do kontrataku i osiągnąć z powrotem linię Renu. Straty poniesione w Polsce przez jednostki, choć chwilowo poważne, nie przekraczały jednak 5-10 % siły żywej i 10-20 % użytego sprzętu.

Meldunki polskich dowódców, jak np. przytaczany przez J. Rómmla w „Za Honor i Ojczyznę” o zniszczeniu 150 pojazdów pancernych przez Wołyńską Brygadę Kawalerii w bitwie pod Mokrą, należy brać z pewną rezerwą, gdyż dotyczy on nie całko-

witego zniszczenia pojazdu, ale uszkodzenia na skutek zerwania pociskiem gąsiennicy pojazdu, podpalenia itp., które wprawdzie eliminowało pojazd z walki, ale po kilkugodzinnej lub nawet kilkudniowej naprawie przywracało do stanu używalności.

Jedynym poważnym czynnikiem, który obniżał możliwości natychmiastowego efektywnego użycia części wojsk niemieckich na zachodzie był brak amunicji; jednostki frontu zachodniego posiadały jej na trzy dni, a rezerwa centralna — na piętnaście. I to było w zasadzie jedyne „wąskie gardło” przemysłu niemieckiego, gdyż kwestia zaopatrzenia i uzupełniania zniszczonego sprzętu wojennego wobec dużych możliwości produkcyjnych ówczesnego niemieckiego przemysłu wojennego (po blisko 800 samolotów i dział miesięcznie i prawie 400 pojazdów pancernych — według „Informatora Drugiej Wojny Światowej”), tudzież dużej ilości zapasów tegoż, w chwili wybuchu wojny w jednostkach bojowych i magazynach, zmniejszały znacznie wagę problemu.

Już w 1938 gen. Kutrzeba pisał w memorandum do sztabu głównego iż siły bojowe Trzeciej Rzeszy są równe połączonym siłom Francji i Polski. Rok później, wzięwszy pod uwagę większą gotowość bojową i element zaskoczenia, Trzecia Rzesza była w sytuacji korzystniejszej.

Dochodzą do tego wymieniane już takie czynniki jak nowsza doktryna wojenna, lepsze wykorzystanie broni pancernej i lotnictwa oraz mimo wszystko lepsze (w porównaniu do morale armii francuskiej) morale armii niemieckiej, ożywione zwłaszcza po pierwszych tygodniach sukcesów w Polsce.

Tak więc w stanie rzeczy, jaki istniał w dniu 15 września Trzecia Rzesza nie mogła być pobita całkowicie. Oczywiście tempo uderzeń niemieckich na Polskę wobec wyciągnięcia z tamtejszego terenu walk ponad połowy sił pancernych i lotniczych nie tylko by zmalało, ale wręcz się zatrzymało, *Blitzkrieg* zamieniłby się w *Sitzkrieg*, ale to nie uratowałoby państwa polskiego, a tylko przedłużyło okres agonii o dwa, maksimum trzy miesiące, w zależności od tego kiedy Rosjanie zdecydowałiby się uderzyć. Na froncie zachodnim wojska alianckie odniosłyby w pierwszej fazie ofensywy szereg sukcesów — zwłaszcza terytorialnych — lecz nie potrafiłyby totalnie zniszczyć Niemców (jak starają się dowieść niektórzy historycy francuscy czy niemieccy: A. Goudard, Westphal). Bo nie można było rozbić armii, która posiadała ćwierćwiekowe wyprzedzenie, a nie stała na straży złudzeń przeszłości z odniesieniem do roku 1914, co dotyczy zarówno armii francuskiej jak i polskiej w stosunku do 1920 roku. I owo fatalne całkowite zaplątanie się w przeszłości, z rzutowaniem

w przyszłość, miało swoje implikacje w dyplomacji, gdzie rozpatrywano w punktach sojuszów i paktów dwutygodniowy termin przygotowania do ofensywy, zakładając że co najmniej tak długo armia polska będzie się biła na niedogodnej, bo zbyt długiej i zbyt na zachód wysuniętej głównej pozycji obronnej. Gdyby data ofensywy alianckiej była ustalona nie na 15 a na 3 września a następnie wykonana z całą mocą i stanowczością, przebieg wojny byłby inny — ale takiego założenia nie było ani w układzie majowym, ani w tej pracy.

Krzysztof SÓJKA-WILMAŃSKI

Zdzisław SIEMASZKO

SERGIUSZ PRITYCKI 1913 - 1970

Strzały pistoletowe w wileńskim budynku sądów w dniu 27 stycznia 1936 roku odbiły się szerokim echem niemal w całym świecie, a bohaterami tego dramatu byli dwaj Białorusini należący do nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi (KPZB): Jakub Strelczuk („Dziomka”), do niedawna jeden z przywódców Komsomołu, który rozczarował się do komunizmu, przeszedł „na polską stronę” (a według sowieckiej wersji był od lat „wtyczką” polskiej defensywy) i wydał policji setki członków i wiele „jawek”¹, oraz Sergiusz Pritycki (Prytycki, Priticki) („Janka”, „Arkady”), który z polecenia partii wykonywał wyrok śmierci na Strelczuku. Światowy rozgłos sprawa ta uzyskała dzięki kampanii montowanej przez partię celem obronienia Prityckiego, jako ideowca, od grożącej mu kary śmierci.

Ze sprawą Strelczuka był w Wilnie ściśle związany prokurator Kawecki, który poświęcił mu część swoich wspomnień². W ubiegłym roku wydano w Mińsku książkę w języku rosyjskim o Prityckim³, którą mam zamiar tu omówić. Składa się ona z trzech części: wspomnień i artykułów samego Prityckiego, wspomnień innych autorów o nim oraz załączników. Przedmowę

1. Definicja jawki według słownika Ożegowa: „Miejsce gdzie odbywają się konspiracyjne spotkania, a także samo spotkanie lub umówiony znak przy spotkaniu”.

2. B. Kawecki, *Ze wspomnień wileńskiego prokuratora*, PFK, Londyn, 1977, str. 187-192.

3. *Жизнь отданная народу, стат'и і речі С. О. Притыцкого, документи і wspomniania o niem.* Red. S. Z. Poczanin, Izdat. Biełaruś, Mińsk, 1978, str. 269.

napisał P. M. Maszerow, członek politbiura KPSS (także Białorus). Na urozmaicony dział załączników składa się ponad 50 pozycji; prócz materiałów komunistycznych (odezwy, instrukcje, sprawozdania, prasa) zawiera on liczne wyciągi z korespondencji polskich organów bezpieczeństwa, część aktu oskarżenia Prityckiego, a także wyjątki z prasy wileńskiej, szczególnie ze *Słowa i Kurjera Wileńskiego*. Wszystko w języku rosyjskim, reprodukcji oryginałów książka nie zawiera. Wśród 13 autorów wspomnień jest A. Snieczkus, wieloletni pierwszy sekretarz KP Litwy, i dwaj byli studenci Uniwersytetu Stefana Batorego: Jonas Karosas, sekretarz Biura Litewskiego przy wileńskim okręgu KPZB, autor książki *Mówią kamienie Wilna*, i Maksim Tank (Eugeniusz Skorko), białoruski poeta i ongiś współpracownik redagowanego przez Henryka Dembińskiego *Poprostu*.

Wiele rzeczowych danych zawiera relacja Mikołaja Orechwy, ówczesnego kierownika Krajowego Sekretariatu⁴ KC KPZB, według której (str. 144) w roku 1934 zaczęły napływać do Sekretariatu raporty świadczące o istnieniu w szeregach partyjnych niebezpiecznego szkodnika. W wyniku śledztwa podejrzenie padło na instruktora CK Komsomołu, Dziomkę-Strelczuka. Żeby to podejrzenie sprawdzić, polecono mu wyjechać na kurs do Mińska (na takie kursy delegowano wielu aktywistów, nie było więc w tym pozornie nic nadzwyczajnego). Strelczuk ten rozkaz przyjął, lecz granicy nie przekroczył i z sieci partyjnej zniknął (przypuszczalnie wówczas właśnie zgłosił się do władz polskich). Wtedy uznano go za prowokatora, potępiono w tajnej prasie partyjnej i zalecono jego likwidację.

Metody pracy Strelczuka po polskiej stronie opisał Kawecki; dla KPZB była to prawdziwa katastrofa: w niektórych okręgach (szczególnie słonimskim, nowogródzkim i brzeskim — str. 145) partyjne i komsomolskie organizacje terenowe *de facto* przestały istnieć, krajowe władze centralne co prawda istniały, ale były zastraszone i ich możliwości działania mocno ograniczone; sam Pritycki np. opisuje (str. 22), jak przy powrocie z Mińska w maju 1935 roku ze względu na akcję Strelczuka zabroniono mu zatrzymywać się gdziekolwiek na Zachodniej Białorusi i skierowano wprost do Warszawy do dyspozycji CK. Lecz nawet i w Warszawie okazało się, że dzięki Strelczukowi jego jawka została też zlikwidowana i popłoch panował taki, że nie zdołał nawiązać żadnego kontaktu z Centralnym Komitetem. Wyjechał więc do

4. Krajowy Sekretariat był najwyższą władzą w granicach Polski i był ulokowany w głębokiej konspiracji w Warszawie, Centralny Komitet znajdował się w Mińsku, zaś sekretarz Komsomołu w Wilnie.

rodzinnej Grodzieńszczyzny, gdzie partia stosunkowo najmniej od Strelczuka ucierpiała.

Sytuację w terenie opisuje tenże Pritycki, który został skierowany do odbudowania organizacji w słonimskim:

„Przyjechawszy do słonimskiego okręgu, zastałem straszny obraz. Partyjna organizacja była rozgromiona. Znani mi komuniści i komsomolcy aresztowani. Wśród ich krewnych panowała panika i dezorientacja. Przez dwa tygodnie obszedłem wiele wsi, w których spodziewałem się znaleźć starych komunistów, okazało się jednak, że wszyscy zostali aresztowani. Położenie było dość krytyczne. Najprościej byłoby wrócić do CK i zameldować, że łączności nawiązać nie udało się. Ale to by oznaczało małoduszność, niewykonanie zadania partii i ucieczkę z pola bitwy. W końcu zaszedłem do wsi Wole-Krupice i Moskale w Nalibockiej puszczy. Tu partyjne i komsomolskie organizacje, których członkowie byli mi znani, jakimś trafem ocalały od pogromu” (str. 23).

Tymczasem Jakub Strelczuk, który to spustoszenie spowodował, nie tylko nadal żył, ale występował jako świadek w wileńskim sądzie okręgowym i innych, i przyczyniał się do coraz to nowych wyroków na komunistów.

Po nieudanych zamachach w Brześciu i Oszmianie kierownictwo partii doszło do wniosku, że na likwidację Strelczuka przez miejscową organizację nie ma co liczyć, i że ta pilna sprawa musi być zaplanowana ogólnie. Odpowiedzialnością za zorganizowanie likwidacji został obciążony sekretarz CK Komsomołu Mikołaj Dwornikow („Gierasim”, „Robert”, niedługo potem poległ w Hiszpanii) pod nadzorem kolejnych kierowników Krajowego Sekretariatu Orechwy, Szołomowa i Siemienikowa. Wkrótce dostarczono Dwornikowowi do Wilna odpowiedni arsenał broni i amunicji. Ale wykonawcy wciąż brakło. Poszukiwano człowieka nie tylko odważnego, ale także ideowca, oddanego partii, i wreszcie takiego, który by w razie aresztowania zachował się godnie w rękach „klasowego wroga”. Wybór Dwornikowa padł właśnie na Prityckiego, głównie ze względu na jego nienaganne zachowanie się podczas aresztowania w roku 1933. *Gierasim nie oszibsia w swoim wyborze* — stwierdza Orechwo (str. 146).

Sergiusz Pritycki urodził się w roku 1913 we wsi Harkowicze sokólskiego powiatu, wydaje się że rodzina była prawosławna lub starowerska; w czasie pierwszej wojny została wyewakuowana do penzeńskiej guberni i tam przeżyli rewolucję. Pomimo że ojciec Sergiusza posiadał w Harkowiczach zaledwie 1,5 ha ziemi, był więc klasycznym biedniakiem, dla których w pierwszym rzędzie Związek Sowiecki rzekomo istnieje, już w 1921 roku porzucił on wraz z rodziną Sowiety i wyjechał do „pańskiej Polski”. Sergiusza na komunizm nawrócił jego starszy brat Aleksander,

który stał się komunistą jeszcze podczas rewolucji. Sergiusz wstąpił do Komsomołu jako 17-letni młodzieniec i wkrótce został sekretarzem krynkowskiego rajkomu; „Od tego dnia całe moje życie poświęciłem rewolucyjnej walce” — pisze (str. 21). W roku 1932 awansował na sekretarza grodzieńskiego okręgowego Komsomołu i został przyjęty do partii. W maju 1933 roku był aresztowany w domu komunisty, który akurat wrócił z więzienia i z którym Pritycki miał nawiązać partyjny kontakt. W więzieniu pomimo tortur do niczego się nie przyznał i został po kilku miesiącach wypuszczony. Lecz ponieważ policja odąd stale okazywała zainteresowanie nim, na rozkaz partii w listopadzie przeszedł w podziemie, na status nielegalnika. W maju 1934 roku Pritycki został wysłany na roczny kurs partyjny do Mińska; o trudnościach jakie miał po powrocie i o skierowaniu do Słonima już była mowa.

Podczas sprawozdawczej wizyty w Wilnie w styczniu 1936 r. Pritycki, nieświadom, że decyzja partii co do jego roli w tej sprawie już zapadła, wystąpił ostro właśnie wobec Dwornikowa z pytaniem⁵, dlaczego wyrok partii nie został wykonany i Strelczuk nadal działa. „Robert” oświadczył, że zlikwidować Strelczuka jest trudno ze względu na policyjną ochronę, zaś Pritycki odpowiedział, że wobec tego należy zastrzelić go na sali sądowej i że on podejmie się znalezienia wśród słonimskich mołojców odpowiednich do tego ludzi. Dwornikow na to:

— *Postat' liudiej prosto, a wot czto skazał by ty, jesli by tiebie samomu priszłos' eto sdietat'?*

„Słowa te wywołały we mnie uczucie gorzkiej obrazy — pisze Pritycki — i kategorycznie zażądałem wydania mi pistoletu”. Ochotnicze podjęcie się wykonania wyroku, bez znajomości decyzji partii w tej sprawie, jest przez Prityckiego mocno podkreślane; widocznie zależało mu na tym.

Trudności w projektowaniu zamachu powstały stąd, że Pritycki nigdy nie był w gmachu sądów (ani też nigdy nie widział Strelczuka). Dwornikow proponował mu klucz (będący w posiadaniu partii) do jednego z prokuratorskich gabinetów, miesz-

5. Istnieje znaczna ilość (na ogół niezgodnych) relacji z genezy i przebiegu zamachu: Kaweckiego, Prityckiego w zbiorowej pracy *Wilniuskoje Podpolje* (Wilno, 1966) i szereg zamieszczonych w omawianej książce, mianowicie: nieco inna wersja tegoż Prityckiego (pochodząca z roku 1958), oficjalny komunikat PATA, reportaże z gazet *Słowo* i *Kurjer Wileński*, relacja naocznego świadka J. Karosasa (ze szczegółowym opisem sali) oraz relacja z aktu oskarżenia Prityckiego o zamach, sporządzonego przez prok. Piotrowskiego.

czącego się tuż obok głównej sali i z wyjściem na tylną klatkę schodową, Pritycki jednak propozycję odrzucił, gdyż sądził, że wobec całkowitej nieznajomości geografii gmachu nie potrafi tego atutu wykorzystać. Proponowano także ułatwienie mu ucieczki przez delegowanie do sali grupy komsomolców, którzy by w odpowiedniej chwili zrobili zamieszanie, lecz i to odrzucił, nie chcąc powodować dodatkowych ofiar. Pritycki przyjął jedynie jawkę na bardzo bezpieczną melinę w domu zajmowanym przez Korpus Ochrony Pogranicza⁶, gdzie gospodynią była pewna zrujnowana hrabina (str. 25), na wypadek gdyby udało mu się ująć cało z sądu w krytycznym dniu, chociaż uważał, że szanse na to są minimalne. Zaopatrzone go także w legitymację powiatowego komendanta Strzelca.

Termin zamachu wyznaczono na 25 stycznia, lecz Pritycki zasnął (gdyż siedział do późna w nocy z Dwornikowym) i przyjechał do sądu już po zeznaniach Strelczuka. Poniekąd był z takiego obrotu sprawy zadowolony, gdyż przydzielony mu partyjny pistolet był zardzewiały i nie wzbudzał zaufania; na jego żądanie zaopatrzone go teraz w nowszy model. Następne zeznania Strelczuka miały być 27 stycznia. 26-go Pritycki przestrzelał oba pistolety i nie spodziewając się przeżyć następnego dnia, żegnał się z życiem; chodził po mieście i mimo złej pogody nigdy Wilno nie wydawało mu się takie piękne, ani Wilja taka malownicza, ani wilnianie tacy mili. Wieczorem przyszedł nieodzowny „Robert” Dwornikow z butelką kaukaskiego wina. Rozmawiali o wszystkim, prócz jutra.

Nazajutrz Pritycki przyszedł do sądu na czas i usiadł wśród publiczności w 7-mym rzędzie krzeseł wielkiej sali, lecz musiał czekać parę godzin na ukazanie się swojej ofiary. Tymczasem podsądni (którzy go znali jako „Arkadego”) zauważyli go i zaczęli z widocznym ożywieniem o nim rozmawiać, co z kolei wywołało zainteresowanie detektywów, którzy starali się wykryć kto jest powodem podniecenia na ławie oskarżonych. W tych warunkach, pisze Pritycki, trzeba było ogromnego wysiłku woli żeby zachować pozory doskonałej obojętności.

Wreszcie wywołano świadka Strelczuka. Strelczuk zeznawał po cichu, lecz gdy podniósł głos i zaczął nazywać oskarżonych bolszewickimi agentami, Pritycki poczuł, że jego chwila nadeszła: podbiegł do stołu sędziowskiego i stanąwszy za Strelczukiem od strony stołu obrońców, wystrzelił do niego kilkakrotnie z obu

6. KOP zajmował dom przy ul. Portowej, ok. 500 m od gmachu sądów, lecz Pritycki może mieć na myśli jakiś inny budynek.

pistoletów, w głowę i klatkę piersiową. Strelczuk, krwawiąc obficie, osunął się na podłogę, zaś Pritycki pobiegł przez salę do drzwi wyjściowych; pomimo paniki jaka powstała, publiczność rozbiegała się przed człowiekiem z dwoma pistoletami w rękach. Osłona Strelczuka, detektywi Dajnowski i Buczkowski, pognali za zamachowcem. Według aktu oskarżenia Pritycki już na schodach obrócił się i strzelił dwukrotnie do Dajnowskiego, ale chybił. Sam Pritycki zaprzecza jakoby strzelał do Dajnowskiego. Do zbiegającego po schodach Prityckiego detektywi strzelali, raniąc go kilkakrotnie; zdołał on jednak dobiec na parter, lecz tam zemdlął z odniesionych ran i padł niemal dosłownie u nóg prokuratora Kaweckiego, który akurat wchodził do budynku.

Pomimo strzelania z tak bliskiej odległości Pritycki Strelczuka nie zabił; rany głowy nie okazały się śmiertelne, zaś kule skierowane w klatkę piersiową nie zrobiły mu szkody, gdyż Strelczuk nosił koszulkę pancerną. Jednak po tym zamachu prokuratura nie wykorzystywała go więcej jako świadka; w tym więc sensie zamach Prityckiego swój cel osiągnął, tj. Strelczuk został wyeliminowany i więcej o nim w ogóle nie słyszano.

Pritycki natomiast po operacji (wykonanej przez dr. Leona Achmatowicza w szpitalu św. Jakuba) i kuracji został w czerwcu 1936 roku postawiony przed sądem okręgowym w Wilnie, oskarżony o przynależność do zakazanej KPZB i o usiłowanie zabójstwa świadka Jakuba Strelczuka i detektywa Stanisława Dajnowskiego. Przyznał się do usiłowania zabójstwa Strelczuka, lecz nie do pozostałych zarzutów. Sąd uznał go jednak winnym wszystkich trzech przestępstw i skazał na łączną karę śmierci przez powieszenie. Wileński sąd apelacyjny wyrok ten potwierdził (7 października 1936 roku), lecz sąd najwyższy przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia (15 grudnia). Postępowanie sądowe toczyło się przy akompaniamencie silnej kampanii montowanej przez partię nie tylko w kraju ale i zagranicą przeciwko wymierzaniu Prityckiemu, jako idealście, kary śmierci. Ostatnia rozprawa odbyła się 26 lutego 1937 roku przed wileńskim sądem apelacyjnym; przewodniczył sędzia Suszczewicz, oskarżał prokurator Szulkiewicz, bronili (jak i w poprzednich rozprawach) znani warszawscy obrońcy komunistów adw. Duracz i Berenson. Wobec tego, że Sąd Najwyższy karę za przynależność (15 lat więzienia) potwierdził, a do zarzutu dotyczącego Strelczuka oskarżony się przyznał, sąd zajął się sprawą strzelania do Dajnowskiego. Zeznania świadków na ten temat były sprzeczne, a także liczenie znalezionych kul i łusek pistoletowych nie prowadziło do jedno-

znacznych wniosków, i ani wizja lokalna, ani przeprowadzone konfrontacje nie przesądziły sprawy. Wobec tego sąd uznał ten punkt oskarżenia za nieudowodniony i skazał Prityckiego na dożywotnie więzienie za usiłowanie zabójstwa świadka Strelczuka. Ponieważ Sąd Najwyższy oddalił protesty tak prokuratora jak i obrony, wyrok ten uprawomocnił się. W lipcu 1937 roku przeniesiono Prityckiego z Łukiszek do grodzieńskiego więzienia, a w lutym 1938 roku do Rawicza, skąd został uwolniony 1 września 1939 roku z powodu wojny. Przesiedział więc w więzieniu ponad trzy i pół roku, z tego półtora roku w „celi śmierci”. W swoich wspomnieniach poświęca on sporo miejsca (str. 31-35) charakterystyce (naturalnie bardzo ujemnej) życia więziennego i ocenia ilość więźniów politycznych w przedwojennej Polsce na 15 tysięcy. Jednak co do cyfr Prityckiemu zaufać nie można, gdyż w innym miejscu (str. 37) pisze na przykład, że opłata za naukę w gimnazjum w Polsce wynosiła 900 zł, podczas gdy w rzeczywistości suma ta (w gimnazjach państwowych) wynosiła 220 zł, przesadził więc tu przeszło czterokrotnie.

Można przypuszczać, że Pritycki był w pełni poinformowany o rozwiązaniu w lipcu 1938 jego partii pod odium penetracji przez polską defensywę, a także o sowiecko-niemieckim pakcie sprzed kilku dni; radość z odzyskania wolności mogła się u niego wówczas łączyć z gorzkim uczuciem zawodu, że ideały młodości zwaliły się w gruzy. Jednak z pewnością był zdecydowany nadal służyć sprawie komunizmu. Jak podkreślił Aleksander Wat⁷, rozwiązanie partii nie likwidowało komunizmu w Polsce. Likwidowało tylko jedną z nici do Moskwy, lecz pozostały inne, pozostali w terenie ludzie cieszący się zaufaniem Moskwy (jak Wasilewska, Borejsza). Pritycki przedostaje się (15 września) do już oblężonej Warszawy, co przypuszczalnie nie było łatwym przedsięwzięciem. Powodów dlaczego mu zależało na dostaniu się do miasta nie podaje, lecz mogło to być pragnienie skontaktowania się ze znanym mu właśnie takim „mężem zaufania” Moskwy. Po kapitulacji (27 września)⁸ kieruje się na wschód pod upragnioną władzę sowiecką i 5 października przybywa do Białegostoku, widocznie bez większych kłopotów z wojskiem pogranicznym.

Parę słów o ówczesnym stosunku władz sowieckich do komunistów z Polski. Jak wiadomo, Stalin traktował rozwiązanie

7. A. Wat, *Mój wiek*, Polonia Book Fund, Londyn, 1977, t. 1, str. 236.

8. Pisze Pritycki: „W Warszawie wypadło nam widzieć i przeżyć całą tragedię zniszczenia miasta przez faszystowskich barbarzyńców, być świadkami jego poddania się” (str. 30).

KPP całkiem serio⁹, i na terenie zajęтым przez Sowiety dawnych członków partii nie uważano za komunistów; dotyczyło to w równej mierze samej KPP jak i afiliowanych KPZB i KPZU. Dopiero później zaczęto przeprowadzać indywidualną weryfikację bardziej zasłużonych¹⁰, Pritycki na przykład został zweryfikowany i przyjęty do WKP(b), ze stażem od grudnia 1932, dopiero 12 maja 1941 roku (str. 158); nawet tak zasłużony komunista, który dla partii przelewał krew, musiał czekać ponad półtora roku na oficjalne uznanie swego komunizmu. Tymczasem wielu b. komunistów i sympatyków aresztowano, m.in. także spośród tych którzy schraniali się pod sowiecką władzę spod okupacji niemieckiej. Szczególnie nie uznawano zasług nawet znacznych, np. odbytych kar więziennych za komunizm, lub bronięcia komunistów przed sądami, o ile należały one do „czasu przeszłego dokonanego”¹¹. Położenie takich jak Pritycki, którzy przesiedzieli w więzieniu aż do upadku Polski, było pod tym względem

9. Możliwe, że ostracyzm przeciwko historycznej KPP trwa do dzisiaj. Oto przemawiając w Moskwie 16 marca 1979 roku podczas obchodu 60-lecia Kominternu, Boris Ponomarew wymieniał nazwiska 23 najbardziej zasłużonych niesowieckich działaczy Kominternu, wśród których nie ma ani jednego Polaka (angielski tekst mowy, Agencja Novosti, str. 9).

10. Chruszczow, ówczesny wielkorządca Ukrainy, pisze na ten temat: „Otrzymaliśmy z Moskwy dyrektywę żeby nikogo nie uznawać za członka partii, ani nie przenosić członkostwa. Mieliśmy jedynie wybierać najbardziej zasługujących na to ludzi, na indywidualnych zasadach. W praktyce ta dyrektywa oznaczała, że nikt z nich nie mógł wstąpić do partii. Dopiero później mogliśmy zacząć przyznawać członkostwo najbardziej godnym, uczciwym polskim towarzyszom, którzy pracowali w partyjnym podziemiu. Bardzo potrzebowaliśmy ich pomocy, gdyż znali oni warunki miejscowe lepiej od nas. Zaczęliśmy tworzyć partyjne organizacje. Niestety straciliśmy czas na początku z powodu tych moskiewskich dyrektyw. Takie były trudności napotkane przez nas dzięki nieprawidłowej polityce Stalina”. *Khrushchev Remembers*, t. 2, Penguin, London, 1974, str. 192 i 193.

11. Premier Menachem Begin podaje typowe w takich wypadkach odpowiedzi *sledowatielej* wileńskiego NKWD. Wobec więźnia, który bronił się, że nie może być oskarżony o antyrewolucyjność, gdyż siedział w Polsce za komunizm: „Byliście oddanym komunistą i kapitalistyczna policja wypuściła was z więzienia? Kogo próbujecie okłamywać? Żebyście byli lojalnym komunistą, nie wypuściliby was z więzienia po kilku latach. Wypuścili was dlatego, że obiecaliście polskiej defensywie, że wydacie im szczerych komunistów”. A wobec uwięzionego adwokata, który bronił się tym, że pomagał przed sądami oskarżonym komunistom: „Broniliście komunistów? Kogo bujacie? Żebyście nie byli w zмовie z tajną policją, czyżby pozwolili wam 'bronić' komunistów przed kapitalistycznymi sądami? Sam fakt, że stawaliście przed tymi sądami stanowi dowód, że byliście agentem tajnej policji i denuncjowaliście prawdziwych komunistów”. Begin siedział na Łukiszkach pod sowiecką władzą, naturalnie za syjonizm. (*White Nights*, Futura Publications, London, 1978, str. 82 i 83).

lepszego, naturalnie o ile nie byli podejrzani o współpracę z władzami w więzieniu.

Po przybyciu do Białegostoku Pritycki zostaje wyznaczony na delegata na *Narodnoje Sobranije Zapadnoj Bielarussii* (odbyło się 28-30 października), co więcej, zostaje mu powierzony zasadniczy referat *O gosudarstwiennoj własci*¹² i formalne postawienie wniosku o przyłączenie kraju do ZSSR — najwidoczniej cieszył się on całkowitym zaufaniem władz sowieckich, mimo że przez blisko cztery lata był poza zasięgiem ich kontroli (może ta wizyta w oblężonej Warszawie przyniosła pożytek?). Jak wiadomo, wśród deputowanych było wielu ludzi sowieckich, i Putramenta np. nie zakwalifikowano do tej roli, chociaż jego kandydatura była rozważana¹³. Uderza w mowie Prityckiego, jak wiele uwagi poświęca on pobudzaniu nienawiści do ziemian — klasy, która na Zachodniej Białorusi była już wówczas wywłaszczona, rozgrabiona i gruntownie wyaresztowana, a więc całkowicie zlikwidowana jako potencjalna siła. Dlaczego więc uznano za wskazane poświęcenie jej tyle uwagi? Przypuszczalnie powodem była znaczna sympatia dla ziemian, która, niespodziewanie dla władz sowieckich, ujawniła się na wsi. Chłopi i parobcy byli oczywiście jak najbardziej za podziałem majątkowej ziemi między siebie (zakładając, że nie miało to prowadzić do kolektywizacji, której się już wówczas żywiłowo obawiali) i wielu z nich ochoczo grabiło dwory, ale aresztowania, deportacji lub fizycznego maltretowania b. ziemian na ogół wcale sobie nie życzyli. O istniejącej sympatii władze sowieckie mogły przekonać się przede wszystkim z petycji o uwolnienie aresztowanych ziemian, które ludność wiejska chętnie i czasem w znacznych ilościach podpisywała¹⁴. Bywały też wypadki „odbicia” aresztowanego przez ludność; jak to Putrament opisuje, stało się tak z jego ojcem-osadnikiem¹⁵. Także na pytanie skierowywane przez sowieckich oficerów i żołnierzy do parobków, jak byli traktowani przez ich pana, nieraz odpowiadano dodatnio — ku konsternacji pytających. Przypuszczalnie dzięki takim czynnikom władze sowieckie uznały za wskazane podbechtanie uczuć antyziemiańskich.

12. Tekst referatu podany w omawianej książce (str. 41-48) został najwidoczniej spreparowany przynajmniej pod jednym względem: nie ma w nim w ogóle wzmianki o Stalinie.

13. J. Putrament, *Pół wieku*, t. 2, Czytelnik, Warszawa, 1962, str. 9-10.

14. Jak się miano przekonać, petycje te były bezskuteczne, lecz w jednym znanym mi wypadku — gdy ilość podpisów sięgała kilku tysięcy — władze sowieckie rozpuściły nieprawdziwą pogłoskę, że nastąpiło zwolnienie z więzienia.

15. J. Putrament, *op. cit.*, str. 10-11.

Stałe stanowisko przydzielone Prityckiemu nie było jednak wysokie — został zastępcą przewodniczącego białostockiego *obispołkomu*. Prócz tego był deputowanym najwyższego *sowietu* ZSSR. Na początku wojny niemieckiej wstąpił do służby politycznej Czerwonej Armii, a w styczniu 1942 roku został przydzielony do Centralnego Sztabu Partyzanckiego i resztę wojny spędził w ramach tej organizacji. W marcu 1944 roku otrzymuje przydział do Polskiego Sztabu Partyzanckiego (formującego się w Szpanowie k. Równego), najprzód jako zastępca, później jako szef sztabu. Według Prityckiego (str. 76) w latach 1942-1945 istniały w Polsce 84 sowieckie oddziały partyzanckie o sile 12 tys. żołnierzy. Nie było właściwie ani jednego oddziału Gwardii/Armii Ludowej w którym by nie było sowieckich wojowników; w pierwszym oddziale GL, który w maju 1942 roku wyruszył w pole pod dowództwem Franciszka Zubrzyckiego, na 14 żołnierzy trzech było sowieckich, pisze Pritycki. W tymże sztabie jego zastępcą d/s polit.-wych. (tj. według dawniejszej terminologii komisarzem) był właśnie Putrament, który o Prityckim tak pisze:

„Była to niezwykle malownicza postać... Z podziwem czytaliśmy o nim i o jego czynie. Z wielką niecierpliwością czekałem na poznanie go. (...) Pritycki okazał się szczupły, niewysoki, jeszcze wciąż bardzo młody. Ale to czego dokonał nie minęło na nim bez śladu. Był strasznie nerwowy. Decyzje podejmował błyskawicznie, ale często się unosił. Zdaje mi się, że miał te same słabości co i ja — w dziedzinie organizacyjnej¹⁶”.

„Słabości w dziedzinie organizacyjnej” — tym eufemizmem określa Putrament krytyczny stosunek do bardziej jaskrawych przejawów stalinizmu — widocznie u Prityckiego były one dość wydatne, skoro Putrament je zauważył. Z tych czasów także gen. Mieczysław Moczar, który znał Prityckiego jeszcze z przedwojennej działalności, ciepło go wspomina¹⁷. W późniejszej fazie wojny Sztab został przekształcony na bazę zaopatrzeniową oddziałów partyzanckich przy polskim Naczelnym Dowódcy.

Po wojnie Pritycki studiuje przez trzy lata w Wyższej Szkole Partyjnej przy CK WKP(b), a następnie zostaje skierowany do grodzieńskiej *obłasti*, najprzód jako drugi sekretarz, a od grudnia 1948 roku jako pierwszy sekretarz partyjnego *obkomitetu*. Trudne to były czasy dla sowieckiej administracji tych ziem, i tragiczne dla ich mieszkańców. R. E. Korolow, ówczesny zastęp-

16. J. Putrament, *op. cit.*, str. 231-232.

17. M. Moczar, „Przez trzy granice”, *Wojskowy Przegląd Historyczny* (Warszawa), Nr 2, 1974, str. 414.

ca Prityckiego, który miał już doświadczenie z kolektywizacji na sowieckiej Białorusi, pisze o tym okresie:

„W te lata cała organizacyjno-polityczna praca partyjnych organów Zachodniej Białorusi była naturalnie podporządkowana zagadnieniom kolektywizacji. ... Zasadniczo kolektywizacja to rewolucyjne burzenie wiekowego układu życia wsi, z jego... zakorzenioną od wieków psychologią chłopą, drobnego posiadacza. ... Proces kolektywizacji w zachodnich *obłastiach* Białorusi toczył się w specyficznych warunkach. Ta specyfika najbardziej rzucała się w oczy w grodzieńskiej *obłasti*. (...) Przede wszystkim sam powojenny okres. Minęły zaledwie 2-3 lata od końca wojny, partyjne organy były jeszcze naturalnie młode, nieliczne, nie było jeszcze zwartego sowieckiego aktywu we wsiach. A chyba najważniejszy czynnik to sama spuścizna wojny — resztki gdzieniegdzie ukrywających się niemiecko-faszystowskich pomagierów i burżuazyjnych nacjonalistów zapadłych w podziemie, silny wpływ duchowieństwa (*nota bene*: brak oskarżenia Polaków — Z.S.). Wszystkie te ciemne siły, niedobite, rozdrażnione do granic, posuwały się do skrajności. Wroga antysowiecka propaganda, prowokacja, sabotaż wszelkich sowieckich przedsięwzięć, aż do terrorku, morderstwa i zastraszenia miejscowego sowieckiego aktywu we wsiach. ... Wrogie elementy bezzwłocznie wykorzystywały jakiegokolwiek nasze błędy i niedostatki. Nie pogardzały one żadną podłą prowokacją, aż do dywersji, terrorystycznych czynów, morderstwa miejscowych aktywistów, podpalania komunalnych budynków, niszczenia kołchoźnego mienia. Z niemniejszymi trudnościami wypadło przeprowadzać także wiele politycznych i gospodarczych przedsięwzięć: dostawy produktów rolniczych i leśnych, wybory do miejscowych władz itp.” (str. 167-170).

Ten złowrogi tekst świadczy, jak zdecydowany i nawet desperacki był opór grodzieńskich chłopów przeciwko kolektywizacji, a władze sowieckie niewątpliwie stosowały jeszcze bardziej drastyczne środki by ten opór przełamać. Pritycki jako pierwszy sekretarz *obkomu* był odpowiedzialny za przeprowadzenie kolektywizacji w swojej *obłasti*, a więc i za stosowanie tych środków; jak ustosunkować się do tego zadania? Otóż według tegoż Korolowa był on „nieustępliwy, męski, pryncypialny, nie znający kompromisu, wymagający, nie pasował przed trudnościami”; u niego „nie było ani chwili zmieszania czy niezdecydowania. Wprost przeciwnie, czym bardziej skomplikowane były warunki, czym ostrzej układała się sytuacja, tym twardziej przejawiała się jego wola”. Przeszedł on zwycięsko „próbę dojrzałości komunistycznej”. Jako potwierdzenie tej charakterystyki mogą służyć fakty, że w cztery miesiące po nominacji do Grodna Pritycki otrzymał order Lenina i na swoim posterunku był trzymany przez dwa lata, tj. prawdopodobnie do zakończenia kolektywizacji. Co prawda CK WKP(b) wytknął CK KP(b)B pewne błędy w kierowaniu kolektywizacją i Korolow oświadcza (str. 170), że krytyka ta stosowała się także do grodzieńskiej *obłasti*, lecz z tekstu odnosi się wrażenie, że były to błędy z rodzaju, który (przy innej

okazji) Stalin sklasyfikował jako *gołowokrużenie ot pierieuspiecha*, tj. zbytek gorliwości w likwidowaniu wielkiej ilości obywateli. O ile w 1936 roku Pritycki jeszcze miał znaczną dozę cech humanitarnych, to w przeciągu 12 lat najwidoczniej pozbył się tego „balastu” dość gruntownie.

W latach 1951-53 Pritycki był kierownikiem departamentu w białoruskim CK, a następnie sekretarzem *obkomu* kolejno w Baranowiczach, Mołodecznie i Mińsku. Od września 1952 roku był stale członkiem CK KPB, pozatem pełnił różnorodne wysokie funkcje w partii i rządzie Białorusi i w *sovietach* tak białoruskich jak i centralnych; niektóre z tych funkcji były zapewne synekurami. Jeszcze trzykrotnie był odznaczany orderem Lenina. Prawdopodobnie dzięki doskonałym warunkom zewnętrznym (Pritycki odznaczał się kulturalnym, całkowicie zachodnim wyglądem i miał miły uśmiech, górował pod tym względem o całą klasę nad przeciętną dla sowieckich polityków) wysyłano go często w delegacje za granicę, przyjmował też zagranicznych gości w Mińsku.

Jaki był stosunek Prityckiego do Polski i Polaków? Trzeba tu zaznaczyć, że założenie, że białoruscy komuniści, którzy cierpieli po polskich więzieniach przed wojną, nienawidzą wszystkiego co polskie byłoby błędne. Na przykład Maksim Tank jest prezesem Polsko-Białoruskiego Towarzystwa Przyjaźni i w jego poezji obok wierszy krytycznie wspominających Polskę są też inne, pełne sympatii dla Polski. No ale Tank studiował na polskim uniwersytecie i obracał się w towarzystwie tak nieprzeciętnych ludzi jak Henryk Dembiński czy Maria Dziewicka. Pritycki nie tylko do uniwersytetu, ale prawdopodobnie i do gimnazjum polskiego nie uczęszczał i silnego wpływu polskiej kultury nie doświadczył, całe swoje wykształcenie zawdzięczał szkołom partyjnym. Po wojnie jego rodzinne Harkowicze znalazły się po polskiej stronie granicy, a dekret Najwyższego Sowiegu z 22 czerwca 1944 roku zezwalał na przyjęcie polskiego obywatelstwa m.in. tym, którzy, jak Pritycki, „czynnie pomagali Armii Polskiej w walce o wyzwolenie Polski spod okupacji faszystów niemieckich”. Pritycki z tej opcji nie skorzystał. Jednak powojenną PRL otaczał znaczną sympatią. Na jej dwudziestolecie ogłosił tasiemcowy artykuł (6 stron), z którego warto zacytować typowe zdanie: „Wszystko z czego dziś lud polski jest słusznie dumny jest nierozzerwalnie związane z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą”. W roku 1967 tak Pritycki jak i jego żona (Tatiana Iwanowna) zostali udekorowani medalami Tysiąclecia Polski. Widocznie jeździł do Polski kilkakrotnie, fotografował się z różnymi osobis-

tościami, gościł u siebie Gierka; niedługo przed śmiercią odwiedził Gdynię i przemawiał do dzieci szkolnych na Wybrzeżu.

Pritycki zmarł 13 czerwca 1971 roku, po przewlekłej chorobie. Imieniem jego są dziś nazwane: fabryka nawozów sztucznych w Grodnie, szereg kołchozów, szkół i ulic w BSSR, a w Polsce tartak, szkoła i muzeum.

Zdzisław SIEMASZKO

DOKUMENTY

Kazimierz MOCZARSKI

LIST Z CENTRALNEGO WIĘZIENIA W SZTUMIE

O d p i s

Moczarski Kazimierz
więzień karny, skazany
z art. 2 Dekretu z 31. VIII. 44
na karę więzienia dożywotniego.

Centralne Więzienie Sztum,
25 luty 1955 r.

Do
Adwokata Władysława Winawera
W a r s z a w a
ul. Bracka nr 22

Wielce Szanowny Panie Mecenasiu!

1) przesyłam niniejsze pismo do Pana Mecenasa oraz do Mecenasa Maślanki w związku z wniesionym przez Panów wnioskiem do Sądu Najwyższego o wznowienie postępowania i rewizję nadzwyczajną. Pismo niniejsze zawiera 32 strony.

2) W dniu 12 lutego 1955 roku zostałem przywieziony do Centralnego Więzienia w Sztumie (woj. Gdańskie). Mimo, że jestem tak daleko od Rodziny, zamieszkującej w Warszawie, oraz od mych Szanownych Obrońców, napęła mnie swoistą radością

fakt, że ta moja osobista „zmora”, ten śledczy blok Mokotowa, gdzie przevegetowałem tyle lat życia, jest już nareszcie poza mną.

Przyzna Pan bowiem, że przebywanie przez przeszło 9 lat w śledztwie (i to — poza krótkim rawickim epizodem) cały czas w Pawilonie A oraz X-tce i XI-tce Mokotowa jest stanem mało nęcącym. Można się zgodzić z poglądem, że przebywanie w śledztwie mokotowskim z takimi sensacjami, jakie mnie towarzyszyły, powinno być zaliczone podwójnie do „wysługi” więziennej — analogicznie do lat żołnierskich na froncie.

Zapyta Pan pewnie, jak mi tutaj jest. Odpowiem, że ja będę czuł się wszędzie dobrze, jeśli nie będę w tym (skądinąd luksusowym dzisiaj) Mokotowie. Samopoczucie moje jest dobre. Myślę, że najlepszym lekarstwem na me, znane Panu, dolegliwości, których się nabawiłem w śledztwie, jest zmiana warunków życia więziennego. Nie wiem — rzecz zrozumiała — jak mi będzie w Sztumie. Ale jedno mogę stwierdzić: czuję, że tutaj panuje jakaś specyficzna, ludzka atmosfera, w której — rzecz może śmieszna — *odżywam*.

Jak dalece może dojść u 10-letniego więźnia swoista (...) *déformation professionnelle*, że ja *odżywam* w tym sztumskim więzieniu.

3) W myśl porozumienia z Panem, zgłosiłem się w 2 dni po ostatnim widzeniu z Panem do Oficera Inspekcyjnego Pawilonu A w Mokotowie o możliwość napisania pisma do Sądu Najwyższego. Jednak uniemożliwiono mi to. Również i władze ogólnych cel Mokotowa nie dały mi możliwości napisania do Sądu Najwyższego — mimo moich gorących prośb. Przypuszczam, że robiono to na skutek przewidzianego już wytransportowania mnie do innego więzienia. Dopiero w Sztumie mogłem napisać pismo do SN, którego odpis załączam Panu w dalszym ciągu niniejszego listu.

Gdyby opóźnienie w zakresie wysłania mego (omówionego już z Panem) pisma do Sądu Najwyższego miało jakieś szkodliwe dla mnie następstwa to oświadczam, że w opóźnieniu tym nie ma żadnej mojej winy. W związku z tym prosiłbym Pana Mecenas a o poczynienie odpowiednich kroków u Władz Sądowych — o ile zajdzie tego potrzeba.

4) Pismo moje do Rady Państwa z prośbą o przedterminowe zwolnienie żony (wyrok jej kończy się 26. III. 55) wyszło z administracji Mokotowa dopiero około 10 lutego br. Moje główne motywy, które by usprawiedliwiały przedterminowe zwolnienie żony, są następujące:

a) jej niewinność w sprawie — analogiczna do mojej, przecież, moim zdaniem, Zofia Moczarska została chyba skazana za to, że była moją żoną;

b) dłużejletni stan gruźliczy (wyrazem tego było m.in. leczenie typu sanatoryjnego w Świdrze pod Otwockiem w czasie okupacji);

c) rany w Powstaniu Sierpniowym (żona miała poważnie poranioną pierś oraz ramiona i golenie);

d) utrata w więzieniu wszystkich zębów — oprócz pięciu;

e) wydatna jej praca, od chwili wyzwolenia, w CUP-ie, gdzie była kierowniczką referatu prasowego; referencji o niej z tego okresu może udzielić m.in. b. wiceminister Chajna.

Chciałbym, żeby mej małżonce darowano choć z 2 tygodnie więzienia.

5) Kartkę pocztową od mej siostry z dn. 7. II. 55 odebrałem w Mokotowie w dniu 11. II. 55.

6) Pragnę przypomnieć Panu sprawę Baya (imię zdaje się Jerzy); już opowiadałem Panu w Mokotowie o co mi chodzi. Teraz pozwalam sobie to powtórzyć: Otóż pod wpływem swoistej depresji psychicznej, wywołanej terrorem śledczym, protokolarnie zeznawałem w listopadzie 1950, czy 1951, w tym sensie, że w Częstochowie po Powstaniu Warszawskim nie wydawałem Bayowi żadnych rozkazów. Otóż wspomniane zeznanie jest sprzeczne ze stanem faktycznym. Mianowicie Bay, który był w moim oddziale w Powstaniu, otrzymał ode mnie w Częstochowie w końcu 1944 roku rozkaz wydobywania z urzędów propagandy niemieckiej afiszów, ulotek, broszur itp., wydawanych przez okupanta; szczególnie chodziło o te propagandowe materiały niemieckie, w których ujawniałyby się treści antyalianckie (przeciw ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii). Według rozkazu, jaki otrzymałem dla Bipa od gen. Niedźwiadka-Okulickiego, zdobycie kompletu tych materiałów propagandowych było rzeczą dość dużej wagi. Materiały te miał podobno Niedźwiadek przekazać wojskowej misji brytyjskiej, jaka była w tym okresie czasu przy AK w lasach Świętokrzyskich, przy oddziale partyzanckim.

Ponieważ sprawa była pilna i ważna, nakazałem m.in. i Bayowi podjęcie starań o zdobycie wspomnianych materiałów, z tym, że upoważniłem Baya nawet do ewentualnego nawiązania kontaktów z urzędem propagandy niemieckiej. Bay zapytał mnie, czy może skorzystać z możliwości fikcyjnego zaangażowania się do urzędu gminnego, czy sołectkiego, w jakiejś miejscowości na linii EKD (zdaje się, że chodziło o Podkowie Leśną). Oświadczy-

łem mu, że — o ile to będzie droga do zdobycia tych materiałów — to nawet rozkazuję mu zaangażowanie się do tegoż urzędu gminnego. Ponadto przypuszczam, że Bay usiłował wydobyć komplet afiszów propagandy niemieckiej z jakiegoś krakowskiego niemieckiego urzędu propagandy. Ponieważ myślę, że Bay mógł zostać m.in. za to właśnie skazany, gnębią mnie wyrzuty sumienia, że ja — dzięki zapomnieniu i memu stanowi psychicznemu — mogłem omówionym wyżej zeznaniem z listopada 50, czy 51, przyczynić się do skazania, względnie pogłębienia kary, jaką otrzymał Bay. Zaznaczam, że nie wiem za co i na ile został Bay skazany, o ile w ogóle został skazany, gdyż jego sprawy prowadzonej niegdyś przez b. MBP nie znam zupełnie.

Proszę usilnie Pana Mecenasa, aby zechciał przedsięwziąć wszelkie środki, aby zgodnie z prawdą wyświecić ostatecznie tę sprawę i uwolnić mnie od wspomnianych wyrzutów sumienia. To jest zagadnienie mego morale. A morale więźnia, to dla niego rzecz najważniejsza.

7) Pragnąłbym zwrócić uwagę Pana na fakt, że nie tylko Alfred Kurczewski i Dobrowolski Adam odwołali swe sfabrykowane zeznania, motywując to maltretacjami i torturami śledztwa, ale i Krak Eustachy w swym piśmie do władz państwowych i partyjnych opisał całokształt swej sprawy; ten wywód Kraka — o ile wiem — pokrywa się zasadniczo z tym, co m.in. i ja piszę. Krak wysłał to pismo w ostatnich czasach. Wiem o tym od kolegów więziennych, których spotkałem na celi transportowej przed wyjazdem z Mokotowa.

8) *Sprawa świadka Zborowskiego Jana*. Pomijam te bzdury, te jawne kłamstwa, które Zborowski zeznawał na rozprawie i w śledztwie. Pomijam fakt, ujawniony przeze mnie na sali sądowej, że w aktach mojej sprawy znalazło się pisemne zeznanie Zborowskiego z 8. I. 51 (o ile dobrze pamiętam datę), w którym to zeznaniu Zborowski obciąża Lechowicza wszystkim tym, co przypisuje bezpodstawnie mnie.

Przyzna Pan, Panie Mecenasiu, iż to jest trochę komiczne, że b. MBP załączyło przez pomyłkę tekst zeznań Zborowskiego przeciw Lechowiczowi do aktów mojej sprawy. Można przypuszczać, iż prawdopodobnie identyczne zeznanie Zborowskiego (tylko ze zmianą nazwiska „Lechowicz” na „Moczarski” oraz firmy „Urząd Śledczy PKB” na „Okręg Warszawski KWP”) znajduje się — również przez pomyłkę — w aktach Lechowicza.

Prasa narzeka obecnie na biurokrację. A ja w omawianym przypadku mogę śmiało powiedzieć: „Niech będzie pochwalona

taka biurokracja, dzięki której zamieniono zeznania „zawodowego świadka” w aktach dwóch spraw, wskutek czego udało mi się przygwoździć na sali sądowej jawne kłamstwo tegoż „zawodowego świadka”!

Ale pomijam te sprawy. Najważniejsze jest obecnie co inne-
go. Mianowicie, już po ostatnim moim widzeniu z Panem do-
wiedziałem się z ust bardzo dla mnie wiarygodnych, że Zbo-
rowski Jan został zjednany dla współpracy z b. MBP przez ów-
czesnego majora Różańskiego. W tym charakterze działał on do
swego aresztowania w 1949 roku. W razie potrzeby będę mógł
Panu podać *dowód* na tę okoliczność i na związane z nią szcze-
góły. Fakt, że Zborowski był maltretowany w początkowej fazie
śledztwa, wskazuje tylko na to, że Zborowski niezbyt sumiennie
wywiązywał się ze swoich zadań wobec b. MBP, uprawiając
dwulicowość. Myślę, że ten fakt charakteryzuje dodatkowo war-
tość zeznań świadka Zborowskiego.

9) Ośmielam się przypomnieć Panu o tym, jaką wagę przy-
wiązuję do zeznań świadka *Sakowicza* (adwokata), który miał
w roku 1953 — zdaje się — sprawę przed Sądem Wojewódzkim
dla m.st. Warszawy. Sakowicz był prokuratorem przy okręgu
warszawskim KWP. Krak przesłał jemu m.in. moje rozpracowa-
nia śledcze przeciw ludziom, kollaborującym z Niemcami. Sako-
wicz opracowywał ostatecznie te sprawy do sądu podziemnego.
Sakowicz co prawda tylko raz jeden rozmawiał w czasie okupacji
ze mną, uzgadniając pewne metody śledztw, prowadzonych przeze
mnie w KWP. Sakowicz zna prawie wszystkie sprawy rozpra-
cowane przeze mnie i będzie mógł potwierdzić prawdziwość
moich zeznań. Ponadto u Sakowicza winny się znajdować odpisy
moich rozpracowań kollaboracjonistów i tylko kollaboracjonistów,
bo nic innego nie robiłem. Czy u Sakowicza nie zabrano w cza-
sie rewizji, prowadzonej przez organy Bezpieczeństwa, jego aktów
spraw KWP-owskich? Poza tym Sakowicz może wiedzieć, gdzie
przesyłał te swoje wnioski, które opierał na materiale, dostar-
czonym przeze mnie.

Chodzi mi o to, żeby dojść do moich aktów KWP-owskich,
które ongiś pisałem w 3-ch egzemplarzach. Moje archiwum
zostało spalone w czasie Powstania w jakimś domu przy moście
Poniatowskiego. Ale pozostałe dwa egzemplarze musiały chyba
gdzieś pozostać. Może znaleziono je u Kraka? może u Sakowi-
cza?, a może w sądzie przy centralnym KWP?, względnie u pro-
kuratora tego sądu (Kosiłkiewicz — „Alfa”)? W każdym razie
oryginały moich rozpracowań, lub ich odpisy, były gdzieś zacho-

wane i — o ile wiem — to b. MBP znało dokładnie treść tych rozpracowań. Gdyby udało się ujawnić owe rozpracowania, to byłby to najlepszy dowód mej niewinności. Z tych bowiem moich rozpracowań widziałby Pan wyraźnie, jak starałem się w miarę moich skromnych ówczesnych możliwości wziąć udział w akcji chroniącej częściowo społeczeństwo (ludzi nieupolitycznionych, ludzi pochodzenia żydowskiego, AK-owców, AL-owców, endeków, socjalistów, komunistów, katolików itd.) przed agresją konfidentów niemieckich. Tam by się Pan Mecenase znacznie przekonał o moich rozpracowaniach bandy Bąka i Malewskiej, Antoniego Preindla, bandy Willego Leitgelera, Mause z ul. Bagatela, Batoszka i Ciemniewskiego z Arbeitsamtu, słynnego „łowcy Żydów” W. Sybilskiego z Kripo, tępiciele komunistów komandora Górskiego z Włoch, owego rzekomego „sympatyka komunistów” znanego kupca z Podkowy Leśnej (nazwisko zdaje się Gabar) oraz tych wszystkich, których nazwiska podawałem w Sądzie Wojewódzkim oraz w pismach do Sądu Najwyższego i do Rady Państwa.

Co do Sakowicza, to wiadomo mi od współwięźniów z celi transportowej Mokotowa, że dostał rzekomo 15 lat wyroku i że przebywa podobno w więzieniu w Sztumie. Sakowicz, którego nazwiska dowiedziałem się dopiero w styczniu br., jest ostatnim z wielu ogniw pracy okręgu warszawskiego KWP, zamykającym tę konstrukcję organizacyjną, w jakiej ja tkwiłem. Dzięki temu może on również (analogicznie do zeznań Lechowicza, Kraka, Boćdy, Moczarskiej Zofii, adw. Zbigniewa Banara, recenzenta teatralnego Jerzego Macierakowskiego i innych) dołożył swą cegiełkę dowodową do gmachu mej niewinności.

10. Nawiązując do punktu 2) niniejszego listu, pragnę Panu Mecenasowi zakomunikować, że tymczasowo — jak to zawsze jest w początkowym okresie pobytu więźnia w nowym więzieniu — nie mam tak ułożonego życia, żebym mógł być z tego zadowolony całkowicie. Książkę mam z biblioteki więziennej, w zasadzie jedną na tydzień. Brak mi bardzo mych prywatnych książek, które musiały pozostać w depozycie więziennym, oraz brulionów i ołówka, które zalecił dać mi do celi lekarz Pawilonu A — Dr Kamińska, w związku z leczeniem mnie na wiadome Panu dolegliwości nerwowe. Zamierzam w najbliższym czasie zwrócić się w tej sprawie do władz więzienia. Jaki będzie skutek — nie wiem.

11) Treść pisma mego do Sądu Najwyższego jest następująca:

Moczarski Kazimierz
więzień karny, skazany
z art. 2 Dekretu z 31. VIII. 44
na dożywocie.

Sztum, Więzienie Centralne
25 luty 1955 r.

Do
Sądu Najwyższego
Izba Karna

N. sprawy: IIIK 161/52

W związku z wniesionym przez moich obrońców, adw. Wł. Winawera i adw. Maślankę, wnioskiem do Sądu Najwyższego o wznowienie postępowania i rewizję nadzwyczajną, oświadczam co następuje.

W czasie śledztwa prowadzonego przez oficera b. MBP poddany zostałem w okresie od 9. I. 1949 do 6. VI. 1951 *czterdziestu dziewięciu* rodzajom maltretacji i tortur, wśród których wyróżniają się następujące metody:

1) bicie pałką gumową specjalnie uczulonych miejsc ciała (np. nasady nosa, podbródka i gruczołów ślinowych, występujących części łopatek itp.);

2) bicie batem, obciążonym w tzw. lepką gumę, wierzchniej części nóg stóp w okolicach palców — szczególnie bolesna operacja torturowa;

3) bicie pałką gumową w pięty (seria po dziesięć uderzeń na piętę — kilka razy dziennie);

4) wyrywanie włosów ze skroni i karku (tzw. „podskubywanie gęsi”), z brody, z piersi oraz z krocza i narządów płciowych;

5) miażdżenie rozżarzonym papierosem okolic ust i oczu;

7) przypalanie płomieniem palców obu dłoni;

8) zmuszanie do niespania przez okres 7-9 dni, drogą „budzenia” więźnia, który stał w mrocznej celi, uderzeniami w twarz, zadawanymi przez dozującego urzędnika b. MBP; metoda ta, nazywana przez oficerów śledczych „plażą” lub „Zakopanem”, wywołuje półobłąkańczy stan u więźnia i wywiera zaburzenia psychiczne, powodujące widzenia barwne i dźwiękowe, zbliżone do odczuwanych po użyciu peyotlu lub meskaliny.

Ponadto wspomnieć muszę, że przez 6 lat i 3 miesiące nie wypuszczano mnie z celi na spacer, że przez 2 lata i 10 miesięcy nie byłem w kąpieli oraz, że przez około 4 i pół lat byłem poddany tak ścisłej izolacji, że nie miałem najmniejszego kontaktu

ze światem zewnętrznym (brak wiadomości od rodziny, listów, książek, gazet itp.).

Omówione wyżej tortury i maltretacje stosowali wobec mnie m.in. ppłk Dusza Józef, mjr Kaskiewicz Jerzy i kpt. Chmczak Eugeniusz celem *sterroryzowania mnie i wymuszenia zeznań niezgodnych z prawdą, a koniecznych dla założonej z góry linii śledztwa i linii oskarżenia*. Działali oni przy współudziale oraz z polecenia płk. Różańskiego, płk. Fejgina oraz wiceministra gen. Romkowskiego, który oświadczył mi około 30 listopada 1948 roku w obecności płk. Różańskiego, że przejdę „piekielne śledztwo” — co się potem rzeczywiście spełniło.

Wiadomo mi jest, że również zostali poddani torturom i maltretacjom współoskarżeni w moim procesie. Krak mówił mi o tym osobiście w marcu i kwietniu 1953. Dobrowolskiego Adama „preparował” znany kpt. Łaskiewicz. Kurczewski Afred zaś, który spał przez wiele miesięcy bez koca w zimnej celi, poddany został m.in. metodzie tortur, zwanej „dywanem” (bicia i kopania zawiniętego w dywan więźnia).

Jeśli chodzi o świadków, to wiadomo mi jest, że Pajor Witold był maltretowany w początkowej fazie śledztwa (wiem o tym z ust ppłk. Duszy, który, namawiając mnie do składania fałszywych zeznań — rzekł w styczniu 1949: „Jakiś ty Rafał głupi! Po co tak cierpieć?! Pajor też się nie przyznawał, ale gdy dostał w d... i zes...ł się w spodnie, to zaraz zaczął śpiewać, a teraz je w celi kotlety!”). Nienałtowski Stanisław również był początkowo maltretowany. Zborowski Jan zaś był bity i maltretowany w roku 1949 przez podporucznika Leona Popka.

W czasie rozprawy przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy, która odbyła się w listopadzie 1952 w więzieniu Mokotowskim przy drzwiach zamkniętych, na sali byli obecni czterej oficerowie śledczy b. MBP, z których trzech (ppłk Dusza, mjr Koskiewicz, por. Adamaszek) maltretowali i torturowali mnie — a również innych oskarżonych i świadków, doprowadzonych z więzienia — celem sterroryzowania i wymuszenia zeznań. Czwarty zaś oficer kpt. Czyż nie bił mnie, ale wiadomo mi było wówczas, że to on właśnie maltretował i torturował w śledztwie Tadeusza Pawłowskiego.

Stwierdzam, że w tych warunkach panowała na sali mej rozprawy sądowej *atmosfera przymusu i terroru psychicznego*: oskarżeni i świadkowie z więzienia byli pod naciskiem lęku przed oprawcami, którzy siedzieli jako jedyni widzowie na sali, na ławce *naprzeciw ławy oskarżonych*. W tej sytuacji nikt z więź-

niów (oskarżonych czy świadków) nie miał pełnej swobody zeznań.

I ja również, mimo, że broniłem ze wszystkich sił mej całkowitej niewinności w tej sprawie i mimo, że od początku śledztwa, aż do końca, nie poddałem się tak dalece terrorowi, abym miał kłamliwie przyznawać się do niepopelnionych czynów i win oraz fabrykować zeznania niezgodne z prawdą — i ja również nie byłem w stanie wypowiedzieć na więziennej sali sądowej całej prawdy o śledztwie, gdyż bałem się odwetowych tortur i maltretacji ze strony wiceprokuratora B. Wajsblecha.

Dopiero gdy 27 marca 1953 przeniesiono mnie z bloku śledczego (Oddziały X i XI oraz Pawilon A) na tzw. cele ogólne więzienia Mokotów, dopiero wówczas mogłem opisać wyczerpująco metody śledztwa, postępowania prokuratorskiego i przewodu sądowego w I-szej Instancji — w moich wielu pismach do Sądu Najwyższego i do Rady Państwa. Za to powiadomienie naczelnych władz państwowych o szczegółach przebiegu mej sprawy zostałem z powrotem osadzony w Pawilonie A, gdzie decyzją ppłk. Duszy przebywałem m.in. przez 14 miesięcy w najciemniejszej celi (zimą dzień i noc światło elektryczne) w *pojedynkę*, oczekując każdej chwili na egzekucję wyroku śmierci. Dodaję, że dopiero po 2 latach i 3 miesiącach od wyroku I-szej Instancji dowiedziałem się oficjalnie o zamianie przez Sąd Najwyższy kary śmierci na dożywotnie więzienie.

Ponadto oświadczam, że 1) w dniu 5 listopada 1954 byłem przesłuchiwany przez przedstawiciela Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego na okoliczność stosowania wobec mnie niedopuszczalnych metod śledztwa oraz, że 2) — w uzupełnieniu tegoż protokółarnego przesłuchania — przesłałem w dniu 24 lutego 1955 roku obszernie dodatkowe oświadczenie na ten temat, którego odpis załączam do niniejszego pisma.

Pragnąłbym bardzo, żeby Sąd Najwyższy zechciał wziąć pod uwagę cały przebieg śledztwa, postępowania prokuratorskiego i przewodu sądowego w mojej sprawie, opisywany wielokrotnie w pismach moich, wysyłanych do Sądu Najwyższego między terminem wyroku I-szej Instancji, a terminem wyroku Sądu Najwyższego, a w szczególności na fakty, że:

a) pierwszy mój obrońca stanął na wręcz innym stanowisku, niż ja, i zamiast wykazywać moją niewinność, znalazł się w takiej sytuacji, że zmuszony był swoiście mnie półoskarżać i napisać skargę rewizyjną, nie zaznajamiając mnie z nią (mimo, że go o to prosiłem);

b) że zmuszony byłem cofnąć pełnomocnictwo procesowe

temuż obrońcy i zdezwuować jego wywód rewizyjny w części „oskarżającej mnie” i niezgodnej z obiektywnym stanem faktycznym w zakresie czynów o które zostałem oskarżony, a następnie skazany w I-szej Instancji;

c) że następny mój obrońca — adwokat Władysław Winawer — dzięki okolicznościom niezawinionym przez niego, zmuszony był bronić mnie na rozprawie rewizyjnej w Sądzie Najwyższym bez uprzedniego porozumienia się ze mną i bez mego pełnomocnictwa; jest bowiem faktem bezspornym, że adwokat Winawer — do którego żywię całkowite zaufanie i głęboki szacunek — zmuszony był bronić mnie w Sądzie Najwyższym z upoważnienia nie mojego, ale kompletu orzekającego Sądu Najwyższego i w charakterze „obrońcy z urzędu” mimo, że prosiłem Sąd Najwyższy o możliwość zaangażowania obrońcy z wyboru oraz porozumienia się z takim obrońcą przed rozprawą rewizyjną.

Ponadto mam zaszczyt prosić Sąd Najwyższy o łaskawe wejście w wielokrotne pogwałcenia przepisów prawa formalnego w mojej sprawie (począwszy od tego, iż od 11. VIII. 1950 roku siedziałem w więzieniu pod zarzutem szpiegostwa z art. 7 Dekretu z roku 1944 mimo, że postanowieniom tegoż Dekretu nie mogłem podlegać, gdyż osadzono mnie w więzieniu w dn. 11. VIII. 1945 i od tego dnia nie byłem na wolności — a skończywszy na tym, że nikt na mej rozprawie w I-szej Instancji, z wyjątkiem Sędziego Stępczyńskiego i Wiceprokuratora B. Wajsblecha, nie posiadał egzemplarza wielostronicowego aktu oskarżenia, nawet czterech adwokatów byli pozbawieni tego elementarnego prawa. Zaznaczam, że protestowałem przeciwko temu stanowi rzeczy.

W zakończeniu niniejszego pisma pragnę jeszcze raz podkreślić, że jestem niewinny. Jeżeli użylibyśmy słownictwa nie prawniczego, lecz mowy potocznej, to mógłbym oświadczyć, że zostałem ukarany za ten etap mej działalności życiowej, *który cenię sobie najwyżej w mym sumieniu, za wzięcie udziału w akcji realnego chronienia społeczeństwa polskiego (niezależnie od pochodzenia, narodowości, religii czy przynależności politycznej) przed agresją konfidentów niemieckich lub innych kollaborantów.* Teza o rzekomym rozpracowaniu przeze mnie lewicowców jest *wyssana z palca i pozbawiona istotnych podstaw.* Teza ta została spreparowana przez grupę oficerów śledczych b. MBP, przy pomocy niedopuszczalnych metod śledczych, o co dzisiaj toczy się postępowanie karne w Nacz. Prokuraturze Wojska Polskiego. Sąd, opierając się na materiale, dostarczonym przez płk. Różańskiego, Fejgina, Duszę i in., zawyrokował niegdyś o mej winie i karze. Jest niewątpliwe — moim zdaniem — że wyrok skazu-

jący mnie nie powinien obecnie utrzymać się przy życiu. Obywatel bowiem, który padł ofiarą naruszenia praworządności przez ogniwa służby bezpieczeństwa, otrzymać winien — według wypowiedzi naczelnych przedstawicieli Państwa — pełne zadośćuczynienie za wyrządzoną mu krzywdę i możliwość powrotu do normalnego życia i pracy, w myśl humanistycznych podstaw idei socjalizmu.

Kazimierz Moczański

1 załącznik (odpis mego pisma do Naczelnej Prokuratury W.P. z dn. 24. II. 55, strona 16).

K. Moczański

12) A oto Szanowny Panie Mecenasie treść mego pisma do Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego, jakie przesłałem w związku z przesłuchaniem mnie przez Prokuratora kpt. Wiślickiego (o ile dobrze pamiętam jego nazwisko) w listopadzie 1954 w Pawilonie A Mokotowa:

Centralne więzienie Sztum, 24 luty 1955.

Moczański Kazimierz

więzień karny, skazany z art. 2

Dekretu z 31. VIII. 44 na dożywocie.

Do

Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego
w W a r s z a w i e

W dniu 5 listopada 1954 roku byłem przesłuchiwany w Pawilonie A Więzienia Mokotów w Warszawie przez przedstawiciela Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego na okoliczność stosowania wobec mnie niedozwolonych metod śledztwa przez oficerów śledczych b. MBP.

W związku z powyższym przesłuchaniem składaam następujące oświadczenie:

W czasie śledztwa prowadzonego przeciwko mnie na okoliczności mej rzekomej współpracy z Niemcami (inkryminowano mi rozpracowywanie lewicowców) zostałem — w okresie od 30. XI. 48 do 22. IX. 52 — poddany przez oficerów i podoficerów b. MBP, ppłk. Duszę Józefa, mjr. Kaskiewicza Jerzego, kpt. Chimczaka Eugeniusza, kpt. Adamuszkę Adama, podpor. Szymańskiego Tadeusza, st. sierżanta Mazurkiewicza i sierżanta Stanisława Wor-

dyńskiego (lub Wardenńskiego, Wardęskiego), czterdziestu dziewięciu następującym rodzajom maltretacji i tortur:

bicie całego ciała „gdzie popadnie”: 1) ręką (Dusza, Kaskiewicz, Chimczak), 2) policyjną pałką gumową (Dusza oraz Kaskiewicz), 3) drążkiem mosiężnym (Dusza), 4) drutem (Dusza oraz oddziałowy Stanisław Wardyński lub Wardenński, Wardęski), 5) drewnianą linijką okutą metalem (Dusza, Kaskiewicz, Chimczak), 6) kijem (Dusza), 7) batem (Kaskiewicz), 8) suszką i podstawą do kałamarza (Chimczak, Adamuszek);

bicie szczególnie uczulonych miejsc ciała: 9) nasady nosa — pałką gumową (Dusza), 10) wystających części łopatek — pałką gumową (Dusza), 11) podbródka w okolicy gruczołów, które obrzękają przy tym do rozmiarów „świnki” — pałką gumową (Dusza), 12) stawów barkowych — pałką gumową, linijką (Dusza, Kaskiewicz), 13) wierzchniej części nagich stóp w okolicach palców — batem, obciążonym w tzw. lepką gumę (Kaskiewicz), 14) czubków palców rąk — suszką i podstawą kałamarza (Chimczak i Adamuszek), 15) czubków palców nagich stóp — pałką gumową (Dusza), 16) obnażonych pięt (seria po 10 uderzeń na piętę pałką gumową, kilka razy na dzień) (Dusza).

Wyrwanie włosów: 17) z wierzchniej części czaszki (Dusza, Kaskiewicz, Chimczak); 18) ze skroni, znad uszu i z karku — tzw. „podskubywanie gęsi” (Dusza, Kaskiewicz, Chimczak); 19) z brody i wąsów (Dusza, Chimczak); 20) z piersi (Chimczak); 21) z krocza i z moszny (Chimczak);

Przypalanie: 22) rozżarzonym papierosem okolic ust i oczu (Chimczak); 23) płomieniem — palców obu dłoni (Dusza, Kaskiewicz i Chimczak);

24) miażdżenie palców obu rąk między ołówkami (Dusza, Kaskiewicz);

25) miażdżenie palców stóp (wskakiwanie butami na stopy) — (Dusza, Kaskiewicz, Chimczak);

26) Kopanie nóg i korpusu ciała (Dusza, Kaskiewicz oraz oddziałowy Stanisław Wardyński, lub Wardenński, Wardęski);

27) kopanie specjalnie w kości goleniowe (Dusza, Kaskiewicz, Chimczak);

28) klucie szpilką, stalówką itp. (Dusza, Chimczak);

29) szczypanie twarzy i uszu, ręką przy pomocy klucza (Chimczak);

30) siedzenie na kancie stołka (Dusza, Chimczak);

31) siedzenie na śrubie, która rani odbytnicę (Dusza);

32) skuwanie rąk do tyłu automatycznymi kajdankami, tzw. „amerykankami” oraz zrywanie siłą z przegubów tych kajdanek,

które rzekomo nie chciały się otworzyć (Dusza przy pomocy ówczesnego starszego oddziałowego, plut. Tadeusza Szymańskiego);

33) „gimnastyka” — przysiady aż do omdlenia (Dusza);

34) bieganie po schodach (20-30 minut) — (dozorował oddziałowy z rozkazu ppłk. Duszy);

35) wielogodzinny karcer (m.in. nago) — (Dusza);

36) zmuszanie do niespania przez okres 7-9 dni, drogą „budzenia” mnie (stojącego w mroźnej celi) uderzeniami w twarz, zadawanymi przez dozorującego urzędnika b. MBP; metoda ta, nazywana przez oficerów śledczych „plażą” lub „Zakopanem”, wywołała u mnie stan półobłąkańczy i spowodowała zaburzenia psychiczne (m.in. widzenia barwne i dźwiękowe), zbliżone do odczuwanych po użyciu peyotlu i meskaliny (Dusza przy pomocy oddziałowych);

37) wielogodzinna „stójka” w celi, na baczność (Dusza przy pomocy oficerów inspekcyjnych i oddziałowych Oddziału XI Mokotowa oraz później, po 11. XI. 1950 r., Pawilonu A Mokotowa);

38) wielogodzinna „stójka” w polu i w pokoju śledczym z rękami podniesionymi w górę (Dusza przy pomocy oddziałowych oraz oficerów inspekcyjnych Oddziału XI i X Mokotowa);

39) pozbawianie paczek od rodziny (siostra moja stale przysyłała mi paczki żywnościowe, co tydzień, w myśl obowiązującego wówczas regulaminu; z około 70-ciu przysłanych mi paczek dopuszczono do moich rąk około 10-15 — reszty paczek nie zwrócono mej siostrze) — zarządzenie ppłk. Duszy;

40) zmniejszona porcja jedzenia (w czasie największego nasilenia śledztwa otrzymywałem tylko pół litra kawy, ok. 350 g chleba oraz pół litra wodnistej zupki dziennie), a ponadto w pewnym okresie — tortura pragnienia (przez kilka dni nie dawano mi absolutnie nic do picia) — ppłk Dusza przy współudziale oddziałowych;

41) rewizje nocne w celi, przy czym musiałem (rozgrzany snem) stawać nago na „stójce” w mroźnym przeciągu, spowodowanym równoczesnym otwarciem okna i drzwi w celi; taka naga „stójka” w zimowym przeciągu trwała do 1 godz. (z rozkazu ppłk. Duszy zabiegu powyższego dokonywał oficer inspekcyjny XI Oddziału, nazwany przez więźniów „Hiszpanem” lub „Gru-bym”, wraz z oddziałowymi);

42) wyjmowanie okien w celi w październiku 1949 roku na 24 godziny, przy spaniu pod 1 kocem częściowo bezpośrednio na betonie (1 siennik na 3 więźniów) — z rozkazu ppłk. Duszy; przypilnowywał wykonania inspekcyjny XI Oddziału oraz oddziałowy Mazurkiewicz;

43) wielokrotne wlewanie do celi kubłów wody (z rozkazu ppłk. Duszy — inspekcyjny XI Oddziału oraz oddziałowi, m.in. Mazurkiewicz i Stanisław Wardęski czy Wardeniski);

44) pozbawienie pomocy lekarskiej, mimo choroby (przez ok. 1 i pół miesiąca oddawałem mocz z krwią itp.); stan ten trwał z rozkazu ppłk. Duszy do czasu objęcia przez dr Kamińską opieki lekarskiej (bardzo troskliwej opieki) nad więźniami Pawilonu A;

45) pozbawienie spaceru — z rozkazu ppłk. Duszy; w czasie mego pobytu w więzieniu *nie wypuszczano mnie na spacer przez sześć lat i trzy miesiące*; po raz pierwszy poszedłem na spacer w dn. 22 września 1952 w celi nr 22 Pawilonu A Mokotowa; dodaję, że w czasie mego pobytu w więzieniu *nie byłem kąpany przez 3 lata i 10 miesięcy*;

46) maltretacje moralne — wymyślne i chuligańskie obrzucanie mnie i mojej rodziny stekiem obelg, znieważeń, wymyślań przez ppłk. Duszę, mjr. Kaskiewicza, kpt. Chimczaka oraz oddziałowych XI Oddziału Mokotowa (m.in. Mazurkiewicza, Wardyńskiego i wielu innych) oraz ciągle, codzienne szykanowanie na XI Oddziale przez oficerów inspekcyjnych i oddziałowych — z rozkazu ppłk. Duszy;

47) pozbawienie absolutne kontaktu z rodziną (przez ok. 4 i pół lat żadnej wieści, żadnego listu od Matki, żony, siostry) oraz ze światem zewnętrznym (żadnych gazet itp.), jak również pozbawienie książek (od 30. XI. 1948 do 6. XI. 1952 nie przeczytałem nawet skrawka drukowanego papieru) — z rozkazu ppłk. Duszy;

48) zadawanie mi tortur moralnych przez: a) oficjalne (choć kłamliwe) oświadczanie mi przez płk. Różańskiego, w obecności ówczesnego kapitana Duszy, iż żona moja Zofia Moczarska, którą bardzo kocham, zmarła na płuca (żona jest gruźliczką) oraz przez b) insynuacje kpt. Chimczaka, przystrojone w brudne epitety, na temat nieetycznego rzekomo zachowania się mojej żony;

49) zadawanie mi tortur moralnych a) przez mjr. Kaskiewicza, który, nazywając mnie — analogicznie do innych oficerów śledczych — „gestapowcem”, wymalował mi anilinowym ołówkiem na czole duży napis „GESTAPO” i nie pozwalając mi się myć, kazał mi go nosić w celi i na śledztwie, oraz b) przez ppłk. Duszę, który dla udręczenia mnie zarządził osadzenie mnie w celi tylko z gestapowcami, m.in. z katem Getta Warszawskiego gen. SS J. Stroopem.

Płk Dusza Józef, mjr Kaskiewicz Jerzy, kpt. Chimczak Eugeniusz, por. Adamuszek Adam oraz oficer inspekcyjny, którego więźniowie nazywają „Hiszpanem” lub „Grubym” (obec-

nie jeden z trzech inspekcyjnych Pawilonu A Mokotowa; chodzi albo w mundurze porucznika, albo po cywilnemu; w roku 1949 nosił w klapie marynarki odznakę uczestników walk w Hiszpanii; wzrost ok. 1 m 70 cm, otyły, lat czterdzieści parę), a ponadto oddziałowi, czy przodownicy: Tadeusz Szymański (ostatnio porucznik na X Oddziale Mokotowa), Mazurkiewicz (ostatnio st. sierżant na celach ogólnych Mokotowa), Wardęski (Wardyński lub Wardenński) Stanisław (ostatnio st. sierżant w Więzieniu Mokotów) oraz wielu innych oddziałowych, których nazwisk nie znam, wszyscy oni działali, stosując opisane wyżej tortury i maltretacje oraz znęcając się nade mną przy współudziale oraz z polecenia płk. Różańskiego, płk. Fejgina oraz wiceministra generała Romkowskiego. Generał Romkowski oświadczył mi około 30 listopada 1948 roku, w pokoju (celi) śledczym na I piętrze Oddziału X, w obecności płk. Różańskiego, że przejdę „piekielne śledztwo” — co się potem rzeczywiście spełniło.

Zaznaczam przy tym, że nie wszyscy oficerowie śledczy, oficerowie inspekcyjni Oddziału XI i Pawilonu A oraz nie wszyscy oddziałowi — mimo widocznych instrukcji i rozkazów z góry odnośnie maltretowania i torturowania więźniów — stosowali się chętnie i gorliwie do tych zarządzeń. Znam oficerów śledczych, oficerów inspekcyjnych i oddziałowych, którzy — posłuszni rozkazom swych przełożonych — zmuszeni byli maltretować więźniów i czynili to z wyraźną niechęcią i obrzydzeniem oraz nigdy nie przekraczali z własnej woli nakazanych granic terroru, a często do tych granic umyślnie nie dochodzili. Odczuwało się u tych ludzi zupełnie wyraźnie jakiś konflikt wewnętrzny, konflikt między poczuciem dyscypliny i posłuszeństwa rozkazom władzy a poczuciem praworządności i moralności. Maltretowani i torturowani więźniowie doskonale wyczuwali, kto z władz śledczych i więziennych działa wbrew swej woli i pod przymusem, a kto jest dobrowolnym oprawcą, sadystą i chętnie znęcającym się „gorliwcem”.

Ppłk Dusza, mjr Kaskiewicz, kpt. Chimczak, por. Adamuszek, ów wspomniany wyżej oficer inspekcyjny Oddziału XI, a potem Pawilonu A „Hiszpan” czy „Gruby”, ppor. Szymański Tadeusz, st. sierżant Mazurkiewicz, st. sierżant Stanisław Wardęski (Wardenński lub Wardyński) oraz kilku innych nieznanych mi z nazwiska — wszyscy oni należeli właśnie (według mojej opinii i powszechnego zdania więźniów Oddz. X i XI oraz Pawilonu A więzienia Mokotowskiego) do grupy dobrowolnych oprawców, sadystów i chętnie znęcających się „nadgorliwców” oraz byli przedmiotem pogardy ze strony swych ofiar.

Jeśli chodzi o naczelnych kierowników śledztwa, to stwierdzam że byłem torturowany w obecności płk. Różańskiego i płk. Fejgina. Ponadto około 12. I. 1949 r. płk Różański oświadczył mi w pokoju nr 9 czy 10 pawilonu śledczego (z tunelem) Mokotowa: „Pan, Panie Moczarski, i tak pójdzie do ziemi, gdyż się Pan przecież doskonale orientuje, że sąd jest na nasze usługi i, że gdy my tutaj postawiliśmy Panu krzyżyk, to sąd musi dać Panu taki sam krzyżyk — czy Pan jest winien, czy nie”. Zaznaczam, że „krzyżyk” oznaczał w słownictwie płk. Różańskiego karę śmierci.

Ponadto płk Różański dodał, że „my zawsze potrafimy udowodnić dokumentami, że Pan był agentem gestapo, gdyż jesteśmy w posiadaniu oryginałów odpowiednich czystych blankietów, oryginałów stempli, pieczęci itp. z gestapo, a ponadto mamy w swym ręku takich b. gestapowców, którzy chętnie oryginalnie podpiszą dzisiaj Pańską, zrobioną przez nas kartę agenta gestapo”.

Jeśli chodzi o płk. Fejgina, to — jak sądzę — nie był on przyuczony do bicia i dzięki temu tak mnie niefachowo uderzył w styczniu 1949 roku policyjną pałką gumową w górną część lewej dłoni, że nastąpiło, według mojej opinii, pęknięcie środkowej kości nadgarstka, które poważnie mi dolegało przez około roku.

Niedozwolone metody śledztwa, omówione powyżej, pozostały u mnie trwałe ślady fizyczne (5-ciocentymetrowa blizna na prawym policzku, blizny na dłoni, żylaki na lewym kolanie wskutek rozbicia naczyń krwionośnych, osłabienie sprawności lewej nogi) oraz nerwowo-psychiczne (m.in. okresowe zahamowanie oddawania moczu).

Celem tych niedozwolonych metod śledztwa było sterroryzowanie mnie i wymuszenie na mnie tą drogą fałszywych i niezgodnych z prawdą zeznań koniecznych dla założonej *a priori* linii śledztwa i oskarżenia.

W związku z tym muszę dodać, iż wiadomo mi, że tak świadkowie z więzienia w mojej sprawie (m.in. Pajor Witold, Zborowski Jan), jak i współoskarżeni (Krak Eustachy, Dobrowolski Adam i Karczewski Alfred) byli poddani maltretacjom, względnie torturom oraz systematycznej sugestii. Szczególnie wiele ucierpiał Kurczewski Alfred, aż do chwili swego załamania się i pójścia na zdecydowanie fałszywe oskarżenie siebie, swych współoskarżonych i wielu innych więźniów. Al. Kurczewski był m.in. poddany torturom zwanym „dywanem” (bicie, kopanie i gnienie więźnia, zawiniętego w dywan lub chodnik).

Terror wobec mnie, moich współoskarżonych i świadków z więzienia poszedł tak daleko, że objął on częściowo postępowanie prokuratorskie, a nawet wkroczył na salę sądową w Mokotowie.

Wiceprokurator Generalnej Prokuratury Wajsblech Benjamin, pragnąc zmusić mnie do zrzeczenia się prawa przeczytania aktów śledztwa, wprowadził w roku 1952 do pokoju Pawilonu A, gdzie ze mną spisywał protokół, majora Kaskiewicza i innych oficerów śledczych, którzy mnie — względnie innych więźniów — niegdyś torturowali i maltretowali. Wiceprokurator B. Wajsblech zastosował wówczas wobec mnie terror psychiczny, gdyż nie tylko sam mi groził, ale i spowodował, aby w jego obecności wspomniani oficerowie śledczy lżyli mnie i grozili represjami, o ile się nie zrzeknę prawa bezpośredniego zapoznania się z aktami śledztwa.

Jeśli zaś chodzi o rozprawę sądową, która odbyła się przy drzwiach zamkniętych w listopadzie 1952 roku w Więzieniu Mokotowskim, to stwierdzam, że na sali sądowej byli obecni czterej oficerowie śledczy, z których trzech (ppłk Dusza, mjr Kaskiewicz, por. Adamuszek) maltretowali mnie i torturowali w śledztwie — a również innych oskarżonych i świadków, doprowadzonych z więzienia — celem sterroryzowania i wymuszenia fałszywych zeznań. Czwarty zaś oficer, kpt. Czyż, nie maltretował mnie, ale wiadomo mi było wówczas, że to on właśnie maltretował i torturował w śledztwie Tadeusza Pawłowskiego. Oświadczam, że w tych warunkach panowała na sali rozprawy sądowej *atmosfera przymusu i terroru psychicznego*. Oskarżeni i świadkowie z więzienia byli pod *trwałym naciskiem lęku* przed oprawcami, którzy siedzieli — jako jedyni widzowie na sali — na ławce *naprzeciw ławy oskarżonych*. W tej sytuacji nikt z więźniów (oskarżonych, czy świadków) *nie miał pełnej swobody zeznań*.

I ja również, mimo że broniłem ze wszystkich sił mej całkowitej niewinności w tej sprawie, i mimo że od początku śledztwa aż do jego końca nie poddawałem się tak dalece terrorowi, abym miał kłamliwie przyznawać się do niepopołnionych czynów i win oraz fabrykować zeznania niezgodne z prawdą — i ja również nie byłem w stanie wypowiedzieć na więziennej sali sądowej całej prawdy o śledztwie, gdyż bałem się odwetowych tortur i maltretacji ze strony ppłk Duszy i jego towarzyszy oraz odwetowych represji ze strony wiceprokuratora B. Wajsblecha.

Dopiero gdy 27. III. 1953 przeniesiono mnie z bloku śledczego (Oddz. X i XI oraz Pawilonu A) na tak zwane cele ogólne Więzienia Mokotów, dopiero wówczas mogłem opisać metody

śledztwa, postępowania Wiceprokuratora B. Wajsblecha i przewodu sądowego I-szej Instancji — w moich wielu pismach do Sądu Najwyższego i do Rady Państwa.

Za to powiadomienie naczelnych władz państwowych o szczegółach przebiegu mej sprawy zostałem jednak z powrotem osadzony w dniu 27. VI. 1953 r. w Pawilonie A, gdzie decyzją ppłk. Duszy przebywałem m.in. przez 14 miesięcy w najciemniejszej celi (zimną — dniem i nocą światło elektryczne) *w pojedynkę*, oczekując w każdej chwili na egzekucję wyroku śmierci.

Dodaję, że dopiero po 2 latach i 2 miesiącach od dnia orzeczenia przez I-szą Instancję kary śmierci dowiedziałem się oficjalnie o zamianie przez Sąd Najwyższy mej kary, kary śmierci, na dożywotnie więzienie.

Do powyższych oświadczeń dodaję, że — przebywając na Pawilonie A Mokotowa — zmuszony byłem dwa razy uciec się do ostatecznej i nie zawinionej przeze mnie formy protestu przeciw niedozwolonym metodom, stosowanym przez władze śledcze i więzienne, a mianowicie *do głodówki*. Raz — gdy nie pozwolono mi napisać zażalenia na pisemne postanowienie Wiceprokuratora B. Wajsblecha, drugi zaś raz — gdy przedstawiciel władz więziennie-śledczych oświadczył mi po raz drugi oficjalnie, że dlatego jestem osadzony w celi wspólnie z Niemcami — hitlerowskimi zbrodniarzami wojennymi — że właśnie jako b. AK-owiec i rzekomy „morderca lewicowców” jestem „godny siedzenia tylko z bratnimi duszami”.

Obie te głodówki zostały brutalnie złamane przez władze Pawilonu A — bez wiedzy lekarza Pawilonu A, Pani doktor Kamińskiej — drogą zastosowania tortur (wiązanie rąk do tyłu żelaznym łańcuszkiem; wpychanie gumy w przełyk, w sposób umyślnie kaleczący przewód pokarmowy, względnie „omyłkowo” w przewód oddechowy, wskutek czego długo plułem krwią; wykruszenie kawałka zęba; zdarcie szkliwa z części kilku zębów itd.).

W przypadku drugiej głodówki znęcał się szczególnie nademną pewien oddziałowy z Pawilonu A, znany wśród więźniów sadysta (nazwiska jego nie znam, rysopis: wzrost ok. 1 m 75 cm, szczupły, pochylony w ramionach, brunet z dużą czupryną, twarz pociągła, oczy piwne, chodził zwykle w cywilnym ubraniu — ciemna marynarka dość wydatnie wywątowana w ramionach). Oddziałowy ten, będący na etacie Departamentu Śledczego b. MBP, został przed kontrolą, przeprowadzoną w Pawilonie A przez Naczelną Prokuraturę Wojska Polskiego (listopad 1954), przerzucony z Pawilonu A na jakieś inne miejsce.

Jeśli chodzi o dowody z zakresu zadawanych mi tortur i maltretacji, to — poza wspomnianymi wyżej śladami obrażeń fizycznych i psychicznych — zaświadczyć o tym mogą: ówczesny lekarz więzienny więzień dr Seybold, który mnie badał i opatrywał w czasie śledztwa w styczniu 1949 oraz dwóch innych świadków, których nazwiska, imiona i inne dane znam i mogę podać.

Jednocześnie zaznaczam, że po pierwszej fazie dwutygodniowego nieprzerwanego i ciężkiego śledztwa zostałem poddany „obdukcji” lekarskiej przez urzędowego lekarza płk. Herbicza-Habermana, który mimo że widział osobiście krwawe i liczne ślady obrażeń fizycznych górnej części ciała oraz mój półobłąkany stan psychiczny — stwierdził, że jestem całkowicie zdrow. Jak mi tego dnia (styczeń 1949) oświadczył kpt. Dusza (który był obecny w czasie badania lekarskiego, w celi XI Oddziału, i groził mi wówczas kijem, żebym się przypadkiem nie skarżył lekarzowi), „dr Herbicz-Haberman stwierdził, że jesteś zdolny do dalszego bicia cię, ale pod warunkiem, że nie mogę cię bić, gdy pozostajesz w pozycji głową na dół, gdyż tego doktor mi zabronił”.

Podkreślam, że *pierwsze bicie* zastosowano wobec mnie w dniu 9 stycznia 1949 roku (o ile się nie mylę była to niedziela) o godz. 12-tej, w pokoju nr 10 Pawilonu Oficerów Śledczych (z tunelem). Bił mnie wtenczas ówczesny kpt. Dusza oraz ówczesny por. Kaskiewicz.

Ostatni zaś raz byłem *bity* w początku czerwca 1951 (zdaje się 6 czerwca) w pokoju nr 15, lub 16, Pawilonu A. Bił mnie wówczas pięścią i kopał ppłk Dusza, w obecności kpt. J. Grzędy, natychmiast po konfrontacji z E. Krakiem.

Miejscem omówionych na początku niniejszego pisma 49 rodzajów tortur i maltretacji były: pawilon oficerów śledczych (z tunelem), cele Oddziału XI i pokoje śledcze Oddziału X, klatka schodowa i korytarze prowadzące z pawilonu oficerów śledczych na Oddział XI, pokój nr. 11 i 15 (lub 16) w Pawilonie A oraz cele i karcer Pawilonu A.

Nawiązując do wspomnianego wyżej oświadczenia płk. Różańskiego odnośnie fabrykowania dowodów rzeczowych przeciwko oskarżonym (blankiety i stemple gestapo itp.) dodać należy, że kwestia ta łączy się — moim zdaniem — z problemem tzw. „*tajnych dowodów*”.

W końcu 1952 roku względnie na początku 1953 roku powiedziałem ppłk. Duszy, w czasie wymiany zdań na temat mojej sprawy, iż ja zostałem skazany niewinnie i że o tej niewinności mojej władze śledczej są chyba w istocie przekonane, bo znają z długotrwałego i wyczerpującego śledztwa istotny stan rzeczy.

Na to ppłk Dusza oświadczył mi, że ja zostałem skazany na podstawie *tajnych dowodów* których władze nie mogą ujawnić przed sądem. Również analogiczną tezę wypowiedział Naczelnik Więzienia Mokotów mjr Grabicki. Mianowicie oświadczył on mi, w czerwcu 1953 roku, w swoim gabinecie w obecności chorego Krzywani, że ja zostałem skazany na podstawie *tajnych dowodów* i że z pewnością zostanę powieszony.

W związku z tym muszę stwierdzić, że ew. *tajne dowody* przeciwko mnie mogą być tylko rezultatem fałszerstw, oszczerczych oskarżeń i poszlak, lub wynikiem takich przypadkowych zbieżności, jak np. zbieg nazwisk (a nawet nazwisk i imion) itp.

Nawiązując do drugiego, opisanego na str. (?) oświadczenia płk. Różańskiego odnośnie rzekomego ulegania przez sądy czynnikom Bezpieczeństwa, nie można pominąć milczeniem notorycznie dzisiaj znanych faktów, że niektórzy oficerowie śledczy b. MBP odzywali się z manifestacyjnym lekceważeniem o obowiązujących przepisach prawnych. Tak np. kpt. Chimczuk Eugeniusz oświadczył mi na śledztwie w ordynarnych słowach, że „my kładziemy ch... na prawa i ustawy”, że „my tworzymy prawo” oraz, że „regulamin więzienny jest dla głupich, a nie dla nas”.

Szczytem zaś niepraworządności omawianej grupy oficerów śledczych był fakt — który wydaje się być fantastyczny, a jednak jest prawdziwy — przesłuchiwanie mnie na rzekome posiadanie przeze mnie jako b. oficera Bipu KG AK wiadomości o wymaganiach przez tychże oficerów przestępstwach najwyższych przedstawicieli władz państwowych, czy partyjnych.

Oświadczam, że kpt. Chimczak Eugeniusz zapytywał mnie m.in. „jakie masz materiały obciążające Cyrankiewicza” (ówczesnego Prezesa Rady Ministrów) „oraz Barcikowskiego” (obecnie pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego). Ponadto ppłk Dusza i mjr Kaskiewicz badali mnie również, co wiem o przedwojennej i okupacyjnej działalności Pierwszego Prezesa SN Barcikowskiego.

Wreszcie kpt. E. Chimczak badał mnie na okoliczność, jakie mam materiały odnośnie okupacyjnej aktywności PPR, a m.in. działalności ówczesnego Prezydenta RP Obywatela B. Bieruta. Charakterystyczne były przy tym wypowiedzi kpt. Chimczaka, a mianowicie: „Myśmy uderzyli po NSZ, po AK, po Mikołajczuku, po PPS-ie, a teraz uderzyliśmy po naszej partii”. Przy czym „myśmy” oznaczało w słownictwie kpt. Chimczaka Bezpieczeństwo — które — według jego oświadczeń — „jest rdzeniem Partii”.

Uważałem wówczas i uważam nadal, że omawiany ostatnio sposób prowadzenia śledztwa przez kpt. E. Chimczaka i jego

wypowiedzi odnośnie obowiązującego ustawodawstwa i najwyższych władz państwowych były tylko odbiciem tych odgórných nastawień, które nurtowały grupę śledczą b. MBP, do jakiej on należał.

Poza powyższymi wywodami mam zaszczyt zwrócić się do Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego z uprzejmym zapytaniem, jak się przedstawia sprawa zabrania przez służbę więzienną więzienia Mokotów moich prywatnych rzeczy, sprawa, *co do której przesłuchał mnie* pisemnie w dn. 5. XI. 1954 przedstawiciel Naczelnej Prokuratury Wojska Polskiego.

Chodzi mi mianowicie o:

1) *dwa koce* zabrane mi — mimo moich protestów i wyjaśnień — w dniu 7. III. 1949 (o ile dzisiaj już nie mylę daty) z celi 41 Oddziału XI Więzienia Mokotów przez ówczesnego plutonowego (obecnie ppor. *Szymańskiego Tadeusza*; koce te zostały mi przesłane (jeden do Mokotowa w dn. 18. IX. 1945 r., drugi — wysokowartościowy — do Rawicza na przełomie 1946/47) przez moją rodzinę (żona — *Zofia Moczarska* i siostra — *Anna Rościszewska*, Warszawa — *Marszałkowska 78*); koce te miały wyhaftowane moje imię i nazwisko oraz zostały ok. 27. III. 1947 r. zapisane do książki depozytowej (gdzie była specjalna rubryka prywatnych kocy więźnia) jako moja własność, którą zabrałem z sobą do celi po powrocie z Więzienia Rawicz do Mokotowa. Księgę tę pokazywał mi Magazynier Więzienia Mokotów sierż. *Tenenbaum* w dn. 27. III 1953 r. gdy zaprotestowałem przeciwko brakowi tych koców w magazynie odzieżowym, po przeniesieniu mnie po raz pierwszy z Pawilonu A na cele ogólne Mokotowa: *Szymański Tadeusz* zabrał mi te koce i ani ich nie przekazał do depozytu więziennego, ani nie zwrócił mi ich później. Okoliczności te może stwierdzić Ob. *Śmieciński Czesław* (obecnie kierownik działu maszyn ofsetowych w Domu Słowa Polskiego w Warszawie), który siedział wówczas, w roku 1949, ze mną w celi 41 Oddziału XI Mokotowa;

2) *matą poduszkę puchową, pary pantofli nocnych* (w tym 2 pary w doskonałym stanie), szczotki i szereg innych rzeczy; rzeczy te zabrali mi w maju 1950 roku (po odnowieniu Oddziału XI) oddziałowi: *Mazurkiewicz* (obecnie st. sierżant na tzw. celach ogólnych Mokotowa) oraz *oddziałowy nieznanego nazwiska* (obecnie jest on st. sierżantem na tzw. celach ogólnych Mokotowa), który był znany na Oddziale XI i Pawilonie A jako jedyny z oddziałowych, noszący serię baretek orderowych; jego rysopis: lat obecnie ok. 40, wzrost ponad 1 m 70 cm, szczupły, różowa pociągła twarz, blondyn, łysawy; oddziałowi ci zabrali mi wspo-

mniane rzeczy w czasie rewizji, w kłozecie Oddziału XI, w obecności więźniów: Schilkego Gustawa i Stroopa Jürgena i nie oddali ich do depozytu więziennego;

3) *menażkę okrągłą, aluminiową* z wygrawerowanym moim imieniem i nazwiskiem (pamiątkowa dla mnie); menażkę tę zabrała mi z celi Pawilonu A Mokotowa, w listopadzie 1950 roku, oddziałowa tegoż Pawilonu *Kopeć Jadwiga*, mimo że ją prosiłem o przekazanie menażki, prywatnej, długoletniej własności, do magazynu więziennego, do mego depozytu — w myśl przepisów więziennych; nie uczyniła ona tego. Zaznaczam, że było to w okresie zamiany prywatnych menażek na ujednolicone miski więzienne; świadkiem na podane okoliczności jest więzień Pawłowski Tadeusz (obecnie C. Więzienie Sztum), który był obecny przy owym zabraniu menażki.

W związku z powyższym oświadczam, że — po przeniesieniu mnie r. 1953 na tzw. cele ogólne Mokotowa z Pawilonu A — napisałem, z polecenia ówczesnego Naczelnika Więzienia Mokotów mjr. Grabickiego (który oświadczył, że sprawy te nie leżą w jego kompetencji) długie pismo w tej sprawie do b. MBP i do tej pory nie mam żadnej odpowiedzi. Zaznaczam, że Naczelnik mjr Grabicki oświadczył mi, że wspomniane moje pismo przesłał do b. MBP, do Gabinetu Ministra.

Proszę uprzejmie Naczelną Prokuraturę Wojska Polskiego o udzielenie mi odpowiedzi w sprawie zabrania mi moich wspomnianych wyżej prywatnych rzeczy przez funkcjonariuszy Więzienia Mokotów w Warszawie. Odpis niniejszego pisma przesyłam adwokatowi Władysławowi Winawerowi w Warszawie.

Kazimierz Moczarski

Odpis niniejszego pisma przesyłam równocześnie do Sądu Najwyższego.

Kazimierz Moczarski

13. Zapyta Pan może, Panie Mecenasiu, dlaczego ja teraz piszę do naczelnej Prokuratury WP w sprawie niedozwolonych metod śledztwa i nieprawidłowości z zakresu braku moich prywatnych rzeczy. Otóż dlatego, że Prokurator Wojskowy, który mnie przesłuchiwał w dniu 5. XI. 54, miał zamiar przesłuchać mnie jeszcze raz. Zanotował on sobie przy tym, kiedy i do jakich władz pisałem obszerne pisma, dotyczące (choćby częściowo) maltretacji, tortur, czy innych nadużyć.

Ponieważ opis moich przeżyć jest rozrzucony po wielu moich

pismach do SN i Rady Państwa, uważałem za stosowne zebrać całość mych przeżyć w Więzieniu Mokotowskim i przesłać tę całość Naczelnej Prokuraturze WP.

Poza tym istnieje jeszcze inny motyw napisania tego pisma. Mianowicie chcę ostatecznie wypłuć z siebie tę psychiczną flegmę, jaka nazbierała się we mnie przez tyle lat śledztwa, tak krzywdzącego mnie. To jest potrzebne dla mojej higieny psychicznej. Chcę zapomnieć o tym, co przeszedłem. Nie mogę zatrzymać w sobie nic, co by mogło zostawić jakiś niewyjaśniony ślad w mej psychice.

Pragnę wyleczyć wszystkie urazy, jakie miałem i jeszcze częściowo mam w związku z tą ponurą sprawą. Po napisaniu tych dwóch pism do SN i do N. Prokuratury WP, chcę postawić „żelazną kurtynę” między przeszłością a przyszłością. Będę się starał więcej nie pisać w omawianych sprawach, nie myśleć i nie mówić o tym z nikim. Czyż nie warto przysypać popiołem zapomnienia tych przeżyć, za które ich inicjatorzy mają dzisiaj postępowanie karne i z pewnością będą ukarani? Myślę że tak. Piszę Panu w początkach tego listu o moim dzisiejszym stanie „swoistej radości”. Na ów stan wpływa m.in. to, że uzyskałem już *połową* mej rehabilitacji. Najważniejsze władze państwowe osądziły tych ludzi, którzy torturowali mnie w śledztwie (i wymuszali od współoskarżonych i późniejszych „zawodowych świadków” fałszywe zeznania oraz spreparowali mój proces), w więzieniu. Czy to nie satysfakcja dla mnie (gorzka co prawda satysfakcja), że płk Różański, Dusza i szereg innych czynnych lub biernych oprawców są już dzisiaj rozszyfrowani jako polityczni szkodnicy i jako przestępcy za to m.in., że tak mnie maltretowali i tak fabrykowali przy pomocy wymuszonych zeznań „zawodowych świadków” i sofizmatycznych konstrukcji prawnych procesu przeciw ludziom niewinnym, tak jak ja na przykład.

Teraz czekam na *drugą połowę* mej rehabilitacji. I wierzę, że przy Pana pomocy, który tyle okazał mi dobrej woli i zaufania — oraz przy pomocy Szanownego Mecenasa Maślanki — zdołam w niedługim czasie wyjść na wolność.

Pan zna moją sprawę, myślę, najlepiej. Przypuszczam, że tylko Pan i ja znamy w pełni tę powódź stronic aktów mego procesu, te potężne 5 tomów, na zaznajomienie się z którymi adwokat lub sędzia musi stracić chyba (uwzględniając ich codzienne zajęcia) 3 tygodnie czasu.

O tym ile Pan wysiłku poniósł w „nauczaniu się” mej sprawy świadczy ów Pański (oraz adwokata Maślanki) wniosek do SN o wznowienie postępowania i rewizję nadzwyczajną.

Pan, Szanowny Panie Mecenasie, *wie*, że ja jestem niewinny. Więcej powiem: Pan czuje swym wyostrzonym długoletnią praktyką obrończą instynktem adwokackim, że ja jestem niewinny.

I wie Pan ponadto to, co i ja wiem. A mianowicie, że w całej tej mojej nieszczęśliwej sprawie jest tyle rozmaitych poszlak, jest cały kompleks przypadkowych zbieżności i pogmatwanych okoliczności, które mogą płytkim umysłem i ludziom przyzwyczajonym do ślizgania się po powierzchni prawdy życiowej dać pretekst, czy pozór do wyciągania najbardziej fantastycznych wniosków.

Życie stwarza nieraz sytuacje bardziej filmowe od najbardziej filmowego filmu. Taką nie do wiary dla przeciętnego obywatela sytuację stworzyły mi warunki losowe całej mojej sprawy z KWP oraz moich przejść śledczych. Rzadko kto mógłby uwierzyć w całość i wszystkie szczegóły całej tej „Moczarskiady”, której jestem niezawinionym, choć pokrzywdzonym, biernym aktorem.

Ponieważ „znam coś głupszego od optymizmu, a jest to pesymizm”, jak mówi Goethe — więc jestem optymistą. Ponadto wierzę w magiczną moc rozsądku i logiki, które muszą w końcu zwyciężyć. Przecież „rozsądek ma w naszym ustroju większe szanse triumfu, niż kiedykolwiek i gdziekolwiek indziej”. Wreszcie czuję za sobą chłodny umysł, ludzkie serce i nieposzlakowaną przeszłość obrończą Pana, Panie Mecenasie. Nie domyśla się Pan nawet ile to sił dodaje więźniowi, niewinnie skazanemu, wiara w takiego obrońcę, jakim Pan jest. Pan jest sam — wraz z pomocną ręką Mecenasa Maślanki. A mnie się wydaje, że to nie dwóch obrońców, ale cały legion życzliwych ludzi stoi murem za moją *śluszną* sprawą. W związku z tym pragnę Panu oświadczyć, że skłaniam się (po znanym Panu okresie rozzarowania wobec pewnego członka palestry) do ponownego uznania za aksjomat, że zawód adwokata jest jednym z najpiękniejszych zawodów, bo „jest zawodem obrońcy człowieka”.

14) W pismach do SN i do N. Prok. WP zachodzą różnice w określeniu czasu, w którym byłem maltretowany i torturowany. Do SN piszę: od 9. I. 49 do 6. VI. 51”, a w piśmie do N. Prok. WP — „od 30. XI. 48 do 22. IX. 52”. Wyjaśniam, że w piśmie do SN podaję terminy pierwszego i ostatniego bicia, a do N. Prok. WP — terminy pierwszej maltretacji i pierwszego pójścia na spacer (22. IX. 52).

15) Nie piszę do SN o wypowiedziach płk. Różańskiego odnośnie ulegania przez Sądy czynnikom bezpieczeństwa. Ale jest to wyczerpująco podane w moim piśmie do N. Prokuratury WP. Myślę, że to wystarczy.

16) Również pomiąłem w piśmie do SN sprawę śladów mych obrażeń fizycznych i nerwowych. Ale jest to w piśmie do N. Prok. WP. Zaznaczam przy tym, że w listopadzie czy w grudniu 1951 roku badała mnie w Szpitalu Okręgowym w Mokotowie lekarz psychiatra Dr Szembergowa, która stwierdziła moją całkowitą poczytalność. Ponadto oświadczyła, że mój stan nerwowy jest lekko rozstrojony (uczulenie, podrażnienie), które jest wynikiem znanych Panu przeżyć. Wskutek zaleceń lekarzy przeniesiono mnie na najlepszą celę Pawilonu A, dano zajęcie umysłowe (papier, ołówek, prywatne książki z zakresu moich zamiłowań — sztuka) i wesołego kolegę. Tam zacząłem odżywać. Teraz czuję się jeszcze lepiej, mimo, że nie całkowicie dobrze. Trochę jest tu zimno. Inny klimat, nadmorski, wilgotniejszy. Nie pracuję. Tak bym chciał mieć w celi papier, ołówek i moje książki i notatki z zakresu sztuki. Zacząłem przygotowywać się już w Mokotowie do napisania rozpraw o teoretycznych zagadnieniach sztuki. Myślę sobie, czy musi istnieć taki stan, że po prawie 10-letnim więzieniu (takim więzieniu!) nie mogę się niczym przysłużyć społeczeństwu?

Zamierzam prosić o to władze więzienne. Ale nie wiem czy mi się uda.

17) Dlaczego tyle piszę do Pana? Bo Pan, Panie Mecenasiu, jest jedynym człowiekiem, który wszystko o mnie wie. Przecież mojej Rodziny nie mogę zbyt martwić i jej wszystko opisywać, chociaż siostra moja bardzo dużo o mnie wie. Ale Matka i siostrzenica nie wiedzą nawet o moim wyroku. Żonie mojej można będzie, jak wróci — powiedzieć wszystko o mnie. Tylko, gdy żona jest w więzieniu, to ją można „uczciwie” oszukać w zakresie tego, co może ją zmartwić. Ale żona „wolnościowa” musi wszystko wiedzieć.

Niech się Pan nie gniewa, że tyle Pan musi czytać stron mego listu. To już ostatni mój długi list do Pana. List do siostry napisałem stąd już 14. II. 55.

18) Proszę Pana bardzo o napisanie do mnie krótkiego pisma, potwierdzającego odbiór niniejszego listu, który ma 32 strony (łącznie z wszystkimi odpisami pism do SN i do Nacz. Prok. WP).

Zechce Pan przyjąć, Panie Mecenasiu, wyrazy mego najgłębszego szacunku i pełnego poważania dla Siebie i dla Pana Mecenasa Maślanki.

Kazimierz MOCZARSKI

Sztum, 25. II. 1955 r.

J. CIECHANOWSKI

PROCES SZESNASTU W MOSKWIE

Upłynęło 35 lat od tego procesu, który ostatecznie pokazał *urbi et orbi*, że Stalin już wtedy miał decydujący głos w polskich sprawach, ale kontrowersje i dyskusje wokół niego trwają nadal*. Stale też przybywają do nich nowe przyczynki, które często wymagają dalszych wyjaśnień i sprostowań.

Co więcej, jeszcze nadal wiele wydarzeń które doprowadziły do aresztowania i procesu szesnastu oraz jego przebieg wymaga pełnego omówienia i naświetlenia.

Stąd sądzę, że Czytelników *Zeszytów Historycznych* może zainteresować treść raportu pt. „Proces Moskiewski”, sporządzonego 1 lipca 1945 roku dla Rządu Polskiego w Londynie.

Chociaż nie znamy autora raportu, z jego treści i daty wynika, że był on oparty na relacji J. Stemler-Dąbskiego, zastępcy szefa departamentu informacji Delegatury Rządu, który był sądzony w procesie i powrócił do Kraju w czerwcu 1945 roku.

Raport ten wnosi szereg mało znanych szczegółów, informacji i ocen na temat aresztowania i procesu szesnastu, spisanych prawie natychmiast po jego zakończeniu, co czyni go niezwykle ważnym i wartym przypomnienia.

J. CIECHANOWSKI

* Patrz np.: Z. Stypułkowski: *Zaproszenie do Moskwy*, Londyn, 1977, tom 2, str. 55-185. K. Bagiński: „Proces Szesnastu w Moskwie”, *Zeszyty Historyczne* Nr 4/1963, str. 74-122. K. Pużak: „Wspomnienia 1939-1945”, *Zeszyty Historyczne* Nr 41/1977, str. 133-196. Sowiecką wersję wydarzeń podaje: *Sprawozdanie Sądowe*, Moskwa, 1946, str. 319.

I.
M.P. 1 : 7. 45.
Lp. 127/Tj./45.

Dnia 30. I. 46. No 56/I/46.
Raport

Dot. Uzupelnienie Raportu Nr 15 — „Proces Moskiewski”

Na pewien czas przed rozmowami 16-tu były prowadzone rozmowy Iwanowa¹ z ramienia Żukowa² z ludowcami. Jankowski wyszedł z założenia, że skoro „góra” się chwieje — zaczyna trzeszczeć przez ujawnione chęci kompromisu, skoro są możliwości stworzenia Rządu Jedności Narodowej poza DR, to licząc się nawet z uwięzieniem należy rozmowy prowadzić. Prócz listu Piemieniowa³ do Niedźwiadka⁴ jest taki sam do Jankowskiego⁵ również z gwarancją „bezопасności”. Rozmowy były ułożone w ten sposób że pierwsi (w serii ostatnich) rozmawiali 16-go, następni 26-go, a trzech ostatnich 27-go [marca — J.C.]. Jeżeli chodzi o udział Generała — to ten się wahał, ale na posiedzeniu dr Jankowski mu powiedział: „Pan, Panie Generale, jest szefem Wydziału Wojskowego w D.R., zatem jako taki...” „no tak, słusznie — pojedę” — powiedział Niedźwiadek.

27-go trzech ostatnich przybyło do Pruszkowa. Przyjął ich nieznamy generał, bardzo uprzejmy i kulturalny, w towarzystwie Piemieniowa i kapitana Wasińskiego⁶. Dwaj ostatni, zwłaszcza Piemieniow był zmieniony. Błady jak ściana nie patrzył w oczy. Wtedy przybyli się dowiedzieli, że poprzedni rozmówcy pojechali do Włoch do Iwanowa, i że trzeba na nich poczekać. Czekali do południa, potem oświadczone im, że reszta 16-tu z pewnych względów prowadzi rozmowy we Włochach „trzeba żeby Panowie tam pojechali”. Wsadzono ich do limuzyny i zawieziono do Włoch. We Włochach wprowadzono ich do strzeżonej ściśle willi. Przyjmował jeszcze jeden nowy generał. Jeszcze blejszy i z marmurową twarzą Piemieniow, jakiś

1. Iwanow — I. A. Sierow, generał NKWD w latach 1944-45, odpowiedzialny za bezpieczeństwo zaplecza Armii Czerwonej na terenach Polski.

2. G. Żukow — marszałek sowiecki.

3. Piemieniow [lub Pimonow — J.C.] — pułkownik sowiecki.

4. L. Okulicki, generał brygady, ostatni dowódca AK.

5. J. S. Jankowski — Delegat Rządu.

6. Wasiński — kapitan sowiecki.

pułkownik podobny do Pacellego⁷ i Wasiński, który oświadczył Dąbskiemu⁸, żeby był dobrej myśli. Generał bardzo się Polakom nie podobał. Okazało się, że wszyscy 16-oro są razem, ale jak gdyby uwięzieni. Jankowski od razu wystąpił ostro, że prowadzić rozmów nie może, bo mimo danej mu dawno obietnicy, że będzie przy tych rozmowach człowiek bez którego jego ekipa jest niepełna, mianowicie prezes S. N. Zwierzyński⁹. Generał odpowiedział, że owszem — jest pan Zwierzyński. Jako też w następnym pokoju w fotelu siedział wymizerowany Zwierzyński. Na zapytanie Jankowskiego: co się z Panem działo Panie Prezesie, ten odpowiedział: nie wiem po co mnie tu przywieźli. Dziś rano wyciągnięto mnie z piwnicy więziennej ze Strzeleckiej na Pradze. Ubrano w jakieś ubranie, wciągnięto jakąś za wielką na mnie koszulę bez guzików, na mnie igłą koszulę tę zeszyto i oto jestem. Generał kazał wszystkim Polaków rozmieścić po czterech pokojach willi. Gdy to uczyniono powiedział: „Zaraz przyniosą herbatę, jest żołnierz, może Panowie posła do miasta po szynkę czy masło i chleb”.

Tu zebranych stało się jasnym że są uwięzieni. Jankowski wystąpił z żądaniem ujrzenia Żukowa i prowadzenia rozmów. Obecny generał oświadczył mniej więcej tak: „No tak, Panowie, Żukow tu przybędzie, ale najpierw muszą się Panowie wyrzec tego Rządu Angielskiego, skoro to ma być z tego Rząd Jedności Narodowej”.

Jankowski z oburzeniem oświadczył, że sami są Rządem w Kraju i że reprezentują właśnie Rząd Londyński, więc dziwne są zatem takie propozycje. Na to generał: „Żukowa jeszcze nie ma, muszą Panowie zaczekać”.

Tak zatem czekali na kanapie, łóżku, klubowych fotelach. Wieczorem ta sama historia — herbata, a po resztę trzeba posłać.

Rano im oświadczone, że nie ma rady — „pojadą Panowie do Stawki Żukowa samolotem”. Wyprowadzono ich na podwórze, bardzo grzecznie podstawiono limuzyny. Do p. Dąbskiego podszedł Piemieniow błady, podał mu rękę, którą ścisnął bardzo mocno. Spojrzał wyraziście w oczy — znacząco i głęboko westchnął, potem odszedł w głąb podwórza i patrzył w górę odwrócony, gdzieś ponad domem.

Z lotniska wystartowano. Dąbski leżał na podłodze, jazdę

7. Pius XII.

8. J. Stemler-Dąbski — zastępca szefa departamentu informacji Delegatury Rządu.

9. A. Zwierzyński — prezes krajowego Stronnictwa Narodowego i wiceprezes Rady Jedności Narodowej — RJN.

samolotem bowiem znosi gorzej niż statkiem. W kabinie prócz 16-tu byli: dwóch pilotów majorów, profesor historyk, kultu-ralny, miły, i kapitan, takiż sam, bawiący podróży. Po pew-nyim czasie lotu Chaciński¹⁰, który się dobrze trzymał, spojrzął w dół (jak wiadomo Stawka Żukowa była pod Poznaniem) i krzyknął: „Panowie — Bug pod nami, lecimy na wschód”. Bolszewicy spojrzeli po sobie: „Tak, Panowie lecą na wschód”, mruknął jeden z nich. Jadący zrozumieli prawie wszystko. Po kilku godzinach lotu mgły, śniegi. Jeszcze po pewnym czasie wyszedł jeden z majorów i podszedł do stojącego nad leżącym Dąbskim kapitana: „Znajecie, Moskwa nie prinimajet”, po czym pilot machnął ręką i wrócił. Po pewnym czasie przyszedł, znowu wziął mapę lotnisk, patrzył na nią przez chwilę, potem wziął i z wściekłością rzucił na ziemię. Wyszedł. Po pewnym czasie znów przyszedł zdenerwowany i powiedział stłumionym głosem do kapitana: „Benzyny nie ma, lotniska nas nie przyjmują — koniec”. Wtedy kapitan, odsunawszy ze słowami „odojdi” ma-jora który z nim rozmawiał — wszedł do kabiny, pilota odsunął energicznie, złapał za kierownicę i zaczął walić ku ziemi. I... bez kabotażu równo wylądował w polu w śniegach. Było to tak wspaniałe, że Polacy którzy zrozumieli że dla politycznej katastrofy poświęcono także i czterech bolszewików naprawdę szczerze bili lotnikowi brawo.

Potem wszyscy wraz ze Stypułkowskim¹¹, który był w czar-nyim ubraniu, w lakierkach i prochowniku, razem z sowieckimi oficerami brnąć zaczęli po kolana w śniegu w kierunku, jak im się zdawało, majaczącego na horyzoncie miasta. Po pewnym czasie marszu przybyli do położonej 400 km na wschód od Mos-kwy miejscowości Iwano-Wozniesieńsk, czegoś w rodzaju pol-skiej Łodzi.

Z Wozniesieńska wywieziono Polaków pociągiem. W Mos-kwie na dworcu przyjął ich niesympatyczny, ale mocno ugrzecz-niony generał. Wsadzono ich do limuzyn. Pojechali. Przed 11-piętrowym gmachem (Chaciński liczył „raz, dwa, trzy”) za-trzymano się. Otworzyła się zielona, lśniąca brama. Więzienie. Na korytarzu któregoś piętra ustawiono ich twarzą do szeregu drzwiczek jak gdyby od szafy. (Było z nimi i grono oficerów). Potem okrzyk i momentalnie każdy znalazł się w malutkiej z dwoma judaszami klitce, niemal wielkości pieca z jedynym umeblo-waniem, malutkim żelaznym łóżeczkiem przykrytym kocem.

10. J. Chaciński — prezes krajowego Stronnictwa Pracy.

11. Z. Stypułkowski — członek zarządu głównego Stronnictwa Narodo-wego.

Usłyszano jeszcze słowa Chacińskiego: „No to będzie skandal na światową skalę”.

Więzienie straszne. Męcząca cisza. Przez cały czas pobytu tam nie słyszano żadnego słowa. Strażnicy mówią tylko szeptem i poruszają się bezszelestnie. Wszystkie rozkazy: plaskaniem w palce. Stała obserwacja przez 2 judasze: strażnika i absolwentów Instytutu Psycho-Technicznego, kliniki, studentów, praktykantów etc. Trzeba leżeć trzymając ręce wyciągnięte na kocu. Ruch ręką powoduje skok przez drzwi strażnika: „Ruki, ruki”. Przed samą twarzą nad żelazną pryczą dzień i noc 60-cioświecowa żarówka, sufit pochyły, okna nie ma. 7 tygodni pobytu. Jak się zasypia, momentalnie budzą. Dąbskiego badano 15 dni i 15 nocy bez przerwy. Nie uderzono ani razu i nie krzyknięto. Po tych dniach i nocach, gdy znużony zasypiał, było to hasło „na dopros”. Jedzenie oczywiście nielepsze niż w Oświęcimiu: 400 gr. chleba dziennie, rano gorąca woda, na obiad zupa niezła na mięsie lub rybie, wieczorem czarna kawa.

Badania: takie, które właściwie nie są badaniami. Oskarżony dostaje 36 tomów, zawierających 39.000 stron, w 15 sprawach, zeznający ma tylko stawiać fajki przy odnośnych ustępach, co do których stwierdza, że brał jakikolwiek w tym udział lub o tym wiedział. *Dossier* zawiera wszystkie niemal depesze do Londynu i z Londynu od Dowództwa Sił Zbrojnych i Delegatury i odwrotnie. Biuletyny, raporty, rozkazy, wydane w Kraju i przez Kopańskiego¹² za granicą. Całe archiwum pracy podziemnej, głównie dotyczące działalności wojskowej AK i „Nie”¹³. Olbrzymia większość oskarżonych nic mówić na ten temat nie może, wszystko jest bowiem oskarżycielom wiadome. Wyjątkowo się zachowywał siedemdziesięcioletni szliselburczyk, starzec Pużak¹⁴. Ten postępował według starej z dziewięćset czwartego i piątego roku socjalistycznej taktyki. Przez cały niezmiernie długi czas badań mówił na wszystko — nie, o niczym nie wiedział i do niczego się nie przyznawał. Nigdy jednak i niezmiennie nikogo tym z równowagi nie wyprowadził. Dąbski oświadczył, że redagował tylko „Biuletyn Informacyjny”¹⁵, a poza tym stał z dala od wszystkich spraw i zasadniczo o niczym nie wie. Okulicki oświadczył, że jest poddanym polskim, żołnierzem również anglosaskim w myśl uznania AK za wojska podległe alianckiemu Do-

12. St. Kopański — generał dywizji, Szef Sztabu Głównego PSZ.

13. „Niepodległość” — tajna organizacja wojskowa stworzona na polecenie Naczelnego Wodza, gen. K. Sosnkowskiego — mająca działać pod okupacją sowiecką.

14. K. Pużak — sekretarz generalny PPS i prezes RJN.

15. Pismo konspiracyjne wydawane przez B-i-P KG AK.

wództwu. Nic zeznawać nie będzie przed władzą sowiecką ze swej działalności na terenie Polski. Na to mu oświadczone, że działał przeciwko armii sowieckiej, zatem w każdym wypadku podlega sądownictwu sowieckiemu, a po drugie działał nie tylko na terenie Polski — głównie na obszarach Ukrainy, Białorusi i Litwy. Badania na okoliczności „wyjaśnień” były niesłychanie nużące: dzień i noc te same pytania, w kółko powodujące, przy sposobie więzienia a zatem też przy wielkim wycieńczeniu, kompletne zmęczenie myśli. Chodziło zresztą głównie o wynik wtórny: wykazanie winy Rządu Londyńskiego i znenawidzonego gen. Niedźwiadka.

Sam proces był wyreżyserowany teatralnie. Olbrzymia sala nabitą tysiącami ludzi. Sprawozdawcy prasowi wielu państw, w tym Anglii i Ameryki, setki wojskowych różnych stopni, publiczność cywilna obu płci. Dużo kobiet. Przed rozpoczęciem samego procesu filmowano „zbrodniarzy” wielokrotnie i „wielostronnie” przez wielu operatorów. W ogóle cały proces był nakręcany na taśmę filmową. Na zdjęciach chodziło o wydobyć wrażenia, że sprawa jest poważna, że wrogowie Związku Radzieckiego wyglądają imponująco, więc są groźni. Zatem w grupie trzech (fotografowano i w grupach, i pojedynczo, i wszystkich razem) Dąbski jako siwy, a zatem rozumny, poważny, o groźnym dla Związku Sowieckiego umyśle pośrodku, po jego bokach ludzie wyglądający postawnie, a więc ze względu na swój wzrost Okulicki i Bień-Jasiukiewicz¹⁶ trochę z boku i w głębi, Bagiński¹⁷ jako niepokaźny zupełnie do tyłu. Podczas procesu ustawiono wszystkich i sędzia począł pytać: — Pan Pużak, pan przewodniczył 15-go? — Tak. (Pierwsze słowo twierdzące przez cały czas badań). — Pan Okulicki był przy tym? — Tak. — I wtedy po raz pierwszy podniesiono głos, z teatralną dykcją i gestami. Sędzia krzyczał: — Pan Pużak to cały czas kłamał, a tymczasem przewodniczył, był, widział, wiedział i kierował. Prowadził zbrodniczą działalność przeciwko swym wybawcom wtedy, kiedy Związek Radziecki ofiarnie nie zawahał się rzucić swych najlepszych synów na śmierć straszną dla oswobodzenia jego niewdzięcznej Ojczyzny, — itd. itd. Podczas procesu wszyscy zachowywali się w sposób nie przynoszący ujmy Polsce, godny i właściwy. Żadne kajania się i zapewniania o dalszej lojalności w stosunku do Sowietów nie miały miejsca. Wielu spokojnie

16. St. Jasiukowicz — członek zarządu głównego Stronnictwa Narodowego i Krajowej Rady Ministrów.

17. K. Bagiński — wiceprezes zarządu głównego Stronnictwa Ludowego oraz wiceprezes RJN.

i po prostu stwierdziło, że walczyli z Rosją Sowiecką i Armią. Okulicki na natarczywe pytania odpowiedział, że przyznaje, że polityka Rządu Londyńskiego była błędna — należało bowiem walczyć inaczej. Jeden z oskarżonych, człowiek stary, poważny i rozumny, nie unoszący się łatwo, oświadczył z naciskiem, komentując odpowiedzi i mowę obrońcą Niedźwiadka, że gdyby mógł, to by mu na sali, w obecności tysięcy widzów całował ręce za piękną, pełną najwyższej godności i honoru postawę żołnierza polskiego, przynoszącą zaszczyt Narodowi, który reprezentował.

„To jest śliczna postać historyczna” — oświadczył ów oskarżony. Podczas przemowy generała czuło się, że ma za sobą wszystkich Anglików i Amerykanów, wielu sowieckich oficerów i bardzo poważną część cywilnej ludności.

Stypułkowski, który się również bronił sam, we wspaniałej mowie obrończej opanował i rozentuzjzmował salę, zwłaszcza kobiety. Stwierdził, że znalazł się tu przypadkowo, zaproszony przez Niedźwiadka na konferencję z Żukowem. Po co jest na procesie? Chyba tylko po to, aby mógł się przedtem dobrze wyspać i wypocząć. Nie może się przyznawać ani nie przyznawać, bo on w tych pracach przecie udziału nie brał. Na skutek jego mowy prokurator wycofał oskarżenie w stosunku do niego. Adwokaci-obrońcy, dwaj Polacy z Lublina, Żydzi i Rosjanie, bronili z względnie dobrą wolą. Wszystkim oskarżonym, nawet „najmniej winnym” lub tym w stosunku do których nie było dostatecznych dowodów winy wystarczyła, aby ich skazać — sama znajomość z Okulickim. Dąbskiego atakowano słabo — nie było przeciwko niemu dowodów. Kiedy Brande¹⁸ zapytał: „A cóż było treścią tego Biuletynu który Pan redagował?” — zapytany z naciskiem odpowiedział: „Tylko to co podawała oficjalna rozgłośnia brytyjska”, to oświadczenie dużo mu pomogło. Obrońcy Żydzi „bronili” typowo po żydowsku, jeden z nich, wybitny adwokat moskiewski, mówił tak mniej więcej, widząc pograżenie „sprawy Niedźwiadka”: „Teraz, kiedy na jaw wyszła cała zbrodnia i zdradziecka działalność tego faszystowskiego generała, kiedy widzimy ogrom jego winy, jasnym się stało, że mój klient był otumaniony przez tego bandytę, przez niego prowadzony i że cała odpowiedzialność, a więc i konieczność kary spada na tego faszystowskiego pachołka”.

Między innymi padły nazwiska: płk. Sanojcy¹⁹ z Krakowa,

18. J. Brande — adwokat sowiecki.

19. A. Sanojca — pułkownik, szef I Oddziału KG AK.

gen. Rzepeckiego²⁰ z Częstochowy, Muzyczki czyli Kliczyka z Krakowa, Benedykta²¹ i płk. Seweryna²² z Warszawy.

Świadkowie główni Herman²³ i Janson²⁴ byli zupełnie załamani, śpiewali dosłownie wszystko i kornie. Inni pomniejsi również byli autentyczni, a dlatego tak „późno” wstąpili do AK, że to byli ludzie już z „Nie”, specjalnie śpiewał Zygmunt Dziarmaga²⁵, szef wydziału informacji prasowej czy Wydziału Politycznego Dowództwa AK w Wilnie. Śpiewał nawet niepytany i dodawał od siebie.

W rozmowach, prowadzonych po procesie przez oskarżonych z dygnitarzami amerykańskimi i angielskimi, jak na przykład z p. Show²⁶, Parkerem²⁷ i Werthem²⁸, ci ostatni wielokrotnie dawali wyraz swemu przekonaniu, że proces jest ukartowany dla demonstracyjnego „osądzenia” tych z Londynu. „To nieważne, co sędzacy mówili — a my i tak doskonale orientujemy się w sytuacji”.

Tyle o procesie. W pośredniczeniu co do rozpoczęcia rozmów z Żukowem i w zawiadamianiu szesnastu odegrał pewną dwuznaczną rolę, niestety niewyświetloną, niej. Heller-Michalewski²⁹. Ten sam, który w roku bodajże 40 zwrócił się rzekomo od Ratajskiego³⁰ do Stemlera z propozycją zajęcia się działem wydawniczym. Zapytany o to później przez Stemlera Ratajski dał do zrozumienia, że on się właściwie o pośredniczenie do Michalewskiego nie zwracał i że należy przypuszczać, że Heller odgrywał rolę jakiegoś „pilnowania”.

20. J. Rzepecki — pułkownik dypl., szef B-i-P KG AK.

21. L. Muzyczka — ppłk, szef kadr MON.

22. E. Lubowicki — ppłk, wyższy oficer II Oddziału KG AK.

23. F. Janson — ppłk dypl., zastępca Komendanta Obszaru AK Lwów.

24. W. Herman — oficer AK z okręgu stanisławowskiego.

25. St. Działyński — dziennikarz oraz działacz ONR.

26. I. Show — dziennikarz amerykański.

27. R. Parker — dziennikarz amerykański.

28. A. Werth — dziennikarz brytyjski.

29. J. Michalewski — działacz konspiracyjny.

30. C. Ratajski — pierwszy Delegat Rządu.

WSPOMNIENIA

LIPIEC - SIERPIEŃ 1920 ROKU

Z NOTATNIKA MJR. WŁADYSŁAWA KOŁACZKOWSKIEGO,
DOWÓDCY 1-szej BATERII 3-go DYWIZJONU ARTYLERII KONNEJ

Po ciężkich ranach odniesionych przez naszą jazdę w czasie odwrotu spod Kijowa Zamość był miejscem gdzie w przyspieszonym tempie formowały się nasze uzupełnienia dla pułków jazdy i gdzie w dużym promieniu dookoła pułki jazdy i dywizjony artylerii konnej leczyły konie, kompletowały rynsztunek i wchłaniały uzupełnienia. Moja 1-sza bateria 3-ej D.A.K. uzupełniała się w Hrubieszowie wraz z 2-gą baterią naszego dywizjonu otrzymując nowe działa polowe rosyjskie. Jeden działon tylko mojej baterii i jeden 2-giej baterii, połączone w kombinowany pluton, potykały się w ciężkich bojach nad Styrem pod dowództwem Tadeusza Lechnickiego.

18 lipca płk Juliusz Rómmel obejmuje w Zamościu dowództwo 1-szej dywizji jazdy wchodzącej w skład armii konnej dowodzonej przez gen. Jana Sawickiego, szefem sztabu armii konnej był płk Marian Przewłocki, szefem sztabu 1-szej dywizji, z którą do końca byłem związany, był rotmistrz Aleksander Prąglowski. Skład dywizji ciągle jeszcze nie był skrzystalizowany i ciągle ulegał zmianom. By umożliwić tę reorganizację jazdy, już wcześniej bo 20 czerwca płk Dreszer odszedł ze swą 4-tą brygadą jazdy w składzie 1-go i 2-go pułku szwoleżerów i 8-go i 16-go pułku ułanów i nad Styrem wspomagany przez nasz kombinowany pluton artylerii konnej wstrzymywał napór bolszewicki.

Płk Rómmel wyrusza z postoju z dywizją 24 lipca. Wychodzą pułki ułanów: 2-gi; 12-ty i 11-ty, dalej 14-ty pod Bardzińskim, 9-ty pod Dębińskim, 1-szy pod Feliksem Drzewickim, 1-sza i 2-ga bateria 4-go D.A.K. pod Wąsowiczem Janem i 2-ga bateria

2-go D.A.K. Potem 1-sza bateria 3-go D.A.K. pod Kołaczkow-
skim i 2-ga bateria 3-go D.A.K. pod Gronowskim oraz 2-ga
bateria 6-go D.A.K. pod Petrażyckim.

Drugi pułk ułanów odchodzi jednak od razu ze składu naszej
dywizji jazdy do 2-giej dywizji. Skład naszej dywizji obecnie
stanowią 6-ta brygada jazdy (pułki 1 i 9) pod płk. Plisowskim
oraz 3-cia brygada jazdy (pułki 11 i 12) pod płk. Strzemińskim,
a 14-ty pułk ułanów jest w odwodzie.

29 lipca zaczęła 1-sza dywizja jazdy walkę. Zdobywamy
Mytnicę nad Styrem i po chwilowym wyparciu nas na zachodni
brzeg Styru znowu zajmujemy jego brzeg wschodni. Mamy na
przedpolu 6-tą dywizję jazdy Budiennego, a naprzeciwko 4-tej
brygady Dreszera stoi 4-ta dywizja jazdy Budiennego.

30 lipca dywizja nasza atakuje tyły 4-tej i 6-tej dywizji
Budiennego w kierunku na Szczurowice dla odciążenia Dreszera,
lecz wobec nieprzybycia na czas z noclegu 3-ej brygady jazdy
Strzemińskiego cała akcja spaliła na panewce. Musimy spieszenie
wycofywać się na Beresteczko, odwrót nasz kryje 3-cia brygada,
szwadrony 12-go pułku ułanów nie wytrzymują naporu szarżu-
jących bolszewików. W dniu tym ginie kolega mój z 1-szej Ofi-
cerskiej Szkoły Jazdy w Warszawie Mazaraki, porucznik 1-go
pułku ułanów.

1 sierpnia Dywizja atakuje bolszewików wzdłuż Styru już
na zachodnim jego brzegu w kierunku na Mikołajów. W dniu
tym bateria moja pierwszy raz po reorganizacji bierze udział w
woju. Wyjeżdżając z baterią na odkrytą pozycję w linii ławy
12-go pułku ułanów spotkałem wycofującego się rannego mego
dobrego znajomego rotmistrza Teodora Suchodolskiego.

2 sierpnia cała konna armia maszeruje w kierunku Radziwił-
łowa, wówczas 2-ga dywizja jazdy pod płk. Orzechowskim nie
dołączyła na czas do armii. Na nocleg zatrzymaliśmy się w Srebr-
nej. Artylerii bolszewicy nie posiadali. Noc spędziliśmy nie
rozsiadując koni gdyż cały czas trwała strzelanina. Dopiero nad
ranem nawiązaliśmy kontakt z dywizją Orzechowskiego. Bateria
moja zawiązuje w dniu tym walkę ogniową z pociągami pancern-
nym bolszewików i zmusza go do odwrotu.

3 sierpnia cała armia konna kieruje się dwoma kolumnami
na Radziwiłłów, przy czym 1-sza dywizja idzie wprost bliższą
drogą a 2-ga dywizja na Siestratyn - Klekotów. Około południa
na rozkaz gen. Sawickiego nasza dywizja zatrzymuje się, gdyż od
strony Klekotowa słychać ogromną strzelaninę. Po kilku godzi-
nach wyjaśnia się że 2-ga dywizja została prawie zupełnie rozbita
przez bolszewików, wobec czego otrzymujemy rozkaz cofnięcia

się do Szczurowic. Tu podczas odwrotu ginie pod Baranym porucznik Han z 12-go pułku ułanów, dzielnie osłaniając odwrot, który chwilami zmieniał się nieomal w ucieczkę tylko z trudem opanowywaną przez oficerów, z których prawie wyłącznie składała się tylna straż.

Wiele zamieszania wprowadził 17-ty pułk ułanów pod płk. Żychlińskim. Wobec tego że Szczurowice okazały się odcięte, musieliśmy skierować się do Beresteczka, gdzie też rozlokowano się na nocleg i skąd następnego dnia przesunęliśmy się pod Grzymałówkę.

5 sierpnia dywizja nasza próbuje od drugiej strony przez wieś Berlin dotrzeć do Radziwiłłowa. Bateria moja nocuje w Berlinie pod cmentarzem, noc ciepła przechodzi spokojnie, nocuje tu na stosie desek i belek obok baterii.

6 sierpnia maszerujemy na Łopatyn. W dniu tym część armii konnej odchodzi pod Warszawę i 1-sza dywizja jazdy zostaje sama jako samodzielna w składzie: pułków ułanów 1-8-9-11-12-14 i baterii 1/3-2/4-2/6.

7 i 8 sierpnia dywizja jazdy walczy pod Radziwiłłowem. Duży bałagan powstał w dniu tym przy odwrocie pod Antoninem, gdzie do szarży chodził sam dowódca dywizji płk Rómmel z oficerami wszystkich pułków i baterii; w tej akcji z mojej baterii brał udział tylko jeden działon pod dowództwem por. Mirskiego. Na nocleg odeszliśmy do rejonu Witków Nowy.

11 sierpnia dywizja prowadzi akcję na Radzechów. Pułkami w tym czasie dowodzą: 1-szym — Korytko, 9-tym — Dębiński, 11-tym — Jabłoński a 8-mym — Karol Rómmel.

12 sierpnia następuje nowy podział dywizji:

1-sza brygada płk. Gługowskiego, pułki ułanów: 5-ty, 11-ty, 17-ty i moja bateria. Szef sztabu Szmigielski.

6-ta brygada płk. Plisowskiego, pułki ułanów: 1-szy, 12-ty, 14-ty i 2-ga bateria 4-go D.A.K. pod Wąsowiczem. Szef sztabu por. Iliński.

7-ma brygada płk. Brzezowskiego, pułki 8-my i 9-ty ułanów, 2-gi szwoleżerów i 2-ga bateria 6-go D.A.K. pod Petrażyckim. Szef sztabu Morawski.

Armia konna z gen. Sawickim zostaje tym samym zlikwidowana.

Dnia 13 sierpnia 1-sza brygada w Chołojowie a 6-ta i 7-ma w Radzechowie.

Tu ginie pod kościołem w Radzechowie dowódca 2-giej baterii 6-tej D.A.K. por. Petrażycki. Tu też w parę chwil potem pojawia się opancerzone auto bolszewickie, spędzone jednak jed-

nym działem 2-giej baterii 6-tej D.A.K. uchodzi. Jednak wszystkie nasze siły zmuszone są w szybkim tempie opuścić Radzechów. Powodem tego było opuszczenie przez 2-gi pułk szwoleżerów wsi Kąty — na ich karkach bolszewicy wpadli do Radzechowa. 9-ty pułk wraz z 8-ym osłania odwrót. Moja bateria nocowała dnia tego we wsi Pawłów pod osłoną 1-go szwadronu 14-go pułku ułanów. Przepadła mi na tym noclegu lornetka, którą w kilka lat potem rozpoznałem u pana Siedleckiego który był podchorążym w szwadronie osłaniającym baterię i któremu ułani ofiarowali tę lornetkę gdy wychodził z wojska. Pod wieczór w tym dniu przeszedłem z baterii do Chołojowa gdzie noc spędziliśmy na pozycji.

14 sierpnia w Chołojowie. Cały 17-ty pułk idzie dla nawiązania łączności z grupą toporowską, 5-ty i 11-ty na pozycji przed Chołojowem, bateria stoi na pozycji koło szkoły — wspomaga ogniem szarżę 5-go i 11-go pułku. Koło 5-tej po południu ogień nieprzyjacielski wzmacnia się, bateria jest silnie obstrzelana, pułki ułanów wycofują się z przedpoja, otrzymują od płk. Głuchowskiego rozkaz cofania się wraz z pułkami brygady na Kamionkę Strumiłową, reszta dywizji odchodzi na Dobrotwór. Otrzymuję dla osłony cały 17-ty pułk ułanów, z rozkazem zajęcia pozycji na szosie koło wzniesienia, lecz wobec tego że są to wszystko lasy przy szosie, a pod wzniesieniem tylko mała polana bez obstrzału — baterię zatrzymuję na szosie do dalszych rozkazów. Wkrótce spotkany szef sztabu rotm. Pragłowski skierował baterię do Kamionki Strumiłowej.

15 sierpnia. — Dywizja przechodzi w rejon Mostów Wielkich. Tu dołącza do dywizji batalion 18-go pułku piechoty mjr. Łukawskiego z ochotniczą baterią „Jadzia”.

16 sierpnia. — Nieprzyjaciół zajmuje Krystynopol. Moja bateria dostaje czasowy przydział do 19-go pułku piechoty, a pierwsza brygada jazdy wychodzi ze składu naszej dywizji i przechodzi w skład grupy toporowskiej.

17 sierpnia. — Bateria moja wraca do dywizji i wchodzi w skład 6-tej brygady jazdy. Dywizja otrzymuje rozkaz marszu na Żółkiew dla obrony Lwowa.

18 sierpnia. — Przechodzimy przez Żółkiew i nocujemy w Smerekowie gdzie dołącza do nas 3-cia bateria naszego 3-go D.A.K., świeżo sformowana pod dowództwem por. Kwiatkowskiego.

19 sierpnia. — O godz. 3-ej rano wyruszamy w kierunku na Dzibulki a 7-ma brygada na Przedzymbiechy Wielkie. Tu szwadron Chmielewskiego z 1-go pułku ułanów piękną szarżą odparł bol-

szewików, którzy wyparli naszą piechotę z Dzibułek, i zajął Dzi-
bułki. W tym czasie 8-my pułk ułanów krwawił się w Artasowie.
2-ga bateria 6-go D.A.K. traci znów dowódcę, por. Leśniew-
skiego, zabitego na wprostokrytej pozycji pod Nahorcami. Wobec
tego baterię tę obejmuje teraz por. Kaliszek ze sztabu płk. Róm-
mła. Przy zdobywaniu Dzibułek cały czas działa moja bateria,
współdziałając z szarżą 1-go pułku ułanów. Podszedł w tym
czasie do mego punktu obserwacyjnego przy szosie mjr. Bardzyń-
ski, dowódca 14-go pułku ułanów, i został ranny kule bolsze-
wicką. W tym czasie wylądował nasz lotnik pod Dzibułkami
i przywiózł pierwszą radosną nowinę o zwycięstwie pod War-
szawą, oraz przejętą depezę z rozkazami do Budiennego, by
zaniechał Lwowa i siedł na Warszawę. W chwilę potem pod
wsią Żółtańce bolszewicy kontratakami wyparli naszych z zaję-
tych pozycji i sytuacja z trudem tylko została opanowana skon-
centrowanym ogniem naszych 4-ch baterii na Żółtańce i szarzami
naszych pułków jazdy.

Pamiętam punkt mój obserwacyjny na brzozie koło cerkwi
w Dzibułkach, który tym był oryginalny że przez dłuższy czas
byłem celem karabinu maszynowego bolszewickiego, gdzieś do-
brze ukrytego w niedalekim lasku, odcięty od możliwości zejścia,
bo serie raz po raz cięły po połowie wysokości brzozy.

Tam też w szarzy został ciężko ranny d-ca 9-go pułku uła-
nów Brochwicz Lewiński. Już o zmierzchu przewozili go koło
mojej brzozy w Dzibułkach na wózku, zajrzałem wówczas do
wnętrza tegoż, gdyż mówili że Lewiński już umiera. Wylizał się
jednak z tego, spotkałem go w szpitalu Czerwonego Krzyża
w Warszawie w październiku, odwiedzając też rannego przyja-
ciela mego por. Tadeusza Lechnickiego.

20 sierpnia. — W dniu tym 1-sza dywizja jazdy otrzymała
z rąk biskupa Bilczewskiego sztandar ofiarowany przez Ligę
Kobiet za obronę Lwowa. Dowództwa pułków obejmują:
w 8-ym rotmistrz Krzeczunowicz, w 9-ym rotmistrz Komorow-
ski i w 1-ym porucznik Masalski.

Dni 21, 22, 23 sierpnia przechodzą na utrzymaniu kontaktu
z odchodzącym na północ Budiennym. W dniach tych bateria
moja wraz z 38-ym pułkiem piechoty atakuje Mosty Wielkie.
Pamiętam wówczas pierwszy raz zaobserwowane przeze mnie
rykoszety granatów bolszewickich od wilgotnej łąki, gdzie ostrze-
liwano nimi mój punkt obserwacyjny. Bolszewików wyparliśmy
z Mostów i ścigali szosą w kierunku na Sielec. W Sielcu na
plebanii ruskiej spotkałem płk. Rómmła.

24 sierpnia ciągniemy całą dywizję jazdy do Bełza, tu dołą-

cza do nas 1-sza bateria 1-go D.A.K. pod Krzyżanowskim i wchodzi do składu 7-ej brygady jazdy. Przybywa też uzupełnienie dla 1-go pułku ułanów, z płk. Zahorskim który też obejmuje pułk. 1-sza dywizja jazdy zostaje wraz z 13-tą dywizją piechoty wyznaczona do grupy pościgowej za Budiennym, pod dowództwem gen. St. Hallera.

25 sierpnia zajmujemy 6-tą brygadą jazdy rejon Oserdowa - Budenina - Mycowa - Chłopiatyna i tu nawiązujemy styczność z Budiennym i jego 6-tą dywizją jazdy.

27 sierpnia. — Pod Oserdowem i Chłopiatynem bolszewicy natarli na naszą 6-tą brygadę jazdy, lecz 14-ty pułk ułanów spędził ich brawurową szarżą. Podczas tej szarży moja bateria w rozwiniętym szyku wyjechała w jednej linii z ławą naszej jazdy i ogniem wspierała szarżę. Rannym tu został dowódca 14-go pułku por. Masalski, tak że pułk objął po nim konny artylerzysta kapitan Belina Prażmowski z 1-szej baterii 4-go D.A.K. Tutaj też ogniem naszej baterii niszczy punkt obserwacyjny artyleryjski w Artasowie zabijając jego dowódcę.

Podczas wybierania następnych punktów obserwacyjnych dla mojej baterii pod Przemysławem wraz z kilkoma ludźmi ze swoich wywiadowców i kilkoma ułanami z 14-go pułku zaszarżowałem oddziałek jazdy bolszewickiej, który, choć liczniejszy znacznie od nas, rejterował za ciągnący się obok lasek.

29 sierpnia. — Wymaszerowujemy całą dywizją na Tyszowce przez Waręż, Dołchobyczów, Nabroż¹. Pod Warężem tylko napotyka dywizja na opór bolszewicki, który łatwo odpieramy. Forsownym marszem przy ulewnym deszczu który zaczął lać od południa dążymy na nocleg do Nabroża, wysławszy do Tyszowiec tylko 1 pułk ułanów i jeden pluton mojej baterii. W Tyszowcach zdobyto kompletny działon bolszewickiej artylerii konnej kozackiej, zostaje on za zgodą wziętych do niewoli Kozaków w całości wcielony do mojej baterii z rudobrodym Kozakiem na czele kozackiej armaty.

30 sierpnia. — Dywizja zgodnie z otrzymanym rozkazem maszeruje w kierunku Zamościa, przy czym 7-ma brygada idzie w straży przedniej. Zajmujemy rejon Wolica Brzozowa - Zubowice. Dzień ten po wczorajszym uciążliwym marszu był odpoczynkiem dla wszystkich, gdyż zrobiliśmy zaledwie dwadzieścia parę kilo-

1. W tymże Nabrożu na cmentarzu spoczywają dzisiaj doczesne szczątki majora Władysława Kołaczkowskiego, który zginął w Dobużku śmiercią żołnierza dn. 2. 9. 1942 przeżywszy lat 50.

metrów. 9-ty pułk ułanów który osłaniał nasze przejście przez Waręż dotychczas nie dołączył — podobno został gdzieś odcięty w kierunku na Rawę Ruską.

31 sierpnia. — Wypogodziło się zupełnie. 9-ty pułk ułanów po zrobieniu sześćdziesięciokilometrowego marszu nocnego dołączył nad ranem do swojej 7-ej brygady jazdy. Od samego rana 7-ma brygada już się związała bojem z nieprzyjacielską 11-tą dywizją kawalerii Budiennego. Kiedy 6-ta brygada jazdy podciągnęła trochę z opóźnieniem pod Komarów, już całe wzgórze na północ od Komarowa pod Wolicą Śniatyczką było zasiane rozsypanymi oddziałami naszej i bolszewickiej jazdy. Z momentem podciągnięcia się 6-tej brygady wszystkie nasze konne baterie zaczęły wspomagać z odkrytych pozycji naszą jazdę. W dniu tym prócz dowodzenia swoją baterią miałem dowództwo nad całym 3-m D.A.K., w skład którego prócz mojej wchodziła 3-cia bateria pod Kwiatkowskim. Zastanawiający wypadek zaszedł w tej baterii tego dnia. Około południa dałem por. Kwiatkowskiemu rozkaz zajęcia pozycji koło młyna parowego przy kirkucie, przodki z koniowodami stały nieopodal trochę schowane za kirkut. W pewnej chwili granat bolszewicki trafił w zad jednego z koni zaprzęgowych na którym siedział jezdny. Koń rozerwany padł, lecz jezdny cudem ocalał. Tego dnia bateria ta straciła tylko jednego żołnierza i był to właśnie ten sam jezdny, który zginął pod wieczór, przypadkowo od zabłąkanej kuli bolszewickiej.

W tym czasie nasz 9-ty pułk ułanów dostał się pod silny ogień naszej artylerii polowej z 13-tej dywizji piechoty. Pułk poniósł ciężkie straty, co wykorzystując bolszewicy zaszarżowali, a nasi w wielu miejscach zaczęli się wycofywać. Dopiero szarża 1-go pułku Krechowieckiego znów zepchnęła ławy bolszewickie z dominujących szczytów wzgórz. Przybliżone obliczenia związanej w walce jazdy wynosiły z naszej strony około 4.000 szabel i z bolszewickiej około 14.000. Widok był zaiste godny pędzla batalisty — od czasów Napoleonów takiego skupienia jazdy w walce nie spotykamy. Jeszcze rano przy podchodzeniu do Komarowa 12-ty pułk ułanów został skierowany na prawe skrzydło, gdzie musiał przejść wąską grobelkę przez bagna na Śniatycze i zająć okupowane przez bolszewicką jazdę wioski i chutory. Ja miałem ogniem mej baterii umożliwić pułkowi to zadanie, co zostało szybko i szczęśliwie wykonane. Koło południa, minąwszy z baterią Komarów groblę odchodzącą na prawo od głównego gościńca, poza młynem parowym w kierunku na Brudek zająłem pozycję u podnóża wzgórz.

Działon kozacki wcale dobrze spisywał się, gdyż Kozak, bro-

daty celowniczy, chętnie i szybko wynajdywał cele ruchome i skutecznie je obstrzeliwał celowaniem na wprost.

Podczas rannych szarż na wzgórzach padł drugi z moich kolegów z 1-szej Oficerskiej Szkoły Jazdy w Warszawie, oficer 9-go pułku ułanów por. Lachowicz, dowodzący tam szwadronem. Prócz niego pułk ten stracił w tym dniu jeszcze dwóch dowódców szwadronów i dużą ilość ułanów. Po decydującej szarży 1-go pułku Krechowieckiego i zajęciu całego pasma dominujących wzgórz i ja z baterią wyjechałem na szczyt, skąd rozciągał się rozległy widok na leżące w dole i odległe o kilka kilometrów Cześniaki, Miączyn, Niewirków i Dub. Stąd widzieliśmy masę żywych poruszających się celów, do których prowadziliśmy nieustanny i skuteczny ogień.

Z rozkazu znalezionej w kieszeni zabitego dowódcy bolszewickiej brygady jazdy stwierdzono jeszcze raz, że mieliśmy przed sobą 11-tą i 4-tą dywizję jazdy Budiennego, a jak się potem okazało również 6-tą i 14-tą dywizję. Po południu, wobec zmęczenia 7-ej brygady jazdy, pozostaje ona z tyłu dla odpoczynku. Baterie pozostają na wzgórzach dla ewentualnego wspierania naszej 6-tej brygady, która ma za zadanie, wobec widocznej rejterady bolszewickiej, odciąć im odwrót na Koniuchy - Dub - Werbkowice. Dla osłony mojej baterii pozostaje od strony lasu cześnickiego tylko półszwadron 1-go pułku Krechowieckiego pod dowództwem por. Czapskiego i jeden szwadron 2-go pułku szwoleżerów na prawo od baterii. Akcja zdaje się być już zakończona. Około godziny 18-tej otrzymuję rozkaz skierowania obydwu będących pod moim dowództwem baterii (mojej i Kwiatkowskiego) w ślad za idącą na wschód 6-tą brygadą jazdy, z którą też poszedł i dowódca dywizji płk Römmel. Odpowiedni rozkaz wydaję bateriom, pozostawiając z mojej tylko jedno działo z przodkiem obok, bez jaszczaka. Chciałem oddać jeszcze kilka strzałów do uciekających na horyzoncie bolszewików.

Zaledwie baterie moje odeszły, gdy nagle z jaru odległego o około 1 km wyłonił się w zwartym szyku duży oddział jazdy, a w ślad za nim drugi taki sam oddział. Trzeba się było szybko zorientować czy są to nasi czy bolszewicy. Zdecydowałem i otworzyłem ogień na wprost z mego jednego działka. Z mojej odchodzącej baterii jeden pluton pod por. Mirskim też na chwilę z boku otworzył ogień, lecz wobec niepewności czy to są na pewno bolszewicy ognia zaprzestał i zaprzodkowawszy się, odjechał. Na sprawnej pracy mojego jedynego działka zawisł teraz rezultat całodziennych zmagania. Dwie ławy bolszewickie, jak się później okazało część 6-tej dywizji Budiennego, dążyły do odcięcia

nas od grobli którą weszliśmy całą dywizją na dominujące nad okolicą wzgórze. Wahania, czy to bolszewickie oddziały tak nagle się ukazały, czy to może jakieś bliżej nie zidentyfikowane nasze oddziały, przeżywało podobno i całe moje dowództwo wyższe. Sprzeczne rozkazy do mnie, strzelać i nie strzelać, były wysyłane, ale żaden nie dotarł. Zbyt niebezpieczny stał się punkt gdzie stało moje działo, szwadrony stojące w osłonie baterii jako o wiele mniej liczne już by nam się na nic nie przydały, więc wycofały się.

Zostaliśmy całkiem sami, strzelając celnie do z sekundy na sekundę zbliżającej się do nas ławy nieprzyjacielskiej. Usiadłem sam przy celowniku i strzelając kartaczami w masę zmusiłem bolszewików do zmiany kierunku z na wprost na mnie na defilujący. Na szczęście dla nas nie rozdzielili się lecz poszli razem bardziej w lewo ode mnie, wciąż znajdując się pod moim ostrzałem. Niedobitki już wpadły na przybywający z odsieczą 8-my pułk ułanów i zostały na placu boju². Gdy potem płk Rómmel podjechał i dziękował obsłudze mojej armaty za ten wyczyn, nic nie słyszałem, tak byłem ogłuszony od własnoręcznego strzelania. Przed nocą przyszedł rozkaz z dowództwa armii skierowujący naszą dywizję na Tyszowce i atakowanie nieprzyjaciela w kierunku północnym. Oddziały były tak przemęczone że zasypialiśmy po prostu na koniach, a w czasie postojów zwalaliśmy się gdzie popadnie, zapadając w kamienny sen.

1 września. — Nad ranem podeszliśmy pod Tyszowce, lecz wobec zajęcia ich przez piechotę bolszewicką dywizja rozlokowuje się w rejonie wsi Soból i Czartowiec. Moja bateria nocuje w Sobolu. Po parogodzinnym odpoczynku ostrzeliwujemy wejście do Tyszowiec od strony grobli wylotowej, gdzie bolszewicy ulokowali parę gniazd karabinów maszynowych. Po odpoczynku zdecydowane zostało sforsowanie rzeki Huczwy pod Łaszczowem i podejście do Tyszowiec od tyłu.

2 września. — Manewr ten wykonany szybko i pomyślnie

2. Wypadek ten podaje w swojej książce *Ostatnia kampania konna* (Tom 73 serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, 1971) Kornel Krzczunowicz, ówczesny dowódca 8-go pułku ułanów, przytaczając na str. 272 i dalszych relację ówczesnego d-cy 7-mej brygady jazdy płk. Brzezowskiego. Płk Brzezowski sądził jednak, że ogień do bolszewickiej kawalerii która pod wieczór niespodziewanie wyszła na tyły 6-tej brygady, zagrażając wynikowi całodziennego zwycięskiej dotychczas bitwy, otworzyły baterie stojące na podkomarowskich wzgórzach. Píše on: „Było widać jak rażone naszymi pociskami rozlatują się całe szwadrony”. Nie wiedział, że w tym czasie artyleria już odeszła, podążając za 6-tą brygadą, a zostało tylko 1 działo i tylko to jedno działo prowadziło ogień.

zmusza bolszewików do odstąpienia od tych dwu miasteczek — Tyszowiec i Łaszczowa. Przy zajmowaniu Łaszczowa bateria moja wspomaga ogniem wspaniałą szarżę 1-go pułku ułanów Krechowieckich wzdłuż gościńca Łaszczów - Żulice. Zdobyliśmy 8 działających karabinów maszynowych bolszewickich.

Punkt obserwacyjny podczas tej szarży miałem w odległości 1 km od wspomnianych karabinów, na stercie chłopskiego zboża na polach wsi Podhajce. Ledwie znalazłem się na sterce z telefonem, zostałem spostrzeżony i ostrzelany z karabinów maszynowych, stertka literalnie ruszała się od kul, szczęście że nie zwiększyli celownika, bo trafiając metr wyżej byłiby mnie naszpikowali ołowiem.

Tu z Łaszczowa po tej udanej akcji poszło przedstawienie mnie do *Virtuti Militari* za bitwę komarowską. Wkrótce też, bo w niespełna kilka tygodni otrzymałem to najzaszczytniejsze odznaczenie żołnierskie, które jesienią 1920 roku należało jeszcze do bardzo rzadko nadawanych i spotykanych.

Po zajęciu Łaszczowa dywizja posuwa się w kierunku na Kmiczyn — ze wsi tej szwadron 12-go pułku ułanów, na szpakach, szarżą na opłotki za którymi kryła się piechota bolszewicka, wypiera ją stamtąd. Szerokim wygonem poruszamy się naprzód, zajmując tak zwany Mijczyk (mały lasek dzisiaj już wycięty) i las w Dubożku³, w którym wypadło mi potem na stałe zamieszkać. Nie natrafiając na większy opór podchodzimy całą dywizją aż pod Starawieś, skąd wracamy na nocleg do Łaszczowa. Po kilkudniowym odpoczynku dywizja otrzymuje rozkaz sforsowania Huczwy niżej pod Wakijowem, dokąd dążymy poprzez Mołoniż, Czartowiec. Tu na postoju spotkaliśmy się z bolszewicką brygadą jazdy, która w całym składzie przeszła na naszą stronę pod dowództwem esauła Jakowlewa. Skład tej brygady zaledwie jakieś 300 koni, lecz wygląd dosyć dziarski i ekwipunek nie najgorszy. Jestem w posiadaniu szabli czerkieskiej, którą jeden z naszych oficerów wyhandlował od tego esauła Jakowlewa, którą ten jakoby otrzymał w prezencie od byłego dowódcy frontu kaukaskiego podczas wielkiej wojny, gen. Kellera, którego był

3. Ówczesny porucznik Władysław Kołaczkowski wychodzi z wojska w 1922 roku jako major, odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari* i Krzyżem *Walecznych*. Zamieszkuje w Dobużku, zakłada tu rodzinę i dochowuje się pięciorga dzieci. Ginie w czasie okupacji 2.9.1942 w Dobużku w napadzie Ukraińców, dokładnie w 22 lata od opisywanego dnia, w którym po raz pierwszy zetknął się z Dobużkiem. Śmierć przerywa jego pracę w konspiracji wojskowej na terenie obwodu tomaszowskiego Armii Krajowej.

adjutantem⁴. Z Czartowca przechodzimy pod Wakijów, pozostawiając z prawa Tyszowce, w których bolszewicy ciągle się utrzymują. W Wakijowie mamy do sforsowania wąską rozbitą grobelkę przez szeroki pas łąk i rzekę Huczwę. Łąki po ostatnich deszczach a miejscami i grobla stoją pod wodą. Kilka karabinów maszynowych bolszewickich u wylotu grobelki tamuje nam przejście. Podtaczając jedno działo rękami, za przykryciem kilku chałup podsuwamy się tak blisko, że z łatwością udaje się nam je zniszczyć. Przejście jednak, a raczej przeciwległy wylot grobli nadal jest pod ogniem bolszewickich karabinów maszynowych z pobliskich Turkowic. Przenoszę więc ogień na ten kierunek a jednocześnie przesuwam całą baterię z końmi przez groblę na drugą stronę łąk, by stąd ogniem armat zmusić je do milczenia i otworzyć przejście dla całej dywizji. Podczas mojej pracy ogniowej podejżdza 2-ga bateria konna z 4-go D.A.K. pod Kaliszkiem i tam już Kaliszek z pomocą samego dowódcy dywizji pułownika Rómmła, też z fachu artylerzysty, który nadjechał razem z nimi, pomagają mi zmusić do milczenia bolszewickie karabiny maszynowe. Pamiętam że nad jednym gniazdem szczególnie się męczymy, lecz w końcu celnym strzałem udaje się je unieszkodliwić. Cała nasza jazda przechodzi na prawą stronę Huczwy i zaczyna się pościg za uciekającymi bolszewikami. Specjalną miałem satysfakcję rozbijając w tym dniu kilka bolszewickich taczanek z karabinami maszynowymi, które przykrywały odwrót swoich. Na noc pod zaczynającym się deszczem stajemy z baterią w Sahryniu, a cała dywizja rozlokowuje się w rejonie Modryńca. Następnego dnia bateria moja⁵ przechodzi do Kosmowa, by tam w dniu 12 września 1920 roku umożliwić przejście Bugu całej dywizji. Od tej chwili zaczyna się pościg za zdemoralizowanym już wrogiem. Opis tego wielkiego dla nas dnia zaczyna w swej książce Melchior Wańkowicz od słów wło-

4. Z powyższego zdania wynika że słowa te mjr Władysław Kołaczkowski spisał na podstawie swego notatnika w okresie międzywojennym, gdyż wspomniana czerkieska szabla w skórzanej czarnej pochwie ze srebrnymi okuciami wisiała stale w jego gabinecie, w towarzystwie innych, polskich już szabel i wszystko to zostało zrabowane w niedzielę 24 września 1939, w dniu nieoczekiwanego pojawienia się w Dobużku wojsk sowieckich.

5. W książce *Artyleria konna w kampanii wrześniowej 1939 roku*, Londyn, 1976, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej — czytamy na stronie 71: „Należał do najstarszych dywizjonów [3 D.A.K.]. W wojnie polsko-sowieckiej 1919-20 roku brał udział od początku do końca kampanii. Szczególnie odznaczył się w walkach z Armią Konną Budiennego. Jego 1. bateria (którą przez cały czas dowodził Władysław Kołaczkowski) została udekorowana krzyżem srebrnym Orderu VM”.

żonych w usta porucznika Tadeusza Lechnickiego, który w tym czasie dowodził 2-gą baterią 3-go D.A.K.: „Stoimy pod Kosmowem!”.

Na tym urywają się te wspomnienia z dwóch decydujących miesięcy wojny polsko-bolszewickiej, widzianych oczami młodego oficera liniowego.

Nazwiska ludzi tu wspomnianych należą dzisiaj do historii Wojska Polskiego. Przypominamy sobie czasem o nich z okazji rocznic i okolicznościowych obchodów.

23-25 października 1970 obchodzono w Londynie 50-lecie zwycięskich bojów Kawalerii i Artylerii Konnej w kampanii 1920 roku. Była to dla żyjących żołnierzy tamtych lat okazja do spotkania się i wspomnienia tych, których już między nami nie ma — patrz *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* w raporcie z obchodów święta.

Z rękopisu przepisane i komentarzami opatrzone —

przez syna autora

Zbigniewa Kołaczковского

Kazimierz ZAMORSKI

SYGNAŁ WOJSKA POLSKIEGO

W pierwszych dniach września 1941 roku, po zwolnieniu z obozu pracy w miejscowości Plesieck, jakieś 200 km „z hakiem” na południe od Archangielska (dziś jest tam wyrzutnia rakiet), starałem się dotrzeć do Saratowa... Dlaczego do Saratowa? Ano, tak się złożyło. Byłem jednym z tych szczęśliwców, obywateli polskich przebywających w sowieckich więzieniach, obozach pracy czy na zsyłce, których władze GUŁagu uznały za podlegających amnestii ogłoszonej na podstawie porozumienia Sikorski - Majskij. Dawne to czasy, niewiele pamięta, wielu nie wie, że Sikorski był wtedy, w lecie 1941 roku, szefem rządu polskiego w Londynie (Warszawa była od dwóch blisko lat pod okupacją niemiecką), a Majskij ambasadorem sowieckim przy dworze

św. Jakuba. Ale co to ma wspólnego z Saratowem? Otóż właśnie: gdy mi pełnomocnik NKWD wyliczył miejscowości, do jakich miałem wstęp wzbroniony, wreszcie te, do których miałem prawo jechać i w nich się osiedlić — Bóg mi świadkiem, że nie o osiedleniu marzyłem, ale i tę możliwość należało wziąć pod rozwagę — zapytałem, która z nich leży najbardziej na południu. Gdy się okazało, że Saratow, z miejsca zdecydowałem się, jako że klimat stref możliwie odległych od bieguna bardziej mi odpowiada.

Dano mi bilet kolejowy czwartej klasy, aby mi się zaś w głowie nie przewróciło wyraźnie na nim zaznaczono „twarde miejsca”. Jednakże w pociągu, do którego mnie wsadzono, „twardych miejsc” nie było, jechałem więc w komfortowym przedziale z jakimiś urzędnikami, chyba partyjnymi, z Archangielska. Do dziś zadaję sobie pytanie, ile też wszy przewędrowało z mych nędznych łachów na owych skromnie, ale jak na ówczesne warunki schludnie odzianych ludzi.

Przemierzyłem już tę trasę uprzednio, wprawdzie w przeciwnym kierunku, od Morza Czarnego do Białego, ale tamtą podróż odbyłem w wagonie towarowym o oknach zabitych deskami. Tym razem jechałem w wygodnym pulmanie i przez szerokie okna chłonałem dosłownie krajobraz. Początkowo padał śnieg z deszczem, więc niewiele mogłem zobaczyć, zresztą z widokiem karłowatych jodeł byłem zbyt dobrze obeznany. W miarę podróży szaruga rzedła, przejaśniało się i można było dostrzec coraz wyższe połacie jedliny i świerczyny, tym śміiej pnące się w górę im głębiej w ziemię schodziła wieczna marzłota, ustępując miejsca obfitszym pokładom gleby. Po obu stronach toru ciągnęły się lasy i tylko lasy, widok pozornie monotonny, a jednak nie nużący, bo coraz to wyskakiwały przed oczyma odmienne wysepki to świerku, to jodły, a już bliżej Wołogdy sosny i — miłe niespodzianki: białobrzazowe plamy archipelagu brzoź. Te towarzyszyły mi zresztą i pieściły oczy prawie cały czas, gdy pociąg przecinał kolejno pasma lasów iglastych, mieszanych, wreszcie liściastych, gdzie dęby, lipy, olchy, jesiony i jawory, poprzątkane z rzadka sosnami, oszałamiały swym ogromem i mozaiką barw, zapowiadając jesień.

W Wołodzie polecono nam się przesiąść. Ni stąd ni zowąd znalazłem się w tłumie takich samych jak ja oberwańców, zwolnionych z licznych w tym rejonie obozów pracy, skupionych w większych kompleksach, takich choćby jak Onegła, Pieczorła, czy Siewzeldorła, i sprawnie administrowanych przez GUŁag. Jak spod ziemi wyrosli też na peronie oficerowie NKWD, poważnie młodzi ludzie. „Zajmujcie, proszę, miejsca w tym po-

ciągu” — nakłaniali nas grzecznie lecz stanowczo, wskazując na wspaniały zestaw wagonów osobowych pierwszej i drugiej klasy, żadne tam „twarde miejsca”, wszystko luksus i wygoda, wyewakuowane w pośpiechu z Leningradu i spychane na wschód, byle dalej od Niemca.

W tłumie więźniów, czy też byłych więźniów, przeważali *bytowiki*, tzn. winni nadużyć i sprzeniewierzeń, a więc przestępstw a nie zbrodni, nie brakło jednak *urków*, pospolitych kryminalistów, zawsze gotowych poderżnąć bliźniemu gardło, zwłaszcza gdy bliźni był na tyle naiwny, by bronić czy to swego mienia czy praw. Polaków była garstka, nie więcej chyba niż 100 osób. Wiedzeni instynktem stada i samoobrony, skupiliśmy się w jednym wagonie. Wkrótce też pociąg ruszył.

Timeo Danaos... Ten wspaniały pociąg, w którym każdy z nas miał swoje miejsce i to „miękkie”, coś mi się nie podobał. Tym bardziej, że jechaliśmy w towarzystwie owych oficerów NKWD. Nie to, żeby nas eskortowali, nie, ot, przeszli przez wagon, zaglądnęli do jednego i drugiego przedziału, czy nam broń Boże nie za ciasno, i zniknęli gdzieś w czeluściach pociągu, ale wiedziało się, że są. A jeśli są, to mają jakieś zadanie dotyczące nas, niby wolnych ludzi a śnać nie wolnych, jeśli się nami opiekuje władza i to jaka władza.

„Panowie, ja przyskam” — oświadczyłem lojalnie mym towarzyszom podróży, przeważnie starszym ode mnie, choć był i jeden młodszy, miał chyba nie więcej niż 18 lat, Piątek się nazywał. On jeden zgodził się zaryzykować wraz ze mną podróż na własną rękę. Inni, rozsądni, ostrożni, odradzali, perswadowali, roztrząsali za i przeciw, ale pozostali i pojechali — daleko, jak się później okazało, za Ural, do pracy w kołchozach, gdzie każda para rąk była potrzebna, bo zbiory były spóźnione. Cud, że kilku z nich dołączyło potem, na szczęście nie za późno, do armii polskiej, tej dowodzonej przez gen. Andersa.

W Jarosławlu powiedziałem przyjaciółom „no to cześć” i odstaliśmy od konwoju. Czas był pomyśleć o jedzeniu, a i z tytoniem było krucho. Dowiedziałem się na stacji, że w jakimś kiosku za rzeką sprzedają machorkę, więc pojechaliśmy tam tramwajem. Konduktor zainkasował od nas po 15 kopiejek, ale biletów nam nie dał. Śnać musiałem mieć zdziwioną minę, bo siedząca obok mnie babuszka zawołała: „Od razu poznałam, żeś cudzoziemiec. Nie rozumiesz? Przecież on” — tu głową wskazała na konduktora — „musi z czegoś żyć”. Kiosk miano otworzyć o godzinie trzeciej, więc grzecznie ustawiliśmy się, jedni z pierwszych, w ogonku, potem obróciliśmy raz jeszcze i mie-

liśmy cztery paczki machorki, po 60 kopiejek sztuka, nie byle okazja.

Po drugiej stronie placu targowego, w kiosku spożywczym prowadzono tzw. sprzedaż wiązaną: gruba kromka chleba razowego z kawiozem zamiast masła i „setka” wódki, wszystko to razem za siedem rubli. Kilka ofiar socjalistycznego Hermesa leżało już wśród rzygowin niedaleko kiosku, lecz nie odstraszało to dalszej klienteli, bo ogonek był pokaźny. Znow obróciliśmy dwa razy, pierwszą setkę wypiliśmy sami, z odstępniem drugiej problemu nie było, ale dwie pajdy chleba w żołądku to już coś. W innym już nastroju wracaliśmy na stację. Do dziś utkwił mi w pamięci obraz ładnego na ogół miasta, malowniczo położonego na wzgórzach po obu stronach Wołgi.

W wrześniu 1941 roku wszystko co się działo po obu stronach matki Wołgi było tajemnicą wojskową. Nie dowiedziałeś się kiedy i dokąd odejdzie pociąg, a i pytać nie było bezpiecznie.

Dodatkowym utrudnieniem była *kompansirowka*, coś w rodzaju miejscówki. W bałaganie wojennym, spotęgowanym ewakuacją ludności cywilnej na wschód, chmary nieszczęśliwców dniami i nocami obozowały w szczerym polu przy stacjach, czekając na *kompansirowkę*. Przynajmniej część tych tłumów można było rozładować w korytarzach i przejściach kursujących pociągów pasażerskich, lecz jakieś sztywne przepisy przedwojenne stały na przeszkodzie takiemu rozwiązaniu. Masz *kompansirowkę*, jedziesz wygodnie w przedziale, nie masz — czekaj i gnieźdź się w poczekalni dworcowej, a gdy ta przepełniona, w polu.

Szybko zrozumieliśmy, że trzymając się przepisów i za trzy miesiące nie dojedziemy do polskiego wojska, które gdzieś się tworzyło, gdzie, nie wiadomo, bo to też tajemnica. „Jeśliście wojskowy, jak mówicie, znajdziecie swoją armię”, oświadczył mi wojskowy komendant stacji. „Talon na chleb wam dam, *kompansirowki* nie dam, musicie czekać”. Postanowiliśmy więc jechać bez miejscówki, pół legalnie, pół na gapę. Obchodziliśmy strzeżony peron i u wylotu stacji wskakiwaliśmy do pociągu wychodzącego — jak przypuszczaliśmy — w *naszym* kierunku. Dojechaliliśmy tak do Kowrowa.

Z rublami było już krucho, należało oszczędzać, ale głód mocniejszy, więc postanowiliśmy zjeść tu coś przyzwoitego w restauracji stacyjnej. Przy wejściu zatrzymał nas umundurowany cerber. Zagadnięty o powód dyskryminacji, wyjaśnił: „Tu *bosiaków* nie wpuszczamy”. *Bosiak* to tyle co oberwaniec, ulicznik; w obozowych łachmanach na lepszych nie wyglądaliśmy. Miałem już niejaki doświadczenie w podejściu do sowieckich ludzi, więc nie zamierzałem kapitulować. „Wy, znaczy się, nie

uznanie decyzji Rady Najwyższej” — oświadczyłem, podsuwając mu pod nos zaświadczenie o zwolnieniu z obozu. „Widzicie, o tu napisano, że ja polski obywatel, znaczy sprzymierzeniec, do armii jadę, oficerem jestem, wojować będę, a wy mnie...”. Nie dał mi dokończyć, już się zrobił maleńki, grzecznutki, szerokim gestem do wejścia zachęcał, mego młodziutkiego kolegę już o nic nie pytał, smacznego nam tylko życzył. Posililiśmy się niezłe, bo tak się złożyło, że dwaj oficerowie Czerwonej Armii siedzący przy tym samym stole musieli przerwać jedzenie, gdyż ich pociąg dał sygnał odjazdu. Nasi to by sklinali, a oni, nic, spojrzeli po sobie, przesunęli ku nam talerze z drugim daniem, *kuszajcie zdrowo* powiedzieli i wybiegli na peron.

Może dlatego żeśmy mieli zbyt pełne żołądki, nie „wsiedliśmy” tym razem do pociągu tak gładko, jak dotychczas. Skoczyliśmy, jak zwykle, do dwóch sąsiednich wagonów. Wylądowałem prawidłowo, stopami na najniższym stopniu, lewa dłoń na uchwycie, prawa na klamce drzwi. Piątek skoczył jakoś głupio, bo dostrzegłem, że pół wisiął, pół leżał na stopniach, rozpaczliwie szukając kolanami oparcia, i już mi się wydawało, że mu się nie uda, że zaraz spadnie, daj Boże na nasyp a nie pod koła. Nagle klamka wysliznęła mi się z ręki, cisnęło mną w lewo, potem w prawo, w otwarte drzwi, prosto w but konduktorski.

„A ty tu co? Idź do diabła!”.

Młoda i silna, wparta rękoma we framugę drzwi, nogą usiłowała zepchnąć mnie ze stopni. Poczułem na piersiach nacisk jej buta, coraz silniejszy, bezwzględny. Koniec — pomyślałem i nagle ogarnęła mnie wściekłość.

„Pójdziesz ze mną!” — krzyknąłem i uchwyciłem się kurtki jej nogi, tuż poniżej kolana.

Jeszcze przez chwilę czułem jej but na piersiach, potem nacisk zelżał. Dojrzałem w jej oczach takie samo przerażenie, jakie ona musiała uprzednio dostrzec w moich. W tym momencie wagon zachybotał silnie, zatoczyłem łuk w prawo, ku zbawczym drzwiom. Oburącz uцепiłem się uchwytu. Konduktorka fiknęła cholewką, jak w kankanie, błysnęła jednym udem, drugim, potem — o raju, żeby choć listek figowy — całym arealem pośladków łupnęła w podłogę. Cud, że nie wypadła z wagonu. Wskoczyłem do wnętrza, zatrzasnąłem drzwi, postawiłem dziewczynę na nogi i pognałem ratować Piątka — jeśli nie za późno. Wpadliśmy na siebie w przejściu nad złączami.

Wiedzieliśmy, że czeka nas jeszcze jedna przeprawa z władzą, znana już nam, typowa. Tym razem sprawę mogła utrudnić przygoda z konduktorką. Na szczęście, pocieszałem się, nie miała świadków. Drzwi, w których szamotaliśmy się, wychodziły na

jej przedział służbowy i toaletę. W pustym przejściu wagonu nie było żadnego pasażera. Żaden też nie wyrżał, by — choćby przez zwykłą ciekawość — asystować przy przesłuchaniu nas przez oficera kolejowego NKWD. Obywatel sowiecki swoją szkołę przeszedł.

My Polacy, do wojska jedziemy, rozpocząłem wypróbowany monolog. Jak wiecie, towarzyszu poruczniku, umowa między rządem polskim i sowieckim stoi, co było nie liczy się, nieważne, my sojusznicy teraz, Armia Polska na terytorium ZSSR się tworzy z takich jak my, widzicie z dokumentu, wyraźnie napisane: „na podstawie dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSSR, amnestionowany jako polski obywatel i udaje się do wybranego przezeń miejsca zamieszkania” — do Saratowa, jak w dokumencie napisane, tam się nasze wojsko zbiera... Patrzę, czy potwierdzi, czy też zaprzeczy, ale on nic, wiadomo, tajemnica wojskowa, a może naprawdę nie wie. Jakby mnie przejrzał, bo tak jakoś dziwnie przetknął ślinę, więc ja prędko dalej: ten tu młody człowiek (Piątek przeżył się służbiście) też do wojska chce, jak widzicie, chłopak jak sosna, dobry żołnierz z niego będzie. Bilety mamy w porządku, proszę, czwarta klasa, *żestkije miasta*, z Plesiecka, to pod Archangielskiem, do Saratowa, proszę sprawdzić, zgadza się, prawda, tylko ta diabelska *kompansirowka*, ale my wcale nie chcemy miejsc w przedziale, my niewygodę zwyczajni, ot wystarczy, jeśli nam pozwolicie jechać tu w korytarzu lub nawet w przejściu między wagonami, nikomu nie przeszkadzamy, korytarz pusty, a chce kto przejechać, ustępujemy, proszę bardzo, przejdźcie obywatelu, ot co ważne, nie *kompansirowka*, a żeby wroga bić i to jak najprędzej. Dwa lata temu w wojnie z Niemcami udział brałem, ja oficer rezerwy (co mu tam tłumaczyć, że tylko podchorąży), moja specjalność karabiny maszynowe...

„A przeciw naszym wojowaliście?”.

„Nie, nie zdarzyło się”.

„A jeśliby się zdarzyło?”.

„Wy człowiek wojskowy i takie pytania stawiacie?”.

Wyraźnie go to „wojskowy” polechtało.

„Nu, ładno”. Oddaje nam dokumenty, częstuje papierosami, nie byle co, *Bielomorkanał*, i — jak było do przewidzenia — pyta, jak to tam przed wojną było w Polsce, już teraz nie obszar niczej i burżuazyjnej, wiadomo, sojusznika urażać nie należy. Dobra nasza, jedziemy. Konduktorka krasawica też posłuchać rada, już widać się udobruchała, do swej klitki zaprasza, więc ja im tam ostrożnie, bez propagandy kontrewolucyjnej, swoje o tej Polsce opowiadałem i — *bolszoje spasibo* — *Bielomorkanały* palę. Sielanka długo nie trwa, w Muromiu trzeba wysiadać,

pociąg dalej nie idzie. Znow mitręga, noc spędzona na schodach jakiegoś budynku stacyjnego, chłodno ale przynajmniej nie mokro. Dopiero następnego dnia po południu udało nam się wywęszyć pociąg idący w *naszym* kierunku. O zmierzchu dotarliśmy do stacji Arzamas Druga. Jeść, jeść. I wypaść się, byle gdzie, na stogu siana, czy choćby na łące, byle nie na siedząco, z podkurczonymi nogami. Za przegrodą peronu, na wydeptanym poletku, które niegdyś było murawą, kilka kobiet sprzedaje jakieś nędzne jarzyny, jajka, mleko na szklanki, ziarna słonecznika. W kamiennym garnku kołduny, po pięć rubli sztuka. Kupiliśmy trzy, za ostatnie ruble.

Ścieżką od stacji, w kierunku pobliskich zabudowań, idzie kolejarz. Chyba po służbie, bo oczy zaczerwienione, na twarzy i rękach ciemne pasma smaru. W jednej ręce latarka, w drugiej jakieś zawiniątko. Skinąłem na Piątka, idziemy za nim. Posłyszał kroki, odwrócił się, patrzy pytająco na dwóch oberwańców, brudnych, zarośniętych, nie z tego — nawet sowieckiego — świata.

„Pozwólcie, obywatelu kolejarzu. My nie *żulio*, choć na takich wyglądamy. My Polacy, z obozu zwolnieni, w drodze do armii. Noclegu szukamy, byle gdzie, w stajni, w szopie, choćby w sadzie na murawie”.

Dobrze mu z oczu patrzyło; coś przez chwilę ważył w myślach, wreszcie skinął: *pajdiomtie*.

W obejściu drewnianej, parterowej chaty stos nie porąbanego drzewa na opał. My drwale, porąbiemy, wyniesiecie piłkę i siekierę. Sprzeciwił się stanowczo, to robota na kilka dni, wy zmęczeni. Uparliśmy się: piłkę i siekierę dajcie.

Zniknął w chacie, długo go nie było, potem wyszedł z żoną, dorodną kobietą pod czterdziestkę, chyba żoną. Za matczyną spódnicą ciekawskie oczy trojga dzieci. Powitała nas, zapraszając do chaty, a my swoje: piłkę i siekierę dajcie.

Ulegli. Piłka fińska, łuczkówka, taka sama, jaką cztery i pół metra sześciennego *jołki* spuszczałyśmy co dzień w tajdze. Topór też dobry, krótki, klinowy, raz we właściwe miejsce trzaśniesz i polano na dwoje wzdłuż sęka się rozpada. Trwało dwie, może trzy godziny. Było już całkiem ciemno, gdyśmy ostatnie szczapy układali w stos przy ścianie szopy.

Wieczereć dali taką, na jaką ich stać było. Miska zupy, w niej parę płatków kapusty, kilka kawałków ziemniaka i duże skwarki ze słoniny. Do tego suchary z czarnego chleba. Jedzcie więcej, zasłużyliście, wy stachanowcy, żartuje kolejarz. Poślanie wam żona zaraz przygotowuje.

Zdrętwiałem. Tu, w czystej pościeli, w tej schludnej chacie?

Nie ma mowy. Tam w szopie widziałem kupę wiór, rozścielimy je sobie, tam będziemy spali. I słuchać nie chcą. Nawet dzieci, dotychczas nieśmiałe, dołączyły do protestów rodziców. Nie było rady. Oczywiście dałem kolejarzowi znać, że chcę z nim mówić na osobności. Wyszliśmy na dwór.

„Przyjacielu, czy wy rozumiecie, że my jesteśmy zawszeni?”

Oślupiał, wyraźnie oślupiał. Nie przewidział tego, co było tak oczywiste. W słabym blasku bijącym od oświetlonych okien chaty dostrzegłem w jego oczach jakieś ciepło, pełne, ludzkie, i dwie duże, wyraźne łzy. Zawstydził się chyba, bo odchrząknął, chwycił mnie za ramię i wyrzekł szorstko: rozumiem.

Posłanie było królewskie. Buty, niegdyś narciarskie, przykryte kaszkietem, służyły za poduszkę, wióra za materac, a watawany *buształ* za kołdrę. Za ten *buształ* zostałem *im* winien 60 rubli. Buchalter obozowy Czumburidze pokpiwał sobie z tej pozycji. Po wojnie pošlemy notę dłużną do Skarbu Państwa Polskiego, chichotał.

Bracia, do bitwy nadszedł czas!

Wraz z bladym świtem, przez szpary między bierwionami, przedzierają się do ciemnej szopy dźwięki trąbki.

Trąbka do boju wzywa was!

Do boooju, do boooju...

„Piątek! Słyszysz? Piątek! Zbudź się, do cholery! Słyszysz?”

„Co?”

„Jak to co? Sygnał Wojska Polskiego!”

Nic nie rozumie. Oczywiście, szczeniak, nie był w wojsku, nie zna trąbki na alarm, na pobudkę, na zbiórkę.

„Wstawaj, biegnijmy! To polski sygnał, to nie sowiecki, tu gdzieś musi być wojsko polskie”.

Sygnał się urwał, a po chwili znów: *Bracia, do bitwy nadszedł czas!* Musi im się spieszyć. Prędeż, może zdążymy.

Wpadliśmy na peron. Na pierwszym torze długi zestaw wagonów towarowych, w otwartych drzwiach żołnierze polscy, w mundurach polowych. Tu i ówdzie czarne, wataowane kurtki. Dystynkcje stopnia, na połówkach orzełki. Podoficer służbowy z białoczerwoną opaską na ramieniu.

„Panie plutonowy, my Polacy. Do Armii Polskiej jedziemy. Tu, z wami, dołączymy do transportu”.

„A wy co, zet-ka?”

„Tak, zet-ka. Do wojska chcemy”.

„Komendant transportu w drugim wagonie za lokomotywą. Do niego idźcie”.

Pognaliśmy. Minąwszy budynek stacyjny, dojrzeliliśmy rozległą łąkę. Snuły się nad nią płaty porannej białej mgły, zmieszane z dymem ognisk. Zrozumiałem natarczywość trębacza. Przy tych ogniach tkwiły jeszcze grupki żołnierzy, pichcąc coś w deklach. Mamy szczęście, transport bez nich nie odejdzie. A swoją drogą, dyscyplina w tym wojsku nie bardzo...

„Sierżant podchorąży Zamorski do komendanta transportu”.

Z pryczy w głębi wagonu podniósł się leniwie dobrze zbudowany niemłody już porucznik. Rezerwa, ocenilem.

„Taak. O co chodzi?”

„Panie poruczniku, sierżant podchorąży Zamorski melduje się posłusznie do służby czynnej w Wojsku Polskim. Jest tu jeszcze ze mną ochotnik, poborowy Piątek, ukończył 18 lat, do służby zdolny. Proszę posłusznie o przyjęcie do transportu”.

„To transport wojskowy, panowie cywilni, ja nie mam prawa zabierać cywilów”.

„Ależ, panie poruczniku, my Polacy, Polacy, rozumie pan?!”

„Rozumiem, ale ja mam wyraźne rozkazy. Cywilów nie mam prawa zabierać”.

„Ależ to... to niemożliwe... my tu na trąbkę... na sygnał Wojska Polskiego...”.

Siedzący obok podporucznik, niewiele młodszy od komendanta transportu, zaczął mu coś tłumaczyć półgłosem. W wagonie narastał szmer. Wymieniano jakieś uwagi. Nic z nich nie uchwyciłem, nic nie słyszałem. Patrzałem na tamtych dwóch, stamtąd oczekiwałem wyroku. Trębacz znów rozpoczął swoje: *Bracia, do bitwy...*

„Chyba, chyba że zgodzi się oficer łącznikowy!” — orzekł wreszcie porucznik.

„Oficer łącznikowy? Jaki łącznikowy?”

„Sowiecki, z NKWD oczywiście”.

„O tam, na peronie” — wskazał jakiś żołnierz.

Smukły jak osa, młodziutki oficer NKWD uganiał się wzdłuż pociągu, coś sprawdzał, coś zapisywał. Przyłgnęliśmy do niego jak dwa bliźniacze cienie, tłumacząc co i jak. Słuchał piąte przez dziesiąte, cały pochłonięty swoją robotą. Dobiegliliśmy tak razem z nim do końca zestawu. Ostatni wagon, czego przedtem nie zauważyliśmy, pełny był ludności cywilnej.

Oficer, jakby dopiero teraz nas dostrzegł, zatrzymał się, przebiegł oczyma nasze zaświadczenia o zwolnieniu z obozu pracy, zlustrował wzrokiem wnętrze wagonu, coś jakby rozważał, wreszcie zwrócił się do mnie.

„Ot i dobrze się składa. Wy Polak, *wojennyj, okazywajet' sia*, i po rosyjsku mówicie, a mnie potrzebny komendant tego

wagonu. Ewakuowani, przeważnie z Leningradu. Śmietanka proletariacka”, zaśmiał się. „Przyczepili mi ich do transportu i kłopot tylko mam. Będziecie odpowiedzialny za porządek i rozdział prowiantu. Zrozumiano?”

Siódmego września 1941 roku transport dotarł do stacji Tatiszczewo, 40 kilometrów przed Saratowem. Tworzyła się tam 5 dywizja piechoty, zwana później Kresową.

Upłynęło jeszcze kilka miesięcy zanim „arystokracja jeniecka”, ci z obozów jeńców wojennych, pozbyli się poczucia wyższości wobec zet-ka, *zakliuczonych*, więźniów obozów pracy, zgłaszających się do dywizji w zawieszonych łachmanach. Po wyposażeniu w angielskie mundury, w grudniu 1941 roku, nikt już nie dostrzegł różnicy, poszła w zapomnienie, jak wiele spraw wstydliwych. W półtora roku potem, już na pustyni irackiej, przejmowałem od starszawego porucznika funkcję w batalionie. Od dawna byliśmy na ty. Nie wiem, czy on kiedykolwiek rozpoznał we mnie oberwańca ze stacji Arzamas Druga. Ja mu się też nie przypomniałem. Bo i po co?

Kazimierz ZAMORSKI

POLEMIKI

Michał BORWICZ

KAZIMIERZA MOCZARSKIEGO „ROZMOWY Z KATEM”*

Jest rzeczą zrozumiałą, że „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego nie przestają wywoływać żywych oddźwięków. Od-dany aktywista polskiego ruchu oporu i świadomy demokrat (podkreślam mocno ten ostatni aspekt!) więziony na Mokotowie w tej samej celi co Jürgen Stroop, generał SS i policji (nie mylić tej SS-owskiej dystynkcji ze stopniem generała Wehrmach-tu!), jeden ze sprawców masowych zbrodni wojennych — to sytuacja bezsprzecznie szekspirowska. W czasie tego przymusowego współżycia, które trwało całych dziewięć miesięcy (dokładnie 225 dni), Stroop zwierzał się Moczarskiemu z bardzo długiego łańcucha masowych morderstw, które kolejno inicjował i którymi dyrygował jako m.in.: w pierwszym roku wojny szef osławionego Selbstschutzu w Poznaniu; asystent ludobójcy gen. SS Fritza Katzmana w Małopolsce Wschodniej; „wódz” niemieckich i najemnych sił użytych przeciwko powstaniu w getcie warszawskim; gestapowski wielkorządca Grecji; także wielkorządca aż trzech okręgów (Gau) ze stolicą w Wiesbaden (w rzeczywistości również poza Niemcami, gdyż do niego „należał” także Luksemburg i Lotaryngia). Moczarski nie był biernym słuchaczem, przeciwnie — świadomie podniecał Stroopa do zwierzeń, uzupełniał je, po-

* Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1978.

równywał, szeregowął, kontrolował. Z zawodu dziennikarz, Moczarski okazał się dobrym pisarzem. Umiał dobrze rozłożyć bardzo rozległy materiał, celowo umieścić sytuacje, zagęścić punkty napięcia i pointy, świadomie dorzucać rys po rysie do kreślonego portretu umysłowości i psychiki zbrodniczego rozmówcy. Po wyjściu z więzienia dokumentował się w bibliotekach i dostępnych mu aktach odnośnie wszystkich etapów życia Stroopa (posuwając skrupulatność aż do sprowadzenia planu jego rodzinnego miasta, Dortmundu, aby móc sprawdzić nazwy ulic, budynków i pomników). Należy do tego dodać dojrzały i autentyczny humanizm Moczarskiego, który dochodzi do głosu w każdej autorskiej uwadze.

Czy można jednak traktować książkę Moczarskiego jako dokładne źródło historyczne pozwalające szczegółowo ustalić wypadki, które były tematem Stroopowych zwierzeń w celi więzienia mokotowskiego? Jeżeli uważać tekst tej książki za rekonstrukcję dosłowną, to wynika z niego, że zapamiętał nawet styl Stroopa i to tak dalece, że ilekroć użył on niespodzianie jednego polskiego słowa (a słów takich znał chyba niewiele), autor dokładnie zwraca na to uwagę — tak jak w pedantycznie naukowym stenogramie. Tym niemniej jest to (dopuszczalna w beletrystycznej rekonstrukcji) dokładność wyłącznie pozorna. Jako przykład: opowiadając o wynikach swoich szturmowych oddziałów w walczącym getcie i o trudnościach (mimo gazów, dynamitu i płomienia) przy wykrywaniu bunkrów, z których wypadali i atakowali żydowscy powstańcy, Stroop żali się na brak żydowskich konfidentów, którzy mogliby owe bunkry wskazać¹. W rezultacie — mówi Stroop dosłownie (ale po niemiecku, gdyż tym razem nie ma żadnej uwagi autora, zresztą polskie inkrustacje Stroopa nigdy nie przekraczają jednego słowa) — „myśmy szukali bunkrów po omacku, jak *pijane dzieci we mgle* (podkreślenie moje — M.B.) i właściwie nic nie wiedzieliśmy o organizacji podziemnej getta poza ogólnikami” (str. 262). Nie ulega wątpliwości, że te *pijane dzieci we mgle* to tytuł książki Boya, który stał się w Polsce po trosze przysłowiowy, lecz w danym wypadku chyba tylko dla Moczarskiego, nie dla Stroopa. Kiedy indziej znowuż, gdy Stroop opowiada o zamordowaniu przez jego ludzi marszałka von Kluge, motywując ten mord odkrytymi rzekomo przez siebie pertraktacjami von Klugego z aliantami i przygoto-

1. Należy zauważyć, że o ile w getcie Niemcy mieli niestety sporo szpicłów, to — fakt godny podkreślenia — nie potrafili jednak spenetrować żadnej z żydowskich organizacji bojowych, odkryć ich magazynów broni czy bunkrów.

waniem antyhitlerowskiego komitetu czy rządu z... Adenauerem, liberałami i socjaldemokratami, Schielke (trzeci lokator celi na Mokotowie, również przestępca wojenny, lecz mała płotka i w tych rozmowach odgrywający trochę rolę Sancho Pansy) przerywa: — „Zdaje się, że pan nam *bujdy zasuw*a” (podkr. moje — M.B.). To naturalnie już z Wiecha. Czy jednak mówiący po niemiecku Schielke mógł w istocie zapożyczać powiedzonka u Wiecha? Nie cytuję tych osobliwości (jednych z wielu) tytułem wypominania. Autorowi opracowania literackiego wolno ubarwiać styl i uwykuć w ten sposób charakter postaci. Dwadzieścia kilka lat (o czym jeszcze pomówimy), które upłynęły od owych rozmów do chwili napisania książki, również nie mogły nie przeobrazić zapamiętanych dialogów. Lecz czy tylko ich stylu?

Chociaż Stroop, notoryczny ludobójca, opowiadał o wszystkich kolejnych frontach masowych zbrodni, to na pierwszy plan wysuwa się zaprawa², a głównie sam przebieg *Grossaktion Warschau* tj. walki przeciwko powstaniu warszawskiego getta. Aby podkreślić ważność tej właśnie części książki Moczarskiego ukażała się z opaską: „W 35 rocznicę powstania w getcie warszawskim”. Zważywszy, że ustępy o współdziałaniu polsko-żydowskim w tym powstaniu wywołują najwięcej zaciekawienia, omówimy je niżej. Ustępów takich — w wypowiedziach Stroopa — jest stosunkowo dużo.

Zaraz po przyjeździe Stroopa do Warszawy szef tamtejszej Sicherheitspolizei dr Hahn tłumaczy mu długo, że Polacy „szli z Żydami ręką w rękę” (str. 201). Po odprawie sił niemieckich do ataku na getto Hahn przewidywał, że Żydzi „na pewno będą stawiać opór, ale przede wszystkim Hahn obawiał się Polaków. Co będzie, gdy ruszą na pomoc Żydom?” (str. 203). W dniu wybuchu powstania getta, gdy SS-manni weszli w ulice getta

2. Odbył ją przy boku gen. SS Katzmana, wodza ludobójców w Małopolsce Wschodniej. Odnotowane przez Moczarskiego „zwierzenia” Stroopa o zbrojnym oporze tamtejszych grup żydowskich, o bunkrach i o żydowskiej partyzantce pokrywają się na ogół z ustaleniami samego Katzmana w jego raporcie z 30. VI. 1943 r. o „Rozwiązaniu kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja” (dokument ogłoszony w 1951 roku przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, tom VI jej *Biuletynu*, z którym Moczarski zapewne się zapoznał). Wyrażną pomyłką — Stroopa czy Moczarskiego? — jest twierdzenie jakoby Stroop, który przybył do Łwowa w lutym 1943 roku, nie zastał tam już getta, gdyż Katzman „rozwiązał je ostatecznie w styczniu 1943”. Getto w kadłubowej formie istniało tam do pierwszych dni czerwca 1943 roku i właśnie wtedy, przy jego „likwidacji” wybuchł zbrojny opór. Wówczas — według raportu Katzmana — „aby uniknąć własnych strat, trzeba było od samego początku wystąpić szczególnie brutalnie, przy czym musiano wiele domów wysadzić w powietrze, względnie podpalić”.

a dowodzącemu nimi pułkownikowi SS Sammernowi „wydawało się, że wiosennym spacerkiem przejdzie przez getto, dostał silny ogień, planowy i celny. Po takim powitaniu wśród naszych popłoch. Oficerowie von Sammerna pchają jednak kolumny naprzód jak obłąkani (...). Rozpoczęło się piekło. Wybuchła mina i poraziła nam ludzi. Żydzi i aryjczycy (to i dalsze podkreślenia w tych cytatach moje — M.B.) opierali się aktywnie, w sposób zorganizowany. Właściwie to atakowali. Mówię Żydzi i Polacy, gdyż stwierdziliśmy, że byli tam polscy *franc-tireurs*” (str. 207). — „W Wielki Czwartek, 22. IV. 1943, (...) nasza bezradność wobec Żydów i Polaków, którzy opanowali kanały pod gettem” etc. (str. 224). — „Już pierwszego i drugiego dnia wielkiej akcji główna grupa bojowa Żydów przemieszana była z *polskimi franc-tireurami*. Wycofała się w kierunku Placu Muranowskiego, gdzie zasilili ją większa grupa *aryjczyków*” itd. itd. (str. 227). — „Nieraz wspominał Stroop o poległych lub ujętych żołnierzach z podziemia *aryjskiego*. Uważał, że żydowska organizacja wojskowa w getcie była w rzeczywistości częścią Armii Krajowej” (str. 227). — „Abwehra donosiła już od dawna, że AK od dnia założenia getta montowała tam swoje placówki pod rozmaitymi nazwami, dostarczała broni i prasy”... etc. (str. 228). — „22 kwietnia 1943 (...) zabiliśmy i rozstrzelali (...) kilkuset powstańców żydowskich i wielu *aryjczyków*” (str. 230). W dalszym ciągu znowu „złapaliśmy wielu przywódców żydowskich i polskiego ruchu oporu oraz sabotażystów, dywersantów, *spadochroniarzy (!) angielskich i sowieckich* oraz wiele najgorszego *elementu Warszawy*” (str. 235). „My — tzn. Niemcy — widzieliśmy, że powstanie getta „popierały *aktywnie wszystkie organizacje polskiego podziemia* z wyjątkiem grup skrajnie nacjonalistycznych. Pasywnie zaś — całe społeczeństwo Generalnej Guberni z wyjątkiem skrajnych nacjonalistów ukraińskich” (str. 265). 14 maja „ujęliśmy dużą liczbę żydowskich powstańców i *aryjczyków*” (str. 270). Podobnych ustępów podkreślających czynny udział Polaków w bojach getta można by było ze „zwierzeń” Stroopa cytować więcej.

Kłopot (i to duży) w tym jednak, że absolutnie żadna polska organizacja podziemna nigdy nie rewindykowała żadnego z przytoczonych aktów. Żaden z wykazów strat (a opracowano ich wiele i to z największą troską) nie zna tych bardzo licznych ofiar nie Żydów (wspomnianych w wyżej przytoczonych „zwierzeniach”). Odnosnie wystąpień zbrojnych wiadomo o działalności kilkusobowych patroli AK pod murami, *na zewnątrz* getta, opłaconych śmiercią Eugeniusza Morawskiego i Józefa Wilka. Po-

dobny ruch swoich patroli rewindykowała Gwardia Ludowa. Poza tym — według relacji kapitana Henryka Iwańskiego („Bystrego”), kierownika V sekcji Korpusu Bezpieczeństwa, który współdziałał z Żydowskim Związkiem Wojskowym³, pięciu jego żołnierzy, pod dowództwem Józefa Lejewskiego, weszło podziemnym tunelem do getta w przeddzień wybuchu powstania tj. 18 kwietnia, by przekazać pewną ilość broni dla Ż.Z.W. Zaskoczeni przez wybuch powstania i wcieleni do oddziału Ż.Z.W. dowodzonego przez Jana Pike, wzięli udział w bojach 19 kwietnia. Lejewski pozostał w getcie do chwili zatknięcia dwóch flag: żydowskiej i polskiej. 20 kwietnia walczył w oddziale Ryby, gdzie on i jego towarzysz zostali ranni, a następnie wycofali się z getta. Czterech pozostałych poległo. Wreszcie 27 kwietnia — według tej samej relacji — sam Henryk Iwański wszedł do getta na czele małego oddziału (około 40-tu osób), używając tego samego przejścia podziemnego, które powstańcom żydowskim udało się na nowo zdobyć i odkopać. Wycofali się tego samego dnia, lecz brat Iwańskiego Wacław poległ od niemieckich pocisków. Powyższy epizod, mający na pewno dużą wymowę moralną, był w ogromie tamtych wydarzeń kroplą w morzu. Ponieważ żaden z tych kilku żołnierzy nie dostał się w ręce Niemców, więc o tym epizodzie Niemcy nie mogli mieć żadnego pojęcia⁴. Skąd zatem w monologach Stroopa aż tyle i aż takich wzmianek?

To prawda, że także i w codziennych raportach z „frontu na Nalewkach”, wysyłanych przez Stroopa w czasie walk, które stanowią jedyny w swoim rodzaju dokument historyczny, często była mowa o „polskich bandytach”. Przy analizie i konfrontacjach stwierdzono jednak ponad wszelką wątpliwość, że określenia te były świadomym *maquillage*’em: miały usprawiedliwiać „niesamowity” fakt, że „niezwyciężone” bataliony hitlerowskie tak długo nie mogły dać rady zbrojnemu oporowi Żydów, tak że trzeba było dodać Żydom „polskich bandytów”, a nawet... niemieckich dezertersów. Z tej samej przyczyny Stroop zmniej-

3. Ż.Z.W. — najważniejszy obok Żydowskiej Organizacji Bojowej (Ż.O.B.) odłam powstańców żydowskich, złożony głównie z byłych oficerów i żołnierzy W.P.

4. Ani o tym epizodzie, ani o ruchach patroli AK pod murami getta nie wiedziała nawet ludność Warszawy, ponieważ (według relacji płk. Montera-Chruściela: z obawy przed reakcjami antysemitów w podziemiu polskim) prasa AK nie zamieściła o tym najmniejszego komunikatu. W przeciwieństwie do GL, która ogłaszając ruchy swoich patroli jako jedyne zapisała na swoje konto (wobec milczenia ze strony AK) również i ruchy patroli AK. (Odnosnie wszystkich cytowanych w tym artykule relacji i dokumentów por. moją książkę *L'insurrection du ghetto de Varsovie*, Ed. Julliard, Collection „Archives”).

szyl w swoich raportach ilość niemieckich strat w zabitych i rannych. (O tych ostatnich zafałszowaniach jest zresztą kilkakrotnie mowa w książce Moczarskiego. Rzekomo nakazał je *Befehlshaber* Stroopa, gen. SS Krüger, doradził SS-Standartenführer dr Hahn, szef Sicherheitspolizei i wywiadu SS w Warszawie, a wypisywał mjr Max Jesuiter, szef sztabu Stroopa, odpowiedzialny za statystykę strat). Powtórzmy więc: skąd w monologach Stroopa te wszystkie cytowane wyżej dane?

A może to Stroop „farbował” zwierzenia w tym samym celu, w jakim czynił to ongiś w swoich raportach? Pozostałoby i wtedy pytanie: w jakim celu?

Ta ostatnia możliwość musi jednak odpaść. Oto bowiem, znajdując się w więzieniu na Mokotowie, Stroop opowiadał to nie tylko Moczarskiemu, ale i sędziemu śledczemu oraz niedobitkom powstańców z warszawskiego getta, którym odpowiadał na bardzo dużo pytań, w tym szereg razy w tej właśnie materii. *Jego odpowiedzi były zawsze zdecydowanie negatywne*: „Zważywszy, że ludność polska zachowała się w sposób krańcowo bierny, nie wierzę w żadną pomoc z tej strony. Łączność powstańców żydowskich z polskim ruchem oporu niewątpliwie istniała, lecz nie wierzę że ten ostatni pomógł im materialnie”. Cytując w mojej francuskiej książce o powstaniu w getcie Warszawy powyższe wypowiedzi Stroopa, opatrzyłem je komentarzem, że „tym razem Stroop jest poniżej prawdy”, gdyż aczkolwiek w stosunku do ogromu wydarzeń bardzo skromna, pomoc ta rzeczywiście istniała.

Czy jest więc psychologicznie możliwe, by w tym samym czasie, w tym samym więzieniu Stroop dawał (i to tak konsekwentnie!) tak bardzo sprzeczne ze sobą wersje dotyczące tych samych okoliczności?

Prawda, że różnice można odnotować i na inne tematy. Np. w rozmowach z Moczarskim Stroop bardzo mocno podkreśla swoje przekonania i „erudycję rasologa” (str. 128, następne i wiele innych), ale w czasie śledztwa na pytanie: „Jak według pana można zdefiniować cechy rasowe Żydów?” odpowiada — „Ja nigdy nie robiłem badań rasowych i nic z nich nie rozumiem. (...) Nie interesowałem się nigdy polityką rasową”. Różnice te można ostatecznie zrozumieć: w śledztwie (a odpowiedzi dawane kolejnym pytającym go Żydom musiał uważać za część śledztwa) czynił wysiłki, by przedstawić siebie jako dowódcę wyłącznie wojskowego, wykonującego rozkazy przełożonych, a najmniej jako hitlerowskiego ideologa; natomiast współwięźniowi mógł zwierzać się ze swoich przekonań.

Dodajmy wreszcie, że w omawianej książce czytelnik z pew-

nym zdumieniem dowiaduje się z ust Stroopa o wielu rzeczach, o których Stroop absolutnie nie mógł wiedzieć, a o których mógł wiedzieć Kazimierz Moczarski, działacz AK utrzymujący także prywatne kontakty m.in. z Henrykiem Wolińskim („Wacławem”, kierownikiem referatu żydowskiego w B.I.P. KG AK), czy nawet po prostu z... powojennych publikacji. Tak np. na str. 265, 266 i innych Stroop mówi, podając dokładne liczby, o broni dostarczonej Ż.O.B. przez AK. Nie sprzeczajmy się o wymieniane ilości; sam fakt jest zgodny z prawdą. Skąd jednak mogła o tym wiedzieć Sicherheitspolizei? A gdyby wiedziała, to czy nie reagowałaby na to jeszcze przed wybuchem powstania? I jak pogodzić to z cytowanym już innym zwierzeniem Stroopa, że „właściwie nic nie wiedzieliśmy o podziemnej organizacji getta poza ogólnikami” (str. 262)? Podobnych „podpowiadań” jest sporo.

Trudno sobie zresztą wyobrazić, by rozmowy prowadzone w ciągu 225 dni ograniczały się do monologu Stroopa, od czasu do czasu przerywanego pytaniem, zdaniem zachęty, zdziwienia lub kilku najwyżej zdaniem dopełnienia, podsumowania, sprostowania lub wyrażającymi przejęcie czy wstręt. Chyba niejeden raz Moczarski dłużej coś wyjaśniał, opowiadał czy dyskutował. Zapamiętanie nieuchronnie zawiłych zaleceń w wypowiedziach dwóch a nawet trzech osób (trzeba tu przecież liczyć i Schielkego) nie mieści się w znanych normach pamięci. Nadto rozmowy te miały miejsce w 1949 roku, a Moczarski pozostał w więzieniu jeszcze dalszych siedem lat. Ani w czasie dziewięćmiesięcznego przebywania w jednej celi ze Stroopem, ani przez dalszych siedem lat nie mógł robić i nie robił żadnych notatek. W wywiadzie dla *Odry* (przedrukowanym w książce jako aneks) Moczarski co prawda wyjaśnia, że utrwalenie w pamięci takiego ogromu materiałów zawdzięcza m.in. „fenomenalnej koncentracji, wypływającej z (jego) szczególnego położenia”. Po rozstaniu się ze Stroopem „sprzyjała mu (w tejże koncentracji) samotność (więzienna), brak innych bodźców zewnętrznych”. Po wyjściu z więzienia w 1956 roku Moczarski „zaczął z punktu zapisywać, trochę bezładnie, niechronologicznie, skrótami”. Czy zapisy te mogły być zupełnie wierne, a zwłaszcza czy notując po tylu latach nie pomieszał mimowoli, siłą alchemii ludzkiej pamięci i wyobraźni, wypowiedzi Stroopa z własnymi przemyśleniami podczas siedmiu lat pobytu w celi więziennej już bez Stroopa?

To nie wszystko. Od wyjścia z więzienia Moczarskiego do ukazania się „Rozmów z katem” (początkowo w odcinkach w miesięczniku *Odra* w latach 1973-74) upłynęło dalszych lat siedemnaście: kilkanaście lat dokumentowania się i redagowania, a więc na nowo przemyśleń i obmyśleń, słowem „ugniatania tworzywa”.

We wspomnianym już wywiadzie dla *Odry* Moczarski mówi wprawdzie: „Udostępniono mi w 1957 roku w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich akta sprawy Stroopa, które dokładnie przestudiowałem”. Czy w tych aktach znajdowały się jednak także cytowane przeze mnie stenogramy pytań i odpowiedzi sprzed rozprawy? Z tekstu wygląda raczej na to, że autor książki przestudiował protokoły i załączniki samej rozprawy (18-23. VII. 1951), a więc akt oskarżenia, protokół rozprawy, tekst wyroku z uzasadnieniem, natomiast o cytowanych przeze mnie indagacjach wstępnych (dopuszczonych na wniosek Komisji Historycznej, a więc wyraźnie w celach badawczych) nie ma żadnego śladu. (Nawiasem: i w akcie oskarżenia nie ma najmniejszej wzmianki o jakichkolwiek nieżydowskich ofiarach w związku z powstaniem w getcie⁵). Jak by nie było, rozbieżności między wszystkimi dokumentami, świadectwami jednostek, polskich organizacji podziemnych i... samego Stroopa a odnośnymi stronicami książki Moczarskiego są *podstawowe*. Powtórzmy: jak to zatem wytłumaczyć?

W cytowanym wywiadzie dla *Odry* znajduje się jedno sformułowanie, którego nikt z piszących o tej książce nie wziął jakoś pod uwagę. Oto odnośne zdanie: „... Jak się to stało, że zdołał pan — nie dysponując przecież papierem i ołówkiem — utrwalić w pamięci taki ogrom materiału, który posłużył panu do napisania *powieści dokumentarnej* po tylu latach?”. Czyli: dokumentarnej, ale przecież powieści.

Otóż w czasie procesu twórczego autor nawet bardzo dokumentarnej, ale powieści przekształca niektóre zjawiska, zmienia pewne proporcje i pewne szczegóły, uwypukla i unaocznia bliską mu koncepcję ideową, konkretyzując miłe mu przesłanki ideowe w fakty dokonane. Im większe i im dłuższe w czasie jest zahipnotyzowanie pisarza tematem, tym bardziej *uściśnione* i istotniejsze są transformacje. Jeśli chodzi o Moczarskiego, to jego — jak ja sam nazywa — „fenomenalna koncentracja” trwała i w czasie dziewięciu miesięcy współbywania ze Stroopem i w czasie dalszych siedmiu lat pobytu w więzieniu. Następnie dalszych kilkanaście lat trwało zaabsorbowanie tym tematem i jego literackie kształtowanie, stymulowane tym razem dodatkowo m.in. czytaniem materiałów. Jego dokumentacja była różnorodna, gdyż obejmowała — jak widzieliśmy — z jednej strony nawet mapę

5. Tenże akt oskarżenia wymienia następujące zbrodnie Stroopa pośród nieżydowskiej ludności w Polsce: a) masowe zabójstwa i prześladowania ludności polskiej na terenie tzw. Warthegau; b) zarządzenie rozstrzelania stu Polaków 16 lipca 1943 roku (a więc już po i bez żadnego związku z powstaniem w getcie).

Dortmundu, z drugiej niektóre teksty ogłoszone przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce jak np. — chociaż autor o tym nigdzie nie wspomina — raport gen. SS Katzmana. Najważniejszą i najszerzej przez niego wykorzystaną pozycją były jednak raporty samego Stroopa, wysyłane z „frontu na Nalewkach”. Powtarzający się w nich wielokrotnie zwrot „Żydzi i bandyci”, używany przez Stroopa dla ratowania *prestige'u* niemieckich batalionów i własnego, bez wątpienia stanowił sugestywny punkt odbicia dla określonych transpozycji.

Nie mogąc z tych wszystkich względów służyć za dokładne źródło historyczne odnośnie omówionych wyżej okoliczności, „Rozmowy z katem” są jednak świetnie napisanym utworem o dużych wartościach literackich. Największy kunszt Moczarskiego polega na głęboko i celowo wypracowanej powściągliwości: żadnych stylistycznych ozdóbek czy konstrukcyjnych ornamentów. Zazębenia faktów, napięcia i nastroje — wszystko to organicznie wynika z rdzenia tekstu. Tak samo organiczna i na wskroś humanistyczna jest jego hierarchia moralnych ocen i wartości.

Michał BORWICZ

Władysław ŻELEŃSKI

AK WE LWOWIE W LIPCU 1944 ROKU

Na moje opracowanie „Jeszcze o zabójstwie Pierackiego i rachunkach polsko-ukraińskich” (*Zeszyty Historyczne* nr 46) publicysta OUN-r Petro Tereszczuk, z którym podjąłem dyskusję, odpowiedział mi w trzech kolejnych numerach londyńskiego miesięcznika tej skrajnie nacjonalistycznej Organizacji Wyzwolnyj *Szljach* z listopada i grudnia 1979 i z stycznia 1980.

Tereszczuk z własnej inicjatywy przysłał mi niedawno, za pośrednictwem Benedykta Heydenkorna, fotokopię mego aktu oskarżenia w sprawie o zabójstwo Pierackiego, którego to dokumentu nie miałem (w pracy mej oparłem się na obszernych wyciągach w *Gazecie Polskiej*) — po tym akcie kurtuazji liczyłem więc na odpowiedź rzeczową. Niestety treść jej i forma sprawiły mi wielki zawód. „Arogancka” i „napastliwa”, jak ją określił nieodżałowany Antoni Hermaszewski, redaktor przeglądów prasy

ukraińskiej, obelżywa, z jakimiś aluzjami, których nie jestem w stanie zrozumieć, z insynuacjami, jakoby zwrócił się o materiały do urzędów (sic!) w dzisiejszej, komunistycznej Polsce, z rodzinnymi zaczepkami, też zresztą całkiem błędnymi — odbiera mi ochotę i możliwość dalszego dialogu. Tego rodzaju „dyskusja” tylko zaognia spór i niewiele może wyjaśnić, a przecież to powinno być naszym zadaniem!

Stwierdzając ze smutkiem niski poziom odpowiedzi publicysty, którego miałem za wybitnego członka Organizacji, porzestaną na omówieniu tylko tych paru punktów, które wymagają rzeczowej analizy dla dalszego studium omawianych wydażeń. Zacznę od rzeczy najpoważniejszej.

Tereszczuk wystąpił nieoczekiwanie z rewelacjami, wymierzonymi w Armię Krajową, biorąc za punkt wyjścia przytoczoną przez Witolda Babińskiego w nr. 25 *Zeszytów Historycznych*, str. 196, depezę sztabu AK z dn. 14. 8. 1944 do Naczelnego Wodza w Londynie: „Komendant (obszaru) Lwów ze sztabem i 30 oficerów uwięzieni (przez Rosjan)... oskarżenie: 1) współudział w zabójstwie dwu żołnierzy sowieckich we Lwowie, 2) ukrycie części uzbrojenia, 3) gwałt na ludności ukraińskiej”.

„Czy Władysław Żeleński uwierzy na słowo, że we Lwowie polskie oddziały AK po odwołcie Niemców wymordowały około 3.000 Ukraińców, nie mówiąc o innych miastach i miejscowościach. To zeznają Ukraińcy, którzy przybyli ze wsi do Lwowa”.

Przywykło się już do różnych oskarżeń, czysto propagandowych, w duchu Dekalogu Ukraińskiego Nacjonalisty, nakazującego „podstęp i nienawiść”, tym razem jednak Tereszczuk posunął się tak daleko, że nie sposób jest zarzut jego pozostawić bez odpowiedzi.

Chodzi o tragiczny okres na naszych kresach, kiedy oddziały AK, postawione wobec dramatycznego dylematu, czy odejść na Zachód czy też bronić ziemi ojczyściej i wystąpić przeciw Niemcom a tym samym wesprzeć wojska sowieckie były — w tym drugim wypadku — zaraz po zakończonej walce rozbrajane, i w najlepszym wypadku wcielane do wojsk Berlinga, a dowódcy — zdradziecko aresztowani, deportowani, likwidowani pod perfidnymi zarzutami, obliczonymi także na skłócenie z niepolską ludnością — która miała być inkorporowana do ZSSR. Zdarzenia te są już dziś na tyle znane, metody wówczas użyte — zdemaskowane, że powołanie się dziś, na Zachodzie, przez ukraińskie nacjonalistyczne pismo na antypolskie oskarżenia sowieckie z dodatkowym, pożał się Boże, świadczeniem się anonimowymi „Ukraińcami przybyłymi ze wsi do Lwowa” obudzi chyba u każdego rozsądnego niezasłępiętego Ukraińca zdumienie i oburzenie.

Mógłbym właściwie poprzestać na tym prostym stwierdzeniu. Dlaczego jednak nie przytoczyć faktów, które okażą, jak bardzo to „słowo” Tereszczuka nie zasługuje na wiarę? Studium Polski

Podziemnej w Londynie pokazało mi całą dokumentację ze Lwowa z tego okresu, przygotowaną do następnego, 5-go tomu „Armii Krajowej w dokumentach”. Już w tomach poprzednich problem polsko-ukraiński na tych ziemiach znalazł obszerną dokumentację, cytowałem ją. Jeśliby więc istotnie doszło we Lwowie, po odwołaniu Niemców, do poważnej walki między Polakami i Ukraińcami czy do jakiegoś pogromu, którego ofiarą padło parę tysięcy zabitych, zdarzenie takie z konieczności musiałyby znaleźć w archiwach AK jakieś odbicie... Płk dypl. Kazimierz Iranek Osmecki, członek ówczesnej Komendy Głównej AK, udostępnił mi bez wahania pełny zestaw kilkunastu depesz szyfrowanych Komendy AK we Lwowie od 24 lipca do końca września 1944. Ponieważ, jak wiadomo, Niemcy zostali ze Lwowa wyparci 27 lipca, depesze te pokrywają cały okres, do którego Tereszczuk w swym posądzeniu nawiązuje. Nie miejsce tu na cytowanie wszystkich dokumentów w całości — ukażą się wkrótce w zapowiadanej publikacji. Streszczę tylko zdarzenia istotne.

Wobec zbliżającej się ofensywy sowieckiej, prowadzonej przez dowódcę frontu Koniewa (przy którym był Chruszczow), dowódca 5 dyw. p. AK postanowił wystąpić zbrojnie przeciw Niemcom. Pierwszy meldunek mówi, że oddziały jego liczyły 3.000 ludzi, następny mówi o 7.000. Odwrót Niemców dokonywał się w walce i stopniowo, skoro już 24. 7 komendant AK „drogą ogłoszeń wezwał ludność miasta Lwowa do wydawania ukrywających się Niemców i agentów gestapo, zakazując pod surową odpowiedzialnością samosądów”. Wezwanie to było „aprobowane przez dowódcę sowieckiego”, z którym już była nawiązana styczność. Chodziło więc o zachowanie porządku i spokoju. I rzecz znamienna, w wezwaniu nie było ani słowa o Ukraińcach.

W przeddzień wyparcia Niemców, dn. 26. 7 komendant AK meldował, że otrzymał od dowódcy sowieckiego instrukcję, „by nie używać nadal naszych oddziałów do walki, jako niewyszkolonych i słabo uzbrojonych, co przy dużym zapale powoduje wielkie straty”. Nazajutrz, 27. 7, meldunek donosił, że „walki we Lwowie zostały ukończone” i dodawał: „zjechał (tu) naczelnik NKWD Gruszko”. Wieczorem tegoż dnia Komendant AK meldował, że przedstawiciel dowódcy frontu oświadczył mu, iż „obszar (ten) należy do państwa sowieckiego, toteż należy broń złożyć w terminie do dwóch godzin (sic!) i rozwiązać wszystkie oddziały”. „... Polacy mają możność wyboru między oddziałami Berlinga a wojskiem sowieckim”. „Wobec tej przymusowej sytuacji — melduje polski komendant — wydałem rozkaz rozwiązujący oddziały w X obszarze”. I zaraz zaczyna się sowiecka rejestracja i mobilizacja Polaków i Ukraińców. AK wchodzi częściowo w podziemie. Niektóre oddziały walczyły jeszcze jakiś czas dalej, poza Lwowem, dając Sowiecom pomoc.

Teraz dopiero — gdy Polacy są rozbrojeni — występuje problem ukraiński. Depesza z 28. 7 podaje, że „po wkroczeniu so-

wietów (zdarzyły się) pojedyncze ekscesy ze strony Ukraińców przeciw żołnierzom AK i sowietom w mieście”.

Ci Ukraińcy, to z pewnością nie bezbronna ludność, lecz jakieś uzbrojone oddziały lub oddziały UPA bądź luźne grupy do nich zbliżone, bo jak wiadomo ukraińska SS Dywizja Hałyczyna była 17-22. VII rozbita pod Brodami i uratowały się z niej, do lasów a zapewne i do Lwowa, tylko resztki. Słowo „ekscesy” z pewnością nie oznacza regularnych walk, a jakież by powód mogła mieć Komenda AK do pomniejszania wydarzeń tego rodzaju? Nigdy rozmiary starć ukraińsko-polskich nie były w meldunkach zatajane, jeżeli czego można się w analizie dokumentów obawiać, to raczej wyolbrzymiania liczby przeciwników czy strat. Otóż w tym wypadku szczególnie wymowne jest obliczenie strat polskich za cały ten okres we Lwowie, podane przez komendę AK: około 30 zabitych i 160 rannych, czyli w istocie niewiele. A przecież straty te wynikły z pewnością przede wszystkim z walk z Niemcami (na co już wskazywała uprzednia uwaga sowieckiego dowódcy) — cóż więc pozostaje na te jakieś rzekome walki z Ukraińcami, i to walki, w których mieli oni 3.000 zabitych?

Nie, z pewnością ani oskarżenie sowieckie o „gwałty popełnione na ludności ukraińskiej”, ani zacytowane przez Tereszczuka rzekome zaświadczenie „Ukraińców przybyłych ze wsi do Lwowa” nie mogą służyć za podstawę do stwierdzenia jakiegoś pogromu wielotysięcznego. Słuszne, prawdziwe jest z pewnością określenie „ekscesy”, i to z dodatkiem „ze strony ukraińskiej”, co się łatwo tłumaczy: oddziały AK były już rozbrojone, rozwiązane, miastem rządziły niepodzielnie władze sowieckie, które uznały Lwów za miasto ukraińskie, z wszystkimi stąd wynikającymi, wiadomymi konsekwencjami... (i które to władze szybko i brutalnie ekscesy te zdusiły). Zresztą i Ukraińcy byli podzieleni. Wystarczy powołać się na dwa meldunki AK z tego okresu. Jeden z nich, nie dotyczący Lwowa, melduje „mordy na Polakach przez UPA, zasilaną uzbrojeniem i zrzutami niemieckimi”. I dodaje bardzo wymownie, jak sądzę: „Do niszczenia oddziałów UPA sowietci usiłują wciągnąć Polaków — przeciwstawiamy się za cenę przymusowego zaciągu do Berlinga lub ucieczki za San”. A drugi, ze Lwowa, mówi: „NKWD z Ukraińcami kontynuują dzieło gestapo”...

W tym czasie, jak to doniosła już depesza przytoczona przez Babińskiego (a którą okazano mi też w Londynie), komendant AK i najbliżsi jego oficerowie byli już aresztowani. Meldunek z dn. 5. 8 brzmi: „Aresztowanych 31. 7 około 30 oficerów AK ujawnionych z walk o Lwów osadzono w więzieniu na Łąckiego jako zbrodniarzy faszystów polskich. Są dalsze aresztowania żołnierzy AK i rewizje w domach, które użyczyły lokali...”.

Wkrótce potem aresztowanych oficerów wywieziono. Komendant, o którym w depeszach mowa, to mjr dypl. Feliks Janson, pseudonim Sylwa, szef sztabu i zastępca komendanta obsza-

ru. Płk Iranek Osmecki, który go znał dobrze z Wyższej Szkoły Wojennej, mówi mi o nim z największym uznaniem i szacunkiem, a zdanie jego wiele dla mnie znaczy. Niestety, Janson został poddany długotrwałym torturom, których nie wytrzymał: wymuszono na nim dogodne Rosjanom, fałszywe zeznania w procesie 16-tu w Moskwie. Poczym ślad po nim zaginął.

Z którejkolwiek strony rozważa się wydarzenia na tej nieszczęsnej, krwią i łzami przesiąkniętej ziemi — w których ofiarami byli tak Polacy jak Ukraińcy — natrafia się na dramaty, których grozy żaden wyraz oddać nie może. Uszanujmy je więc stosując jedną, jedyną miarę: prawdy, wolnej od nienawiści, przeinaczeń i marnej kłótni.

Zakończę omówieniem trzech rzetelniejszych, choć innej miary ustaleń przytoczonych przez Tereszczuka:

Roman Baranowski, członek kierownictwa OUN w „Bazie”, który jak wiadomo był informatorem policji polskiej (pytanie, na ile szczerym?) i który został skazany za udział w zabójstwie Hołówki, bynajmniej nie został zastrzelony we Lwowie w czasie ucieczki z transportu, lecz zmarł w więzieniu świętokrzyskim 4. 8. 1935. Moją wersję oparłem na listowej wypowiedzi dyr. Żybońskiego. Tereszczuk ze swej strony powołuje się na „Historię ukraińskiego narodu” Mirczuka. Ta jego wersja znajduje potwierdzenie w relacji przekazanej mi przez b. naczelnika urzędu śledczego w przedwojennym urzędzie śledczym województwa krakowskiego.

Sotnik Hołowiński, zdradzony przez tegoż Romana Baranowskiego, również nie został zastrzelony w ucieczce, lecz zdaniem Tereszczuka zabity przez policjantów po „pacyfikacji”, 30. 10. 1930 pod Bóbrką, na zimno, po daremnych próbach wymuszenia torturami zeznań. Nie mogę sprawdzić tej tezy, cytuję ją w imię zasady *audiatur et altera pars*.

W obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen Bandera bynajmniej nie proponował współwięźniowi gen. Grotowi-Roweckiemu deklaracji zgody na wyodrębnienie z Polski „ziem ukraińskich”, jak to napisałem powołując się na artykuł niejakiego Edwarda Prusa w *Życiu Literackim...* (Tereszczuk prostuje też wiadomość, jakoby żona Łebeda, Daria z Hnatkiwskich była więziona w Sachsenhausen, gdyż w rzeczywistości była w Ravensbrücku, co trzeba chyba przyjąć za ściśle).

Tyle i tylko tyle po obszernym artykule Petro Tereszczuka.

Władysław ŻELEŃSKI

P.S. Poruszona przeze mnie w odpowiedzi Pawłowi Korcowi (*Zeszyty Historyczne* nr 51) sprawa konfliktu między rządem Bartla a Sejmem o ministrów Sujkowskiego i Młodzianowskiego

w roku 1926 wymaga po bliższym zbadaniu obszerniejszego naświetlenia. Spróbuję ją wkrótce przedstawić korzystając z odnośnych materiałów prasowych, przysłanych mi przyjaźnie z Polski (brak ich w Bibliotece Polskiej w Paryżu), ze stenogramów sejmowych, do których dotarłem w British Museum w Londynie i z najnowszych, cennych publikacji krajowych, które z przyjemnością sygnalizuję: studium dr. Andrzeja Chojnowskiego „Kwestia ukraińskiego szkolnictwa wyższego w II-giej Rzeczypospolitej”, „Historia XIX i XX wieku” (Ossolineum, 1979), tegoż Chojnowskiego „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939”, Ossolineum, 1979, Mirosław Papież-ryński-Turek „Sprawa ukraińska w drugiej Rzeczypospolitej, 1922-1926”, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1979. Dodatkowo cytuję bardzo tendencyjną „Historię Ukrainy” Władysława A. Serczyka, Ossolineum, 1979.

Ż.

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

JESZCZE O WIN-ie

Nie zabierałbym już głosu w dialogu z ks. Kluzem, gdyby w swej ostatniej polemice ze mną (*Żeszyty Historyczne* Nr 51) nie wymienił w sposób krzywdzący dwóch zasłużonych w walce o niepodległość a nieżyjących już osób.

Niezgodnie z prawdą, wbrew istniejącym — co najmniej paru — dokumentom przedstawił stanowisko WIN-u w sprawie referendum w 1946 roku. Gdy przytoczyłem jeden z tych dokumentów — raport winowskiej „Stoczni” — ks. Kluz zakwestionował jego wiarygodność twierdząc, że „Stocznia” była pod wpływem Stronnictwa Narodowego. Szczególna to argumentacja!

Raporty komórki informacyjnej WIN-u — „Stoczni” — były dokładnie i rzetelnie opracowywane przez jej kierowniczkę, Halinę Sosnowską, osobę ideową i ofiarną (zresztą o dobrze znanych poglądach politycznych wręcz przeciwnych SN). Za swą działalność w WIN-ie została w pokazowym procesie politycznym w grudniu 1947 roku skazana na dożywotnie więzienie. W okresie Października odzyskała wolność. Zmarła przed kilku laty.

Wbrew faktom i dokumentacji ks. Kluz uparcie utrzymuje, że gen. Fieldorf — „Nil” — był w WIN-ie i pisze: „Fieldorf był przywieziony do Warszawy i prowokacyjnie zaangażowany w V-tym Zarządzie WIN-u w roku 1948” (podkreślenia — T.Ż.). Czyżby ks. Kluz nie rozumiał, jaką moralną krzywdę wyrządza „Nilowi” i nie pojmował, jak mogą być takie określenia przyjmowane przez ludzi złej woli lub nie znających historii?

Powtarzam raz jeszcze: generał „Nil” nie był w WIN-ie, ani w jego

władzach. Bohaterski życiorys tego szlachetnego człowieka jest dobrze znany i udokumentowany. Przypominam tylko, że aresztowany i wywieziony w głąb Rosji w 1945 roku powrócił ciężko schorowany do kraju w grudniu 1947. Pod pretekstem fałszywego oskarżenia z dekretu „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy” został ponownie aresztowany przez UB w listopadzie 1950 roku za działalność na stanowisku szefa Kedywu Komendy Głównej AK. 24 lutego 1953 roku padł ofiarą mordu sądowego.

Jeszcze jedna sprawa kwestionowana przez ks. Kluzę. Nadal mylnie twierdzi, że aneks Nr 7 w jego książce przedstawia dokument WIN-u z lipca 1946 roku, przywieziony przez płk. Rolewicza. W rzeczywistości w aneksie tym znalazł się zupełnie inny — niewątpliwie późniejszy — raport. Żałować należy, że ważny historycznie dokument wysłany z kraju przez płk. Niepokólczyckiego za pośrednictwem płk. Rolewicza nie został dotychczas nigdzie ogłoszony, chociaż ma wartość historyczną. Pominął go też ks. Kluz, pomimo że wiedział o jego istnieniu, bo wspomniał o tym na str. 60-tej swej książki. Dodaje, że odsyłać w mej recenzji (*Zeszyty Historyczne* Nr 48), wprowadzony przez redakcję *Zeszytów*, dotyczy „Wytycznych ideowych” WIN-u, opracowanych przez płk. Rzepeckiego w 1945 roku, a nie odnosi się do dokumentu płk. Rolewicza.

Nie wdaję się w ocenę metody ks. Kluzę, który dowolnie zestawia cytaty z oddzielnych fragmentów mego tekstu dla uzyskania efektu polemicznego. Dobrze natomiast, że przynajmniej część moich uwag i poprawek ks. Kluz przyjął milcząco do wiadomości.

Mam nadzieję, że dzięki *Zeszytom Historycznym* i pod wpływem dyskusji, którą niniejszym kończę, czytelnicy książki ks. Kluzę właściwie ją ocenią, a także zainteresują się tematyką WIN-u oraz potrzebą rzetelnego i dokładnego opracowania jego — tak bardzo potrzebnej — historii.

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

RECENZJE

Anna M. CIENCIAŁA

DROGA ROSJI DO ZIMNEJ WOJNY*

Vojtech Mastny jest profesorem nadzwyczajnym historii na uniwersytecie Illinois w Urbana, Ill, oraz od kilku lat profesorem wizytującym w Johns Hopkins School of International Studies w Waszyngtonie. Wydał już książkę pt. *The Czechs under Nazi Rule* (Czesi pod rządami hitlerowskimi, Columbia University Press, 1971), oraz szereg artykułów, m.in. nt. tajnych rozmów sowiecko-niemieckich oraz rozmów prezydenta Benesa w Moskwie w grudniu 1943 roku.

Obecna praca stanowi próbę analizy celów wojennych Stalina w okresie czerwiec 1941 - sierpień 1945. Jest to niewątpliwie najobszerniejsze studium jakie się na ten temat dotychczas ukazało. Autor wykorzystuje bogatą literaturę przedmiotu: dokumenty, książki i artykuły opublikowane tak w „bloku socjalistycznym”, jak i na Zachodzie. Wykorzystał również szeroko źródła archiwalne amerykańskie i po części angielskie (głównie zespoły *Cabinet Minutes* i *Cabinet Papers*, tj. dokumenty Rady Państwa). Luka oczywista, to brak archiwaliów sowieckich, ale te, jak wiadomo, są niedostępne.

Książka składa się z ośmiu rozdziałów:

- 1) Tradycje i antecedensy,
- 2) Cele minimalne, czerwiec 1941 - luty 1943,

* *Vojtech Mastny, Russia's Road to the Cold War. Diplomacy, Warfare and the Politics of Communism, 1941-1945* (Droga Rosji do zimnej wojny. Dyplomacja, metody wojny i polityka komunizmu, 1941-1945), Columbia University Press, New York, 1979, str. 409, cena \$ 16,95).

- 3) Mgliste perspektywy, luty - październik 1943,
- 4) Kluczowe konferencje, październik - grudzień 1943,
- 5) Od Teheranu do Lublina, grudzień 1943 - lipiec 1944,
- 6) Narodziny imperium, lipiec - listopad 1944,
- 7) Nadzieje i niepowodzenia Jałty, listopad 1944 - kwiecień 1945,
- 8) Przegrany pokój? kwiecień - sierpień 1945.

Główne tezy autora można streścić następująco:

I. Abstrahując od rosyjskich celów historycznych oraz celu odzyskania ziem przyłączonych do ZSSR w 1939-40, Stalin nie miał ścisłych planów dotyczących powojennej ekspansji sowieckiej. Według autora rozwój tych planów kształtował się pod wpływem sukcesów militarnych, poczynawszy od wielkiego zwycięstwa pod Stalingradem. Poza tym Stalin musiał się liczyć z sojusznikami zachodnimi oraz z konsekwencjami (pod koniec wojny) nagłego rozpadu Niemiec. Mastny uważa, że Stalin obawiał się w takim wypadku poddania się Niemiec sojusznikom zachodnim. Nie chciał więc, aby Armia Czerwona skłoniła Niemcy do tego zbyt szybkim marszem na Berlin.

II. Zdaniem autora, nie należy zakładać, że partie komunistyczne w Europie środkowo-wschodniej i południowej działały pod wpływem ścisłych instrukcji Moskwy. Nie pozwalały na to warunki wojenne. Zresztą, największy w tym rejonie ruch komunistyczny, jugosłowiańscy partyzanci Tity, działał na własną rękę i wyprzedzał lub ignorował życzenia Kremla. Według autora również PPR wykazywał własną inicjatywę — dowodzić tego ma np. utworzenie KRN i krytyka jego programu ze strony komunistów polskich w Moskwie, wreszcie domaganie się poprawek na granicy wschodniej i upieranie się przy Odrze Łużyckiej na zachodzie. Autor notuje, że partie komunistyczne były tym bardziej popularne, im dalej ich kraje były oddalone od ZSSR — patrz Jugosławia, Grecja, Francja, Włochy.

III. Autor podkreśla brak wysiłków ze strony sojuszników zachodnich aby ograniczyć lub przyhamować ekspansję sowiecką, przynajmniej na drodze dyplomatycznej, bo, jak wiadomo, sojusznicy nie przewidywali działań wojskowych w Europie środkowo-wschodniej i południowej.

IV. Wreszcie, Mastny upatruje rzeczywiste źródła zimnej wojny w „potwornych” metodach i „wrodzonym złu” ustroju sowieckiego.

Zastanówmy się nad tymi tezami autora. Czy przekonuje nas twierdzenie, że Stalin nie miał jakiegoś ścisłego planu ekspansji

powojennej, do którego spełnienia dążył od 22 czerwca 1941? Można się z tym zgodzić. Stalin był zbyt wielkim politykiem, aby trzymać się ścisłego „rozkładu jazdy”. Zagadnieniem jest raczej ustalenie celów ramowych dostosowanych taktycznie do możliwości militarnych Związku Sowieckiego oraz stosunków z sojusznikami zachodnimi. Autor sam zresztą wskazuje na pewne koncepcje ekspansji już w 1940 roku. W listopadzie 1940 roku Mołotow zażądał od Hitlera zgody na następujące postulaty: a) podporządkowanie się Finlandii ZSSR, b) przyłączenie do ZSSR południowej Bukowiny, c) uznanie Bułgarii za sowiecką strefę bezpieczeństwa — do której, *nota bene*, miała też należeć Szwecja, d) Mołotow zadeklarował, że ZSSR jest na dłuższą metę zainteresowany Węgrami, Jugosławią, Grecją i nawet częścią Polski pod okupacją niemiecką, e) wyraził życzenie ZSSR posiadania baz wojskowych na Dardanellach oraz stworzenia sowiecko-duńskiego *condominium* w cieśninach bałtyckich (str. 31). Może być że, jak twierdzi Mastny, Mołotow wysunął te dezyderaty w drodze sondażu, aby dowiedzieć się, jaką cenę Hitler gotów jest zapłacić za przyjaźń z ZSSR (str. 32). Ale można je też potraktować jako wyraz ogólnej koncepcji „zabezpieczenia” ZSSR przed atakiem z zachodu — w tym wypadku ze strony Niemiec. Można również założyć, że po 22 czerwca 1941 Stalin uważał taką ekspansję ZSSR za swój cel wojenny. Plan taki musiał, rzecz jasna, być uzależniony od siły ZSSR oraz jego stosunków z sojusznikami pod koniec wojny. Z tego zaś okresu pochodzi znamieny artykuł „Malinina” (Litwinowa) w czasopiśmie *Wojna i Raboczyj Kłás* z grudnia 1944. „Malinin” proponował tu utworzenie wewnątrz ONZ zgrupowań „regionalnych”, pozostawionych jednak pod pieczę tych wielkich mocarstw, których żywotne interesy zaangażowane są w danych rejonach. Twierdził, że nie będą to „strefy interesów” lecz „strefy bezpieczeństwa” (str. 231-232). Można więc ten artykuł potraktować jako próbę uzyskania zgody mocarstw zachodnich na ustanowienie strefy wpływów sowieckich w Europie środkowo-wschodniej i południowej, a na takiej zgodzie Moskwie, jak mówił „prywatnie” Litwinow Edgarowi Snow, wówczas bardzo zależało (str. 233). Z tą koncepcją łączyło się też wysunięte przez delegację sowiecką na konferencji w Dumbarton Oaks żądanie prawa *veta* dla wielkich mocarstw w radzie ONZ. W formułach dyplomatycznych artykułu „Malinina” kryły się zapewne stare koncepcje „zabezpieczenia” ZSSR, wysuwane w innej formie wobec Hitlera w listopadzie 1940 roku.

W związku z planami Stalina można się też zastanowić nad

propozycjami sowieckimi wystosowanymi pod adresem rządów emigracyjnych Czechosłowacji, Polski i Jugosławii 4 lipca 1941 roku, aby utworzyły „narodowe komitety” i siły zbrojne w ZSSR. Mastny twierdzi, że nie należy w tych propozycjach upatrywać genezy rządów marionetkowych, bo w takim razie nie byłyby wystosowane do rządów emigracyjnych. Sądzi, iż raczej należy widzieć tu taktykę podobną do tej, którą stosował carat w pierwszej wojnie światowej, tj. taktykę „jedności słowiańskiej”. Tymczasem nie wydaje się nam, aby „komitety narodowe” wykluczały późniejszą rywalizację z rządami emigracyjnymi na Zachodzie. Ponadto stworzono „Komitet Wolnych Niemiec”. Później, jak wiadomo, powstał Związek Patriotów Polskich. Wreszcie, jak Stalin powiedział Dżilasowi w kwietniu 1945 roku: „Ta wojna nie jest podobna do wojen przeszłości. Ten, kto okupuje dane terytorium, narzuca również swój ustrój społeczny tak daleko, jak sięgają jego wojska. Nie może być inaczej” (str. 212, cyt. za Milovan Djilas, *Conversations with Stalin*, New York, 1962, str. 114). Być może, że Stalin obawiał się stworzenia „bloku zachodniego” pod egidą Wielkiej Brytanii i zakładał, że ta ostatnia narzuci krajom Europy zachodniej swój własny ustrój polityczny. Ale wydaje się to raczej wątpliwe. Sam bowiem już w grudniu 1941 roku proponował Edenowi podział wpływów w powojennej Europie. Poza tym w wypowiedzi Stalina wobec Dżilasa należy upatrywać cel szerzenia „rewolucji”, co łączyło się przecież ściśle z ekspansją sowiecką.

Natomiast nie ulega kwestii, że wielkie zwycięstwo sowieckie pod Stalingradem oznaczało nie tylko punkt zwrotny w drugiej wojnie światowej, ale również punkt zwrotny w taktyce politycznej Kremla wobec Polski. W styczniu - lutym 1943 roku odbyły się rozmowy z Wandą Wasilewską i innymi przedstawicielami lewicy polskiej w ZSSR na temat stworzenia ośrodka politycznego i jednostek wojskowych. Autor twierdzi, że obie te inicjatywy wyszły od czynników polskich w ZSSR. Cytuje tu list Wandy Wasilewskiej do Mołotowa z 4 stycznia 1943 (nawiasem mówiąc, nie ma tego listu, jak podaje Mastny, w zbiorze *Materiały i dokumenty do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. VII, str. 406. Natomiast polskie tłumaczenie listu znajduje się w zespole aktów ZPP w Archiwum Akt Nowych w Warszawie). Można się zgodzić że inicjatywa wyszła od przedstawicieli lewicy polskiej w ZSSR, skoro wiadomo, że podobne propozycje wysuwali oni już od 1941 roku. Niemniej inicjatywa ta nie wydałaby owoców, gdyby nie odpowiadała polityce Stalina. Nie oznacza to zresztą, że Stalin od razu stawiał na lewicę polską.

Komunistom polskim nie ufał. Na przewodniczącą ZPP wybrał Wandę Wasilewską, która mimo swych sympatii do KPP nie należała, a której nazwisko miało o wiele większy ciężar gatunkowy dla opinii polskiej niż nazwisko jakiegokolwiek polskiego komunisty. Co ważniejsze — jak podkreśla autor — stworzenie ZPP, a przedtem PPR, nie oznaczało, że Stalin stawiał wyłącznie na polskich komunistów. Jak twierdzi Mastny, jego celem było rozwiązanie na wzór czechosłowacki, tj. „przyjazny” rząd polski. Drugi wariant zakładał rozbięcie rządu emigracyjnego i wejście niektórych jego członków w skład nowego rządu polskiego, „przyjaznego” ZSSR.

Jeśli chodzi o działalność PPR, to dostępne dotychczas dokumenty nie pozwalają ustalić, które z jej działań były konsultowane z Moskwą a które nie. Wiadomo, że pierwsza deklaracja programowa ze stycznia 1942 roku została uzgodniona z G. Dymitrowem, sekretarzem generalnym Kominternu, przed odlotem pierwszej grupy do Warszawy w grudniu 1941 roku (patrz Marian Malinowski, *Geneza PPR*, Warszawa, 1972, str. 349-352). Nie wiadomo natomiast, czy rozmowy PPR z Delegaturą Rządu w lutym 1943 roku wynikły z własnej inicjatywy KC PPR, czy też były poprzednio uzgodnione z Dymitrowem. Opublikowana wymiana depeesz radiowych między Finderem a Dymitrowem nic o tym nie wspomina (patrz Czesław Madajczyk, *Korespondencja między sekretarzami PPR a sekretarzem generalnym Międzynarodówki Komunistycznej*, Wojskowa Akademia Polityczna im. F. Dzierżyńskiego, Katedra Historii Ruchu Robotniczego, Warszawa, 1967. Zbiór ten obejmuje okres od 11 czerwca 1942 do 11 maja 1943. Depesze te były uprzednio opublikowane w *Z Pola Walki*, 1961, nr 4/16 oraz w *Nowa i Nowiejszaja Istorii*, 1964, nr 5 — patrz *Korespondencja*, str. 2, przypis 1). Nie wiadomo też, czy inicjatywa utworzenia Krajowej Rady Narodowej wyszła, jak pisze Gomułka, od niego, bez konsultacji z Moskwą, na jesieni 1943 roku (patrz list W. Gomułki do redakcji *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. IV, Warszawa, 1977, str. 234, oraz wersja nieadiustowana, *Zeszyty Historyczne* nr 39, Paryż, 1977, str. 4). Warto tu zaznaczyć, że koncepcja taka powstała już wcześniej w KC Socjalistów Polskich — później RPPS z Osóbką-Morawskim na czele. W każdym bądź razie KRN mieściła się w zadaniu PPR stworzenia „frontu narodowego”, sama zaś koncepcja centralnej rady narodowej lewicy istniała już od pewnego czasu w kołach lewicy socjalistycznej. Wiadomo natomiast, że manifest KRN spotkał się z krytyką za „radykalizm” i „sekciarstwo” ze strony Centralnego Biura Komunistów Pol-

skich w Moskwie. Gomułka słusznie odpowiedział, że głównym problemem dla PPR było zagadnienie wschodnich granic Polski. Pisał wówczas (marzec 1944): „Gdyby bractwo św. Antoniego stanęło na gruncie rewizji wschodnich granic Polski, to też zostanie okrzykane przez reakcję jako agentura moskiewska” (cyt. Marian Malinowski, *Dzieje konspiracyjnej PPR*, praca habilitacyjna, WSNS, Instytut Historii Ruchu Robotniczego, Warszawa, 1979, str. 598). Ostateczne uzgodnienie linii politycznej nastąpiło podczas pobytu pierwszej i drugiej delegacji KRN w Moskwie między 16 maja - 26 lipca 1944 roku. Pewne opóźnienie wynikało z rozmów ambasadora Lebediewa ze St. Grabskim i St. Mikołajczykiem w Londynie w czerwcu 1944 roku. Stalin próbował wówczas doprowadzić albo do przyjęcia przez rząd polski linii Curzona oraz zmian osobistych w składzie rządu, albo też do rozłamu w rządzie, skutkiem którego SL z Mikołajczykiem na czele zgodziłoby się wstąpić do nowego rządu wraz z komunistami i lewicą polską (RPPS). Jak wiadomo, propozycje Lebediewa zostały przez Mikołajczyka odrzucone. Dopiero 22 lipca zatwierdzono w Moskwie ostateczną wersję Manifestu PKWN, a członkowie PKWN wylądowali w Chełmie 27 lipca 1944 roku.

Z powyższego wynika, że działania PPR, KRN i PKWN były uzgodnione z Moskwą. Można się jednak zgodzić z autorem, że PPR, ZPP, KRN i PKWN nie należy traktować jako „agentur Moskwy”. Ich ideologia i programy wpływały bowiem z przekonania członków i przywódców, te zaś prowadziły naturalnie do współpracy z rządem sowieckim. Byli między nimi zapewne oportuniści, ale ci nie byli poprzednio, tj. przed wojną, związani ani z KPP ani z lewicą socjalistyczną. Ludzi ideowych można posądzać o oddawanie się iluzjom, ale nie o to, że byli płatnymi agentami obcego państwa.

Nie ulega kwestii, że brak oporu sojuszników zachodnich wobec wiadomych roszczeń terytorialnych ZSSR przyczynił się walcnie do ich realizacji. Autor słusznie podkreśla, że roszczenia sowieckie, przedstawione Edenowi przez Stalina w grudniu 1941 roku, od początku cieszyły się poparciem rządu brytyjskiego. Stalin postawił wówczas jako warunek podpisania sojuszu z Wielką Brytanią uznanie przez nią nie tylko granic sowieckich z czerwca 1941 roku, ale również sowieckich baz wojskowych w Finlandii i Rumunii — przy czym zachęcał Wielką Brytanię do wysuwania roszczeń do swoich baz w Norwegii, Danii, Belgii, Holandii a nawet we Francji (!). Zaproponował wówczas podział Europy na strefy wpływów. Poza tym mówił o odbudowie

Czechosłowacji w jej granicach przedmonachijskich, o odbudowie Jugosławii z dodatkiem części terytorium Włoch i Węgier. Albania miała odzyskać niepodległość, a Turcja otrzymać wyspy Dodekanazu, a może i część Bułgarii. Rumunia miała oddać Besarabię i północną Bukowinę Związkowi Sowieckiemu i otrzymać kompensatę kosztem Węgier. Polska miała otrzymać Prusy Wschodnie — z wyjątkiem obszaru na północ od Niemna, który miał należeć do Litewskiej SSR — oraz część Niemiec wschodnich, ewentualnie aż po Odrę (str. 42, cyt. z notatki z rozmowy Eden - Stalin, 16 grudnia 1941, oraz aneksy, WP/42/8, CAB 66/20, Public Record Office, London). Można tu zauważyć, że jeśli te propozycje nie stanowiły jeszcze ścisłego planu, to przynajmniej były precyzyjnie omówione.

Reakcja brytyjska była pozytywna. Churchill usilnie namawiał Roosevelta, aby się zgodził na włączenie postulatów dotyczących granic ZSSR do sojuszu anglo-sowieckiego. Pisał do Roosevelta 7 marca 1942 roku, że ze względu na palącą potrzebę pomocy wojennej ZSSR dla sojuszników nie należy interpretować Karty Atlantycznej tak, aby odmówić Rosji tych granic, które „okupowała” w chwili agresji niemieckiej w czerwcu 1941 roku (str. 44-45, cyt. *Roosevelt and Churchill: Their Secret War Correspondence*, ed. Fr. Loewenstein, New York, 1975, str. 186). Eden do tego stopnia stał się adwokatem Stalina w brytyjskiej Radzie Ministrów, że nawet bardzo pragmatyczny podsekretarz Stanu d/s zagranicznych, Sir Alexander Cadogan, zanotował w swym dzienniku, iż Eden gotów jest porzucić wszelkie zasady (str. 45, cyt. *The Diaries of Sir Alexander Cadogan, 1939-1945*, ed. J. Dilks, London, 1971, str. 437, notatka z dn. 24 lutego 1942 roku). Gorliwość Churchilla i Edena wpływała oczywiście z obawy przed skutkami militarnego załamania ZSSR, bądź podpisania przezeń pokoju z Niemcami. Spotkali się jednak z odmową Stanów Zjednoczonych. Sekretarz Stanu Cordell Hull podejrzewał, że rząd sowiecki żywi ogromne ambicje w Europie. Uważał, iż lepiej jest zająć stanowisko stanowcze zawczasu, niż być zmuszonym do stanowczości później, gdy rząd będzie osłabiony poprzednim porzuceniem „generalnych zasad” (str. 45, cyt. *Foreign Relations of the United States, 1942*, t. III, str. 505-512, notatka C. Hulla z 4 lutego 1942 roku).

Dlaczego jednak stało się właśnie to, czego Hull tak się obawiał w lutym 1942 roku? Otóż Roosevelt nie podzielał pryncypialności Hulla, ale musiał się liczyć z opinią amerykańską, która popierała zasadę nieaprobowania zmian terytorialnych podczas wojny. Zaś w sprawach polskich Roosevelt musiał się liczyć,

jak mówił Stalinowi podczas konferencji teherańskiej, z głosami 7-miu milionów Amerykanów polskiego pochodzenia (wybory 1944 roku). Jednak prywatnie Roosevelt godził się na postulaty sowieckie kosztem Polski już w swej rozmowie z Edenem w marcu 1943 roku. Wówczas wraz z Edenem odrzucił ostrzeżenie Williama C. Bullitta — pierwszego ambasadora amerykańskiego w Moskwie, później ambasadora w Paryżu i bliskiego przyjaciela amb. Juliusza Łukasiewicza — że Stalin zamierza zagarnąć nie tylko Europę środkowo-wschodnią i Bałkany, ale całą Europę. Aby temu zapobiec, Bullitt nalegał na inwazję Europy przez Bałkany.

Jest więcej niż prawdopodobne, że Roosevelt pogodził się z perspektywą sowieckiej dominacji nad Europą już we wrześniu 1943 roku, jeżeli nie wcześniej. Świadczą o tym jego wynurzenia wobec nowojorskiego kardynała Spellmana z 3 września 1943 roku. Powiedział mu wówczas, że „narody europejskie będą musiały po prostu przetrwać dominację rosyjską w nadziei, że po jakichś dziesięciu czy dwudziestu latach wpływ Europy zmniejszy barbarzyństwo Rosjan”. Być może, iż Roosevelt miał tu na myśli dominację czysto wojskową, ponieważ powiedział jeszcze Spellmanowi, że Niemcy i Austria zostaną prawdopodobnie skomunizowane nawet bez interwencji militarnej ZSSR (myślał może o 1918 roku). Poza tym uważał, że Austria, Węgry i Chorwacja znajdują się pod jakimś „protektorem” sowieckim (str. 108, cyt. Robert I. Gannon, *The Cardinal Spellmann Story*, New York, 1962, str. 222-224).

Refleksje Roosevelta wiązały się zapewne z planami wojennymi sojuszników zachodnich. Już bowiem na jesieni 1943 roku, jeżeli nie wcześniej, wykluczały one działania wojenne w Europie środkowo-wschodniej i na Bałkanach — oprócz bombardowania. Wiązało się to z decyzją przeprowadzenia inwazji Europy z wysp brytyjskich poprzez Francję, Holandię i Belgię, aby najkrótszym szlakiem dotrzeć do Niemiec. Co prawda działania w Afryce północnej, a później we Włoszech, stwarzały pozorną możliwość akcji także na Bałkanach. Lecz autor słusznie podkreśla, że bałkańska koncepcja Churchilla była do jesieni 1944 roku koncepcją czysto antyniemiecką. Dopiero wówczas zaczął Churchill myśleć o zablokowaniu ZSSR akcją na Bałkanach. Nie mógł jednak tej koncepcji przeprowadzić ze względu na konsekwentny opór Roosevelta, Marshalla oraz Eisenhowera. Wojskowi nie chcieli rozpraszać sił wojskowych, Roosevelt zaś podejrzewał Churchilla o zapędy „imperialistyczne” na Bałkanach. Wobec tego w niesławnej umowie „procentowej” z października 1944 roku Chur-

chill próbował zapewnić Wielkiej Brytanii wpływy w Grecji, Jugosławii i na Węgrzech. Warto tu odnotować, że Mołotow wysunął wobec Edena kontrpropozycje, według których Rosja miała posiadać 75 % lub 80 % wpływów w Bułgarii, na Węgrzech i Jugosławii, Wielka Brytania zaś 20 % lub 25 % (str. 208). Mołotow nie kwestionował jednak przewagi wpływów brytyjskich w Grecji.

Należy też wziąć pod uwagę, że przywódcy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych obawiali się zawarcia odrębnego pokoju między ZSSR a Niemcami. Otrzymywali raporty swoich wywiadów na temat takich właśnie możliwości. Rozmowy na niskim szczeblu miały się odbyć w Sztokholmie na wiosnę 1943 roku, aczkolwiek wiadomość o nich dotarła na zachód nieco później. Nie wiadomo do jakiego stopnia wpłynęła ona na stanowisko Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych na konferencji moskiewskiej z października 1943 roku oraz na konferencji „Wielkiej Trójki” w Teheranie. Można jednak sądzić, że wywarła ona wpływ korzystny dla ZSSR.

W każdym razie w ciągu 1944 roku Stalin mógł już sobie pozwolić na demonstrację siły w rejonie, który uważał za strefę interesów sowieckich. Jaskrawym przykładem tej polityki jest jego stanowisko wobec Powstania Warszawskiego i powstania słowackiego. Mastny zakłada, że w sprawie Powstania Warszawskiego Stalin nie powziął decyzji od razu. Wskazuje na artykuł w *Prawdzie* z 2 sierpnia 1944 roku, w którym pisano, że wyzwolenie Warszawy jest już bliskie (str. 184). Cytuje też wezwania radia sowieckiego do powstania, nie podając wszakże ich tekstu (*tamże*). Bardziej znamienne jest, że cytuje raport wysłany do Stalina 8 sierpnia przez Radę Wojenną sztabu marszałka Rokossowskiego, że armia jego może zacząć operację warszawską 25 sierpnia (str. 185).

[Raport ten autor cytuje za książką Wł. Wołoszyna, *Na warszawskim kierunku operacyjnym*, Warszawa, MON, 1964. Warto zaglądnąć do tej książki. Dowiadujemy się tam, że do operacji warszawskiej potrzebne było, według Rady Wojennej, przegrupowanie pewnych jednostek z Frontu Ukraińskiego. Wołoszyn pisze: „Zasadniczym jednak powodem uniemożliwiającym wojsku I Frontu Białoruskiego podjęcia operacji na zachód od Wisły było to, że naczelne dowództwo radzieckie przygotowało już plany i środki do rozpoczęcia ofensywy na Bałkanach” (Wołoszyn, str. 79). Mastny pisze, że decyzja ta zapadła 31 lipca, a 2 sierpnia ustalono atak na Rumunię na 20 sierpnia (Mastny, str. 195)].

Niemniej w prasie sowieckiej dopiero 13 sierpnia ogłoszono komunikat TASS'a potępiający powstanie warszawskie jako dzieło nieodpowiedzialnego „awanturnictwa”. Można się więc zastanowić, czy Stalin nie przyjął najpierw postawy wyczekującej, czy nie zmieniłby lub opóźnił ofensywy bałkańskiej, gdyby Powstanie Warszawskie się załamało? Mogłby wtedy wkroczyć do Warszawy PKWN na czele Armii Polskiej. Zdaniem Mastnego Stalin pozwolił Niemcom zgnieść tak powstanie warszawskie, jak i słowackie, aby nie dopuścić do utrwalenia się władzy nie podporządkowanej Moskwie (str. 194). Można się jednak zastanowić, jaką „władzę” przedstawiałaby AK w Warszawie lub partyzanci w Słowacji w porównaniu z potężną Armią Czerwoną? Można by taką „władzę” po pewnym czasie zlikwidować. Wydaje się, że w obu wypadkach Stalin pragnął zaznaczyć, że w swojej strefie interesów nie będzie tolerował żadnych, nawet symbolicznych i przejściowych sił nie podporządkowanych mu bezpośrednio. Była to „lekcja” na przyszłość.

Ale, jak podkreśla Mastny, Stalin też żywił pewne obawy. Zdaniem autora Stalin obawiał się, że zbyt szybki marsz Armii Czerwonej na Berlin może spowodować poddanie się Niemiec sojusznikom zachodnim. Mastny cytuje źródła sowieckie, według których Armia Czerwona mogła była zdobyć Berlin już w drugiej połowie lutego 1945 roku. Gdy jednak Stalin dowiedział się w Jałcie, że sojusznicy planują przekroczyć Ren dopiero na początku marca, rozkazał marszałkowi Żukowowi 6 lutego, aby zamiast iść na Berlin skonsolidował swe pozycje nad Odrą i skierował siły na północ, na Pomorze, gdzie razem z armią Rokossowskiego miał zmiażdżyć niemieckie zgrupowanie „Wisła” (str. 241-243, cyt. Czuikow, *The Fall of Berlin*, New York, 1967, str. 120). Być może jednak decydująco wpłynęła na Stalina wiadomość, że sojusznicy nie mają w planie działań wojennych w rejonie bałtyckim (str. 241).

Ostatnia teza autora, że „potworne metody” i „wrodzone zło” ustroju sowieckiego stanowią źródło zimnej wojny, odbija ostro od zrównoważonego, obiektywnego tonu całej książki. Można się z tą oceną moralną zgadzać lub nie, ale nie można jej uważać za historycznie uzasadnioną. Prawdą jest, że metody stosowane w Polsce, Rumunii i Bułgarii wywołały oburzenie polityków brytyjskich i amerykańskich. Churchill jednak ostatecznie nie wysłał w marcu 1945 roku listu do Roosevelta, w którym pisał, że jeśli się nie uda „teraz” uzgodnić spraw, to świat rychło uzna, że na Krymie podpisali nieuczciwy *prospectus* (str. 258). Mocarstwa zachodnie mimo wątpliwości uznały przecież

nowe rządy w Europie środkowo-wschodniej i na Bałkanach. Zaczęły stawiać opór dopiero wtedy, gdy gra szła o Niemcy. Wówczas uznały, że są tu zaangażowane ich żywotne interesy i wówczas mogły stawić opór, ponieważ wojska ich stacjonowały w Niemczech zachodnich. Wówczas też zaczęto pisać i mówić na Zachodzie o potwornych metodach i wrodzonym złu systemu sowieckiego. Rzecz w tym, że krajów Europy środkowo-wschodniej i Bałkanów nie uważano — z wyjątkiem Grecji i częściowo Jugosławii — za strefę żywotnych interesów. Gdyby było inaczej, z pewnością inne byłyby plany wojenne sojuszników zachodnich. Gdy zaś Związek Sowiecki opanował tę część Europy, protesty mocarstw zachodnich przeciwko metodom tam stosowanym nie mogły już wywrzeć żadnego wpływu. W 1945 roku Litwinow pytał Edgara Snow: „Dlaczegoście wy, Amerykanie, czekali do tej pory, aby zacząć się nam przeciwstawiać na Bałkanach i w Europie wschodniej?... Powinniście to byli uczynić trzy lata temu. Teraz jest za późno i wasze skargi budzą tylko nasze podejrzenia” (str. 283, cyt. Edgar Snow, *Journey to the Beginning*, London, 1959, str. 357).



W książce Mastnego jest kilka drobnych usterek. Na przykład tzw. „tezy nr 1”, wypracowane przez oficerów politycznych Armii Polskiej w ZSSR w październiku 1943 roku, nie stanowiły oryginalnego programu ZPP (str. 169). Jak wiadomo, program ZPP został uchwalony na pierwszym zjeździe tej organizacji 9-10 czerwca 1943 roku i opublikowany w *Wolnej Polsce* 16 czerwca. Co więcej, „tezy nr 1” zostały ostro skrytykowane przez członków Zarządu Głównego ZPP oraz przez Alfreda Lampe. Błąd autora wynika z nieuwważnego przeczytania książki Fr. Zbiniewicza, *Armia Polska w ZSRR* (Warszawa, 1963), gdzie krytyka tez nr 1 jest obszernie cytowana. Mastny nie opatrzył swej książki w bibliografię, twierdząc w notatce dotyczącej źródeł, że są one zbyt obszerne i różnorodne, by je oddzielnie wyliczyć (str. 317). Należy jednak pamiętać, że bibliografia stanowi nieodzowną część pracy naukowej. Brak bibliografii w książce Mastnego utrudnia wielce znalezienie źródeł, których trzeba szukać w gęstwinie przypisów.

Można się z autorem spierać, można z nim polemizować, ale nie ulega kwestii, że jego książka jest fascynująca. Jest też oparta na solidnej bazie źródłowej, w lwiej części niedostępnej

dla czytelników zachodnich. Książka jest owocem wieloletniej, mozolnej pracy i stanowi ewenement w literaturze przedmiotu. Miejmy nadzieję, że będzie szeroko czytana.

Anna M. CIENCIAŁA

Tadeusz HEINRICH

ENIGMA — NAJWIĘKSZY WKŁAD POLSKI DO WOJNY?

Kryptografia zawsze odgrywała dużą rolę w prowadzeniu wojny i w polityce międzynarodowej. Posiadanie dokładnych informacji o zamiarach przeciwnika (lub nawet sprzymierzeńca) oraz ukrycie przed nim swych własnych intencji od najdawniejszych czasów było celem nie tylko wojskowych ale i polityków. Informacje uzyskane z odszyfrowanych depesz lub listów mają ogromne znaczenie, gdyż w większości wypadków są uważane za autentyczne i mogą mieć duży a czasem nawet i decydujący wpływ na przebieg wypadków. Historia tzw. depeszy Zimmermana, min. Spraw Zagranicznych Rzeszy Niemieckiej w 1917 roku, do ambasadora niemieckiego w Waszyngtonie, rozszyfrowanej przez amerykańskie biuro szyfrów, depeszy, która niewątpliwie przyczyniła się do przystąpienia Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej, jest na ogół znana. Mało kto zauważył jednak kilka lat temu informację, że rozszyfrowanie w dniach 28 maja - 2 czerwca 1918 roku depeszy 18 armii niemieckiej pozwoliło sztabowi francuskiemu na ustalenie punktu, w którym miało nastąpić ostateczne uderzenie ofensywy Ludendorffa, i na podciągnięcie na czas rezerw, bez czego front zostałby najprawdopodobniej przerwany i Paryż zajęty. Wystarczy przeczytać pamiętniki Ciano ażeby zdać sobie sprawę w jakim stopniu czytanie szyfrów Ambasady Brytyjskiej w Rzymie ułatwiło mu rokowania z rządem angielskim¹.

1. Historia kryptografii jest dokładnie opisana w książce Davida Kahna *The Codebreakers*, Weinfeld and Nicholson, 1974, nie obejmuje jednak sprawy Enigmy.

Historia tzw. ruchów oporu i służb informacyjnych podczas drugiej wojny światowej ma już za sobą ogromną i często zupełnie niepotrzebną literaturę. Powstało tyle legend, że często trudno odtworzyć prawdziwy przebieg wypadków. O kryptografii niewiele się słyszało do 1973 roku, kiedy to francuski generał Bertrand ogłosił książkę pod tytułem *Enigma*². Spotkała się ona z ostrą krytyką nie tyle ze względu na treść, ile na sposób w jaki jest napisana. Trudno sobie wyobrazić większy panegiryk napisany ku własnej chwale. Bertrand w osobnym rozdziale zamieścił odpisy uzasadnień wszystkich odznaczeń i medali, nie tylko swoich ale i swojej żony, co jest jedynym znanym mi tego rodzaju wypadkiem.

Z informacji w pierwszej części książki wynika: a) że jedynie Polskie Biuro Szyfrów czytało aż do końca 1938 roku niemiecki szyfr. Ani Francuzom, ani Anglikom aż do wybuchu wojny to się nie udało; b) że Francuzi mieli agenta w niemieckim biurze szyfrów (tzw. Aché) który dostarczył im broszurę dla szyfrantów z opisem maszyny Enigma, klucze i tabele do szyfrów oraz prawdopodobnie inne dokumenty, które Bertrand przekazał polskiemu Drugiemu Oddziałowi, za co wówczas nic od Polaków nie dostał. W lipcu 1939 roku Polacy przekazali Anglikom i Francuzom po jednej maszynie Enigma odtworzonej w Polsce, plany dotyczące polskiej maszyny do odszyfrowywania Enigmy oraz system perforowanych arkuszy wymyślony w tym celu przez Żygalskiego; c) że po kampanii wrześniowej polscy matematycy w dalszym ciągu pracowali nad niemieckim szyfrem, który udało im się ponownie złamać w styczniu 1940 roku.

Z końcem 1974 roku ukazała się, za zgodą czynników oficjalnych, książka kpt. Winterbotham pt. *The Ultra Secret*³. Winterbotham był twórcą i dowódcą tzw. SLU (*Special Liaison Unit* — Specjalna Służba Łączności), jednostki mającej na celu rozprawdanie i zapewnienie bezpieczeństwa informacji uzyskanych ze źródła „ULTRA”, jak Anglicy nazwali biuro rozszyfrowywania i opracowywania uzyskanych tą drogą informacji, stworzone w miejscowości Bletchley Park. Książka, pisana całkowicie z pamięci, zawiera szereg nieścisłości a o udziale Polaków w ogóle nie wspomina, nie ze złej woli, lecz po prostu dlatego że Winterbotham pisał tylko o tym co pamiętał, a jak doszło do rozszyfrowania Enigmy w ogóle nie wiedział. Po raz pierwszy dowiedzieliśmy się wówczas o osiągnięciach kryptografów brytyjskich i o decydującym wpływie ich pracy na przebieg wojny.

2. Gustave Bertrand, *Enigma*, Plon, 1973.

3. F. W. Winterbotham, *The Ultra Secret*, Weinfeld and Nicholson, London, 1974.

Niedługo później angielska telewizja BBC⁴ rozpoczęła produkcję programu pt. *The Secret War* (Tajna wojna). Ostatni odcinek dotyczył Enigmy i tu w całej pełni uznano zasługi Polaków. Co najmniej połowa programu była poświęcona polskim matematykom i ich osiągnięciom. Równocześnie Peter Calvocoressi, ostatni kierownik sekcji lotniczej ULTRA, wygłosił przez radio BBC trzy pogadanki o Enigmie, z których jedna była w dużej mierze poświęcona Polakom.

W tym samym mniej więcej czasie rząd angielski udostępnił historykom rozszyfrowane depesze (z wyjątkiem niektórych zagadnień, jak np. wywiad), co pozwoliło na ocenę działalności Bletchley Park, tym razem na podstawie autentycznych dokumentów. Pierwszy wykorzystał te możliwości Ronald Lewin⁵, opisując zarówno sposób w jaki szyfr został złamany — ze specjalnym naciskiem na udział Polaków — jak i osiągnięcia ULTRA. W 1979 roku ukazała się praca dr. Józefa Garlińskiego *Intercept*⁶, która jest próbą syntezy dostępnych dziś na ten temat informacji. W aneksie płk Lisicki po raz pierwszy opisuje metodę zastosowaną przez polskich matematyków dla złamania szyfrów Enigmy. Ostatnio wreszcie Ralph Bennet, profesor historii i prezes Magdalene College w Cambridge, opisał dzień po dniu udział ULTRA w operacji Overlord i w kampanii w zachodniej Europie 1944 r.⁷

Zagadnienie jest dużej wagi, gdyż nie ulega już dziś wątpliwości, że osiągnięcia Bletchley Park miały decydujący wpływ na przebieg operacji wojennych i na wynik wojny. W związku z tym nasuwają się dwa pytania: 1) jak doszło do złamania szyfrów niemieckich, które Niemcy uważali aż do końca za niemożliwe do rozszyfrowania, i jaki był w tym udział polskiego Biura Szyfrów? 2) Jaki był wpływ informacji dostarczonych przez ULTRA na decyzje dotyczące prowadzenia wojny?

Od chwili odzyskania niepodległości Polacy zdawali sobie sprawę z wagi kryptografii, mieli też praktykę w łamaniu szyfrów z czasów wojny polsko-rosyjskiej w 1920 roku. Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej wybudowano nowoczesne stacje podsłuchowe w Poznaniu, Krzesławicach koło Krakowa i na Pomorzu, które przekazywały niemiecką komunikację radiową do

4. Program został później wydany przez BBC w bogato ilustrowanej książce opracowanej przez Brian Johnsona, BBC, 1978.

5. Ronald Lewin, *Ultra Goes to War*, Hutchinson of London, 1978.

6. Dr Józef Garliński, *Intercept*, J. M. Dent & Sons Ltd., 1979.

7. Ralph Bennett, *Ultra in the West: The Normandy Campaign 1944-45*, Hutchinson, 1979.

Biura Szyfrów Drugiego Oddziału, gdzie były one rozszyfrowywane. W ciągu 1928 roku Polacy zdali sobie nagłe sprawę, że Niemcy zaczęli używać maszyny do szyfrowania z którą nasi kryptoanaliści nie mogli sobie dać rady. Wówczas Biuro Szyfrów zaangażowało trzech młodych matematyków studiujących na Uniwersytecie w Poznaniu: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Żygalskiego. Rejewski został wysłany na specjalny roczny kurs matematyki dotyczący zagadnień częściowo związanych z szyfrem na Uniwersytecie w Göttingen⁸. Informacje dostarczone przez polski wywiad działający na terenie Niemiec pozwoliły na ustalenie, że Niemcy używali ulepszonego modelu maszyny opatentowanej przez niemieckiego inż. Scherbiusa, nazwanej przez wynalazcę Enigma i przeznaczonej dla firm handlowych. Amerykańskie, japońskie i polskie biura szyfrów kupiły po jednym egzemplarzu. Przedsiębiorstwo mające zajmować się produkcją i sprzedażą maszyny wkrótce zbankrutowało i maszyna znikła z rynku⁹. W roku 1934 polscy matematycy zdołali przy pomocy dokumentów dostarczonych przez Bertranda i Aché złamać szyfr i czytali go regularnie aż do końca 1938 roku. Płk Lisicki twierdzi, że bez pomocy Francuzów polscy matematycy uzyskaliby ten sam wynik i opisuje ich system pracy w aneksie do książki dr. Garlińskiego. Polacy nie tylko złamali niemiecki szyfr, ale również odtworzyli używaną przez Wehrmacht Enigmę. W największej tajemnicy skonstruowano w fabryce AVA pod kierownictwem inż. Pallutha kilkanaście egzemplarzy. Równocześnie w Biurze Szyfrów wybudowano w 1938 roku, według rysunków Rejewskiego, maszynę do łamania szyfrów którą nazwano BOMBA. Maszyna ta uważana jest za pierwowzór prymitywnego komputera. Nagle w grudniu 1939 roku Niemcy wprowadzili dalsze ulepszenia do maszyny i Polacy stanęli wobec nowych trudności, w ich warunkach prawie nie do rozwiązania. Złamanie szyfru udoskonalonej Enigmy wymagałoby co najmniej 60 BOMB, co znacznie przekraczało polskie możliwości zarówno finansowe jak i produkcyjne.

W lipcu 1939 roku nastąpiło w Warszawie historyczne spotkanie przedstawicieli polskiego, francuskiego i angielskiego wywiadu. Bertrand twierdzi, że Anglicy i Francuzi zaniemówili ze zdumienia, gdy zobaczyli, że Polacy nie tylko znają dokładnie zasady konstrukcji używanej przez Wehrmacht Enigmy, ale również zdołali odtworzyć szereg maszyn¹⁰. Sprzymierzeni dostali

8. vide Garliński, *op. cit.*, rozdział 2.

9. Najlepszy opis działania Enigmy w książce dr. Garlińskiego, rozdział 2.

10. vide Garliński, *op. cit.*, str. 43 i nast.

po jednym egzemplarzu Enigmy, plany BOMBY i tzw. arkusze perforowane, system wymyślony przez Zygalskiego. W kilka tygodni później wybuchła wojna. Biuro Szyfrów zdołało zniszczyć wszelkie ślady swej pracy. Zygalski, Rejewski, Różycki i Palluth przedostali się do Francji, gdzie w dalszym ciągu pracowali w tej samej dziedzinie i 17 stycznia 1940 ponownie złamali szyfr Enigmy. Według notatnika płk. Langer, dowódcy polskiej grupy we Francji, Polacy rozszyfrowali 5084 depesze aż do ewakuacji placówki. Później praca została wznowiona w tzw. wolnej strefie i trwała aż do okupacji całej Francji w 1942 roku. Zaznaczyć należy, że komunikacja radiowa pomiędzy tajną francuską komórką szyfrową a Wielką Brytanią odbywała się za pomocą Polskiej Stacji Radiowej w Anglii. Po zajęciu Francji Zygalski i Rejewski przedostali się do Anglii, gdzie pracowali nadal w komórce szyfrowej Sztabu Naczelnego Wodza pod kierownictwem mjr. Lisickiego. Różycki zatonął na statku wiozącym go do Anglii, Palluth został aresztowany i umarł w niewoli. Tak zakończył się pierwszy rozdział Enigmy.

W chwili wybuchu wojny Brytyjczycy byli daleko w tyle za Polakami jeśli idzie o pracę nad łamaniem szyfrów. Z dużą energią zabrali się do pracy. Wysłali do Bletchley najlepszych matematyków z Cambridge oraz innych naukowców, jak np. prof. Palmer, specjalista od odczytywania tzw. greckich *linear tablets*, i wielu innych. O ile duża część wyników pracy ULTRA (Bletchley Park) jest dziś dostępna, to sposób w jaki odszyfrowywano depesze jest w dalszym ciągu trzymany w ścisłej tajemnicy. Wiadomo że Anglicy zbudowali szereg BOMB, ulepsząc polski wynalazek. Jest rzeczą charakterystyczną, że aż do końca używali polskiej nazwy BOMBA. Przy końcu wojny skonstruowali pierwszy nowoczesny komputer nazwany „Colossus”. Na jakich zasadach maszyny te funkcjonowały nigdy się pewno nie dowiemy. Wiadomo tylko, że większość szyfrów niemieckich była od razu odczytywana i że łączność (SLU) funkcjonowała bardzo sprawnie, tak że w niektórych wypadkach dowódca brytyjski otrzymywał depeszę przed generałem niemieckim. Organizacja ULTRA stopniowo rozbudowywała się i z końcem wojny liczyła przeszło 10.000 ludzi. Źródła informacji były tak dobrze zabezpieczone, że Niemcy do końca nie zorientowali się, że Anglicy czytali ich szyfr. Tajemnica zachowana została aż do 1974 roku. Ronald Lewin opisuje, że gdy komandor E. Travis otrzymał po wojnie tytuł za pracę w ULTRA, oburzona i zgorzchniona żona zapytała go: ale właściwie za co to? Przecież przez całą wojnę nic nie robiłeś poza siedzeniem w biurze. Jak komandor Travis wytłumaczył się przed żoną nie wiadomo. O tym że moja żona

była przez całą wojnę bliskim współpracownikiem prof. Palmera dowiedziałem się dopiero po ukazaniu się książki Winterbothama. Rezultatem tego jest, że poza Wielką Brytanią mało kto wie o osiągnięciach Bletchley. Miejmy nadzieję, że książka dr. Garlińskiego, która ma się ukazać w Niemczech i w popularnym wydaniu w Stanach Zjednoczonych, trochę tę sytuację zmieni.

W jakim stopniu ten ogromny wysiłek i zdumiewające rezultaty przyczyniły się do wygrania wojny? Dokładne opisanie osiągnięć ULTRA wymagałoby kilku tomów. Wystarczy podać kilka przykładów z rozmaitych dziedzin. Zaczniemy od Polski. Jedynym znanym tekstem odszyfrowanym przez Polaków przed wojną jest depesza Hitlera „Do wszystkich lotnisk. Röhm ma być doprowadzony żywy lub umarły”. Podczas najważniejszych ostatnich miesięcy szyfr niemiecki nie był złamany. W pierwszych dniach wojny stacje podsłuchowe zostały zajęte przez nieprzyjaciela, tak że w rezultacie Polacy nie mieli z nich żadnego pożytku. Praca we Francji była raczej chaotyczna. Zdaniem angielskiego oficera łącznikowego „rytuał” śniadania był najważniejszym wydarzeniem dnia. Jakie informacje uzyskali Polacy i co się z nimi stało nie wiadomo. Wiadomo natomiast, co zdziałali Anglicy¹¹.

Zaczniemy od wywiadu. W 1973 roku wyszła książka „Podwójna gra”¹², napisana (za zgodą przełożonych) przez b. oficera angielskiego kontrwywiadu John C. Mastermana. Wynika z niej, że podczas wojny niemiecki wywiad (Abwehr) nie miał ani jednego agenta na terenie Wielkiej Brytanii. Kontrwywiad angielski wyłapał wszystkich i używał ich jako podwójnych agentów. Pozwoliło to w 1944 roku na przekonanie Niemców, że fikcyjna armia pod dowództwem gen. Pattona, której celem miał być desant w Północnej Francji, naprawdę istnieje, co w rezultacie doprowadziło do koncentracji części niemieckich dywizji pancernych na północ od Sekwany. Stało się to dzięki temu, że w Bletchley złamano szyfr Abwehry i czytano jej depesze.

Po raz pierwszy wywarła ULTRA decydujący wpływ na operacje wojenne bezpośrednio przed i podczas tzw. *Battle of Britain* (bitwa o Anglię) w lecie 1940 roku. Szyfr Luftwaffe był najłatwiejszy do złamania i od początku czytano go w Bletchley. Miało to ogromny wpływ na opracowanie systemu kierowania

11. W papierach płk. Langer, obecnie w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie, mogą być na ten temat pewne informacje.

12. John C. Masterman, *The Double-Cross System in the War 1939 to 1945*, Sphere, London, 1973.

samolotów niemieckich na cele przy pomocy promieni radiowych. Opisane to jest szczegółowo w książce prof. R. V. Jonesa „Ścisłe Tajne. Wojna”. Dzięki temu wynaleziono system zakłócania tych promieni, co znacznie zmniejszyło skuteczność bombardowań niemieckich. Podczas bitwy o Wielką Brytanię Marszałek Dowding, głównodowodzący angielskiego lotnictwa myśliwskiego, nie tylko był uprzedzany o poszczególnych nalotach (choć często nie znał ich celów), ale przede wszystkim był powiadomiony o głównych celach strategii Göringa, który dążył do zaangażowania i zniszczenia w walce myśliwców angielskich. Dowding nie dał się wciągnąć w pułapkę, odmówił użycia większej ilości eskadr myśliwskich w tym samym czasie, i w rezultacie wygrał bitwę. ULTRA przyczyniła się walcnie do ocalenia Anglii przed inwazją. Taktyka Dowdinga spotkała się później z tak silną krytyką, że nie mogąc ujawnić źródła informacji na których oparł sposób prowadzenia bitwy, został zmuszony do podania się do dymisji.

Najtrudniejszy do odczytania był szyfr niemieckiej marynarki wojennej. Czytając statystyki zatopionego tonażu sprzymierzonych łatwo można się domyślić, kiedy Anglicy czytali szyfr Doenitza. I tak np. w listopadzie 1942 roku straty wynosiły 730.000 ton. Niemcy wprowadzili dodatkowy element do Enigmy (5-ty tzw. rotor) i dopiero z początkiem 1943 roku Harry Gołombek, znany mistrz szachowy, zdołał złamać nowy szyfr. W marcu tegoż roku straty spadły do 200.000 ton, okupionych zniszczeniem 42 łodzi podwodnych. Wiadomości z ULTRA pozwoliły na zmianę trasy konwojów i na systematyczne niszczenie tzw. „dojnych krów”, tzn. statków z zaopatrzeniem dla niemieckich łodzi podwodnych.

Z operacji wojennych na lądzie wybierzemy dwa przykłady: jeden z Afryki Północnej, drugi z kampanii w Normandii.

Z końcem sierpnia 1942 roku¹³ Kesselring, głównodowodzący niemiecki na terenie Morza Śródziemnego, obiecał przerzucić do Libii transport benzyny drogą powietrzną, pod warunkiem że pozycje 8-ej Armii angielskiej zostaną zaatakowane przed końcem m-ca. Rommel zgodził się na to i przekazał Kesselringowi drogą radiową dokładny plan operacji, który znalazł się na biurku gen. Montgomery zanim otrzymał go Kesselring. Pozwoliło to na przygotowanie obrony. Podobna sytuacja zaistniała w chwili gdy 8-ma Armia dotarła do Tunisu. Ostrzeżenie z ULTRA pozwoliło na uniknięcie zasadzki przygotowanej przez Rommla. Dodać tu należy, że dostępna jest obecnie duża dokumentacja z ULTRA

13. Reginald Jones, *Most Secret War. British Scientific Intelligence 1939-45*, Hamish Hamilton, London, 1978.

dotycząca bitwy pod Monte Cassino. Może któryś z polskich historyków zbada ją bezstronnie¹⁴.

Historia desantu w Normandii napisana na podstawie rozszyfrowanych depesz niemieckich prawie że się nie różni od historii uwzględniającej wszystkie dostępne źródła¹⁵. Przede wszystkim informacje z ULTRA pozwoliły na upewnienie się, że Niemcy uwierzyli w symulowany zamiar desantu na północ od Sekwany, a lądowanie w Normandii uważali początkowo za dywersję. Później Bradley został na czas ostrzeżony przed kontratakami niemieckimi pod Carantan i miał czas przegrupować swe siły. Podobna sytuacja zaistniała w przededniu kontrataku niemieckich dywizji pancernych pod Mortin. Amerykanie wiedzieli nie tylko gdzie, kiedy i jakimi siłami Niemcy uderzą, ale z depeszy Hitlera do von Kluge dowiedzieli się, że w razie niepowodzenia Niemcy nie mają prawa się wycofać, co pozwoliło na wciągnięcie ich w rodzaj zasadzki i zadanie im tak dużych strat, że stracili wszelką możliwość zatrzymania wojsk sprzymierzonych. Książkę prof. Bennetta, bardzo dobrze i jasno napisaną, czyta się jak powieść sensacyjną.

Czy ULTRA nigdy jednak nie zawiodła? Czy brak informacji, na które może liczone, nie przyczynił się do większych niepowodzeń? Na ten temat krąży dużo legend, które pomimo udostępnienia oficjalnych dokumentów trudno jest wykorzenić. Jako przykład weźmiemy sprawę nalotu na Coventry, bitwę pod Arnhem i ofensywę niemiecką w Ardenach.

Jeden z „historyków” napisał, że Churchill wiedział o planowanym bombardowaniu Coventry (w nocy z 16 na 17 listopada 1940 roku) i że nie chcąc spalić źródła informacji (ULTRA) nie zarządził ewakuacji miasta ani też nie wzmocnił obrony przeciwlotniczej. Cała historia jest od początku do końca wymyślona, najprawdopodobniej dla celów czysto handlowych; Anglicy wiedzieli że masowy nalot będzie miał miejsce najprawdopodobniej podczas pełni księżyca. Cele były oznaczone nr 51, 52, 53, nikt dokładnie nie wiedział co te cyfry znaczą. Na podstawie mapy znalezionej w jednym z zestrzelonych samolotów sztab angielski doszedł do przekonania, że celem będzie Londyn. Nawet gdyby cel był dokładnie znany, nic na to by nie można było poradzić, gdyż w tym czasie nocne myśliwce angielskie nie miały jeszcze radaru, a artyleria przeciwlotnicza była w nocy prawie że bezskuteczna.

14. Winterbotham, *op. cit.*, str. 75.

15. *Public Record Kew*, London.

Drugą legendą jest rzekomy brak informacji który miał spowodować katastrofę pod Arnhem, gdzie polska Brygada Spadochronowa poniosła ciężkie straty. Zarówno Bennet jak i R. Lewin wykazują, że informacji było pod dostatkiem, choć nie tak dokładnych jak podczas kampanii w Normandii. Będąc niedaleko swego zaplecza, Niemcy coraz mniej używali radia a coraz więcej telefonu, tak że ilość depeesz znacznie się zmniejszyła. Historia Arnhem dowodzi raz jeszcze, że nie wystarczy być w posiadaniu informacji, trzeba jeszcze umieć je wykorzystać. Naczelne dowództwo wiedziało nie tylko, że dwie dywizje SS które wydostały się z kotła pod Falaise reorganizowały się w okolicy Arnhem, ale również o zainstalowaniu głównej kwatery gen. Modla, dowódcy niemieckiej Grupy Armii B, w samym środku projektowanego terenu zrzutu. Przedstawiciel SLU miał powiedzieć marszałkowi Montgomery „wskoczycie w gniazdo szerszeni”, na co ten ostatni nie zareagował. Głównym powodem było przekonanie, że Niemcy są pobici i niezdolni do jakiegokolwiek akcji. Podobne rozumowanie doprowadziło do zupełnego zaskoczenia Sprzymierzonych przez ofensywę niemiecką w Ardenach w grudniu 1944 roku. I znowu informacji o koncentracji wojsk, dowozie amunicji i paliwa, przerzucaniu jednostek SS i dyw. pancernych było pod dostatkiem. Nikt jednak nie chciał wierzyć, że Niemcy są jeszcze zdolne do ofensywy.

Wszystkie osiągnięcia ULTRA zostały przekazane Amerykanom, którzy w pełni korzystali z informacji dostarczonych przez SLU. W jakim stopniu skorzystała z nich Rosja Sowiecka? W żadnej z książek angielskich nic na ten temat nie napisano, a oficjalna historia pomija to zagadnienie milczeniem. W roku 1964 Aleksander Foote wydał swe wspomnienia pt. „Podręcznik dla szpiegów”¹⁶. Foote był komunistą angielskim, ochotnikiem Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii a później agentem wywiadu sowieckiego w siatce *Rote Kapelle*, której centrala znajdowała się w Szwajcarii. Siatka działała na terenie Zachodniej Europy, na czele jej stał Polak Trepper. Głównym agentem był Niemiec Rudolf Roessler. Foote był radiotelegrafistą i przekazywał informacje do Moskwy. Równocześnie pracował dla wywiadu brytyjskiego. Rosjanie byli zdumieni dokładnością i regularnością informacji o wojskach niemieckich i o planach niemieckiego Sztabu Generalnego. Nie udało im się jednak wykryć źródła tych informacji. Tajemnica powoduje powstawanie legend. Rozmaici

16. Alexander Foote, *Handbook for Spies*, Museum Press, 2nd ed., London, 1964.

pisarze twierdzą, że Roessler był w kontakcie z organizacją obejmującą szereg najwyższych postawionych niemieckich generałów i urzędników, której celem było obalenie Hitlera. Nikt jednak nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób informacje były tak szybko i regularnie przekazywane do Szwajcarii i dlatego tak wysoko postawione osobistości wybrały sobie jako jedyny kontakt drugorzędnego agenta sowieckiego. Tego rodzaju sensacje wywodziły w końcu z równowagi znanego pisarza angielskiego Malcolma Muggeridge'a, przyjaciela Foote'a (Foote po rozbiciu przez Gestapo *Rote Kapelle* wyjechał do Moskwy, skąd został wysłany do Wielkiej Brytanii, gdzie „zrezygnował” z dalszej współpracy z wywiadem sowieckim). Muggeridge w artykule w piśmie *Observer* wysunął inną teorię. Kontakt pomiędzy wywiadem brytyjskim i sowieckim w ogóle nie było. Walka ze wspólnym wrogiem nie zmniejszyła wzajemnej nieufności. Mało znany jest fakt, że aż do końca wojny Rosjanie odmawiali Anglikom jakichkolwiek informacji na temat jednostek niemieckich zaangażowanych na froncie wschodnim. Wszystkie dane o planowanych ofensywach niemieckich, przekazane oficjalną drogą, Stalin odrzucał jako prowokacje. Równocześnie Anglicy obawiali się, że Rosjanie mogą celowo uprzedzić Niemców, że szyfr Enigmy został złamany (choćby celem osłabienia Wielkiej Brytanii i wyciągnięcia dla siebie jak największych korzyści z wygranej wojny). Najprostszym i najbezpieczniejszym sposobem było przekazywanie informacji z ULTRA poselstwu angielskiemu w Bernie, a stąd via Foote i Roessler do Moskwy. Związany tajemnicą Foote ani nie potwierdził, ani nie odrzucił tej teorii, ale zdaniem M. Muggeridge'a „dał mu do zrozumienia, że tak naprawdę było”.

Dr Garliński zajmuje się sprawą przekazywania informacji z ULTRA do Rosji i częściowo przyjmuje drogę via Foote - Roessler, twierdzi jednak, że poważna niemiecka organizacja, o której była mowa powyżej, naprawdę istniała, i że pisze na ten temat książkę. Dodać tu można, że wszystko wskazuje na to że Rosjanie nie czytali szyfru Enigma, inaczej łatwo by się zorientowali z jakiego źródła pochodziła informacja Roesslera.

Jak dalece Polacy przyczynili się do powstania organizacji ULTRA a tą drogą do wygrania drugiej wojny światowej? Jedną rzecz można stwierdzić na pewno. W okresie przedwojennym jedynie Polska osiągnęła konkretne rezultaty w pracy nad złamaniem szyfru Enigmy. Konferencja w lipcu 1939 roku jest tego najlepszym dowodem. Anglicy rozbudowali później organizację ULTRA do rozmiarów, o których Polakom nigdy się nie śniło. Nie zapominajmy, że dopiero w styczniu 1941 roku udało się

Anglikom zdobyć z uszkodzonej łodzi podwodnej Enigmę niemieckiej marynarki wojennej wraz z kluczami itd., i pomimo to przez prawie rok nie potrafili złamać szyfru Doenitza. Można więc przypuszczać, że bez pracy Polaków i bez BOMBY informacje które pozwoliły na wygranie bitwy o Wielką Brytanię nie byłyby dostępne.

Szereg nowych książek na ten temat ukaze się w najbliższej przyszłości. Harry Gołombek pisze wspomnienia, pisze również książkę Peter Calvocoressi. Jak dotychczas Anglicy uznają wkład Polaków.

Pierwszym opracowaniem ze strony polskiej jest książka dr. Garlińskiego. Jest to jednak opracowanie a nie oryginalne dokumenty. Historycy wolą opierać się na źródłach z pierwszej ręki. Z pracy dr. Garlińskiego wynika, że w Instytucie Sikorskiego są wspomnienia Rejewskiego oraz jego korespondencja. Dokumenty te powinny być, naszym zdaniem, opublikowane w fachowych pismach na Zachodzie. Dopóki nie udostępni się badaczom *wszystkich* oryginalnych źródeł, nie można mieć do nich pretensji, że nie biorą pod uwagę polskiego punktu widzenia.

Na zakończenie przytoczę urywek z książki Rolanda Lewina:

„Wkład Polski do walki o wspólny cel w ciągu całej wojny przeszedł do historii: w lotnictwie myśliwskim, w eskadrach bombowców w ramach RAF, w oblężonym Tobruku, na wzgórzach Monte Cassino, na polach walki w Normandii. Tym niemniej ich pierwszy wyczyn był najważniejszy. Wprowadzili oni bezbłędnie w życie decyzję Sztabu Generalnego: w razie wojny sekret Enigmy musi być użyty jako wkład Polski do wspólnej obrony i udostępniony sprzymierzeńcom. Oni to umożliwili powstanie ULTRA”¹⁷.

Tadeusz HEINRICH

17. Roland Lewin, *op. cit.*, str. 49/50.

Piotr WANDYCZ

U ŹRÓDEŁ DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Najnowsza książka Leona Noëla, ambasadora francuskiego w Warszawie w latach 1935-1939, nie przynosi szczególnych rewelacji. Starannie wydany tomik, zawierający dobre zdjęcia z późnych trzydziestych lat, nosi nieco sensacyjny tytuł *La guerre de*

39 a commencé 4 ans plus tôt* (Wojna rozpoczęła się cztery lata wcześniej). Cztery lata odnoszą się do anglo-francusko-włoskiej konferencji w Stresie z 1935 roku, którą Noël, z dużą dozą przesady, traktuje jako punkt zwrotny w historii dyplomacji międzywojennej. Teza, że przyczyn drugiej wojny należy dopatrywać się w latach poprzedzających ją, nie jest ani nowa ani oryginalna. Zresztą pozostałe tezy Noëla także nie grzeszą oryginalnością; poza pewnymi szczegółami, które mogą zainteresować historyka, czytelnik nie znajdzie w tym tomie ani nowych faktów, ani nowych interpretacji.

W krótkim wstępie Noël przeciwstawia wielkość Francji po 1918 roku jej upadkowi w 1940 roku. Cytując de Gaulle'a stwierdza, że wojna zaczęła się w czasach pokoju, a katastrofa Francji była „nieuchronną konsekwencją serii niewiarygodnych błędów i uchybień” z których Hitler skorzystał w pełni na przestrzeni trzydziestych lat. Pierwszy, dość krótki rozdział traktuje o nieudanej próbie stworzenia wspólnego frontu między Francją, Wielką Brytanią i Włochami, który historyk Baumont określił w jednej ze swych prac jako fasadę a nie front. Była to rzeczywiście fasada, za którą kryły się zasadnicze rozbieżności między polityką Londynu, Paryża i Rzymu. Noël uczestniczył w konferencji w Stresie i poświęcił nieudany próbom zmontowania przymierza państw zachodnich i Włoch książkę pt. „Iluzje Stresy: Włochy oddane Hitlerowi”. Rozdział pierwszy jest więc krótkim streszczeniem tej książki.

Rozdział drugi dotyczy remilitaryzacji Nadrenii w 1936 roku. Noël potępia politykę francuską tego okresu, biernie uleganie wpływom angielskim i brak determinacji ze strony rządu i sztabu generalnego. Interpretacje jego nie wywołują zastrzeżeń, z tym że Noël nie wychodzi w swej analizie poza znane fakty i naświetlenia. Następstwa remilitaryzacji takie jak zbliżenie polsko-francuskie w Rambouillet i rola w nim Noëla są pominięte — pisał już on zresztą o tym w swych wspomnieniach (*L'agression allemande contre la Pologne*). Po króciutkim rozdziale czwartym (4 i pół strony) dotyczącym *Anschluss'u* Noël poświęca następny, bardzo obszerny rozdział sprawie czechosłowackiej i Monachium. Rozdział nosi tytuł „los sojusznika czechosłowackiego: Monachium i jego następstwa”. Noël skupia swą główną uwagę na krytyce polityki francuskiej wobec Pragi, wykazując przeinaczenia faktów przez Georges'a Bonnetta, Alexisa Légera i gen. Gamelina. Rozdział zawiera trochę interesujących szczegółów odnośnie polityków i generalicji francuskiej. W swych wywodach polemicznych, w których autor daje pełny upust swym uczuciom, Noël sugeruje, iż jedynie jego linia polityczna, polegająca na ostrzeżeniu Pragi, że Francja będzie mogła popierać ją tylko do pewnego momentu, dając czas Benešowi na załatwienie sprawy sudeckiej, była uczciwa i logiczna.

* Editions France-Empire, Paris, 1979.

Pewne zastrzeżenia budzą wywody Noëla na temat słabości militarnej Francji w 1938 roku. Autor wspomina o wizycie gen. Vuillemina w Niemczech, podczas której przekonał się o potęgze Luftwaffe, ale nie dodaje — nie znając zapewne prac na temat zbrojeń niemieckich — iż Niemcy umyślnie pokazywali generałowi francuskiemu swe nieliczne jeszcze najnowsze modele samolotów, by uwierzył w ogromną przewagę lotniczą, której jeszcze wówczas nie mieli. Noël stwierdza, że ZSSR był zdecydowany nie interweniować, z czym można się zgodzić, oraz zapewnia, że Polska nie miała zamiaru zrobienia niczego dla Czechosłowacji. Przygotowywała się ona natomiast „do współpracy w jej rozbiórce”, ryzykując znalezienie się w wypadku wojny europejskiej w obozie przeciwnym niż Francja. W tym wypadku Noël niewątpliwie upraszcza sytuację, gdyż Warszawa nie znalazłaby się na pewno po stronie niemieckiej gdyby wybuchła wojna z powodu Czechosłowacji. Przyznaje to nawet Hubert Ripka w swej znanej książce o Monachium.

Ostatni rozdział pt. „Komedia moskiewska”, stanowiący więcej niż jedną trzecią całej książki, dotyczy rokowań między mocarstwami zachodnimi i ZSSR w 1939 roku. Jest to może najbardziej interesujący rozdział, chociaż nie zawiera rewelacji. Noël rozprawia się w nim z Bonnetem, Légerem, a szczególnie gen. Gamelinem, podkreślając brak koncepcji ze strony dyplomacji francuskiej i brak koordynacji między Quai d'Orsay i sztabem generalnym. Polska zajmuje sporo miejsca w rozważaniach Noëla, który, jak się dowiadujemy, był prawie że jedynym dyplomata francuskim, który już od trzech lat bezskutecznie nalegał na wypracowanie jakichś form współpracy wojskowej francusko-polsko-rosyjskiej. Potępiając błędy zachodu i jego niedocenianie Rosji jako sprzymierzeńca, Noël podkreśla równocześnie złą wolę Stalina. Píše on: „Stalin uważał więc za rzecz naturalną pozorne zaangażowanie się w rokowania z Francją i Anglią, nie mając najmniejszego zamiaru podpisać z nimi umowy”. Rozmowy służyły do wywierania presji na Hitlera w kierunku porozumienia z Moskwą i uzyskania od Niemiec, czego Stalin nie miał szansy uzyskać od zachodnich mocarstw, a mianowicie krajów bałtyckich i wschodniej Polski. Wydaje mi się, że jest to słuszna ocena sytuacji, ale zdaje się ona stać w pewnej sprzeczności z szczegółową i rozwickłą analizą błędów popełnionych przez zachód.

Do ciekawszych i mniej znanych aspektów stosunku Francji do Polski w 1938-1939 roku należą cytowane przez Noëla wypowiedzi i opinie Légera, Bonneta a szczególnie gen. Gamelina — który jest *bête noire* autora — na temat anulowania sojuszu a przynajmniej zrobienia z niego zupełnej fikcji. Wyżej wymienieni zdawali się myśleć całkiem serio o pozostawieniu Polski swemu losowi.

Książka Noëla uwzględnia w pewnej mierze nowsze opraco-

wania francuskie a nawet niektóre włoskie, pomija natomiast prawie całkiem obszerną literaturę anglosaską, nie mówiąc już o polskiej, czechosłowackiej czy rosyjskiej. Cytując rozmowę Bonneta z Łukasiewiczem Noël nie zauważa istnienia opracowanych przez Jędrzejewicza papierów Łukasiewicza, gdzie znajduje się raport tej rozmowy (składinąd różniący się od wersji podawanej przez Noëlą). Książka ta jak wiadomo istnieje w języku angielskim. Poza paroma uszczypliwymi zdaniem na temat rzekomo spreparowanych wspomnień Becka (*Dernier rapport*) Noël ignoruje istniejące przekazy źródłowe, niedostępne w języku francuskim.

Oczywiście Noël nie jest historykiem. Mimo wszystko jako wieloletni dyplomata specjalizujący się w tematyce Europy środkowowschodniej nie powinien popełniać zbyt wielu rażących gaf. Traktat w Rapallo nie zawierał, wbrew temu co pisze Noël, tajnych klauzul dotyczących współpracy wojskowej niemiecko-sowieckiej. Były ambasador francuski w Warszawie powinien był wiedzieć, że wschodnie ziemie międzywojennej Rzeczypospolitej nie zostały zabrane przez Rosję w trakcie pierwszego rozbioru w 1772 roku (str. 125). Ale nie są to na szczęście częste poślizgnięcia. Zważywszy na antypatię jaką Noël żywił dla Becka, jego niechętnie uwagi na temat polskiego ministra Spraw Zagranicznych i wzmianki o „Becku i jego klice” i „kłanie polskich germanofilów” są nader umiarkowane. Wzmianki o Grzybowskim, Łukasiewiczu i niektórych polskich generałach są wręcz pochlebne.

Jak stwierdziłem na wstępie, książka Noëlą nie wnosi wiele nowych elementów i gdyby nie nazwisko autora, tom ten umknąłby prawdopodobnie uwadze historyków, tonąc w powodzi prac poświęconych dyplomacji europejskiej w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej.

Piotr WANDYCZ

Anna M. CIENCIAŁA

„MIĘDZY LIZBONĄ A LONDYNEM”*

Książka Tadeusza Piszczkowskiego zawiera dziesięć rozdziałów i obejmuje lata 1942-1945 (do przedednia konferencji jałtańskiej). Jak pisze w swej ciekawej przedmowie Ambasador Edward Raczynski, autor opisuje „niewykorzystane okazje dru-

* Tadeusz Piszczkowski, *Między Lizboną a Londynem. Z sekretów dyplomacji polskiej w czasie drugiej wojny światowej*. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1979, str. 218.

giej wojny światowej”: Głównym celem dyplomacji polskiej było zbudowanie federacji w Europie środkowo-wschodniej i południowo-wschodniej, które byłyby zdolne stawić czoło ekspansji zarówno niemieckiej jak i rosyjskiej. Była to koncepcja gen. Sikorskiego. W tym też celu Jan Szembek oraz płk Kowalewski prowadzili w Lizbonie tajne rozmowy z b. ministrem rumuńskim Pangalem na temat zerwania sojuszu rumuńskiego z Niemcami. Prowadzili podobne rozmowy z przedstawicielami Węgier i Włoch, z tym, że oderwanie Włoch od Niemiec uważano za konieczny warunek ugruntowania wpływów aliantów zachodnich na Bałkanach. Niestety — jak pisze Ambasador Raczyński — „przyszłe losy Europy środkowej i wschodniej, a w tej liczbie polskiego sojusznika, potraktowały mocarstwa zachodnie jako zagadnienie wtórne”. Praca oparta jest na dokumentach Archiwum Instytutu Sikorskiego w Londynie oraz na archiwach brytyjskiego MSZ (*Foreign Office*). Nie figuruje w niej natomiast zespół dokumentów brytyjskiej rady ministrów (*Cabinet Papers*).

Zaletą książki jest to, że obrazuje polskie koncepcje federalcyjne oraz zmienny stosunek do nich rządu brytyjskiego. Jej wadą natomiast — brak wnikliwej analizy polityki sojuszników zachodnich, która przecież przesądziła o losach krajów Europy środkowej i południowo-wschodniej. Poza tym autor nie podaje dostatecznych informacji na temat wagi raportów Szembeka w porównaniu z wiadomościami, które otrzymywała z tych samych źródeł ambasada brytyjska w Lizbonie. Praca stanowi jednak ciekawy przyczynek do historii polskiej myśli politycznej w okresie drugiej wojny światowej. Natomiast czytelnik, którego interesują źródła koncepcji i polityki sojuszników zachodnich, musi sięgnąć do pracy Woodwarda o polityce brytyjskiej (Llwellyn Woodward, *British Foreign Policy in the Second World War*, 2-gie wydanie, Londyn, 1971 ff) oraz do opracowań amerykańskich na temat polityki Stanów Zjednoczonych, z których ostatnią pozycję reprezentuje książka Roberta Dalleka o polityce zagranicznej Roosevelta (Robert Dallek, *Franklin D. Roosevelt and American Foreign Policy, 1932-1945*, New York, Oxford University Press). Na temat zaś polityki sowieckiej oraz ustosunkowania się do niej sojuszników zachodnich należy przeczytać świetną pracę V. Mastnego (Vojtech Mastny, *Russia's Road to the Cold War. Diplomacy, Warfare and the Politics of Communism, 1941-1945*, Columbia University Press, New York, 1979).

Niestety, tak jak przed marcem 1939 roku Wielka Brytania uważała Europę środkową i południowo-wschodnią za domenę wpływów niemieckich, tak też mniej więcej od marca 1943 roku sojusznicy zachodni uważali ten rejon za strefę wpływów sowieckich. Churchill usiłował co prawda utrzymać jakąś równowagę wpływów na Bałkanach — ale poza Grecją to mu się nie udało. W obliczu założeń politycznych i wojskowych aliantów zachodnich starania dyplomacji polskiej skazane były na klęskę.

Teraz kilka uwag szczegółowych. Autor pisze, iż Szembek został „wyleczony z niektórych dawnych błędów” (str. 13), oraz, że „jeżeli Szembek w swoim czasie miał skłonności proniemieckie, może nawet w wyższym stopniu niż Beck, to obecnie się ich wyzbył i był zwolennikiem surowego potraktowania Niemiec po ich całkowitym rozgromieniu” (str. 16). Dalej czytamy (str. 20), że „tak jak w roku 1934 był zdania, że ‘polska racja stanu wymagała porozumienia polsko-niemieckiego’, tak samo od 1 września 1939 jest on pewny, ‘że ta sama racja stanu wymaga na każdym polu zwalczania wszystkimi siłami polityki niemieckiej i niemieckiego życia’”. Wydaje się, że już czas najwyższy wyzbyć się nawyku określania polityki Becka — czy też Szembeka — jako proniemieckiej. Zresztą Szembek nie od 1 września 1939 ale już co najmniej od 23 marca uważał, że Polska musi przeciwstawić się Niemcom. Dwa dni po ponownym wysunięciu przez Ribbentropa roszczeń do Gdańska i Pomorza (21. III. 1939) Szembek powiedział Łubieńskiemu, „że — moim zdaniem — winniśmy teraz Niemcom zęby pokazać” (*Diariusz i Teki Jana Szembeka 1939-1945*, t. IV, opr. Jan Zaraniski, Londyn, 1972, str. 528). Wreszcie, autor sam pod koniec książki przedstawia polską politykę zagraniczną bardziej obiektywnie niż by to sugerowały wypowiedzi cytowane powyżej. Nasuwa się jednak pytanie — jeśli zbliżenie bądź do Rosji bądź do Niemiec nie było praktycznie możliwe na zasadach odpowiadającym aspiracjom Polski (str. 206), a dla prowadzenia polityki równowagi Polska nie była dość silna (str. 207), to jakąż więc politykę miała prowadzić? Tym bardziej, że, jak pisze słusznie autor, na Francję i Wielką Brytanię Polska nie mogła właściwie liczyć, a za brak współpracy z Czechosłowacją większą odpowiedzialność ponosiła ta ostatnia (str. 206-207).

W rozdziale II, na str. 24-26 znajdujemy *podtytuł*: „Szembek prostuje legendę”. Rzec dotyczy zagadnienia: czy Piłsudski zaproponował Francji wojnę prewencyjną czy też nie? (1933 r.). Dawno już wiadomo, że takiej propozycji Piłsudski *expressis verbis* nie złożył. Były jednak sondaże i to przed listopadem 1933 roku, które wykazały, że taka propozycja nie miała żadnych szans powodzenia. Najważniejsza z nich to misja kapitana Morstina, którą opisał Wacław Jędrzejewicz w 1966 roku, a o której Piłsudski nic nie wspomina. (Wacław Jędrzejewicz, „The Polish Plan for a Preventive War against Germany in 1933”, *Polish Review*, New York, 1966, t. XI, nr 1, str. 62-91).

Nie należy pisać, że w 1943 roku „sprawa włoska” praktycznie wymykała się z rąk polskich orędowników odrębnego pokoju Włoch z aliantami (str. 59). Polscy dyplomaci nigdy tej sprawy w swych rękach nie mieli. Po prostu pisali na ten temat raporty i zgłaszali sugestie.

Benesz szukał poparcia Rosji nie tylko dlatego, że liczył na nią, aby przymusić Słowaków do posłuszeństwa (str. 68). Łudził

się, że Czechosłowacja stanie się pomostem między wschodem a zachodem. Mimo zasłużonej krytyki tej polityki trudno się dziwić, że Benesz szukał porozumienia z Moskwą. Politycy brytyjscy nie okazywali wielkiej chęci do *aktywnego* zaangażowania się w sprawy Europy środkowej. Po prostu popierali federację polsko-czeską i inne, do czasu kiedy natrafili na sprzeciw Kremla. Poza tym rząd sowiecki szantażował Benesza wstrzymując swe uznanie granic przedmonachijskich Czechosłowacji. Był to skuteczny środek presji na Prezydenta, aby zrzekł się układu federacyjnego. W końcu nie Czesi lecz sojusznicy zachodni zadecydowali o losach tej części Europy, więc wycieczki przeciw polityce Benesza są niepotrzebne (patrz str. 208).

Nie jest ściśle, że w pierwszych miesiącach 1943 roku nastąpiła „gwałtowna zmiana w polityce Stanów Zjednoczonych” (str. 85). Polityka ta nadal *oficjalnie* utrzymywała, że Ameryka nie uzna zmian terytorialnych dokonanych podczas wojny oraz że po wojnie zmiany takie winny nastąpić tylko za zgodą ludności. Natomiast po zwycięstwie rosyjskim w Stalingradzie Roosevelt w tajemnicy przed swoim MSZ (*State Department*) zaczął skłaniać się do myśli, że pewne zmiany terytorialne na korzyść Rosji są nieuniknione. Nie należy jednak tłumaczyć polityki Roosevelta tylko jako wyniku specyficznych cech jego charakteru (str. 87). Czytając analizę tej polityki skreśloną przez Bullitta (str. 88) należy pamiętać, że Roosevelt nie wyobrażał sobie ani zwycięstwa nad Niemcami i Japonią, ani stałego pokoju na świecie bez współpracy z Rosją. Dla tego ostatniego celu gotów był odstąpić w Europie środkowej i południowo-wschodniej od zasad głoszonych w Karcie Atlantycznej. Nie zdawał sobie sprawy ze skutków ekspansji sowieckiej i za bardzo wierzył w zasięg swego wpływu osobistego na Stalina. Nie ulega kwestii, że tradycyjny pogląd brytyjski, iż Europa środkowa i południowo-wschodnia nie należy do strefy bezpośrednich interesów Anglii, odziedziczył Roosevelt. Ironia losu zrządziła, że stało się to wówczas, gdy Churchill zaczął się obawiać ekspansji rosyjskiej na Bałkanach. Wystąpił on wówczas jako kontynuator starej polityki austro-węgierskiej, która uznawała wpływy rosyjskie na Bałkanach wschodnich w zamian za uznanie swoich wpływów na zachodzie. Okazało się jednak, że Roosevelt nie posiada dla tych spraw zrozumienia. Nie był on amerykańskim Bismarckiem.

Nie wiadomo co autor ma na myśli pisząc o „niezrozumiałej” polityce jugosłowiańskiej Churchilla (str. 154). Premier brytyjski popierał Titę militarnie, ponieważ walczył on z Niemcami i Włochami. Przy tym Churchill liczył na powojenne wpływy brytyjskie w Jugosławii.

W książce znajdują się pewne błędy w tłumaczeniu z angielskiego na polski. Tak np. *bulk* nie znaczy rdzeń ale większość

(str. 47) a *knock Italy out of the war* należy przetłumaczyć nie jako wykopanie ale wyrzucenie Włoch z wojny (str. 51).

Sprawa polska, a co za tym idzie polska myśl polityczna w drugiej wojnie światowej czeka jeszcze na gruntowne opracowanie. Książka niniejsza stanowi ciekawy przyczynek do tego tematu.

Anna M. CIENCIAŁA
University of Kansas, USA.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

KARTOGRAFIA, GRAFIKA, MEDALE

Dokoła rzymskiej kolekcji śp. Emeryka Czapskiego krążyły legendy, których słuszność potwierdził wydany obecnie tom I *Katalogu** w opracowaniu śp. Wojciecha Kreta. Kolekcja jest istotnie bezcenna a fakt, że w katalogu znalazły się także opisy map z XV i XVI wieku znajdujących się w innych zbiorach sprawia, że trudno wyobrazić sobie przyszłe naukowe prace kartograficzne z tego zakresu bez oparcia się o wyniki badań śp. Kreta.

Twórca kolekcji daje w przedśłowiu skrót swojej biografii i opis okoliczności, w których obudziła się w nim ambicja zgromadzenia rozrzuconych po świecie dawnych map Rzeczypospolitej, stanowiących „dokumenty geograficzne, historyczne i riejednokrotnie mających wartość artystyczną”. Początki kolekcji sięgają lat międzywojennych. We wrześniu 1939, opuszczając leśniczówkę Synkowicze pod Słonimem, Czapski wyjął z ram i zabrał ze sobą kilka cennych i ulubionych map np. unikatową mapę G. de Jode'a z portretem Stefana Batorego z roku 1576. (W dalszych wydaniach na miejscu Batorego pojawia się Zygmunt III).

„W ostatnich latach wojny — pisze w „Przedśłowiu” Czapski — nadarzyła się szczególna okazja nabycia map interesujących, albowiem wzmożony popyt na mapy Ameryki spowodował wy-

* Wojciech Kret, *Katalog dawnych map Rzeczypospolitej Polskiej w kolekcji Emeryka Hutten Czapskiego i w innych zbiorach*. Tom I: Mapy XV-XVI wieku. Opracował... Wrocław 1978, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk. (Wydane w formie teczki, zawierającej właściwy katalog w formie książki w ósemce, str. 164 i reprodukcje map na luźnych arkuszach (1-28). Nakład 2.000 egzemplarzy.

rywanie tych map z atlasów w celu korzystniejszej ich sprzedaży a następnie rzucenie na rynek już po niższej cenie map pozostałych ze zdekompletowanego atlasu". Część kolekcji wtedy właśnie została nabyta, sztuka po sztuce, w różnych krajach. Dalsze zdobycze wiążą się z wędrówkami Czapskiego po świecie. „Praca moja w MSZ w Londynie — pisze — a następnie uczestnictwo w Polskiej Misji Wojskowej przy Naczelnym Dowództwie Alianckim (SHAEFF) w Paryżu dały mi możliwość poszukiwań w tych dwóch największych centrach europejskich handlu zabytkami". „Następnie — kontynuuje — reprezentowanie Dowództwa 2-go Korpusu przy Wysokiej Komisji Alianckiej w Rzymie i późniejsze tam zajęcia umożliwiły powiększenie zbiorów we Włoszech, Szwajcarii, Niemczech i Austrii. Kilka map pochodzi z Hiszpanii i Ameryki. Zbiór ten tworzył się w ciągu lat, powoli" — „służyło mi szczęście tak ważne dla zbieracza".

Jak często zdarza się kolekcjonerom, Czapski umiał stworzyć wspaniały zbiór i osiągnąć wysoki poziom wiedzy fachowej z zakresu kartografii, nie czuł się jednak na siłach, by samodzielnie opracować katalog. Ten sam instynkt, który nazwał „szczęściem" zetknął go z młodym historykiem sztuki z Kraju dr. Wojciechem Kretem, który szybko opanował literaturę przedmiotu i wypracował schemat opisu poszczególnych map. W poprzedzającej katalog przedmowie dr Maria Kiełczewska-Zaleska podkreśla wagę obszernych komentarzy, którymi Kret uzupełnił suche opisy. Dają one historię powstania i związki z mapami wcześniejszymi (a często także i późniejszymi). Przy każdym opisie podana jest nadto bibliografia, wyliczająca literaturę przedmiotu. Autor katalogu polemizuje często ze swymi poprzednikami, wnosząc nowe elementy do historii kartografii polskiej, życiorysów twórców map i okoliczności wydania. Podaje także informacje o miejscu przechowywania innych egzemplarzy, co pomaga w zorientowaniu się w stopniu rzadkości poszczególnych map.

Po śmierci Czesława Chowańca, kustosa Biblioteki Polskiej w Paryżu, Wojciech Kret przeniósł się z Rzymu nad Sekwanę i do przedwczesnej śmierci łączył prace nad katalogiem z zajęciami bibliotekarskimi i bohaterską walką z nurtującą jego organizm chorobą. Zmarł, nie ukończywszy ostatecznie rękopisu katalogu — pracę jego doprowadziła do końca mgr. Teresa Paćko z Instytutu Geografii PAN-u, współpracowniczką „Centralnego katalogu zbiorów kartograficznych w Polsce".

Tom pierwszy *Katalogu*, pomyślanego jako trzytomowy, ukazał się na krótko przed zgonem twórcy kolekcji, której dalsze losy obecnie się ważą. Wartość *Katalogu* określiła lapidarnie dr. Kiełczewska-Zaleska: „jest to pewnego rodzaju przewodnik po zabytkach kartograficznych odnoszących się do ziem polskich z dokładną ich inwentaryzacją czyli opisem bibliograficznym i interpretacją naukową". Wiele spośród *petitem* drukowanych

komentarzy stanowi odpowiedniki rozpraw naukowych, a niemal każdy przynosi istotne uzupełnienia i korektury stanu wiedzy o poszczególnych mapach. Przypomnę tylko, że na całość zbioru Czapskiego składają się 772 mapy, z których 82 opisane są w tomie I-szym a 16 najważniejszych pokazano w reprodukcjach wielkości oryginału. Wykonały je Wojskowe Zakłady Graficzne, podczas gdy sam katalog złożony został we Wrocławskiej Drukarni Naukowej. Nakład nie odpowiada zapotrzebowaniu. *Katalog* jest już na rynku księgarskim nieosiągalny.



Wydany obecnie tom *Polskich zbiorów graficznych** wyprzedza zapowiadziany na „jaskółce” tom IV — „Polskie kolekcjonerstwo grafiki i rysunku”. Jak poprzednie, poświęcone rysunkom szkół obcych w zbiorach polskich, opracowany jest niezmiernie starannie pod naukową redakcją Marii Mrozińskiej i Stanisławy Sawickiej. Wstęp, pióra Mrozińskiej, przynosi informacje o światowych kolekcjach rysunków, jako materiał porównawczy, z którego Polacy nie wychodzą źle. W zbiorach najstarszych: Krzysztofa i Łukasza Opalińskich (XVII w.), Ignacego Krasickiego (XVIII w.), Aleksandra Chodkiewicza (początek XIX w.) znajdowały się większe zespoły „kopersztychów” Rembrandta, ryciny Dürera itd. Warto przypomnieć jakie były ich losy: o zbiorach Opalińskich dochowały się tylko wzmianki w korespondencji — pochłonął je „potop” szwedzki. Zbiory Krasickiego (ok. 34.000 rycin) powędrowały na berlińską licytację w roku 1804 i „rozpłynęły się wśród zbiorów Berliner Kupferstichkabinett”. Podobnie, tyle że na licytacjach warszawskich, „rozpłynęły” się zbiory Aleksandra Chodkiewicza. Inne przykłady: zbiory Załuskich wywieziono do Rosji po trzecim rozbiorze. Tam także znalazł się po roku 1831 Gabinet Rycin Uniwersytetu Warszawskiego, w którym poza kolekcją („warsztatem naukowym”) Stanisława Augusta znalazł się bardzo cenny zbiór Stanisława Kostki Potockiego. Część powróciła w ramach rewindykacji. Międzywojenny Gabinet Rycin wzbogacił się poważnie nowymi nabytkami — zniszczenia wojenne pochłonęły jednak ok. 60 % zbiorów. Ale — jak pisze Mrozińska — mimo to „zachował w głównym zrębie charakter osiemnastowiecznej kolekcji monarszej” i nadal daje „jednolity i niemal pełny obraz rozwoju sztuki graficznej”. Do najbogatszych (obecnie) należą ponadto zbiory PAN w Krakowie, w skład których wchodzi m.in. zbiory Moszyńskich (XVIII w.), dział grafiki Muzeum Narodowego w Krakowie z dużą kolekcją grafiki współczesnej, Ossolineum we Wrocławiu (kolekcja Pinińskiego) i Biblioteki Jagiellońskiej (bogaty zbiór wydawnictw

* *Grafika szkół obcych w zbiorach polskich*. Warszawa, 1978 (1979), Arkady, 4^o, str. 179, 199 ilustracji (biało-czarne i kolorowe reprodukcje rycin). (*Polskie zbiory graficzne*, tom III).

ilustrowanych). Wśród najnowszych nabytków zbiorów krajowych znajduje się „zespół XVII-wiecznej grafiki francuskiej” — dar Emeryka Hutten-Czapskiego (1961) dla Muzeum Narodowego w Krakowie; francuskie i angielskie ryciny od XVI wieku do impresjonizmu — dar Józefa Zająca dla Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, rezultaty wieloletnich poszukiwań i poświęceń.

Reprodukcje (w wydany obecnie tomie) poprzedzone są katalogiem z rzeczowymi objaśnieniami i bibliografią. Są wśród nich polonica, w większości portrety królów (od Batorego poczynając), magnatów i duchownych oraz militaria (husarz, oficer janczarów polskich). W końcowej części działu reprodukcji pokazano kilkanaście litografii francuskich ze zbiorów Feliksa Jasieńskiego i — z tejże kolekcji — barwne drzeworyty japońskie. Z darów artystów pochodzą litografie Picassa i Braque'a. W notach proveniencyjnych uderza duża ilość obiektów pochodzących z darów prywatnych zbieraczy.

Warto podkreślić, że poszczególne opisy rycin są dziełem 28 pracowników muzeów i bibliotek krajowych; pośrednio dowód, ile pracy włożono w przygotowanie tomu i jak liczny jest zastęp specjalistów. Jest to w dużym stopniu zasługa redaktorów naukowych tomu: Marii Mrozińskiej i Stanisławy Sawickiej.



Na starannie wydaną książkę M.J.Brzezickiego składają się opisy 195 medali i 218 odznak pochodzących w większości ze zbiorów autora a ostatnio przekazanych przez niego do zbiorów Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Mimo żywego zainteresowania sztuką medalierską w Kraju, dorobek emigracyjny z tej dziedziny jest w Kraju nieznany (lub przemilczany). W katalogu wystawy Ossolineum z roku 1971, wśród opisów 2.000 eksponatów znalazł się np. tylko jeden medal emigracyjny (ku czci Traugutta). W tych warunkach rośnie znaczenie opracowania Mariana J. Brzezickiego*. Jest ono rezultatem wieloletnich poszukiwań, entuzjazmu i wyrzeczeń.

Kolekcjonerstwo jest piękną dziedziną emigracyjnych *hobbies*. W wypadku medalierstwa należy do dziedziny żywo interesującej historyków i historyków sztuki. Brzezicki ma wielkich poprzedników w Czackim, Lelewelu, Raczyńskim, Czapskim — aż po Mariana Gumowskiego. Szedł ich śladami i wyzyskał ich doświadczenia, a pasją zbieracką jest im równy.

W ramach czasowych opracowania mieści się Millenium, setna rocznica zgonu Mickiewicza, pięćsetna urodzin Kopernika,

* Marian J[ózef] Brzezicki: *Medale i odznaki polskie i Polski dotyczące bite poza Polską w latach 1939-1977*. Londyn, 1979, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, 4^o, str. 375, w tym 50 stron podobizn opisywanych medali i odznak. Nakład 1.200 egzemplarzy.

setna zgonu Krasińskiego, stale żywy jest kult Pułaskiego i Kościuszki (zwłaszcza w U.S.A.), Chopina (na całym świecie), Marii Curie-Skłodowskiej, Conrada. Ich też dotyczy większość medali, bitych w wielu wypadkach z inicjatywy czy to instytucji naukowych czy wydawców (Conrad) czy wreszcie firm handlowych produkujących serie medali sławnych ludzi. Gdy inicjatorami są cudzoziemcy, łatwo o błędy w napisach. Tak np. „portugalski” Chopin urodził się w Warszawie. Medale tego typu, zwłaszcza bite w metalach szlachetnych, są pewną formą lokaty oszczędności. Ale dobrze że pojawiają się na nich Polacy!

Nie brak osobliwości. Tak np. British Petroleum w reklamowej serii „królów francuskich” wybiło medal z podobizną Henryka III (naszego Waleczjusza) w wieńcu laurowym. Hotel de la Monnaie de Paris, dysponujący starymi stemplami, odbija z nich reprodukcje np. medali napoleońskich, opatrując je jednak rzeczywistą datą wykonania. Stąd w książce Brzezickiego medal na upamiętnienie nadania konstytucji Księstwu Warszawskiemu i, drugi, na zajęcie Wilna w „roku owym” — 1812. Medale te bite są na zamówienie zbieraczy. Lekkim znakiem zapytania opatrują rację umieszczenia ich w książce Brzezickiego. Może należało je tylko sygnalizować. „Poloniców” tej kategorii jest prawdopodobnie więcej.

W obrębie medali polskich rzucają się w oczy płaskorzeźby „zbiorowe”, honorujące łącznie dwu lub trzech zasłużonych. Tak więc „Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd” wydał w roku 1967 medal „Naczelnikom w hołdzie” z profilem Piłsudskiego nałożonym na profil Kościuszki. Na 200-lecie niepodległości Stanów Zjednoczonych Leon Kawecki zaprojektował medal na którego awersie figurują oblicza *freedom founders* w osobach Kościuszki, Washingtona i Pułaskiego a na rewersie — zgodna para: „Wolność” z portu nowojorskiego i — Zygmunt III z kolumny warszawskiej. Inna nie najlepiej zestawiona trójka to Piłsudski, Dmowski i Paderewski! — dla ścisłości dodać należy, że zaprojektowany w roku 1968 przez Romana Bilka z Chicago nie był wybity.

Osobliwością innego rodzaju są medale, niemal unikaty, wybijane w Mediolanie w ilości kilku egzemplarzy według projektów i staraniem Stanisława Kupolskiego z Kanady. Artystycznie nie najgorsze, wykonane w doskonałej medalierii, ukazały się na dwudziestolecie śmierci gen. Sikorskiego („walczył o wolność Polski i całej Europy”), „Millenium Regni Poloniae” (w dwu wersjach) i na „Na 25-lecie bitwy o Monte Cassino”. Ten ostatni jest także medalem ku czci własnej projektodawcy, na rewersie widzimy bowiem, jak pisze Brzezicki, „popiersie młodego, przystojnego kaprała 2-go Korpusu w battledresie i w berecie, a u góry napis ‘Stanisław Kupolski’, u dołu ‘Numismat’”. Awers tego swoistego curiosum jest pomysłowy i udany. Jest to do-

bry przykład trudności rozgraniczenia prywatnych inicjatyw od właściwych medali „numizmatycznych”.

Poziom artystyczny medal jest, niestety, bardzo nierówny. Pewnym usprawiedliwieniem jest nikły procent doświadczonych w medalierstwie projektodawców — a nie wystarcza tu entuzjazm i szlachetne pobudki. Wśród medali chybionych na pierwsze miejsce wysuwa się medal ku czci Mickiewicza wybity w Budapeszcie w roku 1955. Na rewersie maszeruje dziarskim krokiem tułacz w arcywysokim cylindrze z wężełkiem przewieszonym na kiju na ramieniu. Motyw na medal cechu kominiarzy.

Pewne zastrzeżenia budzi część druga opracowania Brzezickiego z opisami odznak. Tu kryteria selekcji były bardzo trudne. Surowiej odróżniać chyba należało odznaki pamiątkowe np. organizacji kombatanckich i przypominające orderzy „odznaczenia” czy „żetony”, od matych i masowo produkowanych komercyjnie emaliowanych biało-czerwonych flag czy orzełków. W niektórych wypadkach umieszczenie ich ma jednak ciekawe uzasadnienie. Tak np. dowiadujemy się że w Chinach wydano w roku 1941 miniaturkę flagi polskiej i broszkę z flagami dziesięciu narodów zjednoczonych w walce z Hitlerem. Gdy broszkę wydano, Związek Sowiecki był jeszcze sojusznikiem Hitlera — brak więc jego flagi. Wniosek z tego, że pozornie błahe przedmioty mogą mieć wartość świadectw historycznych. Lektura katalogu jest wędrówką po dziejach Polski i wskazówką na jakich postaciach i wydarzeniach skupiała się uwaga inicjatorów. Uczczono medalami Sienkiewicza i Reymonta — *nie* uczczono Wyspiańskiego czy Żeromskiego. Norwid pojawia się tylko jako projektodawca pięknego medalu ku czci Krasińskiego, wybitego w roku 1860 w mennicy paryskiej a w r. 1959 wznowionego z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu.

Drugą Wojnę Światową przypominają liczne medale i jeszcze liczniejsze odznaki — od wybitego w Szwajcarii medalu upamiętniającego czwartą wigilię na obczyźnie internowanych żołnierzy DSP poczynając. I tu Brzezicki przypomina że analogiczny medal „wigilijsny” upamiętniał „wigilię nad Berezyną w roku 1919” Białostockiego Pułku Strzelców! Wśród odznak wybijają się na pierwszy plan kombatanckie a wśród nich dwa medale wybite w Kraju. Ich niejako uzupełnieniem jest odznaka „Bractwa Żółtej Szabli”, pomysłowo zaprojektowana przez S. Żurakowskiego. „Bractwo” skupia wolontariuszy pomagających bezinteresownie Instytutowi Polskiemu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie przy porządkowaniu i konserwacji zbiorów itp.

Liczne medale, odznaki, medaliki i ryngrafy mają często jako główny motyw Matkę Boską Częstochowską lub Ostrobramską. Kilka medali, w tym dwa ku czci błog. Maksymiliana Kolbego, przypomina obozy koncentracyjne. Kilka innych — warszawskie getto i rocznice powstania.

Poziomem wykonania wyróżniają się medale 2-go Korpusu;

1-szej Dywizji Pancерnej; Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich — „tobrucki”. Pięknie pomysłany medal ku czci Winc. Witosa wydał Komitet Obchodu setnej rocznicy jego urodzin w Chicago, opatrując go napisem: „Ruszył masy chłopskie / Z chłopów uczynił obywateli Polski / którzy Kraj żywią i bronią”. Zawiodł jako projektant medali Stanisław Szukalski, choć nie zawiodła go pomysłowość. Na medalu mickiewiczowskim umieścić np. odciski bosych stóp symbolicznego pielgrzyma, medal kopernikowski oszpecił dziwaczными napisami (np. *He freed pure science from tyranny of shamans' antireason*).

Noty autorskie przy poszczególnych opisach miałyby jeszcze większą wartość gdyby autor ustrzegł się przykrych a oczywistych omyłek (np. na str. 100 i 199). Nie osłabiają one jednak zasadniczej wartości opracowania, za którego podjęcie wdzięczni są i będą historycy naszych czasów, swoi i obcy. Docenią oni intencje autora i ogrom trudu włożony w opracowanie i wydanie książki, ładnie wydrukowanej w Caldra House Ltd. w Hove pod kierunkiem Tadeusza Filipowicza.

M. DANILEWICZ ZIELIŃSKA

OKRUCHY HISTORII

NIEZNANY LIST DE GAULLE'A O POLSCE

Jeden z naszych przyjaciół przysłał nam poniższy list kapitana Charles de Gaulle'a ze stycznia 1919, wyrażający starania o przydział do Armii Polskiej tworzonej we Francji. List ten został znaleziony w Archiwum Wojskowym Francuskim w Vincennes pod Paryżem, w formie kopii pisma maszynowego z podpisem również maszynowym. Być może jest to odpis z odpisu. Choć brak jest wzmianki urzędowej o zgodności z oryginałem, wszystkie dane — data, adres, treść, styl i następstwa listu — wskazują na autentyczność tego dokumentu. Tego samego zdania jest również *Instytut Charles de Gaulle'a* w Paryżu, do którego redaktor *Zeszytów Historycznych* zwrócił się z zapytaniem w tej sprawie i z prośbą o zgodę na ogłoszenie tego listu w tłumaczeniu. Z odpowiedzi z dn. 19 maja br. wynika, że wspomniany Instytut nie znał tego listu. Brak oryginału i bliższych ustaleń związanych z tym listem Instytut przypisuje zniszczeniom, jakim uległa część archiwów z tego okresu. Niemniej przyznaje, że według wszelkiego prawdopodobieństwa list ten jest autentyczny, wobec czego nic nie stoi na przeszkodzie ogłoszeniu go w naszym piśmie z jednoczesnym wskazaniem okoliczności, w jakich list się odnalazł.

Oto rzeczony tekst w przekładzie:

5 Route de Poitiers. Saint-Maixent (Deux Sèvres)

28 stycznia 1919

Kapitan de Gaulle z 33 pułku piechoty
do Pana Generała ARCHINARD, Szefa Misji Wojskowej
Francusko-Polskiej.

Mam zaszczyt potwierdzić odbiór pisma, które Pan Generał zechciał skierować do mnie 25 bm. W piśmie tym wskazuje Pan

na korzyści i przywileje, które w danym razie mogłyby być zapewnione podoficerom i szeregowcom francuskim, przeniesionym do Armii Polskiej. Zapytuje mnie Pan również, czy zdaniem moim korzyści te są dostateczne dla zjednania pewnej ilości zgłoszeń.

Żałuję niezmiernie, że nie mogę dać Panu Generałowi dokładnych danych w tym względzie. Jako odkomenderowany do Saint-Maixent na kurs wyszkolenia nie mam w danej chwili żadnego oddziału pod moimi rozkazami. Wydaje mi się jednak, że byłoby możliwe uzyskać zgłoszenia podoficerów i szeregowców z najmłodszych roczników (tych które wiedzą, że długo jeszcze nie będą zdemobilizowane) o ile do obiecanych korzyści pieniężnych dorzuciłoby się szansę uzyskania wyróżnień natury moralnej: odznaczenia Krzyżem Wojennym, pochwały itd. (które w dużym stopniu pobudzają ambicje) a także awansów dla podoficerów. Ponadto należałoby zdaniem moim zorganizować, przynajmniej w ramach ośrodków zapasowych, centrów szkoleniowych i ośrodków repatriacyjnych pogadanki poświęcone tej sprawie i powierzone jakiemuś oficerowi. Oficer ten przedstawiłby po prostu ludziom w zwięzłym ujęciu sprawę polską (cierpienia tego narodu w przeszłości i obecnie; odwieczną sympatię Francji dla tego narodu. Interes jaki mamy, by Polska stała się potężna. Omówiłby kampanię wojсковą, która się rozwinięła i starałby się pobudzić u chętnych żylkę przygody. Przedstawiłby wreszcie korzyści honorowe i pieniężne, które zapewniamy żołnierzom francuskim, gotowym do wzięcia udziału w tej wyprawie i zgłoszenia, które należy w tym celu poczynić*.

Jest oczywiste, że pogadanki te powinny być powierzone oficerowi osobiście zainteresowanemu w ich wynikach, inaczej mówiąc — wyznaczonemu do udziału w przyszłej kampanii.

Jeżeli bym uzyskał dany przydział, byłbym natychmiast do Pańskiej dyspozycji dla wygłoszenia tych pogadek przynajmniej w głównych garnizonach. Niestety rzecz ulegnie zapewne zwłoce z powodu zaszłego nieporozumienia. Pozwalam sobie przedstawić je tutaj Panu Generałowi. Stosownie do wskazówek, uzyskanych z Biura dla spraw słowiańskich w Ministerstwie Wojny, poprzestałem na uzyskaniu zgody Pana Generała i Generała Hallera na rzeczony przydział do Armii Polskiej i zgodę tę przesłałem następnie bezpośrednio do Biura dla spraw słowiańskich. Zresztą wróciłem właśnie z długotrwałej niewoli, byłem na urlopie i sądziłem, że zależę od Ośrodka Zapasowego mojej jednostki wojskowej tylko pod względem administracyjnym. Otóż dowiaduję się, że Pierwsza Dyrekcja Ministerstwa Wojny zwróciła mi moją prośbę jako nie skierowaną drogą służbową... Wystosowałem więc natychmiast nową prośbę poprzez

* W tekście nawias nie jest zamknięty.

ośrodek zapasowy mojego pułku (Cognac), lecz ile czasu upłynie zanim pismo to dotrze do miejsca przeznaczenia? Zapewne potrwa to wiele tygodni. Może Pańskie życzliwe wstawiennictwo u władz kompetentnych zdołałoby przyspieszyć załatwienie sprawy? Mam zaszczyt prosić o nie Pana Generała.

C. de GAULLE

E. ŻAGIELL

POLACY NA LITWIE

Ilość Polaków mieszkających w granicach powstałej po pierwszej wojnie paromilionowej Republiki Litewskiej oceniana była przez prof. W. Wielhorskiego (zamieszkałego wówczas na Litwie) na 12 %; według statystyk polskiego komitetu wyborczego w wyborach sejmów wynosiła ona 10 % ludności. Według litewskiej statystyki urzędowej z roku 1923 — 3,2 %; w cyfrach — 64 tysiące.

Ta prawie ćwierćmilionowa polska grupa etniczna liczyła około stu tysięcy wieśniaków i 140 tys. mieszczan, ziemian i inteligencji. Ziemiaństwo było prawie wyłącznie polskie (prócz nielicznych magnatów rosyjskich). W roku 1919 mieszczaństwo i inteligencja liczyły więcej Polaków niż Litwinów. W handlu przeważali Żydzi, a rosyjscy urzędnicy byli ewakuowani.

Rzeczywista ilość Polaków po dwudziestu latach niepodległości Litwy będzie jakąś średnią między obu skrajnymi ocenami — 60 i 240 tysięcy. W ujęciu litewskim proces niszczenia polskości nie nazywał się litwinizacją a „odpolszczaniem”. Jak do tego doszło? Oddajmy głos późniejszemu dyrektorowi Instytutu Wschodniego w Wilnie prof. Wielhorskiemu, który w pracy „Polska a Litwa”, wydanej w Londynie w roku 1947, pisze:

„Środki stosowane przez Litwinów dla niszczenia polskości na terenie ich władzy od 1919 do 1939 roku sprowadzałyby się do następujących zabiegów: 1) Reforma rolna pozbawiła dwa tysiące rodzin polskich pracy najemnej w tych dobrach. Parcelowane obszary polskie przeszły niemal wyłącznie w ręce wieśniaków litewskich. 2) Inteligencja i półinteligencja polska pozbawiona została posad w służbie państwowej, samorządowej i w spółdzielczości. 3) Przystano prawie przyjmować obywateli Litwy na uniwersytet litewski. Na 32 tysiące dziatek polskiej w wieku szkolnym (7-14 lat) do polskich szkół podstawowych uczęszczało zaledwie 500-1000 dzieci. Resztę poddano litwinizacji w szkołach

podstawowych litewskich; nauczanie tam było przymusowe. 4) Polacy na Litwie zostali zupełnie odcięci od stosunków kulturalnych z Polską. Nie przyjeżdżali na Litwę polscy prelegenci, publicyści, adepci sztuki. Nie przychodziły polskie gazety i książki. Nie było ruchu ludności pomiędzy obu krajami. Nie istniała też komunikacja pocztowa, kolejowa, telegraficzna itp. 5) Język polski został niemal doszczętnie usunięty z życia Kościoła katolickiego na Litwie, nie tylko z nabożeństw dodatkowych, ale i z katechizacji dzieci, a nawet z konfesjonału. 6) Miejskowa prasa polska podlegała ostrej cenzurze przewencyjnej i płaciła stale wysokie grzywny. Zmuszano ją do zamieszczania komunikatów Litewskiej Agencji Prasowej w dosłownym tłumaczeniu i bez prawa podawania źródeł tych artykułów. Zniesiono na całej Litwie polskie szyldy i napisy publiczne".

Można by wnieść parę drobnych poprawek do nieco przejaśnionego obrazu. Aczkolwiek na medycynie był dla Polaków oficjalny *numerus clausus*, to jednak na Uniwersytecie Kowieńskim było stukilkudziesięciu studentów Polaków (wielu wyjeżdżało na studia za granicę). W ostatnim dziesięcioleciu, gdy wprowadzono cenzurę przewencyjną, nie było już grzywnien. W Kownie był jeden doszciot polski, w kilku większych skupiskach bywały polskie nabożeństwa.

Trzeba przyznać Litwinom, że akcję „odpolszczania” prowadzili bardzo umiejętnie i skutecznie. Atmosfera była taka, że trzeba było odwagi cywilnej by się przyznać, że się jest Polakiem. W pierwszym sejmowym okresie (do roku 1926) do sejmu byli jeszcze wybierani polscy posłowie, były liczniejsze szkoły i było też polskie ziemiaństwo, które, władając może jedną czwartą ziemi, w tym rolniczym kraju miało znaczny potencjał gospodarczy. Gdy to zostało ograniczone, gdy Polska oddzielona murem nie dawała oparcia, a w kraju został wprowadzony ustrój prawie totalitarny, o zabarwieniu nacjonalistycznym — Polonia, pod względem politycznym i gospodarczym prawie bezbronna — zaczęła szybko topnieć. Podwójnie bezbronna, bo uczucie nienawiści jest silniejsze, bardziej dynamiczne niż brak wrogości i mieszane poczucie przywiązania do kraju zamieszkania a zarazem do kultury, której ośrodek mieścił się za granicą. Wrogość jest hamulcem asymilacji, a my nie byliśmy wrogami Litwinów. Często się podkreślał dodatnie cechy Litwinów: solidarność, wytrwałość, zdolność do współpracy. Niektóre z nich cechowały też tamtejszą Polonię. Czy to w wyborach do sejmu, czy potem w życiu organizacyjnym, miała zawsze uznawane przez wszystkich centrale, pomimo rozwarstwienia społeczeństwa obejmującego b. obszarników, posiadaczy nieupaństwowionych np. gorzelni, jak też coraz liczniejszy miejski proletariat. W pierwszym okresie dominowało ziemiaństwo, mające niezależność finansową potrzebną do parania się sprawami polskimi. Nazwiska przywódców o tym świadczą: Budzyński, Grajewski, Janczew-

ski, Okulicz, Lutyk, Romer, jak też utytułowani: Komorowski, Plater, Przeździecki.

Później weszły nowe siły z miejskiej inteligencji: na czele resortu oświatowego stał inż. C. Mackiewicz, dyrektorem gimnazjum był Domaszewicz (dyplomy francuskie), popularny tygodnik redagował Z. Ugiński, przywódcą młodej lewicy typu Legionu Młodych był T. Surwiłło. Był też dyrektorem gimnazjum Abramowicz, zdeklarowany socjalista; później to stanowisko objęła sędziwa kuzynka Marszałka, z Billewiczów Narutowiczowa (która też nieoficjalnie brała udział w opracowywaniu programów szkolnictwa w Polsce).

Poczucie, że stanowimy jedną partię (w sejmie, nie wiem dlaczego, nazywała się „Polską Frakcją”) obowiązywało do dyscypliny narodowej. Hasło Polonii niemieckiej, że za granicą „Polak Polakowi bratem”, było aktualne. Były tarcia, ale nie było rozłamów. Po wojnie, gdy jeden z działaczy trafił w opałę, wyratowała go najzacieklejsza niegdyś przeciwniczka. Ale przy tym wszystkim była pewna niemrawość. W imię polskich interesów unikano prowokacyjnych wystąpień i ostrych konfliktów z władzami. Już na emigracji b. naczelnik litewskiej policji ocenił to następującymi słowami. „Znaczna część polskiej mniejszości nie była lojalna, ale tylko potencjalnie, więc w praktyce mieliśmy z tą grupą ludności mniej kłopotu niż z wieloma innymi”.

W Polonii litewskiej jeden podział był istotny, lecz nie zarysowany wyraźnie: na Polaków i „cichych Polaków”. Przy czym ci pierwsi odnosili się do tych drugich tolerancyjnie, a „cisi” stronili od kompromitującego towarzystwa jawnych. W roku 1918 przy głównej ulicy handlowej w Kownie było dużo polskich sklepów i kawiarni, a w roku 1939 została tylko jedna jedyna polska księgarnia, która prosperowała po otwarciu granicy. Ilość wolnych posad dla inteligentów była znikoma w polskich instytucjach i w administracji resztówek i gorzelni. Nie było już w Kownie adwokata Polaka. Były tolerowane aż trzy gimnazja w trzech miastach, kilka szkół podstawowych i świetlic, biblioteka, słabo rozwinięte kółka rolnicze, związki rzemieślników, zamierzający wskutek bojkotu klub sportowy, bank wzajemnego kredytu, stowarzyszenie studentów i korporacje w Kownie, Wiedniu i Pradze, oraz Koło Kowieńczan, ale w Warszawie. Niewiele więcej.

W roku 1939 Polonia nieco się obudziła i wykazała wielką gościnność dla uchodźców przybyłych z Polski. Wielu „cichych” się ujawniło, bo już były inne nastroje.

Dzisiaj diaspora polska rozproszona po świecie uważa się za *morituri*, na wymarcie. A diaspora z Kowieńszczyzny była dla narodu istną hodowlą elity, dała bowiem Rzeczypospolitej: prezydenta Narutowicza, ministrów Meysztowicza, Staniewicza, Ludkiewicza a na emigracji Romera, Zawiszę, senatorów Zanową, Godlewskiego, co najmniej paru generałów, wielu pracowników

służby dyplomatycznej itd. Tu się urodzili historycy Łowmiański, Jakubowski, kompozytorzy Guzewski i G. Bacewiczówna, pisarz Cz. Miłosz i wielu innych. Zaś o jedno pokolenie wstecz patriarcha Zaleski, bardziej znany w Indiach, oraz inż. Kierbesz. Poza tym odwiedzali ten kraj związani z nim więzami rodzinnymi i majątkowymi Piłsudski, Wańkowicz, Weyssenhoff, stąd się wywodzi „dynastia” Witkiewiczów. Na ulicach Kowna spotykali się za carskich czasów późniejsi generałowie Anders i Kopański, który nawet zapamiętał jakiś wierszyk litewski. A i po wojnie wypływają wciąż nazwiska „Kowieńczuków”. Niedobitki młodej polskiej inteligencji z Litwy licznie trafiły w dzisiejszej Polsce na uniwersytety: T. Żyliński był dziekanem — założycielem wydziału włókienniczego politechniki łódzkiej, jedna z Burbianek wykładała historię we Wrocławiu, druga była biologiem, Szwajkowska opisała dzieje drukarstwa, przykłady można by mnożyć. Jeden z czołowych działaczy katolickich, Stomma, też jest spod Kiejdan. A na emigracji? Organizatorem harcerstwa w Kalifornii był Butler z Kowna, „dobroczyńcą Wenezueli” był przyrodnik, Polak, który uprzednio służył w wojsku litewskim. Przed kilkunastu laty w Argentynie stanowiska reprezentanta rządu R.P., prezesa S.P.K. oraz redaktora polskiego tygodnika zajmowało trzech Kowieńczuków (bodajże Zawisza, Jacyna i Zahora-Ibiański). I wreszcie wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, Kazimierz Łukomski, też urodził się w „bywszej kowieńskiej gubernii”.

Polska mniejszość na Litwie Sowieckiej

W porównaniu do tego, co nastąpiło potem, warunki życia Polaków w niepodległej Republice Litewskiej wydają się dzisiaj sielanką. Gdy w październiku 1939 roku część Wileńszczyzny z ludnością ponad pół miliona została przekazana Litwie, Polonia wzrosła wielokrotnie, lecz natężyły się antagonizmy na nowo-uzyskanych terenach. Doceniano jednak dostawę żywności i poczucie bezpieczeństwa, po tym jak w czasie krótkich rządów sowieckich wywieziono z Wileńszczyzny 25 tysięcy Polaków.

Już po niespełna roku Sowiety znów objęły rządy. Na Kowieńszczyźnie zamknięto wszystkie polskie szkoły i instytucje, lecz przy zatrudnianiu nie robiono żadnych różnic narodowościowych. W przededniu wojny z Niemcami została przeprowadzona masowa deportacja ponad 30 tysięcy obywateli litewskich, która procentowo najbardziej dotknęła polskie ziemiaństwo.

Za niemieckiej okupacji Polacy byli tam „wyróżniani”, bo im zabierano majątki, i w miastach co lepsze mieszkania — jako Polakom. Pozostałością czasów sowieckich było upaństwowienie lub uspołecznienie prawie wszystkich zakładów pracy (nie dotyczyło tylko małych i średnich gospodarstw i rzemiosła); Polakom

trudno było znaleźć pracę w instytucjach litewskich. Pozostały prace pod niemiecką kontrolą, albo pierwszeństwo do deportacji, jako nie zatrudnionych. O stosunkach na Wileńszczyźnie i w AK dosyć pisano we wspomnieniach i literaturze. Pod koniec wojny wielu Polaków przeciekło do Polski, a repatriacja objęła 171 tys. na 380 tys. zgłoszonych. Obejmowała ona w zasadzie tylko b. obywateli polskich, ale wielu inteligentom z Kowieńszczyzny i Suwalszczyzny udało się z niej skorzystać. W czasie powojennych masowych deportacji wywieziono ćwierć miliona Litwinów, ale brak jest danych ilu wśród nich było Polaków. W powojennym spisie ludności Polaków było 8,5 %. Niecałe ćwierć miliona. Później ten odsetek zmniejszył się do 7,7 %, co przy zaludnieniu już 3,4 miliona też wynosi około ćwierć miliona. Miasto Wilno przed kilku laty miało 18 % Polaków, okręg podmiejski 76 %, Jakszyszki — 84 %, powiaty trocki (trakajski) i święciański (tam gdzie powstaje wielka siłownia nuklearna) około jednej trzeciej. W kraju, gdzie już 57 % ludności mieszka w miastach, dwie trzecie Polaków żyje wciąż na wsi.

Jedynie na Wileńszczyźnie zachowało się polskie szkolnictwo. Naukę w języku polskim pobierało w szkołach podstawowych — 6 % dzieci (około 16 tys. w 140 szkołach), później ten odsetek spadł do 3 %. W szkołach średnich odsetek był niższy, a na wyższych uczelniach spadł do 1,9 %. Według ostatnich danych ilość studentów Polaków na Uniwersytecie Wileńskim sięga 300, co stanowi około 3 %, na politechnice i in. jest ich tylko kilkudziesięciu. Poza tym istnieje osobny instytut pedagogiczny z paru wydziałami i polskim językiem wykładowym. Wydaje się rocznie około 50 książek o nakładzie sięgającym stu tysięcy, bowiem podręczniki z Polski nie są używane. Książki (beletrystyka) z Polski są rozchwytywane, ale trudno osiągalne. Istnieją dwa teatry amatorskie: „Kolejarza” i „Służby Zdrowia”. Inteligencja dawniejsza rozproszyła się od Kazachstanu do Wrocławia, a nowa prawie się nie tworzy. Polacy na dzisiejszej Litwie to przeważnie kołchoźnicy i miejski proletariatus. O dyskryminacji świadczy fakt, że do polskości przyznaje się więcej kobiet niż mężczyzn, którzy dla uniknięcia dyskryminacji częściej podają już inną narodowość. Uczniowie polskich szkół średnich są nakłaniani do przechodzenia przed maturą do szkół rosyjskich, co da im lepszy start. Wynaradawianie odbywa się w obu kierunkach. Niechęć do Rosjan jest równoważona trudnością przejścia do szkół ze znacznie trudniejszym językiem litewskim.

W Wilnie w jedenastu kościołach są nabożeństwa polskie, litewskie lub mieszane. Nie ma większych tarć między klerem obu narodowości. Nabożeństwa są odprawiane według liturgii przedsoborowej. Ksiądz jest zwrócony twarzą do ołtarza a plecami do wiernych. Istnieje gazeta *Czerwony Sztandar*, właściwie tłumaczenie litewskiego organu partyjnego. Nakład sięga 20 tysięcy, głównie w okręgach Jakszyszki i pobliskich. Część nakładu

wysyłana jest do Polski. Wszelkie polskie tradycje są tępione, czasy „pańskiej Polski” zohydżane, zabytki jeżeli i są chronione, to nie jako polskie. Odbywają się prawie corocznie „Dni polskie”, z odwiedzinami zespołów i prelegentami, którzy w bibliotekach nie mogą się doszukać polskich książek, bo tak są rozchwytywane. Turystów z Polski jest więcej niż z innych krajów ościennych. Ruch w odwrotnym kierunku jest znacznie mniejszy i utrudniony. Wpajane jest Polakom, że są *morituri*, na wymarcie. Tym niemniej Polacy w Wilnie „wyżej noszą głowę” niż bardziej sterroryzowani rodacy we Lwowie lub Grodnie.

Stosunki polsko-litewskie układają się raz lepiej, raz gorzej. Polska ze swym bardziej wolnościowym ustrojem stała się atrakcyjna. Jest to zmiana w stosunku do przeszłości. Zdarza się reakcja na wybór Polaka na papieża: „Czy już nikogo innego nie mogli znaleźć?”. Natomiast w kołach inteligencji, tak katolików, jak też dysydentów stosunki stały się bardziej przyjazne. Inaczej jest na Kowieńszczyźnie. Tam można usłyszeć powiedzenie: „Nie ma już Polaków i nie ma tego problemu”. Tam polskość prawie całkowicie zlikwidowano. Gdy w roku 1916 według niemieckich spisów było w mieście Kownie 42 % Polaków, po 50 latach było już 1,1 %, a później poniżej jednego procenta, podczas gdy w Rydze wciąż było 2,7 % Polaków. W Kownie istnieje polski zespół estradowy przy fabryce „Inkaras”, i w jednej szkole jest podobno język polski, jako jeden z obcych, dla szkolenia przewodników oprowadzających polskie wycieczki odwiedzające „Domek Mickiewicza”. Gierek odwiedził jakoby polską szkołę w Kiejdanach. Dopiero po wyborze polskiego papieża wprowadzono po kilkudziesięcioletniej przerwie w jednym kościele polskie nabożeństwa.

Gdy się zważy, że w Związku Sowieckim istnieje podwójne zagrożenie, wynarodowienia i psychicznego zsovietyzowania, to jednak Wilno jest mniej zagrożone, gdyż według zgodnych opinii korespondentów zagranicznych — a nawet i sowieckich dziennikarzy — Nadbałtyka to jeszcze Europa.

U mego sąsiada zaczyna po dwudziestu latach kwitnąć „Agava Americana”. Radość z tego ewenementu przyćmiewa informacja z encyklopedii, że agawa po przekwitnięciu nieuchronnie obumiera. Jak polskość na terenach etnograficznej Litwy.

E. ZAGIELL

SPIS TREŚCI

Redakcja: „ <i>Historia Polski</i> ” Pawła Zaremby	3
Marek Łatyński: <i>Zamiast wstępu</i>	4
Paweł Zaremba: <i>Po 150 pogadankach historycznych</i>	6
Tymoteusz Klempski: <i>Polaków z historią kłopoty</i>	10
Andrzej Albert: <i>Wschodnie granice Polski</i>	24
Stanisław Swianiewicz: <i>Refleksje geopolityczne</i>	76
Jerzy Łojek: <i>Konstytucja i federacja</i>	85
Krzysztof Sójka-Wilmański: <i>Czy ofensywa francuska mogła uratować Polskę?</i>	90
Zdzisław Siemaszko: <i>Sergiusz Pritycki, 1913 - 1970</i>	110

DOKUMENTY

Kazimierz Moczarski: <i>List z Centralnego Więzienia w Sztumie</i>	123
Jan Ciechanowski: <i>Proces Szesnastu w Moskwie</i>	148

WSPOMNIENIA

Władysław Kołaczkowski: <i>Lipiec - sierpień 1920 roku</i> ..	156
Kazimierz Zamorski: <i>Sygnal Wojska Polskiego</i>	167

POLEMIKI

Michał Borwicz: <i>Kazimierza Moczarskiego „Rozmowy z katem”</i>	177
Władysław Żeleński: <i>AK we Lwowie w lipcu 1944 roku</i>	185
Tadeusz Żenczykowski: <i>Jeszcze o WIN-ie</i>	190

RECENZJE

Anna M. Cienciała: <i>Droga Rosji do zimnej wojny</i>	192
Tadeusz Heinrich: <i>Enigma — największy wkład Polski do wojny?</i>	203
Piotr Wandycz: <i>U źródeł drugiej wojny światowej</i>	213
Anna M. Cienciała: <i>„Między Lizboną a Londynem”</i>	216
Maria Danilewicz Zielińska: <i>Kartografia, grafika, medale</i>	220

OKRUCHY HISTORII

<i>Nieznany list de Gaulle'a o Polsce</i>	227
E. Żagiell: <i>Polacy na Litwie</i>	229

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka — Szkice 1970-1978</i> (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego)	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i> ..	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „ <i>Opowiadania</i> ” ..	208	24,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „Varia”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i>	256	55,00
<i>Głos</i> („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjście</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1973-1979)</i> , t. II	368	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	45,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li ziżń na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)</i>	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	240	13,50
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. II	544	110,00
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. III	536	110,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie (1939-1962)</i>	80	9,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Krzyżanowski, Br.: <i>Wileński matecznik 1939-1944</i> (Seria „Bez Cenzury”)	264	65,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Dokumenty”)	144	12,00
<i>Kultura masowa — opr. Cz. Miłosz</i> (Seria „Dokumenty”) ..	145	6,00

	Stron	F.
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i>	196	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i>	224	50,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą..</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje..</i>	484	45,00
Orłóś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Orłóś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego)	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
<i>Program Związku Komunistów Jugosławii</i> (Seria „Dokumenty”)	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rekucki, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Solżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag, T. II (Cz. III i IV) z przesyłką</i>	606	72,50
Solżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag, T. III (Cz. V, VI i VII)</i>	544	110,00

£6.00.

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwariu</i>	148	25,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Swinarski, A. M.: <i>Sassa i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Porcja wolności</i> (Seria „Dokumenty”)	144	35,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
Vincenz, St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism</i> , opr. i przekład Cz. Miłosz	384	15,00
<i>Węgry</i> , opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 20, 40, 41, 46, 47 i 49 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 52 (maj 1980)		
Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		45,00
(Zeszyt 50-ty ze względu na objętość kosztuje F. 50,00)		

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

Achévé d'imprimer le 21 juillet 1980 sur les presses
de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1980.



BIBLIOTEKA • KULTURY •
KSIAŻKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ

- S. Alibajewa, *Dwadzieścia latów do przyjaciela*.
 J. Grzędziński, *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”).
 W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”).
 Fr. Kalinowski, *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)*.
 T. Karcelbach, *Rok głych wróżb (1943)*.
 A. Koestler, *Fragmnty wspomnień* (Seria „Archiwum rewolucji”).
 St. Korboński, *Polskie Państwo Podzielne*.
 I. Koszeliwec, *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”).
 St. Kot, *Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej*.
 St. Mackiewicz, *Polityka Backa*.
 M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*.
 E. Rcale, *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”).
 St. Rembek, *W polu*.
 B. Singer, *Od Witosa do Sławka*.
 W. Solski, *Moje wspomnienia*.
 W. Suklennicki, *Legenda czy rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”).
 St. Swianiewicz, *W cieniu Katynia*.
 Węgry (Seria „Dokumenty”).
 W. Witos, *Moje wspomnienia, t. I/III*.
 J. Wołoszynowski, *Było tak*.
 P. Zaremba, *Historia Polski, cz. I*.
 A. Zawadzka-Wcis, *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”).

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
 KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
 SIERPNI I LISTOPADA KĄDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA 1980 — F. 180,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
 PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 160,00.

CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1980 — F. 45,00.

F. 45,00